

Sprawca Gwiazd





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

OLAF STAPLEDON

Sprawca Gwiazd

TLUM. PAWEŁ DEMBOWSKI

PRZEDMOWA

W chwili, gdy Europie grozi katastrofa gorsza niż ta w 1914, książkę taką jak ta można by potępić jako odwracającą uwagę od rozpaczliwie pilnej obrony cywilizacji przed współczesnym barbarzyństwem.

Rok po roku, miesiąc po miesiącu, los naszej rozbitej i chwiejnej cywilizacji staje się coraz poważniejszy. W obcych państwach faszyzm staje się coraz śmielszy i bezlitosny w swych zagranicznych poczynaniach coraz bardziej despotyczny wobec własnych obywateli, coraz bardziej barbarzyński pod względem pogardy dla życia umysłowego. Nawet w naszym kraju mamy powody, by obawiać się tendencji ku militaryzacji i ograniczeniom swobód obywatelskich. Poza tym, mimo upływu dekad, nie podejmuje się żadnych istotnych kroków, by załagodzić niesprawiedliwość naszego porządku społecznego. Nasz przestarzały system gospodarczy skazuje miliony na frustrację.

W tych warunkach trudno jest pisarzom spełniać swoje powołanie jednocześnie z odwagą i z wyważoną oceną sytuacji. Niektórzy zaledwie wzruszają ramionami i wycofują się z centralnego konfliktu naszych czasów. Ci twórcy, zamykający umysły na najistotniejsze sprawy świata, nieuchronnie wydają dzieła, którym brakuje nie tylko głębi czy znaczenia dla współczesnych, ale które są także subtelnie nieszczerze. Pisarze ci muszą bowiem świadomie lub nieświadomie starać się przekonać samych siebie albo że kryzys w dziejach ludzkości nie istnieje, że jest mniej istotny niż ich utwory, albo że nie jest to ich interes. Kryzys jednak istnieje, jest najwyższej wagi i dotyczy nas wszystkich. Czy ktoś, kto jest inteligentny i dobrze poinformowany, może twierdzić inaczej, nie oszukując samego siebie?

Sympatyzuję jednak z tymi „intelektualistami”, którzy oznajmniają, że nie są w stanie wnieść niczego użytecznego w te zmagania i w takim razie lepiej, jeśli się do nich nie odniosą. Tak naprawdę jestem jednym z nich. Na naszą obronę powiem, że choć jesteśmy nieaktywni i nieskuteczni, jeśli chodzi o bezpośrednie wsparcie sprawy, to jej nie lekceważymy. Przeciwnie, skupia ona stale, obsesyjnie, naszą uwagę. Jesteśmy jednak przekonani dzięki metodzie prób i błędów, że najbardziej przysłużymy się sprawie w sposób pośredni. W przypadku niektórych pisarzy wygląda to inaczej. Mężnie rzucają się w wir walki, korzystając ze swoich umiejętności, by rozsiewać ważną propagandę, lub sami chwytają za broń. Jeśli dysponują odpowiednimi zdolnościami i jeśli sprawa, której służą, rzeczywiście stanowi część wielkiego przedsięwzięcia obrony (czy też budowy) cywilizacji, mogą oczywiście znacznie się do niej przyczynić. Mogą również zdobyć wiele doświadczenia i zjednać sobie w ten sposób innych, zwiększając moc swojej literatury. Ale pilność sprawy, której służą, może zaślepić ich na to, jaką wagę ma samo podtrzymywanie i poszerzanie, nawet w epoce kryzysu, tego, co można metaforycznie nazwać „samokrytyczną samoświadomością gatunku ludzkiego” oraz próby postrzegania ludzkiego życia jako całości w relacji do całej reszty świata. Obejmuje to chęć przyglądania się wszystkim ludzkim sprawom, ideom i teoriom z jak najmniejszą dozą ludzkich uprzedzeń. Ci, którzy rzucają się w oko cyklonu, nieuchronnie stają się stronnicy, choćby w służbie wielkiej i sprawiedliwej sprawy. Ze szlachetnych pobudek porzucają część tego dystansu, siły chłodnej oceny, która ostatecznie należy do najcenniejszych zdolności człowieka. W ich przypadku być może jest to słuszne, jako że rozpaczliwa walka wymaga mniej dystansu i więcej oddania. Niektórzy jednak, którym sprawa leży na sercu, muszą jej służyć, zachowując, poza ludzką lojalnością, większą obiektywność ducha. I być może próby ujrzenia naszego niespokojnego świata na tle gwiazd mogą przynieść nie zmniejszenie, ale zwiększenie znaczenia obecnego ludzkiego kryzysu. Mogą także wzmocnić naszą wzajemną serdeczność.

Z tym przekonaniem podjąłem próbę sporządzenia fantazyjnego szkicu przyprawiającej o trwogę, lecz fundamentalnej całości wszechrzeczy. Wiem dobrze, że jest on absurdalnie nieadekwatny i pod wieloma względami dziecinny, nawet z punktu widzenia współczesnych ludzkich przeżyć. W spokojniejszej i mądrzejszej epoce mógłby zdawać się szalony. Ale mimo swojej prostoty i oddalenia od ziemskich spraw, nie jest może zupełnie nieistotny.

Ryzykując wywołanie wzburzenia zarówno po lewej, jak i prawej stronie, czasami korzystałem z pewnych idei i słów wywodzących się z religii i starałem się interpretować je w odniesieniu do współczesnych potrzeb. Cenne, choć bardzo pokrzywdzone słowa, takie jak „duchowość” czy „uwielbienie”, które stały się niemal tak obsceniczne dla lewicy, jak stare, dobre słowa ze sfery seksualności dla prawicy, mają tu sugerować doznania, które prawica zwykła wypaczać, a lewica niewłaściwie rozumieć. Doświadczenie to oznacza uzyskanie dystansu od wszystkich prywatnych, społecznych, rasowych celów — nie w sensie całkowitego ich odrzucenia, ale w takim, który nadaje im nową wagę. To „życie duchowe” zdaje się być w istocie próbą odkrycia i przyjęcia postawy odpowiedniej dla doświadczenia nas wszystkich. Przedsięwzięcie to może doprowadzić do większej przytomności ducha i lepszego usposobienia świadomości, a więc do korzystnego wpływu na ludzkie zachowania. Jeśli to nadzwyczajne doznanie nie wytworzy, wraz z pewnego rodzaju nabożnym podejściem do losu, determinacji, by służyć budzącej się ludzkości, to jest jedynie błagą i pułapką.

Zanim zakończę tę przedmowę, muszę wyrazić wdzięczność profesorowi L.C. Martinowi¹, panu L.H. Myersowi² oraz panu E.V. Rieu³ za bardzo pomocną i życzliwą krytykę, dzięki której przepisałem na nowo wiele rozdziałów. Nawet teraz waham się, czy przystoi łączyć ich nazwiska z tak ekstrawaganckim utworem. Oceniany według standardów powieści jest on nadzwyczaj kiepski, a w zasadzie wcale powieścią nie jest.

Pewne pomysły, jeśli chodzi o sztuczne planety, pochodzą z fascynującej książeczki pana J.D. Bernala⁴ *The World, The Flesh, and the Devil*⁵. Mam nadzieję, że nie będzie miał mi szczególnie za złe tego, jak je potraktowałem.

Swojej żonie muszę podziękować za pracę nad korektą oraz za to, że jest sobą.

Na końcu książki umieściłem notę o wielkościach, która może przydać się czytelnikom niezaznajomionym z astronomią. Niektórych zaś zainteresują być może szkice skal czasowych.

O.S.

Marzec 1937

¹Martin, Leonard Cyril (1886–1976) — profesor literatury angielskiej na Uniwersytecie Liverpoolskim. [przypis edytorski]

²Myers, Leopold Hamilton (1881–1944) — angielski powieściopisarz. [przypis edytorski]

³Rieu, Emile Victor (1887–1972) — angielski literaturoznawca i tłumacz, autor m.in. przekładów *Odysei* i *Iliady*. [przypis edytorski]

⁴Bernal, John Desmond (1901–1971) — irlandzko-brytyjski fizyk, historyk nauki, futurolog oraz działacz polityczny, zwolennik komunizmu; jako pierwszy użył w 1939 r. pojęcie „rewolucja naukowo-techniczna”. [przypis edytorski]

⁵*The World, The Flesh, and the Devil* (ang.) — *Świat, ciało i diabeł*. [przypis tłumacza]

I. ZIEMIA

I. POCZĄTEK

Pewnej nocy wyszedłem na wzgórze, czując smak goryczy. Stąpałem po ciemnych wrzósach. W dole maszerowały podmiejskie latarnie. Okna z zasuniętymi zasłonami były jak zamknięte oczy, wpatrzone w wewnętrzny świat snu. Pośród płaskiego mroku nieba lśniła latarnia morska. Nade mną ciemność.

Wypatrzyłem nasz dom, naszą wysepkę pośród burzliwych i gorzkich prądów świata. Tam przez półtorej dekady nas dwoje, tak różnych od siebie, żywało się ze sobą, wspierając i karmiąc się nawzajem, egzystując w zawilej symbiozie. Codziennie planowaliśmy tam nasze przedsięwzięcia i omawialiśmy interesujące i irytujące wydarzenia każdego dnia. Tam rosły sterty pozostawionych bez odpowiedzi listów i dziurawych skarpet. Tam rodziły się dzieci, te nagłe, nowe żywoty. Tam, pod naszym dachem, nasze dwa życia, czasem wadzące się ze sobą, mimo wszystko stanowiły jedną całość, większe, bardziej świadome życie niż każde z nich z osobna.

To wszystko oczywiście było dobre. Zdarzała się jednak również gorycz, która nachodziła nie tylko nas ze świata wokół — zbierała się również w naszym magicznym kręgu. Właśnie przerażenie naszą bezradnością, naszą własną nierealnością, a nie tylko maligną światą, zaprowadziło mnie na to wzgórze.

Zawsze spieszyliśmy od jednego pilnego zadania do kolejnego, ale wyniki były mizerne. Czyżbyśmy błędnie rozumieli całe nasze istnienie? Czy kierowaliśmy się w życiu fałszywymi przesłankami? I czy szczególnie to nasze partnerstwo, ten, zdawałoby się, tak mocny fundament naszego świata, był jedynie niewielkim zawirowaniem błogiej przytulności, bezradnie kręcący się na powierzchni wielkiego potoku, nie mając żadnej istotnej głębi, żadnego znaczenia? Czyżbyśmy jednak sami się oszukiwali? Czy za zasłoniętymi oknami żyliśmy jedynie w śnie, tak jak wielu innych? W chorym świecie nawet najzdrowsi są chorzy. A nasza dwójka, żyjąca głównie rutyną, rzadko z pełną świadomością czy dążąc do konkretnego celu, była produktem chorego świata.

Jednakże to nasze życie nie było jedynie czczą, jałową fantazją. Czyż nie było utkane z włókien rzeczywistości, które zbieraliśmy z każdym wejściem i wyjściem przez drzwi, z ruchem po ulicach naszego przedmieścia, sąsiedniego miasta, dalszych miejscowości i na samych krańcach świata? I czy nie tkaliśmy autentycznej ekspresji naszej natury? Czy nasze życie nie składało się z mocnych pasm aktywności i nie układało się w rosnącą sieć, misterny, rozległy desień ludzkości?

Rozmyślałem o „nas” z cichym zainteresowaniem i z mieszaniną rozbawienia i trwogi. Jak mógłbym opisać naszą relację nawet sam sobie bez uwłaczania jej ani bez tandetnego sentymentalizmu? Nasza delikatna równowaga zależności i niezależności, ten chłodnie krytyczny, przebiegle prześmiewczy, ale pełen miłości wzajemny kontakt był mikrokosmosem prawdziwej wspólnoty, był w całej swojej prostocie prawdziwym, żywym przykładem celu, jakiego szuka świat.

Cały świat? Cały wszechświat? Nade mną spośród mroku wyłoniła się gwiazda. Jedna, drżąca strzała światła, wysłana kto wie ile tysięcy lat temu, teraz wypełniająca moje nerwy swym widokiem i moje serce przestrachem. Bo w takim wszechświecie jak ten — jakie znaczenie może mieć nasza szczęśliwa, nasza krucha, nasza ulotna wspólnota?

Ale teraz, wbrew rozumowi, ogarnęła mnie dziwna cześć oddawana nie samej gwiazdzie, zwykłemu palenisku, które fałszywie uświęcała jego odległość, ale czemuś innemu, co postrzegano serce w skrajnym kontraście między nami a gwiazdą. Ale co mogło to oznaczać? Patrzący poza gwiazdę intelekt nie odkrywał żadnego Sprawcy Gwiazd, a jedynie ciemność. Żadnej Miłości ani nawet Mocy, ale Nicość. A jednak serce czciło.

Z niecierpliwością otrząsnąłem się z tego wariactwa i wróciłem od nieprzeniknionego ku znajomemu i konkretnemu. Odrzucając na bok cześć i przestrach, a także i gorycz, postanowiłem na chłodno rozważyć niezwykłość „nas”, tę dziwnie imponującą daną, która

dla nas samych pozostawała podstawą wszechświata, choć w porównaniu z gwiazdami zdawała się tak nikła.

Jeśli spojrzeć na nas nawet bez odniesienia do tła kosmicznej otchłani, byliśmy w końcu nieistotni, być może nawet śmieszni. Stanowiliśmy tak powszechne zjawisko, tak banalne i poważane. Byliśmy po prostu parą małżeńską, starającą się żyć razem bez zbędnego wysiłku. W naszych czasach małżeństwo to coś podejrzanego. A nasze, ze swoją trywialnie romantyczną historią, było podejrzone w dwojnasób.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się, gdy była jeszcze dzieckiem. Nasze oczy spotkały się. Spojrzała na mnie przez chwilę z cichą uwagą; a nawet, jak sobie wyobrażałem, z głębokim zrozumieniem. Ja, w każdym razie, rozpoznałem w tym spojrzeniu (jak wmówiłem sobie w gorączce młodości) swoje przeznaczenie. Tak! Jakże predestynowany zdawał się wówczas nasz związek! A jednak, z perspektywy czasu, jak przypadkowy! Oczywiście prawdą jest, że jako stare małżeństwo byliśmy do siebie dość dopasowani, jak dwa bliskie sobie drzewa, których pnie z czasem zrosły się, wypaczając nawzajem swój kształt, ale też wspierając się nawzajem. Myśląc chłodno, oceniałem ją teraz jedynie jako użyteczne, ale często doprowadzające do szału dopełnienie mojego osobistego życia. Ogólnie rzecz biorąc stanowiliśmy rozsądną parę. Zostawialiśmy sobie nawzajem pewną swobodę, więc byliśmy w stanie znosić też swoją bliskość.

Taka była nasza relacja. Opisana w ten sposób nie wydawała się szczególnie istotna dla zrozumienia wszechświata. Ale w głębi serca wiedziałem, że właśnie tak jest. Nawet chłodne gwiazdy, nawet cały kosmos z przestworami próżni nie mógł przekonać mnie, że nasz cenny atom wspólnoty, tak niedoskonały i przelotny, nie ma znaczenia.

Ale czy ten nasz nieopisywalny związek naprawdę miał znaczenie poza samym sobą? Czy, na przykład dowodził, że esencją natury człowieka jest miłość zamiast nienawiści i strachu? Czy stanowił dowód, że wszyscy mężczyźni i kobiety na całym świecie, choć mogą im w tym przeszkadzać okoliczności, są w głębi serca zdolni do współtworzenia światowej, pełnej miłości wspólnoty? I dalej, czy skoro jest produktem kosmosu, to czy nie dowodzi to, że miłość jest w jakiś sposób wpisana w fundamenty wszechświata? I czy przez wpisaną w siebie wspaniałość nie stanowił pewnej gwarancji, że naszą kruchą, wspierającą go dwójkę czeka jakiś rodzaj wiecznego życia? Czy dowodził nawet, że miłość jest Bogiem i że Bóg czeka na nas w niebiosach?

Nie! Nasza przyjazna, irytująca, pełna śmiechu, niepozorna choć niezwykle cenna wspólnota ducha nie dowodziła żadnej z tych rzeczy. Na pewno nie stanowiła gwarancji niczego poza własną niedoskonałą wspaniałością. Nie była niczym poza bardzo drobnym, bardzo jasnym rozbłyskiem jednego z wielu potencjałów egzystencji. Przypominałem sobie rzesze ślepych gwiazd. Przypominałem sobie zgiełk nienawiści i strachu i goryczy tworzący ludzki świat. Przypominałem sobie także nasze własne nie tak znowu rzadkie klótnie. Wreszcie przypomniałem sobie o tym, że wkrótce znikniemy jak fala, którą na spokojnej wodzie wywołał wiatr.

Ponownie zastanowił mnie dziwny kontrast między gwiazdami a nami. Niezmierzona potęgą kosmosu w tajemniczy sposób wzmacniała naszą ulotną iskrę wspólnoty i krótkie, niepewne istnienie ludzkości. One z kolei ożywiały zaś kosmos.

Usiadłem pośród wrzosów. Nad moją głową ciemność ustępowała. Uwolniona populacja nieba wychodziła w końcu z ukrycia, gwiazda po gwieździe.

Z każdej strony w nieskończoność rozciągały się cieniste wzgórza albo ledwie widoczny zarys morza. Ale sokoli wzrok wyobraźni wędrował ich śladem, poza horyzont. Uświadomiłem sobie, że znajduję się na niewielkim ziarnku ze skały i metalu, pokrytym cienką powłoką wody i powietrza, wirującym w świetle i ciemności. A na skórze tego ziarenka, całe roje ludzi, pokolenie po pokoleniu, żyły w znoju i w ślepotcie, z rzadka odczuwając radość i przytomność ducha. I cała ich historia, z wędrówkami ludów, imperiami, filozofiami, dumną nauką, rewolucjami społecznymi, rosnącym głodem wspólnoty, stanowiła jedynie mgnienie oka w życiu gwiazd.

Gdyby tylko można było dowiedzieć się, czy pośród lśniących zastępów tu i tam znaleźć można inne zamieszkałe przez dusze ziarenka ze skały i metalu, czy ludzkie, niezdarne poszukiwanie wiedzy i miłości było jedynie jednostkowym drgnięciem czy częścią wszechświatowego ruchu!

2. ZIEMIA POŚRÓD GWIAZD

Ciemność nad moją głową zniknęła. Od horyzontu po horyzont niebo pokrywała nieprzerwana feeria gwiazd. Dwie planety czujnie wpatrywały się w Ziemię. Co bardziej natrętne z konstelacji podkreślały swoją odrębność. Ramiona i stopy Oriona, jego pas i miecz, Wielki Wóz, zygzak Kasjopei, serdeczne Plejady, wszystkie zakrywały czerń. Po niebie ciągnęła się niewyraźna świetlna obręcz zwana Drogą Mleczną.

Wyobraźnia uzupełniała to, czego nie zdołał ludzki wzrok. Gdy spojrzałem w dół, zdawało mi się, że mój wzrok przebija się przez przezroczystą planetę, przez wrzosa i litą skałę, przez cementarzyska wymarłych gatunków aż po stopiony bazalt i żelazne jądro Ziemi. I dalej, wciąż w dół, przez warstwy południowej półkuli ku tamtejszym oceanom i lądom, poprzez korzenie drzew kauczukowych i stopy mieszkańców antypodów, przez ich błękitny, skąpany promieniami słońca poranek ku wiecznej nocy, gdzie słońce jest tylko jedną z gwiazd. Tam, tak daleko pode mną, jak ryby na dnie oceanu, leżą głębinowe konstelacje. Dwie kopuły nieba zespawane w jedną próżną w środku sferę, zaludnioną przez gwiazdy, czarną nawet mimo oślepiającego słońca. Młody księżyc był łukiem rozżarzonego drutu. Kompletna obręcz Drogi Mlecznej otaczała wszechświat.

Poczułem dziwne zawroty głowy i zacząłem szukać wzrokiem wsparcia ze strony mających, świecących okien naszego domu. Oto i były, a także całe przedmięcia i wzgórza. Ale światło gwiazd przesyłało wszystko. Zdawało się, jakby wszystko, co ziemskie było ze szkła, albo z jeszcze bardziej przejrzystego, eterycznego materiału. Ledwie słyszalny kościelny zegar zaczął wybijać północ.

Wyobraźnię ogarnął teraz nowy, dziwny sposób postrzegania świata. Patrząc od gwiazdy do gwiazdy, widziałem niebo już nie jako pokryty klejnotami sufit i podłogę, ale jako niekończącą się głębię błyszczących słońc. I choć jasne, znajome światła na niebie były w większości naszymi bliskimi sąsiadami, niektóre jasne gwiazdy okazywały się odległe i potężne, a niektóre blade latarnie były widoczne jedynie dlatego, że wisiały tak blisko. Pomiędzy zaś mieściły się całe roje i strumienie gwiazd. Ale nawet one zdawały się teraz bliskie, bo Droga Mleczna cofnęła się nieporównanie dalej. A przez luki między jej bliższymi częściami zobaczyć można było świetlane mgiełki i kolejne dalekie populacje gwiazd.

Wszechświat, w którym umieścił mnie los, nie był upstrzoną gwiazdami komnatą, ale wirem gwiazdowych strumieni. Nie! Był czymś więcej. Wyglądając między gwiazdami na zewnętrzny mrok zobaczyłem też, jako drobne świetlne punkciki, inne podobne wiry, inne galaktyki, rzadko rozrzucone po pustce, głębie za głębiami, tak odległe, że nawet oko wyobraźni nie mogło znaleźć granic kosmosu, wszechgalaktyki galaktyk. Wszechświat ukazywał mi się teraz jako pustka, pośród której unosiły się rzadkie płatki śniegu, z których każdy mieścił w sobie wszechświat.

Wpatrując się w najblidsze, najdalsze z wszechświatów w całym ich roju, dzięki ponadteleskopowej wyobraźni widziałem je jako populacje słońc; a każdemu z tych słońc towarzyszyła planeta, a po jej ciemnej stronie stało wzgórze, a na tym wzgórzu ja. Bo wiem nasi astronomowie zapewnijają, że w całej tej nieograniczonej skończoności, którą nazywamy kosmosem, proste linie światła prowadzą nie ku bezkresowi, lecz ku ich źródłom. Wtedy jednak przypomniałem sobie, że mój wzrok polega na fizycznym świetle, a nie na świetle wyobraźni, więc promienie przybywające do mnie z drugiej strony kosmosu ukazałyby mi nie mnie samego, lecz wydarzenia, które miały miejsce dawno zanim powstała Ziemia, a może nawet i Słońce.

Teraz jednak, znów odrzucając myśli o tych ogromach, ponownie szukałem wzrokiem przesłoniętych okien naszego domu, który, choć przesyłało go światło gwiazd, wciąż był dla mnie realniejszy niż wszystkie galaktyki. Ale nasz dom zniknął, razem z całym przedmięciem i wzgórzami, i morzem. Zniknęła ziemia, na której siedziałem. Zamiast niej pode mną mieścił się nieuchwytny mrok. Wyglądało na to, że sam stałem się niematerialny, jako że nie byłem w stanie ujrzeć ani dotknąć własnego ciała. A gdy próbowałem poruszać kończynami, nie działo się nic. Nie miałem kończyn. Znajome wewnętrzne

poczucie ciała i ból głowy, który prześladował mnie od rana ustąpiły miejsca mglistej lekkości i euforii.

Gdy w pełni zdałem sobie sprawę z tej przemiany, zacząłem zastanawiać się, czy umarłem i czy nie przechodzę na zupełnie nieoczekiwany poziom egzystencji. Tak banalna możliwość z początku mnie rozdrażniła. Wtedy jednak, z nagłą konsternacją zrozumiałem, że jeśli naprawdę zmarłem, nie wrócę do swojego cennego, konkretnego atomu wspólnoty. Gwałtowność tej udręki była dla mnie szokiem. Wkrótce jednak pocieszyła mnie myśl, że zapewne nie jestem martwy, ale wpadłem w jakiś rodzaj transu, z którego lada chwila się przebudzę. Postanowiłem więc nie niepokoić się zbyt mocno tajemniczą przemianą, tylko z naukowym zaciekawieniem obserwować wszystko, co dzieje się wokół.

Zauważyłem, że mrok, który zastąpił ziemię zaczął się kurczyć. Nie było już przezeń widać głębinowych gwiazd. Wkrótce ziemia przede mną zaczęła przypominać wielki, okrągły blat stołowy, szeroki dysk ciemności otoczony gwiazdami. Najwyraźniej z niesamowitą prędkością odlatywałem ze swojej ojczystej planety. Słońce, wcześniej widoczne w mojej wyobraźni w dolnej części nieba, znów fizycznie przesłaniała Ziemia. Choć musiałem znajdować się setki kilometrów ponad gruntem, nie sprawiał mi kłopotów brak tlenu i ciśnienia atmosferycznego. Doświadczałem jedynie narastającej ekscytacji i błogiego ożywienia myśli. Podniecała mnie niesamowita jasność gwiazd, bo, czy to z braku oddzielającego mnie od niego powietrza, czy z uwagi na moją zwiększoną wrażliwość, czy może dzięki połączeniu obu tych czynników, niebo uległo znacznej przemianie. Wyglądało na to, że każda gwiazda zaczęła świecić znacznie mocniej. Niebiosa rozgorzały. Co większe gwiazdy przypominały światła odległego samochodu. Droga Mleczna, nie rozciągnięta już przez ciemność, stanowiła otaczającą mnie rzekę światła.

Wtedy, wzdłuż wschodniego krańca planety, teraz daleko przede mną, pojawiła się cienka świetlista linia, która, w miarę jak wciąż się wznosiłem, tu i tam przybrała pomarańczową czy czerwoną barwę. Najwyraźniej leciałem nie tylko w górę, ale i na wschód, ku porankowi. Wkrótce ujrzałem słońce, pożerające swym blaskiem wielki półksiężyc świtu. Jednak w miarę jak pędziłem, słońce i planeta oddalały się od siebie, podczas gdy nic poranka stała się szerokim pasmem światła słonecznego, rosnącym jak przybývający księżyc, aż ogarnęło połowę planety. Między obszarami nocy i dnia cienisty pas ciepłych barw na szerokość subkontynentu stanowił strefę świtu. W miarę jak unosiłem się i wciąż podróżowałem na wschód, widziałem, jak przede mną kontynenty przesuwały się na zachód wraz z dniami, aż znalazłem się nad Pacyfikiem w samo południe.

Ziemia wyglądała teraz jak wielki, jasny krąg setki razy większy od księżyca w pełni. Na jej środku widniała oślepiająca plama światła, obraz słońca odbity w oceanie. Obwód planety był rozmytym pasmem świetlistej mgiełki, przechodzącej w czerń otaczającego ją kosmosu. Znaczna część półkuli północnej, przechylonej teraz nieco w moją stronę, pokrywał bezmiar śniegu i chmur. Wypatrzyłem zarysy Japonii i Chin, których brzozy i zielenie zagłębiały się w błękity i szarości oceanu. Przy równiku, gdzie powietrze było bardziej przejrzyste, ocean był ciemny. Drobną, kręcącą się w kółko chmurą stanowiła zapewne górną powierzchnię huraganu. Wyraźnie widać było Filipiny i Nową Gwineę. Australia rozmywała się w południowej mgłę.

Cały ten spektakl dziwnie mnie poruszył. Niepokój zastąpiło zdumienie i podziw, jako że zaskoczyło mnie piękno ojczystej planety. Była jak perła oprawiona w heban. A może opal? Nie, była wspanialsza niż jakikolwiek klejnot. Jej wzorzyste barwy były subtelniejsze, eteryczne. Widziałem w niej delikatność, złożoność i harmonię żywej istoty. Dziwne, że właśnie z oddali czułem, jak nigdy wcześniej, obecność Ziemi jako żywej, ale pogrążonej w transie istoty, podświadomie pragnącej się przebudzić.

Pomyślałem, że ani jedna z widocznych cech tego niebiańskiego, żywego klejnotu nie zdradzała obecności ludzi. Choć niewidoczne, leżały przede mną niektóre z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie, wielkie obszary przemysłowe, z których unosiły się kłęby czarnego dymu. Jednakże całe te chmury ludzi i osiągnięcia ich cywilizacji nie odznaczały się w żaden sposób na obliczu planety. Z tak wysoka Ziemia wyglądałaby tak samo

przed powstaniem człowieka. Żaden patrzący na nią anioł czy przybysz z innej planety nie zgadłby, że ten niepozorny krąg pełen jest szkodników, władających nad światem, samookaleczających się, potencjalnie anielskich bestii.

II. MIĘDZYGWIEZDNA PODRÓŻ

Kontemplując swoją ojczystą planetę, leciałem wciąż przez przestrzeń kosmiczną. Ziemia wyraźnie malała w oddali i gdy podążałem na wschód, wydawała się obracać pode mną. Kontynenty pędziły na zachód, aż ujrzałem zachód słońca i wreszcie noc. Wyglądało na to, że w ciągu kilku minut planeta zmieniła się w ogromny półksiężyc, który wkrótce stał się mglistym, malejącym rogalem obok ostrego, małego rogala jej satelity.

Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej podróżuję z fantastyczną, praktycznie niemożliwą prędkością. Leciałem tak szybko, że zdawało mi się, iż przenikam przez ciągły deszcz meteorów. Były niewidzialne do czasu, aż zjawyły się tuż przy mnie, świeciły bowiem jedynie odbitym blaskiem, pojawiając się tylko przez chwilę jako smugi światła, jak latarnie widziane z okna ekspresowego pociągu. Wiele z nich leciało tuż na mnie, ale w żaden sposób ich nie czułem. Jedna wielka, nieregularna skała wielkości domu wyjątkowo mnie przeraziła. Podświetlona masa rosła na moich oczach, przez ułamek sekundy ukazując swoje szorstkie, chropowate oblicze, a następnie mnie pochłonięła. A raczej tak mniemam, bo przeniknąłem przez nią tak szybko, że ledwie ujrzałem ją przed sobą, a już zdałem sobie sprawę, że zostawiam ją za plecami.

Ziemia wkrótce zmieniła się zaledwie w gwiazdę. Mówię „wkrótce”, ale moje poczucie upływu czasu było teraz bardzo zaburzone. Minuty i godziny, a być może i dni, nawet tygodnie były nieodróżnialne.

Podczas gdy wciąż próbowałem się pozbierać, zdałem sobie sprawę, że już opuszczam orbitę Marsa i przemierzam główną arterię asteroid. Niektóre z tych małych planetek znajdowały się teraz tak blisko, że wyglądały jak strumień wielkich gwiazd płynących poprzez konstelacje. Jedna czy dwie ukazały mi się niemal w pełni, a następnie zmieniły się w rogale i zgasły.

Jowisz, daleko przede mną, stawał się już coraz jaśniejszy i zmieniał pozycję pośród nieruchomych gwiazd. Wielki glob wyglądał teraz jak dysk, który wkrótce zdał się większy od malejącego słońca. Jego cztery największe satelity unosiły się obok niego jak perłki. Powierzchnia planety wyglądała teraz, dzięki szerokim pasom chmur ciągnących się wzdłuż całego jej obwodu, jak poprzerastany tłuszczem boczek. W końcu wleciałem w jej głęboką atmosferę, gdzie dzień i noc zlewały się w jedno, bez wyraźnej granicy. Zauważyłem tu i tam na wschodniej, nienasłonecznionej półkuli Jowisza obszary czerwonego światła, będące być może prześwitującymi przez warstwy chmur rozbłyskami wulkanicznych erupcji.

W ciągu kilku minut, a może lat, Jowisz znów stał się gwiazdą, a następnie zaginął w blasku malejącego, lecz wciąż jasnego Słońca. Żadna z pozostałych planet zewnętrznych nie leżała na mojej drodze, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że musiałem przekroczyć nawet orbitę Plutona. Słońce było teraz już zaledwie najjaśniejszą z gwiazd, która stopniowo przygasła.

W końcu miałem czas na to, by się zaniepokoić. Nie widziałem teraz nic prócz gwieździstego nieba. Wielki Wóz, Kasjopeja, Orion, Plejady drwiły ze mnie, znajome i odległe. Słońce było teraz tylko jedną pośród innych jasnych gwiazd. Nic się nie zmieniało. Czy skazany byłem na to, by już na zawsze pozostać bezcielesnym bytem zawieszonym w kosmosie? Czy umarłem? Czy to była moja kara za wyjątkowo bezowocne życie? Czy tak miała spełnić się moja chęć oddalenia się od ludzkich spraw, pasji i uprzedzeń?

W wyobraźni wróciłem na swoje podmiejskie wzgórze. Otworzyły się drzwi. Do ogrodu wyszła postać podświetlona przez światło z wewnątrz domu. Stała tak przez chwilę, rozglądając się, po czym wróciła do środka. W rzeczywistości otaczały mnie tylko gwiazdy.

Po jakimś czasie zauważyłem, że Słońce i wszystkie gwiazdy w jego otoczeniu były czerwone, a te po przeciwnej stronie nieba błękitne jak lód. W końcu przyszło mi do głowy wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska. Nadal leciałem, i to tak szybko, że nie pozostawało to bez wpływu nawet na samo światło. Jego fale płynące od gwiazd, które

pozostawiałem za sobą potrzebowały dłuższego czasu, by do mnie dotrzeć, więc postrzegalem ich impulsy jako spowolnione i stawały się dla mnie czerwone. Te przede mną były skrócone i dlatego przybierały barwę błękitu.

Wkrótce widok nieba stał się jeszcze bardziej niezwykły, jako że gwiazdy bezpośrednio za mną były teraz ciemnoczerwone, a te przede mną fioletowe. Za mną rubiny, przede mną ametysty. Rubinowe konstelacje otaczały topazowe gwiazdy, a wokół ametystów lśniły szafiry. Po moich bokach zaś kolory blakły do zwyczajnej diamentowej bieli gwiazd. Jako że podróżowałem niemal po płaszczyźnie galaktyki, spirala Drogi Mlecznej przede mną była czerwona, a za mną fioletowa. Wkrótce gwiazdy bezpośrednio przede mną i za mną przygasły i w końcu zniknęły, zostawiając w niebie dwie bezgwiezdne dziury otoczone barwnymi klejnotami. Najwyraźniej moja prędkość rosła i światło z przodu i z tyłu docierało do mnie w formie wykraczającej poza widzialny dla ludzi zakres.

W miarę jak przyspieszałem, dwie pozbawione gwiazd plamy o barwnych krawędziach stopniowo pochłaniały pośrednią strefę zwyczajnych gwiazd po bokach, wśród których widziałem teraz ruch. Najbliższe z gwiazd przesuwają się teraz na tle tych dalszych, coraz szybciej, aż w końcu przez chwilę całe widoczne niebo było upstrzone latającymi gwiazdami. A wtedy wszystko zniknęło. Zapewne moja prędkość względem gwiazd była tak ogromna, że światło żadnej z nich nie oddziaływało na mnie w normalny sposób.

Choć być może podróżowałem teraz szybciej niż samo światło, wydawało mi się, że znajduję się na dnie głębokiej, pozbawionej ruchu studni. Bezkresna ciemność, zupełny brak jakichkolwiek odczuć przerażały mnie, jeśli można przerażeniem nazwać wstręt i złe przeczucia, jakich doświadczałem teraz bez cielesnych aspektów strachu. Nie trząsałem się, nie pocilem, nie dostałem palpacji serca. Rzewnie użalając się nad sobą tęskniłem za domem, za widokiem tej twarzy, którą znałem najlepiej. Widziałem ją teraz okiem wyobraźni, siedzącą przy ogniu i szyjącą, z lekkim niepokojem marszczącym jej czoło. Czyżby moje ciało leżało martwe wśród wrzosów? Czy znajdą je tam o poranku? Jak stawi czoło tej wielkiej zmianie w jej życiu? Na pewno zachowa zimną krew, ale będzie cierpieć.

Ale podczas gdy ja z desperacją buntowałem się przeciwko rozerwaniu naszego cennego atomu społeczności, byłem świadom, że coś we mnie, esencja mojego ducha, naciska wyraźnie na to, by nie zawracać, a kontynuować tę niesamowitą podróż. Nie żeby moją tęsknotę za znajomym ludzkim światem była w stanie choć przez chwilę zrównoważyć zwykła żądza przygody. Byłem zbytnim domatorem, by szukać niebezpieczeństw dla samego dreszczyku. Ale mój strach przewyciężyło poczucie szansy, jaką dawał mi los, nie tylko aby odkryć głębiny materialnego wszechświata, ale również by dowiedzieć się, jaką rolę życie i umysł naprawdę grają wśród gwiazd. Ogarnął mnie głód, nie przygody, ale wglądu w znaczenie człowieka czy podobnych ludziom istot w kosmosie. Ten nasz skromny skarb, zwyczajna stokrotka przy jałowym torze współczesnego życia, skłaniał mnie, by z ochotą przyjąć tę dziwną przygodę. Bo być może odkryję, że wszechświat nie jest tylko zbieraniną pyłu i popiołów z drobinami nikłego życia tu i ówdzie, ale, poza granicami spalonej słońcem pustyni, światem pełnym kwiatów?

Czy człowiek był rzeczywiście, jak czasami chciałby być, załącznikiem kosmicznego ducha, przynajmniej z doczesnego punktu widzenia? Czy może jednym z milionów takich załączników? A może ludzkość nie była istotniejsza z punktu widzenia uniwersum niż myszy dla katedry? I znów, czy główną funkcją człowieka była władza, mądrość, miłość czy wiara, czy wszystkie z nich? Czy może sama idea funkcji, celu nic nie znaczyła w odniesieniu do kosmosu? Musiałem znaleźć odpowiedzi na te ważne pytania i zobaczyć wyraźniej, zmierzyć się poważnie (jak sam postanowiłem) z tym, co, gdy ujrzymy choć jego drobną cząstkę, sprawia, że oddajemy mu cześć.

W swoim zarozumiałstwie zacząłem myśleć o sobie nie tylko jako o samodzielnej jednostce, ale raczej jako o wysłanniku ludzkości, nie, bardziej o organie czucia wypuszczonym przez żywy ludzki świat, by nawiązał kontakt z kosmicznymi braćmi. Za wszelką cenę muszę podążać przed siebie, nawet jeśli moje blahe ziemskie życie musi zakończyć się

przedwcześnie, a moja żona i dzieci muszą mnie utracić. Muszę przeć do przodu i jakoś, kiedyś, choćby po stuleciach międzygwiazdnych podróży, muszę powrócić.

Gdy wspominam tę fazę egzaltacji teraz, gdy rzeczywiście wróciłem na Ziemię po zadziwiających przygodach, zawstydzają mnie kontrast między duchowym skarbem, który zamierzałem przynieść ludzkości i skromnością tego, co rzeczywiście jej oddaję. Poniosłem porażkę być może dlatego, że choć rzeczywiście przyjąłem wyzwanie tej przygody, to z pewnymi sekretnymi zastrzeżeniami. Widzę teraz, że strach i tęsknota za wygodą przyćmiewały blask mojej woli. Moje śmiałe postanowienie okazało się jednak kruche. Moja chwiejna odwaga często oddawała pola nostalgii. Raz po raz podczas mych wędrówek miałem poczucie, że z uwagi na moją bojaźliwą i przyziemną naturę, umykały mi najważniejsze aspekty wydarzeń.

Ze wszystkiego, czego doświadczyłem podczas swych podróży, nawet wówczas tylko niewielka część była całkowicie zrozumiała; a i wtedy, o czym jeszcze opowiem, moje wrodzone zdolności wspomagały istoty znacznie przewyższające ludzkość w rozwoju. Teraz, gdy powróciłem na ojczystą planetę i nie dysponuję już tą pomocą, nie mogę pojąć tak wielu rzeczy, które wcześniej rozumiałem. W związku z tym moja opowieść o najdalszej z ludzkich wypraw okazuje się nie bardziej wiarygodna niż bełkot każdego umysłu wytrąconego z równowagi przez niepojęte dla niego doświadczenia.

Wróćmy jednak do opowieści. Nie wiem, ile czasu spędziłem na debatowaniu sam ze sobą, ale wkrótce po podjęciu decyzji absolutną ciemność znów rozświetliły gwiazdy. Najwyraźniej znajdowałem się w spoczynku, bo widziałem je ze wszystkich stron, w normalnych barwach.

Dotknęła mnie jednak tajemnicza zmiana. Wkrótce odkryłem, że myśląc tylko o zbliżeniu się do gwiazdy, mogłem ruszyć ku niej z prędkością znacznie przekraczającą prędkość zwykłego światła. Wiedziałem dobrze, że to fizycznie niemożliwe. Naukowcy zapewniali mnie, że żaden obiekt nie może poruszać się szybciej niż światło, stwierdziłem więc, że mój ruch stanowi rodzaj zjawiska umysłowego, nie fizycznego, że mogłem przyjmować nowe punkty widzenia, nie dysponując materialnymi środkami lokomocji. Było dla mnie także ewidentne, że światło gwiazd, które teraz postrzegałem, nie było normalnym, fizycznym światłem. Zauważyłem bowiem, że mój nowy, błyskawiczny sposób poruszania się nie miał wpływu na widzialne barwy gwiazd. Niezależnie jak szybko poruszałem się, wciąż lśniły jak diamenty, choć wszystkie były nieco jaśniejsze i jaskrawsze niż normalnie.

Gdy tylko zdałem sobie sprawę z tej nowej mocy, zacząłem gorączkowo z niej korzystać. Wmawiałem sobie, że wyruszam na astronomiczną i metafizyczną wyprawę badawczą, ale mój cel znieszczało już pragnienie ujrzenia znów ojczystego świata. Przesadnie skupiłem się więc na poszukiwaniu planet, zwłaszcza podobnych do Ziemi.

Skierowałem się ku przypadkowo wybranej, jednej z jaśniejszych pobliskich gwiazd. Ruszyłem w jej kierunku tak prędko, że niektóre mniejsze, ale bliższe gwiazdy śmignęły obok mnie jak meteory. Znalazłem się w pobliżu wielkiego słońca, niewrażliwy na jego żar. Na powierzchni, mimo oślepiającego blasku, widziałem grupę dużych, ciemnych plam, każda tak szeroka, że pomieściłaby kilkanaście planet takich jak Ziemia. Wyośla w chromosferze⁶ wyglądały jak ogniste drzewa i pióropusze prehistorycznych potworów, stojących na palcach z rozpostartymi skrzydłami, na zbyt małym dla nich globie. Za nimi ku ciemności rozciągała się biała korona słoneczna. Okrążając planetę lotem hiperbolicznym, niecierpliwie wypatrywałem planet, ale żadnych nie znalazłem. Szukałem znów, drobniutko w pobliżu i w oddali. Na szerszej orbicie łatwo można by przeoczyć podobny do Ziemi obiekt. Znalazłem jedynie meteory i kilka nieciekawych komet. Poczulem jeszcze większe rozczarowanie, bo gwiazda zdawała się być tego samego typu co znajome słońce. Potajemnie żywiłem nadzieję, że odkryję nie tylko planety, ale właśnie samą Ziemię.

⁶*chromosfera* — warstwa atmosfery słonecznej, znajdująca się pomiędzy fotosferą, a warstwą przejściową; dolna granica chromosfery wyznaczona jest przez minimum temperatury w atmosferze Słońca (4400 K) znajdujące się ok. 500 km powyżej powierzchni Słońca. [przypis edytorski]

Znów wyruszyłem w ocean kosmosu, kierując się ku następnej pobliskiej gwiazdzie. Znów się rozczarowałem. Zbliżyłem się do kolejnego samotnego paleniska, któremu również nie towarzyszyły małe ziarenka, na których mogłoby pojawić się życie.

Spieszyłem teraz od gwiazdy do gwiazdy jak zagubiony pies szukający pana. Pędziłem tu i tam, szukając słońca z planetami, a pośród tych planet swojego domu. Przeczesałem gwiazdę po gwiazdzie, ale znacznie więcej z nich niecierpliwie omijałem, widząc od razu, że są zbyt duże, słabe czy młode, by krążyła wokół nich Ziemia. Niektóre były czerwonymi olbrzymami⁷ szerszymi niż orbita Jowisza; inne, mniejsze, świeciły natomiast blaskiem tysiąca słońc i miały barwę błękitu. Słyszałem, że nasze Słońce to dość przeciętna gwiazda, ale znajdowałem teraz znacznie więcej olbrzymich młodzieńców niż skurczonych, żółtych gwiazd w średnim wieku. Wyglądało na to, że musiałem znaleźć się w obszarze późnej kondensacji gwiazd.

Zauważałem, ale wymijałem, ogromne chmury pyłu, wielkości konstelacji, przysłaniające strumienie gwiazd oraz smugi gazu świecącego bladym światłem, czasem własnym, czasem odbitym. Te błyszczące kontynenty chmur czasami zawierały w sobie drobne perłki światła, zalążki przyszłych gwiazd.

Nie poświęcałem szczególnej uwagi parom, tercetom, kwartetom gwiazd, w których mniej więcej równi, zblizeni do siebie partnerzy tańczyli walca. Tylko raz natknąłem się na jedną z tych rzadkich par, w których jeden z partnerów jest nie większy od Ziemi, ale ma masę ogromnej, bardzo jasnej gwiazdy. Tu i tam znajdowałem w tym regionie galaktyki umierające, ledwie tłące się gwiazdy, a czasami na ich zaskorupiałe, wygasłe trupy. Tych nie widziałem do czasu, aż znajdowałem się tuż przy nich, a i wtedy jedynie mgliście, dzięki odbitemu światłu całych niebios. Nigdy nie zbliżałem się do nich celowo, jako że nie interesowały mnie w mojej szaleńczej pogoni za Ziemią. Poza tym przesywały mnie dreszcze na myśl o zwiastowanej przez nie śmierci wszechświata. Pocieszało mnie jednak to, że było ich tak niewiele.

Nie znajdowałem żadnych planet. Wiedziałem dobrze, że narodziny planet miały miejsce dzięki zblizeniu się do siebie dwóch lub więcej gwiazd i że taki wypadek musi być rzadkością. Stwierdziłem, że gwiazdy z planetami muszą być tak rzadkie w galaktyce, jak klejnoty pomiędzy ziarnkami piasku na morskim brzegu. Jakie szanse mogłem mieć na ich znalezienie? Zacząłem podupadać na duchu. Ta przerażająca pustynia ciemności i jałowego ognia, ogromna otchłań tak rzadko upstrzona iskrami, kolosalna daremność całego wszechświata, straszliwie mnie zadrczały. A teraz, co gorsza, zacząłem tracić swobodę ruchu. By poruszać się pośród gwiazd potrzebowałem teraz wielkiego wysiłku i przemierzałem odległości między nimi coraz wolniej. Czyżbym miał utkwąć w przestrzeni kosmicznej jak mucha w czyjejś kolekcji, samotny na resztę wieczności? Tak, to musiało być moje osobiste piekło.

Pozbierałem się jakoś, przypominając sobie, że nawet jeśli czeka mnie taki los, to nie ma to wielkiego znaczenia. Ziemia poradzi sobie beze mnie. A nawet jeśli nigdzie we wszechświecie nie było innego świata, na którym istniałoby życie, Ziemia miała go pod dostatkiem, a w przyszłości być może jeszcze więcej. I choć straciłem ojczystą planetę, to mój ukochany świat był prawdziwy. Poza tym cała moja przygoda stanowiła cud, więc czy w cudowny sposób nie mogłem natknąć się na jakąś inną Ziemię? Przypominałem sobie, że podjąłem się pielgrzymki jako wysłannik ludzkości do gwiazd.

Odzyskawszy otuchę, odzyskałem też moc poruszania się. Najwyraźniej zależała od siły mojej woli i moje wcześniejsze tęskne użalenie się nad sobą przytępiło ją.

Postanowiwszy zbadać nowy obszar galaktyki, gdzie być może znajdę więcej starszych gwiazd, wokół których mogłyby krążyć planety, ruszyłem w kierunku odległej, gęstej gromady. Zważywszy na to, jak blade były jej poszczególne światelka, stwierdziłem, że musi znajdować się bardzo daleko.

⁷*czerwony olbrzym* — gwiazda o stosunkowo niewielkiej masie (od 0,5 do ok. 8–10 wielokrotności masy Słońca), będąca na schyłkowym etapie ewolucji; nazwa związana jest z obserwowaną barwą i dużymi rozmiarami (setki razy większych od promienia Słońca); na tym etapie gwiazda po zsyntetyzowaniu helu z całej ilości wodoru w jądrze zaczyna syntezę helu z warstw wodoru położonych bliżej jej powierzchni. [przypis edytorski]

Podróżowałem pośród ciemności. Nie zbaczałem z drogi, więc tor lotu nie zbliżył mnie do żadnej gwiazdy na tyle, abym mógł jej się uważnie przyjrzeć. Światła niebios miały mnie jak latarnie odległych statków. Straciwszy wszelkie poczucie czasu, znalazłem się w końcu na wielkim pustkowiu pozbawionym gwiazd, w przerwie między dwoma gwiazdnymi strumieniami, szczelinie w galaktyce. Otaczała mnie Droga Mleczna i wszędzie wokół widziałem zwyczajny pył odległych gwiazd, ale w pobliżu nie było światła poza puchem odległej gromady stanowiącej mój cel.

Nieznajome niebo sprawiało, że czułem coraz większe oderwanie od domu. Niemal pocieszające było ujrzenie, poza najdalszymi gwiazdami naszej galaktyki, plam światła obcych galaktyk, nieporównanie odleglejszych niż przeciwny skraj Drogi Mlecznej. Przypomniało mi to, że pomimo całej tej cudownej podróży, nadal znajdowałem się w ojczyściej galaktyce, w tej samej małej komórce kosmosu, w której żyła ona, moja towarzysząca życia. Zdziwiło mnie swoją drogą, że tak wiele odległych galaktyk widać było gołym okiem i że największa z nich była bladą chmurą większą niż księżyc na ziemskim niebie.

Inaczej niż odległe galaktyki, których wygląd pozostawał stały, gromada gwiazd przede mną poszerzała się na moich oczach. Wkrótce, gdy przekroczyłem wielką otchłń między strumieniami gwiazd, powitała mnie jako ogromna chmura światła. Obecnie leciałem przez gęściej ugwieżdżony obszar, dalej sama gromada otwierała się, pokrywając blaskiem całą płaszczyznę nieba. Jak statek przybywający do portu i mijający inne, ja mijałem gwiazdę po gwiazdzie. Gdy przeniknąłem do jądra gromady, znalazłem się w regionie pełnym gwiazd bardziej niż jakikolwiek dotąd. Każda strona nieba płonęła od słońc, z których wiele było jaśniejszych niż Wenus na ziemskim niebie. Czułem uniesienie podróżnika, który, po przemierzeniu oceanu, wpływa nocą do przystani i otaczają go światła metropolii. Pomyślałem, że w obszarze tym musiało na pewno dojść do wielu bliskich spotkań gwiazd i wytworzenia wielu układów planetarnych.

Znów zacząłem szukać gwiazd w średnim wieku, podobnych do Słońca. Do tej pory wszystkie, które mijałem, były młodymi olbrzymami, ogromnymi jak cały układ słoneczny. Po dalszych poszukiwaniach znalazłem parę odpowiadających moim kryteriom gwiazd, ale wokół żadnej z nich nie krążyły planety. Zauważyłem też wiele podwójnych i potrójnych układów gwiazdnych krążących po niewyliczalnych orbitach oraz wielkie kontynenty gazów, w których formowały się nowe gwiazdy.

W końcu znalazłem układ planetarny. Z niemal nieznośną nadzieją krążyłem pośród jego światów, ale wszystkie były większe od Jowisza, o płynnej powierzchni. Znów spieszyłem od gwiazdy do gwiazdy. Musiałem odwiedzić ich tysiące, ale na próżno. Przygnębiony i samotny opuściłem gromadę, która wkrótce zmieniła się w kulę puchu pokrytą kroplami rosy. Przede mną wielkie pasmo ciemności przesłaniało pewien obszar Drogi Mlecznej i otaczające gwiazdy, oprócz kilku pobliskich światła leżących między mną a mroczną połącią. Kłębiaste krawędzie tej ogromnej chmury gazu lub pyłu widać było dzięki prześwitującym przez nie promieniom dalszych gwiazd. Widok ten nappełnił mnie tęsknotą; tak wiele razy widziałem nocą krawędzie czarnych chmur posrebrzone lekko poświatą księżyca. Ale chmura znajdująca się przede mną mogłaby pochłonąć nie tylko całe światy, a nawet niezliczone układy planetarne, ale całe konstelacje.

Ponownie zabrakło mi odwagi. Bezskutecznie próbowałem zamknąć oczy, by nie patrzeć wciąż na ten ogrom, ale nie miałem oczu ani powiek. Stanowiłem bezcielesny, wędrowny punkt widzenia. Próbowałem wyobrazić sobie wnętrze mojego domu, z opuszczonymi zasłonami i tańczącym w kominku ogniem. Staralem się przekonać sam siebie, że ten przerażający mrok, ten bezkres i jałowy żar były ledwie snem, że zasnęłam przy ogniu i że w każdej chwili mogę się przebudzić, że ona przerwie na chwilę szycie i dotknie mnie z uśmiechem. Ale pozostawałem więźniem gwiazd.

Choć brakowało mi sił, wznowiłem poszukiwania. I po wędrówkach od gwiazdy do gwiazdy przez czas, który mógł trwać dni, lata lub eony, trafił lub jakiś opiekuńczy duch skierował mnie do pewnej podobnej do słońca gwiazdy, a wyłoniwszy się z jej wnętrza, zauważyłem świetlny punkcik poruszający się wraz z moim ruchem na gwieździstym tle. Gdy ku niemu skoczyłem, zobaczyłem kolejny i kolejny. Był to niewątpliwie układ planetarny podobny do mojego. Kierowany ludzkimi standardami, od razu wyszukałem wśród tych światów najbardziej podobny do Ziemi, przypominający ją coraz bardziej, gdy rósł

przede mną, czy też pode mną. Jego atmosfera była wyraźnie rzadsza od naszej, jako że wyraźnie widać było kontury obcych kontynentów i oceanów. Podobnie jak na Ziemi, ciemne morze odbijało oblicze słońca. Białe smugi chmur ciągnęły się tu i ówdzie nad morzem i lądem, na którym, podobnie jak na mojej ojczystej planecie, widać było zielone i brązowe plamy. Ale nawet z tej wysokości zauważyłem, że zielenie obcego globu są jaskrawsze i bardziej niebieskawe niż na Ziemi. Było tu również znacznie mniej oceanów niż lądów, a centralne części wielkich kontynentów pokrywały głównie olśniewające, kremowobiałe pustynie.

III. INNA ZIEMIA

I. NA INNEJ ZIEMI

Powoli kierując się ku powierzchni tej niewielkiej planety, bezwiednie szukałem miejsca, które podobne byłoby do Anglii. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że tutejsze warunki będą znacznie różnić się od ziemskich i że odnalezienie tu inteligentnych istot jest wysoce nieprawdopodobne. A gdyby nawet istniały, byłyby dla mnie niepojęte. Być może przypominałyby wielkie pająki albo pełzające galarety. Jak mógłbym choć marzyć o nawiązaniu kontaktu z takimi stworzeniami?

Przez jakiś czas przypadkowo krążyłem nad cienkimi chmurami i lasami, nad prążkowanymi równinami i preriami oraz oślepiającymi połączeniami pustyni, wybrałem nadmorską okolicę w strefie umiarkowanej, pokryty zielenią półwysep. Gdy opadłem niemal na grunt, zdumiała mnie tamtejsza roślinność. Była podobna do naszej w ogólnym sensie, ale dość odmienna w szczegółach. Grube, bulwiaste liście przypominały mi naszą florę pustynną, ale tutaj lodygi były cienkie i żylaste. Być może najbardziej uderzająca w tych roślinach była ich barwa, jaskrawa morska zieleń, jak kolor winnicy obsypanej solami miedzi. Później odkryłem, że roślinność na tym świecie rzeczywiście właśnie z użyciem siarczynu miedzi broniła się przed mikrobami i podobnymi do owadów szkodnikami, które wcześniej pustoszyły suchą planetę.

Przeleciałem nad prerią pełną krzewów w kolorze pruskiego błękitu. Niebo także przybrało głęboki odcień nieznaną na Ziemi poza najwyższymi szczytami. Zauważyłem nieco niskich chmur, dość pierzastych zapewne ze względu na rzadkość atmosfery. Jako że przybyłem tam o poranku letniego dnia, kilka gwiazd przeszywało niemal nocne niebo. Wszystkie odsłonięte powierzchnie były intensywnie oświetlone. Cienie najbliższych krzewów były prawie czarne. Niektóre dalsze obiekty, przypominające nieco budynki, ale raczej będące formacjami skalnymi, zdawały się wyciosane z hebanu i śniegu. Krajobraz przedstawiał niezemskie, fantastyczne piękno.

Szybowałem bez skrzydeł nad powierzchnią planety, ponad polanami, pasmami skał, brzegami strumieni. Dotarłem do szerokiego obszaru pokrytego równymi rzędami roślin przypominających paprocie, z masami orzechów na dolnych powierzchniach liści. Właściwie nie do uwierzenia było, aby ten układ roślinności nie był zaplanowany. A może wynikał z jakiegoś naturalnego zjawiska nieznanego na mojej planecie? Byłem tak zaskoczony, że moje zdolności ruchowe, zawsze podlegające fluktuacjom z uwagi na emocje, zaczynały zawodzić. Chwiałem się w powietrzu jak pijak. W końcu uspokoiłem się i ruszyłem powoli nad grządkami w kierunku dość dużego obiektu leżącego w pewnej odległości ode mnie przy pasie gołej ziemi. Ku mojemu zdumieniu i osłupieniu, obiekt ten okazał się być pługiem. Był to dość dziwaczny instrument, ale niewątpliwie zidentyfikowałem żelazny lemiesz. Miał dwa żelazne uchwyty i łańcuch do przypięcia do zwierzęcia pociągowego. Trudno było uwierzyć, że znalazłem się wiele lat świetlnych od Ziemi. Rozejrzawszy się, zauważyłem niewątpliwe ślady kół wozu i jakieś brudne szmaty wiszące na krzaku. Nade mną jednak rozciągało się obce niebo, południe pełne gwiazd.

Podążyłem ścieżką pośród dziwnych krzaków, na których grubych, zwisających do ziemi liściach zauważyłem małe, przypominające wiśnie rośliny. Nagle, za zakrętem, natknąłem się na... człowieka. A przynajmniej tak uznał mój znużony gwiazdą wędrówką wzrok. Nie zaskoczyłyby mnie osobliwie ludzkie cechy tego stworzenia, gdybym na tym wczesnym etapie rozumiał siły, które władały moją przygodą. Wpływy, które opiszę później, sprawiły, że odkryłem najpierw światy najbardziej podobne do mojego. Ale tymczasem czytelnik na pewno wyobraża sobie moje zdumienie tym spotkaniem.

Zawsze zakładałem, że człowiek jest istotą wyjątkową. Stworzył go niewyobrażalnie złożony zbieg okoliczności i nic nie wskazywało na to, aby takie warunki miały powtórzyć się gdzie indziej we wszechświecie. Ale tu, na pierwszym globie, jaki odwiedziłem, niewątpliwie znalazłem chłopa. Gdy zbliżyłem się do niego, zobaczyłem już, że nie do końca wygląda jak ziemski człowiek, za jakiego wzięłem go z dala, ale i tak był człowiekiem. Czyżby Bóg zaludnił cały wszechświat naszym rodzajem? Czy może w istocie stworzył nas

na swoje podobieństwo? Niewiarygodne. Samo to, że zadawałem takie pytania świadczyło o tym, że straciłem równowagę umyslową.

Jako że stanowiłem jedynie bezcielesny punkt widzenia, mogłem przyglądać mu się, nie będąc widzianym. Unosiłem się przy nim, podczas gdy on kroczył ścieżką. Był wyprostowanym dwunogiem i jego ogólna budowa ciała zbliżona była do ludzkiej. Nie byłem w stanie ocenić jego wzrostu, ale musiał być mniej więcej zwyczajnej ziemskiej postury, a przynajmniej nie być niższy od karła i nie wyższy od olbrzyma. Był dość szczupło zbudowany. Nogi przypominały ptasie i opinały je cienkie spodnie. Od pasa w górę był nagi i miał nieproporcjonalnie dużą klatkę piersiową, pokrytą zielonkawymi włosami. Miał dwie krótkie, ale silne ręce i umięśnione ramiona. Skórę miał ciemną i rumianą, z jasnozielonymi plamkami. Jego kontury były niezgrabne, bo szczegóły mięśni, ścięgien i stawów były wyraźnie inne od naszych. Szyję miał dziwnie długą i gibką. Głowę najłatwiej będzie opisać mówiąc, że większość mózgowcaszki, pokrytej zieloną strzechą, zdawała się pochylać do tyłu i w dół nad karkiem. Jego dwoje bardzo ludzkich oczu wyglądało spod grzywy włosów. Dziwnie wysunięte do przodu, niemal przypominające dziób usta sprawiały, że wyglądał, jakby gwizdał. Między oczami, a raczej nieco ponad nimi, znajdowała się para wielkich końskich nozdrzy, ciągle w ruchu. Grzbiet nosa wypatrzeć można było po wzniesieniu wśród włosów, ciągnącym się po czubku głowy. Nie widać było uszu. Odkryłem później, że organy słuchu połączone są z nozdrzami.

Oczywiście, choć ewolucja na tej podobnej do Ziemi planecie najwyraźniej przebiegła w sposób zaskakująco podobny do tego, który stworzył mój własny gatunek, musiały istnieć także różnice.

Nieznamy miał na sobie nie tylko buty, ale i rękawice, wyglądające jak wykonane z grubej skóry. Buty miał bardzo krótkie. Odkryłem później, że stopy tej rasy „innych ludzi”, jak ich nazwałem, przypominały raczej stopy strusia lub wielbłąda. Śródstopie składało się z trzech zrosniętych palców. Zamiast pięty mieli dodatkowy szeroki, pękaty palec. Z rąk wyrastały bezpośrednio trzy żyłaste palce i kciuk.

Celem tej książki nie jest opowiedzenie moich przygód, ale sprawienie, aby czytelnik miał jakieś pojęcie o odwiedzonych przeze mnie światach. Nie będę więc opisywać szczegółowo swoich poczynań pośród innych ludzi. Wystarczy na to parę słów. Gdy już przyjrzałem się nieco rolnikowi, zaczęło mi doskwierać to, że on pozostaje zupełnie nieświadomy mojej obecności. Zdałem sobie wkrótce sprawę, że celem mojej pielgrzymki jest nie tylko obserwacja naukowa, ale także nawiązanie jakiegoś rodzaju umysłowej i duchowej więzi z innymi światami, dla wzajemnego wzbogacenia. Jak było to jednak możliwe, jeśli nie miałem możliwości komunikacji? Dopiero gdy podążyłem do domu za swym towarzyszem i spędziłem wiele dni w tym małym, okrągłym budynku z kamienia z dachem z czegoś przypominającego wiklinę, odkryłem moc wkraczania do jego umysłu, patrzenia przez jego oczy, czucia przez jego organy zmysłów, postrzegania jego świata takim, jakim postrzegał go on i śledzenia jego myśli i emocji. Dopiero znacznie później, gdy już zdążyłem zamieszkać biernie w wielu przedstawicielach tej rasy, udało mi się ujawnić swoją obecność, a nawet porozmawiać wewnętrznie z gospodarzem.

Tęgo rodzaju wewnętrzne, „telepatyczne” połączenie, które miało przysłużyć mi się i w dalszych wędrówkach, było z początku trudne, nieskuteczne i bolesne. Z czasem jednak byłem w stanie przeżywać bardzo wyraźnie i intensywnie doświadczenia gospodarza, zachowując jednocześnie własną indywidualność, krytyczny rozum, własne żądze i obawy. Dopiero gdy zdał sobie sprawę z mojej obecności w nim, był w stanie siłą woli utrzymywać pewne myśli w tajemnicy przede mną.

Zrozumiałem jest zapewne, że z początku obce umysły były dla mnie dość nieczytelne. Ich odczucia różniły się od moich w znaczący sposób. Ich myśli i emocje były dla mnie dziwaczne. Tradycyjne podstawy ich umysłów, najbardziej znajome im koncepcje, wywodziły się z dziwnej historii i wyrażane były w obcych dla ziemskiego umysłu językach.

Spędziłem na Innej Ziemi wiele „innych lat”, wędrując od umysłu do umysłu i od kraju do kraju, ale nie udawało mi się w pełni zrozumieć psychologii innych ludzi i znaczenia ich historii do czasu, aż natknąłem się na jednego z ich filozofów, rzeńskiego staruszka, którego ekscentryczne i obrazoburcze poglądy sprawiły, że nigdy nie osiągnął

sławy. Większość moich gospodarzy, zdawszy sobie sprawę z mojej obecności w ich wnętrzu, uważała mnie za złego ducha lub boskiego posłańca. Co lepiej wykształceni zakładali zaś, że byłem jedynie objawem choroby i zgłaszali się do miejscowego urzędnika do spraw zdrowia psychicznego. Spędziwszy około roku tamtejszego kalendarza w umysłach, które nie traktowały mnie jak człowieka, dzięki łutowi szczęścia trafiłem wreszcie na prawdziwego myśliciela. Jeden z moich gospodarzy, który narzekał, że cierpi na „głosy w głowie” i wizje „innego świata”, poprosił starca o pomoc. Bvalltu, bo tak mniej więcej brzmiało imię filozofa (z „ll” wymawianym mniej więcej tak, jak po walijsku⁸), „wyleczył” go, zapraszając mnie, abym przyjął gościnę w jego własnym umyśle, gdzie zamierzał z chęcią mnie przyjąć. Z rozkoszą nawiązałem kontakt z istotą, która przynajmniej widziała we mnie ludzką osobowość.

2. ŚWIAT PEŁEN ŻYCIA

Muszę opisać tak wiele ważnych cech społeczeństwa tego świata, że nie mogę poświęcić zbyt wiele czasu na co bardziej oczywiste właściwości planety i zamieszkującej ją rasy. Tamtejsza cywilizacja osiągnęła fazę rozwoju dość podobną do tej, która była mi znana. Nieustannie dziwiło mnie połączenie podobieństw i różnic. Podróżując nad planetą, odkryłem, że większość dostępnych gruntów zajmują uprawy, ale w wielu krajach istniał już wysoce rozwinięty przemysł. Na preriach pasły się duże stada przypominających ssaki zwierząt. Większe ssaki, czy też pseudossaki hodowano na najlepszych obszarach pastewnych na mięso i skórę. Mówię „pseudossaki”, ponieważ chociaż były żyworoalne, to nie ssaly mleka. Jadły miążgę pokarmową przetworzoną wstępnie w żołądku matki, którą pluła ona do pysków potomstwa. Również kobiety innych ludzi tak właśnie karmiły swoje dzieci.

Najważniejszym środkiem transportu na Innej Ziemi były pociągi parowe, ale były one tak zwaliste, że wyglądały jak ruchome tarasy pełne domów. Ten niezwykle rozwój kolei zapewne wynikał ze znacznej liczby i długości podróży poprzez pustynie. Czasami przemieszczałem się na parostatkach po nielicznych, niewielkich oceanach, ale transport morski był dość zapóźniony. Nie znano tam śrub okrętowych i zamiast tego korzystano z kół lopatkowych. Silników spalinowych używano w transporcie drogowym i pustynnym. Nie stworzono jeszcze samolotów, z uwagi na rzadką atmosferę, ale do transportu poczty na duże odległości i do wojennych bombardowań używano już napędów rakietowych. W każdej chwili mogło nadejść także ich wykorzystanie w aeronautyce.

Moja pierwsza wizyta w metropolii jednego z wielkich imperiów Innej Ziemi była niesamowitym doświadczeniem. Wszystko było jednocześnie obce i znajome. Widziałem ulice i pełne okien sklepy i biura. W tym starym mieście uliczki były wąskie i tak zapchane pojazdami, że piesi poruszali się po specjalnych naziemnych chodnikach przy oknach na pierwszych piętrach budynków i nad ulicami.

Tłumy, które przemierzały te chodniki były tak różnobarwne jak nasze. Mężczyźni nosili płócienne tuniki i spodnie zaskakująco podobne do europejskich, nie licząc tego, że kant miały z boku nogawki. Kobiety, pozbawione piersi, o wysokich nozdrzach jak mężczyźni, wyróżniały się bardziej rurkowatymi ustami, których biologiczną funkcją było dostarczanie pożywienia niemowlętom. Zamiast spódnic nosiły zielone i połyskliwe rajstopy z materiału przypominającego jedwab oraz nie zakrywające wiele, niezbyt gustowne dla mnie majtki. Dla moich nieprzyzwyczajonych do tego widoku oczu, efekt był niewymownie wulgarny. Latem osoby obu płci często pojawiały się na ulicach nagie do pasa, ale zawsze miały na sobie rękawiczki.

Patrzyłem jednak na tłum ludzi, którzy, mimo swej dziwaczności, byli w gruncie rzeczy tak samo ludzcy jak londyńczycy. Zajmowali się codziennymi sprawami zupełnie nieświadomi tego, że widz z innego świata uważał ich za groteskowych, przy ich braku czoł, ich uniesionych, drżących nozdrzach, ich zaskakująco ludzkich oczach, ich przypominających dzioby ustach. Ulice tętniły życiem, ludzie robili zakupy, toczyli rozmowy. Dzieci ciągnęły matki za ręce. Starcy z białym zarostem na twarzach garbili się, chodząc

⁸z „ll” wymawianym (...) jak po walijsku — chodzi o bezdźwięczne szczelinowe „l”, wymawiane z rodzajem szumu; por.: https://pl.wikipedia.org/wiki/Spółgłoska_boczna_szczelinowa_dziąsłowa_bezdźwięczna [przypis edytorski]

o lasce. Młodzi mężczyźni spoglądali na młode kobiety. Bogaczy łatwo było odróżnić od biedaków po nowszych i wystawniejszych ubraniach, ich pewnym siebie, czasami aroganckim kroku.

Jak mogę opisać na kilku stronach ten szczególny charakter całego, pełnego życia świata o tylu warstwach, tak innego od mojego, a jednak tak podobnego? Tu, jak na mojej planecie, w każdej godzinie rodziły się dzieci, które domagały się jedzenia, a wkrótce i towarzystwa. Odkrywały, czym jest ból, strach, samotność i miłość. Dorastały pod srogą lub miłą presją rówieśników, by stać się osobami dobrze wychowanymi, hojnymi, rozsądnymi lub umysłowo upośledzonymi, zgorzkniałymi, mściwymi. Wszyscy szukali prawdziwej wspólnoty i bardzo niewiele, być może nawet mniej z nich niż na moim świecie, znajdowało jej więcej niż uchwytny ślad. Podążali i żyli wraz ze stadem. Wygłodzeni fizycznie i umysłowo, walczyli o zwierzynę i rozdierali się nawzajem na strzepy, szaleni od tego głodu. Czasami niektórzy z nich zadawali sobie pytanie, po co to wszystko; i następowała bitwa na słowa bez jasnej odpowiedzi. W końcu stawali się starzy i wycieńczeni. I w końcu ich trwające mgnienie oka w kosmicznej skali życie gasło.

Planeta ta, zaliczająca się do typu ziemskiego, zrodziła rasę, którą można było nazwać ludźmi, choć z innej gałęzi niż ziemska ludzkość. Ich kontynenty różniły się od siebie podobnie jak nasze i zamieszkane były przez gatunek równie zróżnicowany jak *Homo sapiens*. Wszystkie rodzaje ducha, jakie pojawiały się w naszej historii miały swoje odpowiedniki w historii innych ludzi. Podobnie jak my mieli mroczne wieki i wieki blasku, fazy rozwoju i zastoju, kultury w przeważającym stopniu materialistyczne i inne, intelektualne, estetyczne czy duchowe. Istniały rasy „wschodnie” i „zachodnie”, imperia, republiki i dyktatury. Wszystkie różniły się jednak od ziemskich. Wiele różnic było oczywiście powierzchownych, ale istniała także pewna głęboka różnica, której zrozumienie zajęło mi wiele czasu i której na razie nie opiszę.

Muszę zacząć od omówienia biologii innych ludzi. U podstaw ich umysłów leżała zwierzęca natura podobna do naszej. Reagowali gniewem, strachem, nienawiścią, ciekawością, i tak dalej, tak jak my. Jeśli chodzi o organy czucia nie różnili się od nas wiele, poza wzrokiem mniej od naszego wrażliwym na kolory, a bardziej na kształty. Krzykliwe barwy Innej Ziemi widziane przez oczy jej mieszkańców były dla mnie bardzo przytłumione. Ich słuch również nie należał do najlepszych. Choć ich organy słuchowe były tak samo wrażliwe jak nasze na słabe dźwięki, nie najlepiej je od siebie odróżniali. Muzyka, w znanym nam kształcie, nigdy nie powstała na tym świecie.

Zamiast tego dysponowali niesamowicie rozwiniętym węchem i smakiem. Istoty te smakowały nie tylko ustami, ale także wilgotnymi, czarnymi dłońmi i stopami. Ich doświadczenie planety było więc wyjątkowo bogate i intymne. Smaki metalu i drewna, kwaśnej i słodkiej ziemi, wielu kamieni i niezliczonych roślin zgniatanych pod ich gołymi stopami stanowiły cały świat nieznanymi ziemskim ludziom.

Ich genitalia również wyposażone były w organy smaku. Istniało kilka wyraźnych męskich i żeńskich cech chemicznych, bardzo atrakcyjnych dla płci przeciwnej. Smakowało się je lekko przez kontakt dłoni i stóp z dowolną częścią ciała, ale doznania były wyjątkowo intensywne podczas kopulacji.

To zaskakujące bogactwo doświadczeń smakowych sprawiało, że trudno mi było w pełni wnikać w myśli innych ludzi. Smak był tak ważną częścią ich postrzegania świata jak dla nas wzrok. Wiele idei, do których ziemski człowiek docierał wzrokiem i które nawet w najbardziej abstrakcyjnej formie zdradzały ślady wzrokowego pochodzenia, inni ludzie wyrażali z pomocą smaku. Na przykład „błyskotliwy” w odniesieniu do osób czy idei można by przetłumaczyć jako słowo, które dosłownie oznaczało „smaczny”. Zamiast „jasny”, czyli w pełni rozumiały, korzystali z terminu, którego w prymitywnych czasach myślicy używali jako nazwy łatwego do przejścia smakowego szlaku. „Oświecenie religijne” było „smakiem niebiańskich łąk”. Wiele z naszych niewizualnych koncepcji również przekładało się ja smak. „Złożone” przekładało się jako „wielosmakowe”, co odnosiło się do mieszaniny smaków wokół wodopoju, z którego piło wiele rodzajów zwierząt. „Niekompatybilność” była słowem oznaczającym odrazę, jaką różne rodzaje ludzi czuły

Wstręt, Obcy

do siebie nawzajem w oparciu o ich doznanie smakowe.

Różnice ras, które na naszym świecie wyrażały się głównie w wyglądzie zewnętrznym, dla innych ludzi sprowadzały się niemal wyłącznie do różnic w smaku i zapachu. A jako że rasy innych ludzi były mniej ograniczone do konkretnych terytoriów niż nasze, walka między grupami, dla których ich smaki były wzajemnie odrażające odgrywały znaczną rolę w ich historii. Każda z ras uważała zwykle, że to jej smak stanowił o najwyższych zdolnościach umysłowych i był wyznacznikiem wartości duchowej. Dawniej różnice smakowe i zapachowe rzeczywiście oznaczały przynależność do różnych ras, ale współcześnie, w bardziej rozwiniętych krajach, nastąpiły wielkie zmiany. Rasy nie tylko przestały ograniczać się do konkretnych terenów, ale cywilizacja przemysłowa doprowadziła do wielu zmian genetycznych, które sprawiły, że dawne różnice rasowe nie miały już znaczenia. Dawne smaki, choć nie świadczyły już zupełnie o niczym, jako że nawet członkowie jednej rodziny mogli mieć niekompatybilne smaki, nadal miały jednak tradycyjne skutki. W każdym kraju jakiś smak uważano za szczególnie reprezentatywny dla jego mieszkańców, zaś wszelkimi innymi pogardzano, a czasem naprawdę je prześladowano.

W kraju, który poznałem najlepiej za najbardziej pożądany uchodził słony posmak niewyobrażalny dla Ziemiaków. Moi gospodarze uważali się za sól ziemi, ale w rzeczywistości jedynym człowiekiem o tym smaku, jakiego spotkałem, był rolnik, którego „zamieszkałem” jako pierwszego. Przeważająca większość mieszkańców kraju uzyskiwała odpowiedni smak w sztuczny sposób. Ci, którzy byli przynajmniej w jakimś stopniu słoni, nawet jeśli nie w idealny sposób, ciągle starali się zdemaskować oszustwa swoich kwaśnych, słodkich czy gorzkich sąsiadów. Niestety, choć smak kończył się zamaskować, nie znaleziono skutecznego sposobu na zmianę smaku podczas kopulacji. W związku z tym nowożeńcy dokonywali szokujących odkryć podczas nocy poślubnych. Jako że w przypadku większości związków żadne z małżonków nie miało „prawidłowego” smaku, oboje udawali przed światem, że wszystko gra. Często jednak między ich smakami zachodziła przyprawiająca o mdłości niekompatybilność i przez to wiele małżeństw dotykały sekretne tragedie. Czasami, gdy jedna z osób miała mniej więcej zbliżony do ideału smak, ta naprawdę słona z oburzeniem demaskowała oszusta. Sądy, dziennikarze i opinia publiczna dołączały wtedy obłudnie do protestów.

Niektóre „rasowe” smaki były zbyt silne, by je zamaskować. Zwłaszcza jeden słodko-gorzki posmak narażał właściciela na prześladowania we wszystkich oprócz najbardziej tolerancyjnych z krajów. Słodko-gorzka rasa miała reputację sprytnych i samolubnych i co jakiś czas mniej inteligentni sąsiedzi urządzali jej pogromy. Ale we współczesnym pomieszanym smaku ten mógł pojawić się w dowolnej rodzinie. Biada wtedy nieszczęsnemu dziecku i wszystkim jego krewnym! Szykany były nieuniknione, chyba że rodzina była dość bogata, by zakupić od państwa „honorowe posolenie” (lub, w sąsiednim kraju, „honorowe posłodzenie”), dzięki któremu unikała stygmatyzacji.

W bardziej oświeconych krajach odchodzono od tych rasowych przesądów. Wśród inteligencji istniał ruch dążący do wychowywania dzieci w tolerancji dla każdego ludzkiego smaku, do odrzucenia dezodorantów i degustantów, a nawet butów i rękawic, których noszenie narzucało społeczeństwo.

Niestety ruchowi na rzecz tolerancji stanął na drodze jeden ze skutków industrializacji. W zatłoczonych, niehigienicznych centrach przemysłowych pojawił się nowy typ smakowo-zapachowy, najwyraźniej jako mutacja biologiczna. W ciągu kilku pokoleń ten kwaskowaty, cierpki i niedający się zamaskować smak zdominował wszystkie z ubogich, zamieszkałych przez klasę robotniczą dzielnic miast. Dla wybrednych podniebień bogaczy smak ten był wyjątkowo obrzydliwy. Stał się on dla nich podświadomym symbolem, w którym skupiało się całe sekretne poczucie winy i nienawiści, jakie wyzyskujący żywili wobec wyzyskiwanych.

Na tym świecie, jak i na naszym, wszystkie główne środki produkcji, niemal cała ziemia, kopalnie, fabryki, koleje, statki, kontrolowała dla prywatnych zysków drobna część ludności. Te uprzywilejowane jednostki były w stanie zmusić masę, by pracowały dla nich, aby mieć co włożyć do garnka. Zbliżała się już tragiczna farsa będąca nieodłączną częścią

Obcy, Zapach, Rasizm

Małżeństwo, Obcy, Rasizm

Walka klas

takiego systemu. Właściciele w coraz większym stopniu kierowali energią pracowników na produkcję i pozyskiwanie coraz większych środków zamiast ku spełnieniu potrzeb życiowych. Kolejne maszyny miały im zapewnić większe zyski niż produkcja chleba dla robotników. Przy coraz większej konkurencji między maszynami zyski zmniejszały się, a więc malały również płace i popyt na towary. Niesprzedane towary niszczone, choć ludzie nie mieli co jeść ani w co się odziać. W wyniku załamania się systemu gospodarczego rosło bezrobocie, co prowadziło do zamieszek i surowych represji. Znajoma historia!

W miarę jak warunki pogarszały się, a akcje charytatywne i państwowa pomoc społeczna coraz słabiej radziły sobie z rosnącym bezrobociem i ubóstwem, nowa rasa pariasów w coraz większym stopniu stawała się obiektem nienawiści przestraszonych, lecz wciąż potężnych bogaczy. Rozeszły się pogłoski, że te nieszczęsne istoty stanowiły skutek tajnego, systemowego psucia czystości rasy przez hordy imigrantów i że nie zasługują na żadne względy. Pozwalano im więc tylko na podejmowanie najpodlejszych prac, w najcięższych warunkach. Gdy bezrobocie stało się poważnym problemem społecznym, praktycznie wszyscy z pariasów zostali bez pracy i żyli w nędzy. Oczywiście łatwo uwierzono, że jest to skutkiem nie kryzysu kapitalizmu, ale ich wrodzonej pośledniości.

W czasie mojej wizyty znaczna część klasy robotniczej miała w żyłach krew pariasów, zaś wśród bogaczy i klas urzędniczych istniał popularny ruch na rzecz wprowadzenia niewolnictwa dla pariasów i pół-pariasów, aby można było otwarcie traktować ich jak bydło. W obliczu niebezpieczeństwa dalszego skażenia rasowego niektórzy politycy popierali nawet zbiorowe mordy na pariasach albo chociaż ich masową sterylizację. Inni uważali jednak, że skoro społeczeństwu potrzebna była podaż taniej siły roboczej, rozsądniej będzie jedynie sprawić, by zaharowali się na śmierć podczas prac, których nie wzięliby na siebie przedstawiciele „czystej rasy”. A przynajmniej tak powinno się postępować w czasach dobrobytu. W czasach kryzysu nadmiarową populację można było zgłodzić albo wykorzystać w laboratoriach medycznych.

Osoby, które jako pierwsze ośmieliły się zasugerować taką politykę, spotkały się z publicznym oburzeniem, ale w rzeczywistości ją przyjęto. Nie do końca jawnie, ale przy cichym przyzwoleniu, z braku bardziej konstruktywnego planu.

Gdy po raz pierwszy zabrano mnie do najbiedniejszej dzielnicy miasta zaskoczyło mnie to, że choć zobaczyłem tam obszary slumsów dużo nędzniejszych niż cokolwiek znanego mi z Anglii, znajdowało się tam też wiele dużych, czystych bloków mieszkalnych godnych Wiednia. Otaczały je ogrody pełne żalonych namiotów i szałasów. Trawa była zdeptana, krzaki połamane, kwiaty powyrywane. Wszędzie pełno było siedzących bezczynnie mężczyzn, kobiet i dzieci, brudnych i odzianych w szmaty.

Dowiedziałem się później, że te schludnie wyglądające budynki zbudowano przed światowym kryzysem ekonomicznym (znajome określenie!) na zlecenie milionera, który dorobił się fortuny na handlu narkotykiem przypominającym opium. Podarował budynki radzie miasta i został dzięki temu podniesiony do godności para. Co bardziej zasłużeni i estetycznie wyglądający biedni otrzymali porządne mieszkania, ale czynsz ustalono na tak wysokim poziomie, aby wykluczyć rasę pariasów. Wtedy nadszedł kryzys. Lokatorów zalegających z czynszem kolejno eksmitowano. W ciągu roku budynki niemal opustoszały.

Wtedy zaszedł dość ciekawy ciąg zdarzeń, który, jak się okazało, był charakterystyczny dla tego dziwnego świata. Opinia publiczna, choć źle nastawiona wobec bezrobotnych, wyjątkowo sprzyjała chorym. Zachorowawszy uzyskiwało się pewien uświęcony status i można było domagać się pomocy od wszystkich zdrowych. Więc gdy tylko któryś z nędznych mieszkańców slumsów poważnie zachorował, do jego dyspozycji były wszystkie zdobycze nowoczesnej medycyny. Zdesperowani nędzarze szybko zorientowali się w sytuacji i robili co mogli, aby zachorować, na tyle skutecznie, że szpitale wkrótce się przepełniły. Puste bloki mieszkalne pospiesznie przebudowano tak, by pomieścić w nich zalew pacjentów.

Gdy obserwowałem te i inne absurdalne wydarzenia, przypominała mi się moja własna rasa. Ale choć inni ludzie byli pod wieloma względami podobni do nas, coraz bardziej

podejrzewałem, że jakiś wciąż skrywany przede mną czynnik skazywał ich na frustrację, jakiej mój, szlachetniejszy gatunek nigdy nie musiał się obawiać. Mechanizmy psychologiczne, które w naszym przypadku łagodził zdrowy rozsądek lub poczucie moralności, w tym świecie dominowały. Nie można było jednak powiedzieć, że inni ludzie byli mniej inteligentni czy mniej moralni niż ludzie z Ziemi. Jeśli chodzi o abstrakcyjne myślenie i praktyczne wynalazki co najmniej nam dorównywali. Wiele z ich ostatnich odkryć w dziedzinach fizyki i astronomii przekraczały nasz obecny poziom. Zauważyłem jednak, że ich psychika była jeszcze bardziej chaotyczna niż nasza i że ich myśl społeczna była dziwnie wypaczona.

Inni ludzie byli na przykład bardziej zaawansowani od nas jeśli chodzi o radio i telewizję, ale użytek, jaki czynili z tych wspaniałych wynalazków był katastrofalny. W cywilizowanych krajach wszyscy oprócz pariasów nosili przy sobie kieszonkowe odbiorniki. Jako że inni ludzie nie mieli muzyki, może się to wydawać dziwne; ale jako że nie dysponowali gazetami, radio było jedynym sposobem, na jaki przechodzień na ulicy mógł poznać wyniki loterii i zawodów sportowych, które stanowiły podstawę jego strawy umysłowej. Miejsce muzyki zajmowały smaki i zapachy, które przekształcano we wzorce eterycznych fal, nadawanych przez wszystkie główne stacje i przyjmujących znów pierwotną formę w kieszonkowych odbiornikach i bateriach smakowych ludności. Instrumenty te dostarczały do organów smaku i zapachu złożone bodźce. Tego rodzaju rozrywka była tak popularna, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety niemal zawsze trzymali jedną rękę w kieszeni. Specjalną długość fal wydzielono na potrzeby uspokajania niemowląt.

Na rynku pojawił się odbiornik seksualny i w wielu krajach nadawano na niego programy, choć nie we wszystkich. Ten niezwykle wynalazek łączył elementy radia dotykowego, smakowego, zapachowego i dźwiękowego. Działał nie poprzez organy czucia, lecz poprzez bezpośrednią stymulację odpowiednich ośrodków mózgowych. Odbiorca nosił specjalnie skonstruowane nakrycie głowy, które przesyłało do niego z odległego studia uściski ponętnych i żywo reagujących kobiet, których w rzeczywistości doświadczał „nadawca miłosny” w studiu albo które nagrano na taśmie elektromagnetycznej do późniejszego odtworzenia.

Wokół emisji seksualnych wybuchły znaczne kontrowersje. Niektóre kraje zezwoliły na programy dla mężczyzn, ale nie dla kobiet, chcąc zachować niewinność czystszej płci. W innych zakazano całego tego przedsięwzięcia pod wpływem kapłanów, którzy głosili, że seks radiowy, nawet tylko dla mężczyzn, stanowił diabelski substytut pewnego bardzo pożądanego i zazdrośnie strzeżonego doświadczenia religijnego zwanego niepokalanym obcowaniem, o którym opowiem później. Kler dobrze wiedział, że ich władza zależy w dużej mierze od możliwości wywołania tej rozkosznej ekstazy wśród swojej trzódki za pomocą technik rytualnych i psychologicznych.

Wojsko również wyraźnie sprzeciwiało się nowemu wynalazkowi, jako że w taniej i wydajnej produkcji iluzji miłosnych uścisków widziało niebezpieczeństwo większe nawet niż antykoncepcja. Groził mu spadek podaży mięsa armatniego.

Jako że we wszystkich z bardziej szanowanych krajów media poddano kontroli emerytowanych żołnierzy i duchownych, nowe urządzenie z początku przyjęło się tylko w nastawionych raczej na zyski i owianych złą sławą krajach. W ich studiach nadawano odczucia igraszek z popularnymi gwiazdami „radia miłosnego”, a nawet zubożałymi arystokratkami, wraz z wynikami loterii i reklamami dostępnych komercyjnie leków, rękawic smakoszczelnych, aromatów i degustantów.

Zasadę radiowej stymulacji mózgu rozwinięto wkrótce jeszcze bardziej. Programy z najbardziej ponętnymi i pikantnymi doświadczeniami nadawano we wszystkich krajach i można było korzystać z nich za pomocą prostych odbiorników, na które stać było wszystkich poza pariasami. Dzięki temu nawet byle robotnik fabryczny mógł doświadczyć rozkoszy bankietu bez ponoszenia wydatków i poczucia przesytu, przyjemności zawodowego tańca bez potrzeby uczenia się ruchów czy dreszczyku emocji związanego z udziałem w wyścigach motocyklowych bez narażania się na niebezpieczeństwo. Osoba przebywająca w domu na mroźnej północy mogła opalać się na tropikalnej plaży, a w tropikach uprawiać sporty zimowe.

Rządy wkrótce odkryły, że nowy wynalazek dawał im tanią i skuteczną władzę nad ludnością. Slumsy łatwiej było tolerować, jeśli istniało niezawodne źródło iluzorycznego

luksusu. Reformy, którym władze były niechętnie, można było odłożyć do szuflady dzięki przedstawieniu ich jako zagrażających radiu. Strajki i zamieszki tłumiono, grożąc jedynie zamknięciem studiów nagraniowych albo zalewając eter w krytycznym momencie jakąś przesłodzoną nowinką.

Ponieważ lewica protestowała przeciwko dalszemu rozwojowi rozrywki radiowej, rząd i klasy posiadające tym chętniej ją akceptowały. Komuniści (jako że dialektyka historyczna na tej dziwnie przypominającej Ziemię planecie doprowadziła do powstania partii zasługującej na tę nazwę) wyraźnie potępiali jej użycie. Z ich punktu widzenia stanowiła kapitalistyczne opium dla ludu, którego działanie miało zapobiec nieuchronnemu w innych okolicznościach nadejściu dyktatury proletariatu.

Rosnąca opozycja ze strony komunistów pozwoliła na przekupienie w tej kwestii ich naturalnych wrogów, kleru i żołnierzy. Dopilnowano, aby ceremonie religijne zajmowały w przyszłości większą część czasu antenowego i aby pewien procent wszystkich opłat licencyjnych trafiał do kościołów. Propozycja transmisji niepokalanego obcowania została jednak odrzucona przez kapłanów. Poza tym zgodzono się, aby wszyscy pracownicy Nadzoru Mediów pozostający w związku małżeńskim musieli udowodniać, pod groźbą zwolnienia, że nigdy nie spędzili nocy z dala od żon (lub mężów). Przystano także na czystki pośród pracowników podejrzewanych o sympatyzowanie z tak wywrotowymi ideami jak pacyfizm czy wolność słowa. Żołnierzy udobruchano państwowymi zasiłkami macierzyńskimi, podatkiem bykowym dla kawalerów i regularnym nadawaniem propagandy wojskowej.

Podczas moich ostatnich lat na Innej Ziemi stworzono system, dzięki któremu można było przejść na resztę życia w stan spoczynku i spędzać czas na odbieraniu w łóżku programów radiowych. Wyżywieniem i funkcjami życiowymi takich osób zajmowali się lekarze i pielęgniarki związani z Nadzorem Mediów. Zamiast ćwiczeń oferowano regularne masaże. Udział w tym programie początkowo stanowił drogi luksus, ale jego wynalazcy mieli nadzieję w bliskiej przyszłości udostępnić go wszystkim. Spodziewano się nawet, że z czasem opieka lekarska stanie się zbędna. Planowano stworzenie rozległego systemu automatycznej produkcji pożywienia i rurociągów doprowadzających papkę do ust pacjentów oraz złożonego układu kanalizacji. Elektryczne masaże miały być dostępne po wduszeniu przycisku. Nadzór lekarski miał zastąpić automatyczny system suplementacji endokrynologicznej automatycznie regulujący skład krwi przy użyciu rur, którymi płynąć miały wszelkie chemikalia potrzebne do zapewnienia odpowiedniej równowagi fizjologicznej.

Nawet jeśli chodzi o same transmisje, niepotrzebny byłby już czynnik ludzki, bo wszelkie możliwe przyjemne doświadczenia już nagrano, korzystając z najbardziej wyszukanych żywych przykładów. Byłyby nieustannie nadawane na różnych dostępnych programach.

Być może potrzebna byłaby wciąż garstka techników i kierowników nadzorujących system, ale przy odpowiedniej dystrybucji zadań, każdy z pracowników Światowego Nadzoru Mediów poświęcałby na to nie więcej niż kilka godzin tygodniowo.

Dzieci, w razie potrzeby zapewnienia ciągłości gatunku, powstawałyby w sposób ekotogenetyczny. Światowego Dyrektora Mediów prosiłoby się wtedy o podanie psychologicznych i fizjologicznych specyfikacji idealnego odbiorcy. Stworzone zgodnie z tym wzorcem niemowlęta następnie edukowano by za pomocą specjalnych programów radiowych przygotowujących je do dorosłego radiowego życia. Nigdy nie opuszczałyby swoich kołyszek, oprócz przeprowadzek do coraz większych łóżek. Pod koniec życia, w przypadku gdyby nauki medyczne nie rozwiązały problemu starzenia i umierania, każdy mógłby przynajmniej zapewnić sobie bezbolesną śmierć, wciskając odpowiedni przycisk.

Entuzjazm dla tego niesamowitego projektu szerzył się szybko we wszystkich cywilizowanych krajach, ale pewne reakcyjne siły gorąco się mu sprzeciwiały. Zarówno religijni konserwatyści, jak i militaryscy nacjonalisci uważali, że człowiek powinien być aktywny. Kościoły twierdziły, że jedynie samodyscyplina, umartwienie ciała i ciągła modlitwa mogą zapewnić duszy życie wieczne. Nacjonalisci w każdym z krajów głosili

natomiast, że przeznaczeniem ich własnego narodu jest rządzenie poślednimi ludami i że tylko bitewna chwała otworzy przed zmarłymi wrota do Walhalli.

Wielu potentatów ekonomicznych, którzy wcześniej skłaniali się ku umiarkowanej radiowej błogości jako opium dla niezadowolonych robotników, teraz zwróciło się przeciwko niej. Pożądali władzy, a do tego potrzebni im byli niewolnicy, których pracę mogli zaprząć do wielkich przedsięwzięć przemysłowych. Stworzyli więc instrument będący jednocześnie opiatem, jak i ostrogą. Z użyciem wszystkich środków propagandowych starali się rozbudzić w ludności nacjonalizm i nienawiść rasową. Stworzyli w zasadzie „inny faszizm”, łącznie z kłamstwami, mistycznym kultem rasy i państwa, odrzuceniem rozumu, pochwałą rządów silnej ręki i odwoływaniem się jednocześnie do najobrzydliwszych instynktów i szlachetnych pobudek omamionej przez siebie młodzieży.

W opozycji zarówno do krytyków radiowej błogości, jak i do niej samej — stała w każdym z krajów mała, zdumiona przebiegiem wydarzeń partyjka, która twierdziła, że prawdziwym celem ludzkiej aktywności jest stworzenie światowej społeczności świadomych, inteligentnych, kreatywnych jednostek, darzących się nawzajem szacunkiem i dążących do wspólnego celu, jakim było spełnienie potencjału ludzkiego ducha. Znaczna część ich doktryny stanowiła parafrazę nauk dawnych proroków religijnych, ale głęboki wpływ na nich miała też współczesna nauka. Jednak partii tej nie rozumieli naukowcy, przeklinali ją kapłani, wyśmiewali militaryści i ignorowali zwolennicy radiowej błogości.

Tymczasem chaos gospodarczy sprawiał, że potęgi ekonomiczne Innej Ziemi z coraz większą desperacją konkurowały ze sobą o rynki zbytu. Ich rywalizacja na tym polu, w połączeniu z odwiecznymi waśniami plemiennymi podsycanymi za pomocą strachu, nienawiści i dumy, doprowadziła do niekończącej się serii konfliktów, z których każdy groził światową zagładą.

W tej sytuacji entuzjaści radia podkreślali fakt, że gdyby przyjęto ich propozycje, nie dochodziłoby do wojen, a z drugiej strony gdyby doszło do światowego konfliktu zbrojnego, plany wprowadzenia ich w życie zostałyby odroczone na czas nieokreślony. Stworzyli więc światowy ruch na rzecz pokoju, a poparcie dla radiowej błogości było tak wielkie, że demonstracje antywojenne przyciągały tłumy w każdym kraju. W końcu stworzono Międzynarodowy Nadzór Mediów, który miał szerzyć radiową ewangelię, łagodzić różnice między imperiami i ostatecznie przejąć rządy nad światem.

Tymczasem szczerzy wyznawcy religii i autentyczni militaryści, słusznie oburzeni motywacjami stojącymi za nowym internacjonalizmem, a jednocześnie sami kierujący się wcale nie lepszymi ideami, postanowili ocalić innych ludzi wbrew im samym, prowokując narody świata do wojny. Wszelkie siły propagandy i korupcji finansowej poświęcono na wzbudzanie ducha nacjonalizmu. Mimo to chęć doświadczenia radiowej błogości była teraz tak powszechna i silna, że zwolennicy wojen nie odnieśliby większych sukcesów, gdyby nie bogactwo wielkich producentów uzbrojenia i ich doświadczenie w wywoływaniu fermentu społecznego.

Udało się skutecznie rozbudzić konflikt między jedną ze starych potęg gospodarczych i pewnym państwem, które dopiero niedawno przyjęło cywilizację mechaniczną, ale już stało się mocarstwem rozpaczliwie potrzebującym nowych rynków. Radio, które wcześniej stanowiło główną siłę na rzecz kosmopolityzmu, nagle w każdym kraju zaczęło wspierać nastroje nacjonalistyczne. Od rana do wieczora każdy cywilizowany lud zapewniano, że wrogowie, których smak był oczywiście podludzki i obrzydliwy, knuli spiski mające doprowadzić do jego zniszczenia. Alarmy bombowe, historie o szpiegach, audycje o barbarzyńskim i sadystycznym zachowaniu sąsiednich narodów, wywoływały w każdym kraju tak bezkrytyczną podejrzliwość, że wojna stawała się nieunikniona. W pewnym momencie rozpętał się spór o kontrolę nad przygraniczną prowincją. Podczas tych kluczowych dni Bvalltu i ja znajdowaliśmy się akurat w dużym, prowincjonalnym mieście. Nigdy nie zapomnę tego, jak jego mieszkańców ogarnęła niemal maniakalna nienawiść. Wszelkie myśli o ludzkim braterstwie, a nawet o osobistym bezpieczeństwie, zastąpiła dzika żądza krwi. Ogarnięte paniką rządy zaczęły kierować na swoich niebezpiecznych

Wojna

sąsiadów bomby raketowe dalekiego zasięgu. W ciągu paru tygodni kilka stolic Innej Ziemi uległo zniszczeniu. Każdy naród chciał teraz zadać wrogom większe ciosy niż te, które otrzymał.

O koszarach tej wojny, o niszczeniu miasta za miastem, o ogarniętych paniką rzeszach ludzi, które oddały się szaleńczemu plądrowaniu i zabijaniu, o głodzie i chorobach, o rozpadzie usług społecznych, o pojawieniu się brutalnych dyktatur wojskowych, o katastrofalnym rozkładzie kultury i wszelkiej przyzwoitości w kontaktach międzyludzkich, o tym nie ma potrzeby szczegółowo opowiadać.

Zamiast tego skupię się na samym końcu nieszczęść, jakie spotkały innych ludzi. Mój własny ludzki gatunek w podobnych okolicznościach z pewnością nie pogrzyłby się w tak zupełnym szaleństwie. Bez wątplenia grozi nam wybuch niewiele mniej niszczycielskiej wojny, ale mimo wszelkich czekających nas wtedy męczarni niemal na pewno wyjdziemy z niej cało. Pomimo wszelkiej ludzkiej głupoty zawsze udaje nam się uniknąć popadnięcia w całkowity oblęd. W ostatniej chwili, z pewnym wahaniem, mimo wszystko bierze górę rozsądek. Z innymi ludźmi stało się jednak inaczej.

3. PRZYSZŁOŚĆ RASY

Im dłużej przebywałem na Innej Ziemi, tym bardziej podejrzewałem, że musi istnieć jakaś ważna, głęboka różnica między tą ludzką rasą a ludzkością na mojej ojczystej planecie. W pewnym sensie różnica ta polegała oczywiście na równowadze. *Homo sapiens* był w swoim ogóle gatunkiem lepiej zintegrowanym, w większym stopniu obdarzonym zdrowym rozsądkiem, mniej skłonny do popadania w skrajności.

Być może najbardziej uderzającym przykładem ekstrawagancji innych ludzi była rola, jaką pełniła religia w bardziej rozwiniętych społeczeństwach. Miała ona dużo większą władzę niż na mojej planecie, a nauki tamtejszych dawnych proroków rozpałały nawet moje, obce i ospałe serce. Rola, jaką odgrywała religia we współczesnym społeczeństwie była jednak znacznie mniej pozytywna.

Muszę zacząć od wyjaśnienia, że w rozwoju religii na Innej Ziemi ważną rolę odegrał zmysł smaku. Plemienne bóstwa obdarzono oczywiście cechami smakowymi najbardziej pożądanymi dla danych ludów. Później, gdy pojawił się monoteizm, opisom mocy, mądrości, sprawiedliwości, wyrozumiałości Boga towarzyszyły opisy jego smaku. W literaturze mistycznej Bóg przyrównywany był często do starego, dostatego wina, a ci, którzy rzekomo doświadczały objawień, twierdzili, że ta smakowa ekstaza pod wieloma względami przypominała delektowanie się aromatem wyjątkowo dobrego rocznika.

Niestety, zważywszy na różnorodność typów smakowych ludzi, rzadko zgadzano się co do tego, jak smakuje Bóg. Toczone wojny religijne o to, czy był przede wszystkim słodki czy słony, czy też może jego dominujący smak należał do tych, których mój gatunek nie jest w stanie sobie wyobrazić. Niektórzy głosili, że jego smak odczuć mogły tylko stopy, inni, że tylko dłonie lub usta, a jeszcze inni, że można było go doświadczyć tylko w subtelnym połączeniu smaków zwanym niepokalanym obcowaniem, które stanowiło zmysłową, głównie seksualną ekstazę wywoływaną przez kontemplację i stosunek z bóstwem.

Byli i tacy, którzy twierdzili, że choć Bóg istotnie był smaczny, to jego smaku nie mógł skosztować żaden cielesny narząd, a tylko nagi duch, że był on subtelniejszy i wykwintniejszy niż smak ukochanej osoby, jako że zawierał w sobie to, co najwonnejsze i duchowe w człowieku oraz o wiele więcej.

Niektórzy posunęli się nawet do głoszenia, że o Bogu myśleć należy nie jako o osobie, ale o istocie, która *jest* tym smakiem. Bvalltu mawiał, że „albo Bóg jest wszechświatem, albo przenikającym wszystko smakiem kreatywności”.

Jakież dziesięć lub piętnaście wieków wcześniej, gdy religia, o ile mogłem to ocenić, była najbardziej żywotna, nie istniały kościoły czy kapłaństwo, ale życie każdego człowieka zdominowane było przez religijne idee w stopniu, który dla mnie zdawał się niewyobrażalny. Później zaś wróciły kościoły i kapłani, by odegrać ważną rolę w zachowaniu malejącej obecnie świadomości religijnej. Jeszcze później, kilkaset lat przed rewolucją przemysłową, zorganizowana religia przejęła kontrolę nad większością cywilizowanych nacji do tego stopnia, że trzy czwarte ich dochodów przeznaczano na utrzymanie in-

Bóg, Religia

stytucji religijnych. Klasy pracujące, które harowały dla posiadaczy za nędzne grosze, oddawały znaczną część żalosnych zarobków klerowi i żyły w większej nędzy, niż gdyby tego nie robiły.

Nauka i przemysł wywołały jedną z tych nagłych, skrajnych rewolucji myślenia tak charakterystycznych dla innych ludzi. Niemal wszystkie kościoły zniszczono lub zmieniono w tymczasowe fabryki i muzea przemysłowe. Ateizm, do tej pory prześladowany, stał się modny. Wszyscy najwybitniejsi myśliciele stali się agnostykami. Ostatnio jednak, najwyraźniej w wyniku przerażenia skutkami materialistycznej kultury znacznie bardziej cynicznej i bezczelnej niż nasza, najbardziej uprzemysłowione kraje znów zaczęły zwracać się ku religii. Stworzono duchowe podstawy dla nauk przyrodniczych. Stare kościoły znów zaczęły być użytkowane zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem i budowano kolejne, tak liczne jak kina na naszej Ziemi. Nowe kościoły wkrótce wchłonęły i kino i wyświetlały nieustannie seanse, w których orgie zmysłowe i propaganda kościelna zrecznie się przeplatały.

W czasie mojej wizyty kościoły odzyskały całą utraconą potęgę. Wcześniej skutecznie konkurowało z nimi radio, ale i ono zostało skutecznie wchłonięte. Nadal odmawiano transmisji niepokalanego obcowania, które zyskało nowy prestiż dzięki powszechnej wierze, że było zbyt duchowe, aby przesyłać je w eter. Co bardziej zaawansowani technicznie kapłani zgadzali się jednak, że jeśli powstanie kiedyś światowy system „błogości radiowej”, trudności te być może uda się przezwyciężyć. Tymczasem komunizm nadal jednoznacznie odrzucał religię, ale w dwóch wielkich krajach komunistycznych oficjalna, zorganizowana niewiara stawiała się *de facto* religią pod inną nazwą. Miała własne instytucje, kapłanów, rytuały, moralność, system odkupienia win, doktryny metafizyczne, które, choć wciąż materialistyczne, mimo wszystko opierały się na przesądach. A smak bóstwa zastąpił smak proletariatu.

Religia była więc jak najbardziej realną siłą w życiu wszystkich tych ludzi. W ich gorliwej wierze było jednak coś dziwnego. W pewnym sensie była ona szczerą, a nawet pożyteczną, jako że jeśli chodzi o małe, osobiste pokusy i oczywiste, stereotypowe wybory moralne inni ludzie byli dużo bardziej sumienni niż mój gatunek. Odkryłem jednak, że typowy współczesny inny człowiek sumienny był tylko w sytuacjach konwencjonalnych i brakowało mu autentycznej wrażliwości moralnej. Dlatego więc, mimo że praktyczna hojność i powierzchowna życzliwość były u nich częstsze niż u nas, najbardziej diabolicznych prześladowań dokonywano z czystym sumieniem. Co bardziej wrażliwi zawsze musieli mieć się na baczności. Głębsze rodzaje intymności i polegania na sobie nawzajem były nietrwale i rzadkie. W tym niebywale społecznym świecie ducha ludzi dręczyła samotność. Wciąż spotykali się, ale nadal pozostawali sami. Każdy bał się samotności, ale nawet w towarzystwie, mimo powszechnego przekonania o braterstwie, te dziwne istoty były od siebie tak odległe jak gwiazdy. Każdy szukał w oczach bliźniego tylko obrazu samego siebie i nigdy nie widział niczego innego. A jeśli coś ujrzał, był oburzony i przerażony.

Kolejną wprawiającą w osłupienie kwestią związaną z życiem religijnym innych ludzi w czasie mojej wizyty było to, że choć byli pobożni i bluźnierstwo uznawano za coś wyjątkowo okropnego, ogólne podejście do bóstwa polegało na świętokradczym komercjalizmie. Ludzie uważali, że smak bóstwa można kupić na wieczność za pieniądze lub odprawiane rytuały. Co więcej, Boga, którego czcili słowami, używając wspaniałego, uduchowionego języka jeszcze z dawnych epok, teraz postrzegali już tylko albo jako sprawiedliwego, lecz zazdrosnego pracodawcę, albo jako pobłażliwego rodzica, albo też jako czystą energię fizyczną. Tymczasem panowało jednocześnie przekonanie, że w żadnej z poprzednich er religia nie była tak powszechna i oświecona. Niemal powszechnie zgadzano się, że głębokie nauki starożytnych proroków dopiero teraz rozumiano w sensie, w jakim pierwotnie widzieli je sami prorocy. Współcześni pisarze i prezenterzy radiowi twierdzili, że reinterpretują Pismo tak, by służyło wiernym w sposób adekwatny do oświeconych potrzeb religijnych czasów, które nazywano Erą Religii Naukowej.

Pod płaszczykiem samozadowolenia, którym charakteryzowała się cywilizacja innych ludzi przed wybuchem wojny widywałem często ledwie uchwytny niepokój i lęk. Oczywiście większość z nich kierowała się w codziennych sprawach własnym interesem, tak jak i na mojej planecie. Byli zbyt zajęci zarabianiem na życie, żenieniem się, zakładaniem rodzin, konkurowaniem ze sobą nawzajem, by znaleźć czas na świadome wątpliwości na temat sensu życia. Często jednak wyglądali jak ktoś, kto właśnie zapomniał o czymś ważnym i z całych sił próbuje odnaleźć to w głowie, albo jak podstarzały kaznodzieja, który wygłasza stare kazania, nie w pełni już je rozumiejąc.

Coraz bardziej podejrzewałem, że rasa ta, mimo wszystkich jej triumfów, żyła obecnie wielkimi ideami przeszłości, mówiąc wciąż o koncepcjach, do zrozumienia których brakowało jej już rozsądku, oddając cześć ideałom, w które nie potrafiła już świadomie wierzyć i poruszając się w systemie instytucji, z których wiele wymagało nieco bystrzejszych umysłów, by się w nich odnaleźć. Instytucje te, jak podejrzewałem, musiały zostać stworzone przez rasę dysponującą nie tylko znacznie większym intelektem, ale też bardziej skłoną do działań dla dobra wspólnoty niż było to obecnie możliwe na Innej Ziemi. Zdawały się opierać na założeniu, że ludzie są co do zasady życzliwi, rozsądni i zdyscyplinowani.

Często wypytywałem o to Bvalltu, ale zawsze zbywał moje pytania. Warto pamiętać, że choć miałem dostęp do jego myśli, o ile świadomie nie starał się ich przede mną zataić, to przy odpowiednim wysiłku był w stanie myśleć na osobności. Od dawna podejrzewałem, że coś przede mną ukrywa, aż w końcu wyjawiał mi dziwne i tragiczne fakty.

Miało to miejsce kilka dni po zbombardowaniu stolicy jego kraju. Przez oczy Bvalltu i gogle jego maski przeciwgazowej widziałem skutki ataku. Nie doświadczyliśmy samej tragedii, ale próbowaliśmy wrócić do miasta, by wziąć udział w działaniach ratunkowych. Niewiele dało się zrobić. Ciepło promieniujące z gorzącego centrum miasta było tak wielkie, że nie byliśmy w stanie przebić się dalej niż przez pierwsze przedmieścia. Nawet tam ulice były zawałone przez zburzone budynki. Ludzkie ciała, zmiażdżone i spopielone, wystawały tu i ówdzie z gruzów. Większość ludności skryła się pod ruinami. Na otwartej przestrzeni leżeli uduszeni przez gaz. Ekipy ratunkowe błąkały się beczynn timer. Spośród chmur dymu czasami wyzierało Inne Słońce, a nawet i gwiazdy.

Przez jakiś czas krążyliśmy pośród ruin, bezskutecznie starając się jakoś pomóc, po czym Bvalltu usiadł. Widok otaczających nas zniszczeń sprawił, że „rozwiązał mu się język”, jeśli mogę tak określić to, że szczerze zaczął myśleć w mojej obecności. Pozwoliłem sobie na uwagę w rodzaju, że przyszłe epoki ze zdumieniem spoglądać będą na całe to szaleństwo. Westchnął przez maskę i powiedział:

— Moja nieszczęsna rasa doprowadziła już zapewne do własnej zguby.

Nie zgodziłem się z nim. Choć nasze miasto zniszczono jako czterdzieste, to na pewno pewnego dnia nastanie pokój i jego rasa w końcu wyjdzie z obecnego kryzysu, odbudowując dawne siły. Bvalltu powiedział mi wtedy o dziwnych rzeczach, które ponoć zawsze zamierzał mi przekazać, ale jakoś nigdy nie był w stanie się na to zdobyć. Choć wielu naukowców i badaczy współczesnego społeczeństwa podejrzewało prawdę, jednak w pełni znana była tylko jemu i kilku innym.

Jak mi wyjaśnił, jego gatunek najwyraźniej podlega dziwnym, długotrwałym fluktuacjom, trwającym od jakichś dwudziestu tysięcy lat. Wszystkie rasy, w każdej strefie klimatycznej zdawały się podlegać jednocześnie temu powszechnemu rytmowi ducha. Jego przyczyna nie była znana. Choć wydawało się, że coś wpływa na całą planetę jednocześnie, być może w rzeczywistości rozchodziło się prędko z jednego punktu początkowego. Bardzo niedawno pewien naukowiec zasugerował, że może wynikać to ze zróżnicowanej intensywności „promieni kosmicznych”. Z danych geologicznych wynikało, że takie fluktuacje promieniowania rzeczywiście miały miejsce, być może powodowane przez sąsiednią gromadę młodych gwiazd. Nadal niepewne było jednak, czy rytm psychologiczny i astronomiczny były ze sobą powiązane, ale wiele faktów wskazywało na to, że gdy promieniowanie się nasilało, słabł ludzki duch.

Teoria ta nie przekonywała jednak Bvalltu, który skłaniał się raczej ku opinii, że rytmiczne zmiany ludzkiej mentalności miały bliższe źródło. Jakikolwiek było ich wyjaśnienie, niemal na pewno w przeszłości wielokrotnie osiągnano wysoki poziom cywilizacji, po czym jakaś siła raz po raz osłabiała siły umysłowe ludzkości. Podlegający tym potęż-

nym falom inni ludzie popadali w stan mentalnego i duchowego otępienia, gorszego niż cokolwiek, czego doświadczyła moja rasa od czasu, gdy w toku ewolucji powstał współczesny człowiek. U szczytu fali intelektualna potęga, prawość i mądrość duchowa zdawały się osiągać poziom, który uznalibyśmy za nadludzki.

Raz po raz tutejsi ludzie dziczeli, po czym przechodzili przez etap barbarzyńskiej kultury aż do fazy światowego geniuszu i powszechnej moralności. Całe populacje równocześnie stawały się niezwykle hojne, mądre, zdyscyplinowane, ich myśli były przenikliwe a ich duchowość niezachwiana.

Dzięki temu w ciągu kilku stuleci cały świat zaludniały wolne i szczęśliwe społeczeństwa. Przeciętne jednostki uzyskiwały bezprecedensową jasność myślenia i wspólnie pozbywały się niesprawiedliwości społecznych i prywatnego okrucieństwa. Kolejne pokolenia, świadome i wyrastające w przyjaznym środowisku, tworzyły ogólnoswiatową utopię przebudzonych istot.

Wtedy jednak zaczynał się uwiąd. Po złotej erze następowała srebrna. Korzystający z przeszłych osiągnięć myśliciele bładzili w dżungli subtelnych niuansów lub popadali w niedbałość. Równocześnie malał też poziom moralny społeczeństwa. Ludzie stawali się mniej szczerzy, mniej wnikliwi, mniej wrażliwi na potrzeby innych, mniej zdolni do współdziałania. Maszynaria społeczna, która działała dobrze, póki obywatele dysponowali odpowiednią dozą człowieczeństwa, grzęzła wśród niesprawiedliwości i korupcji. Tyrani i oligarchowie zaczęli ograniczać wolność jednostek, a nienawiść uciskanych klas dawała im ku temu dobrą wymówkę. Krok po kroku, choć materialne zdobycze cywilizacji tliły się jeszcze przez wieki, płomień ducha przygaszał aż do słabej iskry tlącej się w sercach garstki osób. Potem następował czas barbarzyństwa i degeneracja do niemal podludzkiej dzikości.

Ogólnie wyglądało jednak na to, że u szczytów ostatnich fal dochodziło do większych osiągnięć niż w geologicznej przeszłości, a przynajmniej tak wmawiali sobie niektórzy z antropologów. Uważano powszechnie, że obecna cywilizacja jest najwspanialsza, że najlepsze dopiero nadejdzie i że dzięki nowej wiedzy naukowej uda się zachować mentalny poziom rasy przed deterioracją⁹.

Obecne warunki gatunku rzeczywiście były wyjątkowe. W żadnym wcześniejszym ze znanych cykli nauka i mechanizacja nie poczyniły tak wielkich postępów. Na ile dało się wywnioskować z fragmentarycznych informacji na temat poprzedniego, mechaniczne wynalazki nigdy nie przekroczyły poziomu znanego z naszej połowy dziewiętnastego wieku, zaś w jeszcze wcześniejszych cyklach, jak uważano, stagnacja nadeszła na jeszcze niższych poziomach rozwoju przemysłowego.

Choć w kręgach intelektualnych zakładano więc powszechnie, że najlepsze dopiero nadejdzie, Bvalltu i jego przyjaciele byli przekonani, że szczyt fali miał już miejsce kilka stuleci wcześniej. Dla większości ludzi dekada przed wojną wydawała się oczywiście lepsza i bardziej cywilizowana niż poprzednia. Z ich punktu widzenia cywilizacja i mechanizacja były niemal tym samym, a nigdy dotąd przemysł nie święcił takich triumfów. Korzyści z cywilizacji naukowej były oczywiste. Klasy posiadające dysponowały większym komfortem, lepszym zdrowiem, posturą, dłuższą młodością oraz systemem wiedzy technicznej tak rozległym i złożonym, że pojedynczy człowiek mógł znać jedynie jego zarys albo drobny szczegół. Co więcej, rozwinięta komunikacja zapewniła powszechny kontakt między ludźmi. Miejscowe różnice ustępowały pola radiu, kinu i gramofonowi. W porównaniu z tymi oznakami nadziei łatwo było przeoczyć, że kondycja ludzi, choć wspomagana dzięki lepszym warunkom, stała się znacznie mniej stabilna niż dotąd. Pewne dezintegracyjne choroby występowały coraz częściej i stawały się coraz groźniejsze, zwłaszcza choroby układu nerwowego. Cynicy mawiali, że szpitali psychiatrycznych będzie niedługo więcej niż kościołów, ale stroili sobie jedynie żarty. Niemal wszyscy zgadzali się co do tego, że mimo wojen, problemów ekonomicznych i niepokojów społecznych, ogólnie dzieje się dobrze, a przyszłość będzie jeszcze lepsza.

⁹deterioracja — spadek wartości, jakości, sprawności lub wydolności czegoś. [przypis edytorski]

Bvalltu twierdził jednak, że prawda niemal na pewno wygląda inaczej. Jak podejrzewałem, istniały niepodważalne dowody, że średni poziom inteligencji i instynktu moralnego obniżył się na całym świecie i zapewne tendencja ta będzie się nasilać. Cała rasa żyła już przeszłością. Wszystkie ważne idee współczesnego świata głoszone już stulecia wcześniej. Od tamtej pory rzeczywiście w rewolucyjny sposób je zastosowano, ale żadne z sensacyjnych wynalazków nie opierały się na wnikliwej, wszechstronnej intuicji, która zmieniała kierunek myślenia w poprzedniej epoce. Bvalltu przyznał, że doszło w ostatnim czasie do pewnych rewolucyjnych odkryć naukowych, ale w żadnym z nich nie sposób było dopatrzeć się jakiegś nowatorskiej zasady. Nowe teorie stanowiły tylko rekombinacje wcześniejszych. Metoda naukowa, wynaleziona kilkaset lat wcześniej, była tak przydatną techniką, że mogła rodzić owoce jeszcze przez stulecia nawet w rękach ludzi niezdolnych do szczególnie oryginalnego myślenia.

Nie tyle jednak w dziedzinie nauki, co w moralnych i praktycznych zachowaniach najbardziej uwidaczniała się umysłowa lichota. Z pomocą Bvalltu sam doceniłem w pewnym stopniu literaturę tego świetnego okresu sprzed wieków, gdy każdy kraj zdawał się pozostawać w stanie wspaniałego rozkwitu sztuki, filozofii i religii; gdy kolejne narody zmieniały cały porządek społeczno-polityczny, by zapewnić wszystkim ludziom jak najwięcej wolności i dobrobytu; gdy kolejne państwa odważnie prowadziły rozbrojenia, ryzykując zniszczeniem, ale zyskując pokój i pomyślność; gdy rozwiązywano siły policyjne, a więzienia zamieniano w biblioteki czy szkoły; gdy broń czy nawet zamki i klucze znano jedynie z muzeów; gdy kapłani czterech największych religii dzielili się swoimi sekretami, oddawali swe bogactwa biednym i prowadzili wielkie kampanie społeczne lub zajmowali się rolnictwem i uczeniem rzemiosła, jak przystało na wyznawców nowej, pozbawionej kapłanów, wiary i Boga religii światowej społeczności niewypowiedzianego uwielbienia.

Po jakichś pięciuset latach zaczęły wracać zamki, klucze, broń i doktryny. Złoty wiek pozostawił po sobie jedynie wspaniałą tradycję i szereg zasad, które, choć obecnie błędnie interpretowane, wciąż wywierały dobry wpływ na pogrążony w chaosie świat.

Ci z naukowców, którzy przypisywali umysłowe marnienie promieniowaniu kosmicznemu potwierdzili, że gdyby ich rasa odkryła naukę wiele stuleci wcześniej, gdy wciąż dopiero czekał ją okres największej żywotności, wszystko byłoby dobrze. Wkrótce rozwiązano by problemy wiążące się z cywilizacją przemysłową. Stworzono by nie tylko „średniowieczną”, ale wysoce zmechanizowaną utopię. Niemal na pewno odkryto by, jak poradzić sobie z nadmiarem promieni kosmicznych i zapobiec deterioracji. Nauka przybyła jednak zbyt późno.

Bvalltu uważał jednak, że przyczyną zepsucia jest jakiś czynnik leżący w naturze człowieka. Skłaniał się ku wierze, że stanowiło ono konsekwencję cywilizacji, że zmieniając całe środowisko, w jakim żył ludzki gatunek, pozornie na lepsze, nauka nieopatrznie stworzyła warunki wrogie duchowej krzepie. Nie udawał, że wie czy katastrofę powodował nadmiar sztucznego jedzenia czy też napięcie nerwowe powodowane przez nowoczesne życie, albo zaburzenie doboru naturalnego lub łagodniejsze wychowanie dzieci, czy może jakaś inna przyczyna. Być może nie wynikała z żadnego z tych względnie nowych czynników, jako że istniały dowody na to, że ludzkość zaczęła marnieć już u samego początku ery naukowej, jeśli nie wcześniej. Być może rozkład spowodował jakiś tajemniczy czynnik w samej złotej erze. A może nawet, jak sugerował, prawdziwa wspólnota tworzyła własną truciznę, młodzi ludzie wychowywani w idealnym społeczeństwie, w autentycznym „mieście Boga” na ziemi musieli nieuchronnie zboczyć ku moralnemu i intelektualnemu lenistwu, ku romantycznemu indywidualizmowi i przekorze, a gdy to nastawienie wzięło górę, nauka i zmechanizowana cywilizacja wzmocniły rozkład duchowy.

Niedługo zanim opuściłem Inną Ziemię, pewien geolog odkrył kopalny schemat bardzo skomplikowanego odbiornika radiowego. Wyglądał na płytę litograficzną wytworzoną jakieś dziesięć milionów lat wcześniej. Po wysoce rozwiniętym społeczeństwie, które go stworzyło nie został żaden inny ślad. Znalezisko to zdumiało cały świat, ale wkrótce rozeszła się teza, że iskra cywilizacji zapłonęła niegdyś w jakimś nieludzkim gatunku,

który nie przetrwał próby czasu. Zgadzano się, że człowiek, gdyby osiągnął taki poziom kultury, nigdy by z niego nie spadł.

Zgodnie z poglądem Bvalltu, człowiek wielokrotnie wspinał się na ten sam szczyt, po czym spadał w wyniku jakichś ukrytych skutków własnych osiągnięć.

Gdy Bvalltu przedłożył tę teorię w ruinach ojczystego miasta, zasugerowałem, że kiedyś, nawet jeśli nie tym razem, człowiek pomyślnie przejdzie przez ten krytyczny punkt rozwoju. Staruszek wspominał wtedy o innej kwestii, która zdawała się wskazywać na to, że przyglądamy się ostatniemu aktowi tego długiego i powtarzalnego dramatu.

Naukowcom wiadomo było, że, zważywszy słabe przyciąganie grawitacyjne ich światła, już i tak rzadka atmosfera stopniowo zanikała. Prędzej czy później ludzkość musiała zmierzyć się z problemem powstrzymania tego ciągłego wycieku cennego tlenu. Do tej pory życie skutecznie dostosowywało się do przerzedzającej się atmosfery, ale ludzkość dotarła już pod tym względem do granicy swych możliwości i bez rozwiązania tej kwestii czekał ją uwiąd. Żywiono jedynie nadzieję, że uda się odnaleźć jakiś sposób na poradzenie sobie z sytuacją, zanim nastanie kolejna epoka barbarzyństwa. Szanse na to były niewielkie już wcześniej, a i tę wątłą nadzieję zgasiała wojna, cofając zegar badań naukowych o sto lat w chwili, gdy sama natura ludzka chyliła się ku upadkowi i mogła już nigdy nie być w stanie sprostać tak trudnemu wyzwaniu.

Myśl o zagładzie, która niemal niechybnie czekała innych ludzi sprawiła, że z przerażeniem zacząłem rozmyślać o wszechświecie, w którym coś takiego jest możliwe. Myśl, że cały świat inteligentnych istot może ulec zniszczeniu nie była dla mnie niczym nowym, ale istniała ogromna różnica między abstrakcyjną możliwością a konkretnym, nieuniknionym niebezpieczeństwem.

Na ojczystej planecie, gdy tylko popadałem w rozpacz, widząc cierpienie i bezsilność jednostek, pocieszało mnie to, że przynajmniej masowym skutkiem naszych ślepych starań musi być powolne, ale wspaniałe przebudzenie ludzkiego ducha. Ta nadzieja, ta pewność, była dla mnie jedynym ukojeniem. Teraz jednak widziałem, że nie istnieje żadna gwarancja takiego triumfu. Wyglądało na to, że wszechświat, czy też jego stwórca, musi być obojętny na los poszczególnych światów. To, że istnieje niekończący się trud, cierpienie i marność, trzeba oczywiście zaakceptować, zwłaszcza że właśnie w takiej glebie rozkwita duch. Ale to, że cały ten trud miałby ostatecznie iść zupełnie na marne, że cały świat wrażliwych dusz miałby ponieść klęskę i zginąć, musiało być czystym złem. W swym przerażeniu stwierdziłem, że to uosobiona nienawiść musi być Sprawcą Gwiazd.

Inaczej uważał jednak Bvalltu.

— Nawet jeśli moce wszechświata nas zniszczą, kim jesteśmy, by je potępiać? Równie dobrze ulotne słowo mogłoby osądzać tego, kto je wypowiada. Być może wykorzystują nas do własnych, wielkich celów, korzystają z naszej siły i słabości, naszej radości i bólu w jakimś niewyobrażalnym dla nas, wspaniałym dziele.

Zaprotestowałem.

— Jakie dzieło usprawiedliwiłoby coś tak daremnego? I jak możemy nie oceniać? I jak mielibyśmy oceniać, jeśli nie w świetle własnych serc, tak jak osądzamy siebie samych? Niegodziwością byłoby wielbienie Sprawcy Gwiazd jeśli wiemy, że jest niewrażliwy na straszne losy swych światów?

Bvalltu na chwilę zamilkł w swoim umyśle. Następnie uniósł wzrok, szukając dziennych gwiazd wśród kłębow dymu. W końcu odezwał się do mnie w myślach.

— Czy wybaczyłbyś mi, gdyby ocalił wszystkie światy, ale udręczył jednego człowieka? Albo gdyby był nieco surowy tylko względem jednego, głupiego dziecka? Jakie znaczenie ma tu nasz ból czy nasza porażka? Sprawca Gwiazd! To dobre określenie, choć jego znaczenie jest dla nas nie do pojęcia. O, Sprawco Gwiazd, nawet jeśli mnie zniszczysz, muszę cię wielbić. Nawet jeśli zadreczysz moich bliskich, zadreczysz i zmarnujesz wszystkie nasze piękne światy, drobne wytwory twojej wyobraźni, muszę cię wielbić. Bo jeśli tak postępujesz, to musisz mieć rację. We mnie byłoby to czymś złym, ale w tobie musi być dobre.

Znów opuścił wzrok, przyglądając się zrujnowanemu miastu, po czym odezwał się.

— A jeśli jednak nie ma żadnego Sprawcy Gwiazd, jeśli cały zbiór galaktyk powstał sam z siebie, nawet jeśli ten nasz wstrętny świat to jedyne miejsce pośród gwiazd, w którym mieszka duch, muszę cię wielbić. Ale jeśli nie ma Sprawcy Gwiazd, to co miałbym

wielbić? Nie wiem. Mogę to nazwać tylko ostrym, wykwintnym smakiem egzystencji.
Ale powiedzieć tak to niemal jak nic nie powiedzieć.

IV. DALSZĄ PODRÓŻ

Musiałem spędzić na Innej Ziemi kilka lat, znacznie dłużej niż zamierzałem, gdy po raz pierwszy spotkałem tam jednego z chłopów pracujących w polu. Często tęskniłem za domem. Z bolesnym niepokojem zastanawiałem się, jak radzą sobie moi bliscy i jakie zmiany zastaną, jeśli kiedyś powrócę. Zaskoczyło mnie, że mimo wszystkich nowych wrażeń na Innej Ziemi myśli o domu wciąż były tak silne. Zdawałoby się, że dopiero chwilę wcześniej siedziałem na wzgórzu, patrząc na światła przedmieścia. Minęło jednak kilka lat. Dzieci będą niemal nie do poznania. A ich matka? Jak jej się wiedzie?

Za długość mojego pobytu na Innej Ziemi częściowo odpowiadał Bvalltu. Nie chciałem słyszeć o pożegnaniu zanim każdy z nas nie zrozumie dobrze świata drugiego. Pobudzałem wciąż jego imaginację, aby mógł wyobrazić sobie tak dokładnie jak to możliwe życie na mojej planecie i podobnie jak dla mnie jego świat, dla niego nasza Ziemia również była zdumiewająca i pełna absurdów. Nie zgadzał się nawet ze mną co do tego, który ze światów jest bardziej groteskowy.

Nie tylko chęć dzielenia się informacjami związała mnie z Bvalltu. Zaczęłem uważać go za dobrego przyjaciela. U początków naszego partnerstwa zdarzały się pewne napięcia. Choć obaj byliśmy cywilizowanymi ludźmi, którzy starali się zachowywać grzecznie i życzliwie, nasza wyjątkowa intymność czasami nas męczyła. Na przykład nużyło mnie bardzo jego zamiłowanie do smakowej sztuki jego świata. Siedział godzinami, muskając wrażliwymi palcami impregnowane sznurki, delektując się sekwencjami, które dla niego wyróżniały się subtelnością formy i symboliką. Z początku zaintrygowało mnie i poruszyło estetycznie, ale mimo jego cierplivej pomocy nie byłem w stanie w pełni docenić estetyki smaku. Prędzej czy później męczyło mnie to lub nudziło. Niecierpliwiła mnie też jego potrzeba snu. Jako że byłem bezcielesny, sam jej nie odczuwałem. Mogłem oczywiście opuścić Bvalltu i sam krążyć po świecie, ale często irytowała mnie potrzeba zakończenia interesujących wrażeń danego dnia jedynie po to, by ciało mojego gospodarza mogło odpocząć. Bvalltu zaś, zwłaszcza z początku, nie przepadał za moją zdolnością do oglądania jego snów. Na jawie był w stanie skrywać przede mną swoje myśli, ale we śnie był bezbronny. Naturalnie szybko nauczyłem się powstrzymać się przed korzystaniem z tej mocy, a on, w miarę jak darzyliśmy się coraz większym szacunkiem, już nie strzegł tak bardzo swojej prywatności.

Z czasem stwierdziliśmy, że kosztować smaku życia oddzielnie oznaczało stracić polowę jego bogactwa i niuansów. Żaden z nas nie mógł w pełni ufać własnej ocenie i motywowom o ile drugi nie dzielił się z nim szczerą, ale przyjazną krytyką.

Przyszedł nam do głowy plan, który zaspokoiłby jednocześnie naszą przyjaźń, jego zainteresowanie moim światem i moją własną tęsknotę za domem. Dlaczego mielibyśmy w jakiś sposób nie odwiedzić wspólnie mojej planety? Już raz przemierzyłem tę drogę, czy nie moglibyśmy przemierzyć jej podobnie razem? A gdy spędzimy nieco czasu na Ziemi, moglibyśmy znów wyruszyć w drogę.

Musieliśmy w tym celu zająć się dwoma różnymi kwestiami. Należało dokładnie zbadać sposób podróży międzygwiazdnych, jaki osiągnąłem zupełnym przypadkiem. Oprócz tego konieczne było odnalezienie mojego ojczystego układu planetarnego na mapach astronomicznych Innej Ziemi.

Ten geograficzny, czy raczej kosmograficzny problem okazał się nie do rozwiązania. Mimo starań nie byłem w stanie dostarczyć danych orientacyjnych. Próbuąc zlokalizować Ziemię, dokonałem jednak niesamowitego i przerażającego odkrycia. Okazało się, że odbyłem podróż nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Po pierwsze, z bardzo zaawansowanej astronomii innych ludzi wynikało, że gwiazdy tak dojrzałe jak Inne Słońce czy moje własne Słońce były rzadkie. Tymczasem w ziemskiej astronomii ten typ gwiazd był uważany za najpowszechniejszy w galaktyce. Jak to możliwe? Odkryłem wtedy jednak coś jeszcze. Galaktyka znana tamtejszym astronomom okazała się w znacznej mierze różna od tej znanej naszym. Według innych ludzi, ten przestwór gwiazd był znacznie mniej

Gość, Gospodarz, Ciało,
Duch

spłaszczony niż zgodnie z naszymi obserwacjami. Nasi astronomowie mówią, że jest jak okrągłe ciastko pięć razy szersze niż jest grube. Dla nich galaktyka była jednak jak bułeczka. Już wcześniej zdumiewała mnie rozległość Drogi Mlecznej na niebie Innej Ziemi. Zaskoczyło mnie też, że tamtejsi astronomowie uważali, iż galaktyka zawiera mnóstwo materii gazowej, która nie skupiła się jeszcze w gwiazdy. Dla naszych niemal cała składała się z gwiazd.

Czyżbym więc nieświadomie podążył znacznie dalej, niż myślałem, i udał się do innej, młodszej galaktyki? Być może w okresach ciemności, gdy z nieba zniknęły rubiny, ametysty i diamenty, przemierzyłem w rzeczywistości przestrzeń międzygalaktyczną. Z początku zdawało się to stanowić jedyne wytłumaczenie, ale pewne fakty zmusiły nas do odrzucenia go na rzecz jeszcze dziwniejszego.

Porównanie astronomii innych ludzi z moją fragmentaryczną wiedzą o naszej przekonano mnie, że cały znany im kosmos galaktyk różni się od znanego nam. Przeciętna forma galaktyk była dla nich znacznie bardziej krągła i gazowa, bardziej prymitywna niż dla nas.

Co więcej, na niebie Innej Ziemi kilka galaktyk znajdowało się dość blisko, by stanowiły wyraźne smugi światła widoczne nawet gołym okiem. A astronomowie wykazywali, że wiele z tych tak zwanych „uniwersów” znajdowało się znacznie bliżej ich „uniwersum” niż najbliższe znane naszej astronomii.

Prawda, która dotarła w końcu do mnie i do Bvalltu była w rzeczy samej oszałamiająca. Wszystko wskazywało na to, że odbyłem podróż w górę rzeki czasu i wylądowałem w odległej przeszłości, kiedy większość gwiazd wciąż była młoda. Zdumiewająca bliskość tak wielu galaktyk w astronomii innych ludzi wyjaśniała tylko teoria „rozszerzającego się wszechświata”. Wiedziałem, że dotąd była ona niepewna i niesatysfakcjonująca, ale teraz przynajmniej dysponowałem dowodem sugerującym, że musi być prawdziwa. We wczesnych epokach galaktyki były bardziej sfłoczone. Nie było wątpliwości, że zostałem przeniesiony do świata, na którym ludzkość pojawiła się na długo zanim moja ojczysta planeta wyłoniła się ze słońca.

Gdy zdałem sobie sprawę z czasowej odległości od domu, przypomniał mi się fakt, a przynajmniej możliwość, o której, co dziwne, dawno zapomniałem. Zapewne nie żyłem. Teraz rozpaczliwie pragnąłem znaleźć się w domu, który był dla mnie tak żywy, tak bliski. Choć odległość od niego liczyć należało w parsekach i eonach, zawsze znajdował się w zasięgu ręki. Gdybym tylko się *przebudził*, znalazłbym się znów na naszym wzgórzu. Ale przebudzenie nie nastąpiło. Poprzez oczy Bvalltu przyglądałem się mapom gwiazd i stronicom zapisanym dziwnym pismem. Gdy uniósł wzrok, zobaczyłem naprzeciw nas karykaturę człowieka, z żabim pyskiem, który z trudem można było uznać za twarz, z piersią garlacza, nagiego poza zielonymi pończochami i czerwonymi majtkami. Stworzenie to, które dla ludzkiego oka było po prostu potworem, na Innej Ziemi uchodziło za młodą, piękną kobietę. A ja, patrząc na nią przez oczy Bvalltu, rzeczywiście postrzegałem jej piękno. Dla umysłu zamieszkującego Inną Ziemię, jej rysy i gesty wskazywały na znaczną inteligencję. Najwyraźniej, jeśli potrafiłem podziwiać taką kobietę, sam musiałem ulec zmianie.

Zamiast snuć opowieści o wszystkich eksperymentach, dzięki którym uzyskaliśmy i udoskonaliliśmy sztukę kontrolowanych lotów poprzez przestrzeń międzygwiazdową, wystarczy powiedzieć, że po wielu przygodach nauczyliśmy się unosić z planety, gdy tylko chcieliśmy i kierować naszym kursem pośród gwiazd samą siłą woli. Wyglądało na to, że działając razem, osiągnęliśmy to z większą łatwością i dokładnością, niż gdy któryś z nas sam wyruszał w przestrzeń kosmiczną. Nasza wspólnota umysłów zdawała się wzmacniać nas nawet w ruchu pośród gwiazd.

Bardzo dziwnym doświadczeniem było znaleźć się w kosmicznej otchłani, być otoczonym jedynie przez ciemność i gwiazdy, a jednocześnie pozostawać w bliskim osobistym kontakcie z niewidocznym towarzyszem. Gdy mijaliśmy kolejne lśniące latarnie nieba, myśleliśmy do siebie o naszych doświadczeniach, dyskutowaliśmy o planach lub dzieliliśmy się wspomnieniami o naszych rodzimych światach. Czasami korzystaliśmy z mojego

języka, czasami z jego. Czasami wcale nie potrzebowaliśmy słów, a dzieliliśmy się tylko strumieniem obrazów.

Bezcielesny lot pośród gwiazd musi być najbardziej ekscytującym ze sportów. Nie był pozbawiony niebezpieczeństw, ale były one, jak szybko odkryliśmy, natury psychologicznej, nie fizycznej. W naszym niematerialnym stanie zderzenia z ciałami niebieskimi nie miały większego znaczenia. Czasami, u początków naszej przygody, przypadkiem wpadaliśmy prosto w gwiazdę. Jej wnętrze było oczywiście niewyobrażalnie gorące, ale my doświadczaliśmy jedynie jej blasku.

Psychologiczne zagrożenie było dość poważne. Odkryliśmy wkrótce, że przygnębienie, zmęczenie umysłowe, strach zmniejszały nasze możliwości ruchowe. Niejednokrotnie nieruchomieliśmy w przestrzeni, jak wrak statku na oceanie, a wywoływało to taki strach, że nie byliśmy w stanie poruszyć się, aż doświadczwszy pełnej gamy rozpaczny przeszliśmy w obojętność i w końcu w filozoficzny spokój.

Czymś jeszcze groźniejszym, co uwięziło nas tylko raz, był konflikt umysłowy. Poważny spór co do naszych przyszłych planów powodował nie tylko bezruch, ale przerażające zaburzenia psychiczne. Nasza percepcja dezorientowała nas. Halucynacje zwodziły. Znikała zdolność do formułowania spójnych myśli. Po okresie delirium, pełnym ciągłego poczucia nadchodzącej zagłady, znaleźliśmy się znów na Innej Ziemi; Bvalltu we własnym ciele, leżący w łóżku, tam, gdzie je zostawił, a ja znów jako bezcielesny punkt widzenia unoszący się gdzieś nad powierzchnią planety. Obaj byliśmy chorobliwie przerażeni i wyjście z tego stanu zajęło nam dłuższy czas. Minęły miesiące zanim wznowiliśmy nasze partnerstwo i przygodę.

Dużo później poznaliśmy przyczynę tego bolesnego wydarzenia. Najwyraźniej osiągnęliśmy tak głęboką harmonię umysłową, że gdy pojawiał się konflikt to objawiał się raczej jako dysocjacja w jednym umyśle niż niezgoda między dwoma oddzielnymi osobami. Stąd jego poważne konsekwencje.

W miarę jak nasze zdolności bezcielesnego lotu rosły, niezwykle radowało nas podążanie coraz dalej i dalej wśród gwiazd. Delektowaliśmy się rozkoszą jakby jednocześnie lotu i jazdy na łyżwach. Co jakiś czas, z czystej radości, robiliśmy „ósemkę” wokół obu partnerów w podwójnym układzie gwiazd. Czasami przez dłuższy czas pozostawaliśmy nieruchomi, by z bliska przyglądać się ich wspólnym obrotom. Często wpadaliśmy w zatłoczoną gromadę i prześlizgiwaliśmy się między jej słońcami jak samochód wśród miejskich świateł. Unosiliśmy się też nad kłębami białych gazów lub zagłębialiśmy się w mgłę, płynąc przez świat wszechobecnego porannego światła. Czasami bez ostrzeżenia pochłaniały nas czarne kontynenty pyłu, zasłaniające resztę wszechświata. Pewnego razu, gdy przemierzaliśmy gęsty region nieba, jedna z gwiazd nagle wybuchła w oślepiającym rozbłysku, stając się „nową”. Jako że otaczała ją najwyraźniej chmura ciemnego gazu, zobaczyliśmy rozszerzającą się kulę światła pochodzącego od eksplozji gwiazdy. Poruszając się z prędkością światła widzieliśmy ją w odbiciu od okolicznych gazów, jednocześnie nadymającą się jak balon i gasnącą.

To tylko parę gwiazdnych widowisk, których widokiem cieszyliśmy się, latając jak na jaskółczych skrzydłach w sąsiedztwie Innego Słońca. Miało to miejsce w okresie, gdy wciąż uczyliśmy się sztuki lotów międzygwiazdnych. Gdy uzyskaliśmy w tej kwestii biegłość, podążaliśmy coraz dalej i nauczyliśmy się latać tak szybko, że podobnie jak podczas mojego wcześniejszego, nieumyślnego lotu, gwiazdy przed nami i za nami nabrały barw, a wszystko wokół stało się czarne. Osiągnęliśmy nawet tę bardziej duchową wizję, której także doświadczylem podczas poprzedniej podróży, podczas której przewyciężyliśmy kaprysy fizycznego światła.

Pewnego razu nasz lot zabrał nas ku krawędzi galaktyki, w pozagalaktyczną pustkę. Przez jakiś czas gwiazdy rzedły i rzedły. Półkula nieba za nami pełna była teraz białych świateł, podczas gdy przed nami leżała bezgwiazdna czerń, poza paroma plamami dalszych fragmentów galaktyki lub orbitujących wokół niej „podgalaktyk”. Poza nimi ciemność była zupełna, nie licząc paru niewyraźnych punkcików, które, jak wiedzieliśmy, były najbliższymi z obcych galaktyk.

Zadziwieni tym widowiskiem staliśmy przez jakiś czas bez ruchu pośród pustki. Zaiste wstrząsającym uczuciem było widzieć przed nami całe „uniwersum” zawierające miliard gwiazd i być może tysiące zamieszkałych światów oraz wiedzieć, że każda drobna kropka na czarnym niebie była kolejnym takim „uniwersum” i że kolejne miliony z nich były niewidoczne tylko ze względu na ich ogromną odległość.

Jakie było znaczenie tego kosmicznego ogromu, tej złożoności? Same w sobie świadczyły tylko o ogromnym bezsensie i pustce. Ale z podziwem i nadzieją wmawialiśmy sobie, że stanowią obietnicę jeszcze większej złożoności i wyrafinowania, różnorodności fizycznego świata. Samo to było wystarczającym usprawiedliwieniem. Ale ta potężna obietnica, choć inspirująca, była także przerażająca.

Jak pisklę, które wygląda po raz pierwszy za krawędź gniazda, po czym cofa się z wielkiego świata do małego domu, wyszliśmy poza granice tego niewielkiego gniazda gwiazd, które tak długo, ale fałszywie, nazywano „wszechświatem”. A teraz powróciliśmy, by jeszcze raz zagłębić się w zakamarki naszej rodzimej galaktyki.

Ponieważ nasze doświadczenia sprawiły, że zdaliśmy sobie sprawę z wielu problemów teoretycznych, których nie byliśmy w stanie rozwiązać bez dalszych badań astronomicznych, postanowiliśmy powrócić na Inną Ziemię. Po długim i bezowocnym poszukiwaniu zdaliśmy sobie jednak sprawę, że zupełnie straciliśmy rozeznanie. Gwiazdy były do siebie bardzo podobne, oprócz niewielkiej ich w tej epoce liczby, które były tak stare i umiarkowane jak Inne Słońce. Szukając na oślep, ale z wielką prędkością, nie znaleźliśmy ani ojczystej planety Bvalltu ani mojej, ani też żadnego innego układu planetarnego. Sfrustrowani znów spoczęliśmy wśród pustki, by zastanowić się nad naszym losem. Po każdej stronie hebanowego nieba inkrustowanego diamentami otaczała nas enigma. Która drobinka gwiazdowego pyłu była Innym Słońcem? Typowo dla nieba tamtej epoki po wszystkich stronach widzieliśmy smugi materii mgławicowej, ale ich kształty były nieznajome i nie pomagały nam w szukaniu drogi.

Fakt, że zagubiliśmy się wśród gwiazd, nie napelniał nas niepokojem. Ekscytowała nas przygoda i obaj dodawaliśmy sobie nawzajem otuchy. Nasze ostatnie doświadczenia przyspieszyły działanie naszych umysłów, wciąż starających się dostosować do ich współdzielenia. Każdy z nas wciąż był świadom tego drugiego i siebie jako osobnych istot, ale współdzielenie i integracja naszych wspomnień i temperamentów zaszły tak daleko, że często zapominaliśmy o naszej odrębności. Dwa bezcielesne umysły zajmujące tę samą pozycję wizualną, dysponujące tymi samymi wspomnieniami i pragnieniami i często myślące te same myśli w tym samym czasie trudno uznać za odrębne byty. Ale, co dziwne, tę rosnącą jedność komplikowało coraz intensywniejsze poczucie braterstwa.

Wzajemne przenikanie naszych umysłów nie tylko zsumowało, ale pomnożyło ich bogactwo; każdy z nas znał bowiem od środka nie tylko siebie i drugiego z nas, ale także wynikającą z naszej relacji harmonię. W pewnym sensie, którego nie jestem w stanie dokładnie opisać, zlanie naszych jaźni przywołało do życia trzeci umysł, na razie nieciągły, ale bardziej subtelnie świadomy niż każdy z nas w normalnym stanie. Każdy z nas, a raczej obaj wspólnie „budziliśmy się” co jakiś czas, by stać się tym wyższym duchem. Wszystkie doświadczenia jednego z nas nabierały nowego znaczenia w świetle drugiego, a nasze dwa umysły wspólnie stawały się nowym, bardziej przenikliwym i samoświadomym. W tym stanie zwiększonej przytomności zaczęliśmy, czy też: nowy ja zaczął celowo eksplorować psychologiczne możliwości innych rodzajów istot i inteligentnych światów. Z tą nową klarownością myśli rozróżniałem we mnie i w Bvalltu te cechy, które były nieodłączną częścią ducha i te, które stanowiły jedynie wypadkową warunków panujących na naszych światach. Wkrótce okazało się to bardzo skuteczną metodą badań kosmologicznych.

Zaczęliśmy teraz wyraźniej zdawać sobie sprawę z tego, co od dawna podejrzewaliśmy. Podczas mojej poprzedniej podróży międzygwiazdowej, która zawiodła mnie na Inną Ziemię, nieświadomie pokonałem dzielący nasze światy dystans na dwa różne sposoby, za pomocą bezcielesnego lotu poprzez przestrzeń i metody, którą nazwałem „przyciąganiem psychicznym”. Polegała ona na telepatycznej projekcji umysłu na obcy świat, być może odległy w czasie i przestrzeni, ale mentalnie „dostrojony” do umysłu podróżnika w chwili

wyprawy. Najwyraźniej to ta metoda w dużej mierze sprawiła, że trafiłem na Inną Ziemię. Niezwykle podobieństwa naszych ras spowodowały silne „przyciąganie psychiczne”, znacznie silniejsze niż moje przypadkowe wędrówki pośród gwiazd. Tę metodę Bvalltu i ja zamierzaliśmy teraz opanować.

Zauważyliśmy, że już nie spoczywamy, ale dryfujemy. Mieliśmy także dziwne poczucie, że, choć pozornie znajdowaliśmy się sami pośród wielkiej pustyni gwiazd i mgławic, w rzeczywistości znajdowaliśmy się w jakiegoś rodzaju umysłowej bliskości niewidocznych intelektów. Gdy skupiliśmy się na tym uczuciu obecności, nasz dryf przyspieszył, a gdy próbowaliśmy siłą woli zmienić jego kurs, gdy tylko zaprzestaliśmy wysiłków, wracaliśmy na poprzedni. Wkrótce dryf zmienił się w pęd. Gwiazdy przed nami znów stały się fioletowe, a za nami czerwone i w końcu zniknęły.

W absolutnych ciemnościach i ciszy dyskutowaliśmy nad sytuacją. Wyraźnie przemierzaliśmy teraz przestrzeń szybciej niż samo światło. Być może także, w jakiś niepojęty sposób, przemierzaliśmy czas. Tymczasem poczucie bliskości innych istot stało się coraz silniejsze, choć wciąż nie mniej dziwaczne.

Gwiazdy znów się pojawiły. Choć przelatywały obok nas jak latające iskry, były bezbarwne i wyglądały normalnie. Jedno jasne światło znajdowało się tuż przed nami, zmieniając się z drobnej kropki w wyraźny dysk. Siłą woli zmniejszyliśmy prędkość, po czym ostrożnie okrążyliśmy to słońce, szukając. Ku naszemu zachwytowi okazało się, że orbituje wokół niego kilka z tych ziaren, na których mogło wykiełkować życie. Kierując się wyraźnym uczuciem obecności umysłów, wybraliśmy jedną z planet i powoli ruszyliśmy ku niej.

V. NIEZLICZONE ŚWIATY

I. RÓŻNORODNOŚĆ ŚWIATÓW

Planeta, ku której skierowaliśmy się po naszym długim locie pośród gwiazd była pierwszą z wielu, jakie odwiedziliśmy. Na niektórych pozostawiliśmy, zgodnie z miejscowym kalendarzem, tylko przez kilka tygodni, na innych przez kilka lat, zamieszkując wspólnie umysł jakiegoś tubylca. Często gdy nadchodził czas, by wyruszyć w dalszą drogę, nasz gospodarz towarzyszył nam w kolejnych przygodach. Gdy podróżowaliśmy od świata do świata, gromadząc doświadczenia jak warstwy geologiczne, zdawało się, że ta dziwna wyprawa trwa przez wiele żywotów. Myśli o naszych ojczystych planetach wciąż nas jednak nie opuszczały. W moim przypadku dopiero na tym wygnaniu zdałem sobie w pełni sprawę z tego, jak cenna była dla mnie Ziemia. Musiałem zrozumieć każdy świat w miarę swych możliwości, porównując go z odległą planetą, gdzie przeżyłem własne życie i przede wszystkim z tym probierzem wspólnego życia, jakie ona i ja wspólnie dla siebie stworzyliśmy.

Zanim spróbuję opisać, a raczej zasugerować ogromną różnorodność światów, jakie zwiedziłem, muszę powiedzieć kilka słów o samej podróży. Po doświadczeniach, które dopiero opisałem, jasne było, że metoda bezcielesnego lotu nie zdawała się na wiele. Owszem, dawała nam niezwykle żywą percepcję widzialnych cech naszej galaktyki i często z jej pomocą orientowaliśmy się, gdy dokonaliśmy jakiegoś nowego odkrycia z użyciem metody przyciągania psychicznego. Ale jako że dawała nam swobodę ruchu jedynie w przestrzeni, a nie w czasie i jako że układy planetarne były tak rzadkie, metoda przypadkowego fizycznego lotu niemal nie miała szans na sukces. Tymczasem przyciąganie psychiczne, gdy już je opanowaliśmy, okazało się wyjątkowo skuteczne. Metoda ta zależała od zasięgu wyobraźni naszych umysłów. Z początku, gdy ograniczało ją jedynie doświadczenie naszych własnych światów, byliśmy w stanie nawiązać kontakt tylko z planetami do nich podobnymi. Poza tym, w tej początkowej fazie pracy, natykaliśmy się wciąż na światy, które przechodziły przez ten sam duchowy kryzys, który dotyka dziś *Homo sapiens*. Wyglądało na to, że abyśmy mogli wkroczyć do danego świata, musiało istnieć jakieś podobieństwo między nami a naszymi gospodarzami.

W miarę jak odwiedzaliśmy kolejne światy, znacznie wzrosło nasze zrozumienie zasad tej metody podróży i naszych możliwości. Poza tym na każdej z planet szukaliśmy nowego współpracownika, który mógł zapewnić nam wgląd w swój świat i rozszerzyć zasięg naszej wyobraźni, pozwalając nam na dalszą eksplorację galaktyki. Ta metoda kuli śnieżnej, dzięki której mieliśmy kolejnych towarzyszy podróży, była bardzo ważna. W ostatnich etapach eksploracji dokonaliśmy odkryć, które można uznać za nieskończenie wykraczające poza możliwości pojedynczego ludzkiego umysłu.

Z początku Bvalltu i ja założyliśmy, że wybieramy się na czysto prywatną wyprawę; później zaś, gdy zabieraliśmy ze sobą kolejnych współpracowników, nadal wierzyliśmy, że jako jedyni zainicjowaliśmy eksplorację kosmosu. Po jakimś czasie nawiązaliśmy jednak kontakt psychiczny z inną grupą kosmicznych odkrywców, pochodzących z nieznanych nam wciąż światów. Po trudnych i często niepokojących eksperymentach połączyliśmy z nimi siły, najpierw nawiązując intymną więź, a następnie to dziwne zlanie jaźni, którego doświadczyliśmy wcześniej w pewnym stopniu ja i Bvalltu podczas naszej pierwszej międzygwiezdnej podróży.

Gdy napotkaliśmy coraz więcej takich grup, zdaliśmy sobie sprawę, że choć każda taka ekspedycja rozpoczęła się samotnie, wszystkim przeznaczona było prędzej czy później nawiązać ze sobą kontakt. Albowiem, niezależnie od tego, jak obce sobie były początkowo, każda zyskiwała z czasem tak wielki zasięg wyobraźni, że ostatecznie okazało się to nieuniknione.

Z czasem stało się jasne, że my, poszczególni mieszkańcy rzeszy światów, odgrywaliśmy niewielką rolę w wielkich ruchach, za pomocą których kosmos szukał poznania samego siebie i czegoś jeszcze dalej.

Mówiąc to, nie twierdzę ani przez chwilę, że, ponieważ wziąłem udział w tym ogromnym procesie kosmicznego samoodkrywania, historia, którą opowiem jest prawdziwa

w dosłownym sensie. Oczywiście nie zasługuje na to, aby brać ją za absolutną, obiektywną prawdę o kosmosie. Ja, jednostka ludzka, mogę tylko w bardzo powierzchowny i nie dość dokładny sposób wziąć udział w nadludzkiem doświadczeniu tego wspólnego „ja”, na które składali się nieprzeliczeni odkrywcy. Książka ta z konieczności stanowić musi absurdalnie fałszywą karykaturę naszej rzeczywistej przygody. Poza tym jednak, choć byliśmy i jesteśmy rzeszą pochodzącą z mnogości sfer, przedstawiamy tylko drobną cząstkę różnorodności całego kosmosu. Dlatego też nawet najwyższa chwila naszej egzystencji, gdy zdawało nam się, że przeniknęliśmy do samego serca rzeczywistości, w istocie obdarzyła nas jedynie paroma strzępkami prawdy, nie dosłownymi, ale symbolicznymi.

Mój opis tej części wyprawy, która sprowadziła mnie na światy mniej więcej ziemskiego typu można uznać za względnie rzetelny, ale to, co dotyczy bardziej obcych sfer istnienia, musi być dalsze od prawdy. Inną Ziemię opisałem zapewne nie fałszywiej niż nasi historycy opowiadają o dawnych dziejach *Homo sapiens*. Ale o mniej ludzkich światach, o wielu fantastycznych rodzajach istot, na które natknąłem się w galaktyce i całym kosmosie, a nawet dalej, z musu będę mówić na sposób, który brany dosłownie musi być niemal całkowicie nieprawdziwy. Mogę jedynie żywić nadzieję, że tkwi w nich ten rodzaj prawdy, jaki czasami znajdujemy w mitach.

Uwolnieni od przestrzeni z jednaką łatwością wyruszaliśmy ku pobliskim, jak i ku dalekim rejonom galaktyki. To, że nie nawiązywaliśmy wtedy jeszcze kontaktu z umysłami z innych galaktyk nie wynikało z żadnych ograniczeń narzucanych przez przestrzeń, ale z dziwacznych ograniczeń naszych zainteresowań, które przez dłuższy czas nie dopuszczały do siebie wpływu światów leżących poza rubieżami Drogi Mlecznej. Więcej o tym ciekawym ograniczeniu powiem, gdy opiszę, jak w końcu je przezwyciężyliśmy.

Poza swobodą podróży w przestrzeni dysponowaliśmy też swobodą podróży w czasie. Niektóre ze światów, które odkrywaliśmy w tej wczesnej fazie naszych przygód, przestały istnieć na długo przed powstaniem mojej ojczystej planety; inne były jej współczesne, a jeszcze inne narodziły się dopiero u zmięchu galaktyki, gdy Ziemia uległa już zniszczeniu i wiele gwiazd zdążyło zagasnąć.

Gdy prowadziliśmy poszukiwania pośród czasu i przestrzeni, odkrywając coraz więcej rzadkich ziarenek zwanych planetami, przyglądając się coraz to kolejnym rasom z wysiłkiem osiągającym świadomość, by upaść w wyniku zewnętrznego wypadku lub, jeszcze częściej, przez jakiś błąd w swojej naturze, coraz bardziej ciążyło nam poczucie bezsensu, braku celu w kosmosie. Kilka światów rzeczywiście osiągnęło poziom świadomości wykraczający poza nasze pojęcie. Ale najwybitniejsze z nich uczyniły to w najwcześniejszej epoce historii galaktyki i nic, co odkryliśmy w późniejszych fazach rozwoju kosmosu nie sugerowało, że jakkolwiek galaktyka, czy też cały kosmos, był pod wpływem przebudzonego ducha w większym stopniu niż w tej pradawnej erze. Dopiero dużo później udało nam się odkryć wspomniały, ale ironiczny i łamiący serce punkt kulminacyjny, dla którego wcześniejsze światy stanowiły jedynie prolog.

W pierwszej fazie przygody, gdy, jak już wspominałem, nasze moce telepatycznej eksploracji były wciąż niekompletne, każdy świat, w jaki wkraczaliśmy, okazywał się podlegać temu samemu kryzysowi duchowemu, jaki znaleźliśmy z ojczystych planet. Kryzys ten, jak stwierdziłem, miał dwa aspekty. Stanowił on chwilę walki ducha o to, by stać się zdolnym do prawdziwej wspólnoty na globalną skalę i jednocześnie etap wielowiekowych starań o osiągnięcie odpowiedniego, duchowego nastawienia względem wszechświata.

Na każdym z tych „larwalnych” światów zjawiała się miliardy istot, jedna po drugiej, dryfując po omacku przez kilka chwil w kosmicznej skali zanim w końcu gasły. Większość była zdolna, przynajmniej w skromnym stopniu, do intymnej wspólnoty osobistej czułości, ale dla niemal wszystkich z nich obca osoba była kimś, kogo należało bać się i nienawidzić. I nawet ich intymna miłość była niestała i brakowało jej pełnego zrozumienia. Mieszkańcy tych światów niemal zawsze szukali jedynie odpoczynku od zmęczenia i nudy, strachu i głodu. Jak moja własna rasa, nigdy w pełni nie przebudzili się z pierwotnego, podludzkiego snu. Jedynie garstkę z nich, od czasu do czasu, koily, napędzały czy dręczyły chwile prawdziwego przebudzenia. Jeszcze mniej osiągnęło jasny, stały wgląd

choćby w ułamek prawdy i brało swoje półprawdy za prawdę absolutną. Głosząc swoje częściowe prawdy, dezorientowali i zwodzili resztę śmiertelników w takim samym stopniu, jak im pomagali.

Każda z tych dusz, na każdym ze światów, w jakimś momencie życia osiągała niski punkt kulminacyjny świadomości i spójności duchowej, aby potem powoli lub katastrofalnie szybko znów osunąć się w pustkę. Jak na moim własnym świecie, tak i na pozostałych, spędzano żywoty na pogoni za cieniami czekającymi zawsze tuż za rogiem. Przeżywano długie okresy nudy i frustracji, przerywane rzadkimi chwilami radości. Doświadczano ekstazy osobistych triumfów, miłości czy przeblysków intelektu albo twórczości artystycznej. Istniały także ekstazy religijne, ale, jak wszystko inne na tych światach, zciemniały je fałszywe interpretacje. Były też szalone ekstazy nienawiści i okrucieństwa wobec jednostek i grup. Czasami w tej wczesnej fazie podróży tak bolał nas ogrom cierpienia i okrucieństwa, że zawodziła nas odwaga, nasze moce telepatyczne ogarniał chaos i staczaliśmy się ku szaleństwu.

Ale większość światów nie była tak naprawdę gorsza niż nasz. Jak my, ich mieszkańcy osiągnęli etap, w którym duch, na poły przebudzony z bestialstwa i daleki od dojrzałości, potrafi najtragiczniej cierpieć i zachowywać się najokrutniej. I jak nas, te tragiczne, lecz pełne życia światy, odwiedzane przez nas na tym wczesnym etapie, ogarniała rozpacz wynikająca z niezdolności ich umysłów do nadążenia za zmieniającymi się okolicznościami. Zawsze pozostawały z tyłu, zawsze niepotrzebnie stosowały dawne koncepcje i idee do nowych sytuacji. Jak nas, zawsze dręczył ich głód wspólnoty, której wciąż pożąдали, ale której ich biedne, tchórzliwe, samolubne dusze nie były w stanie osiągnąć. Byli do tego zdolni w parach i małych kręgach przyjaciół, tylko tam czuli wzajemny szacunek, miłość i potrafili zrozumieć się nawzajem. Ale w plemionach i narodach zbyt łatwo podporządkowywali się fałszywej stadnej wspólnotce, wyjąc jednym głosem strachu i nienawiści.

Zwłaszcza w jednej kwestii rasy te przypominały naszą. Każda wyrosła z dziwnej mieszanki przemocy i łagodności. Apostołowie wojny i pokojowej łagodności ciągnęli ich w tę czy inną stronę. W czasie naszej wizyty wiele z tych światów znajdowało się w wynikającym z tego konfliktu kryzysie. W niedalekiej przeszłości wiele mówiono o łagodności, tolerancji i wolności, ale bezskutecznie, bo nie było w tym szczerości, przekonania, prawdziwego doświadczenia szacunku dla poszczególnych osób. Kwitła wszelkiego rodzaju samolubność i mściwość, z początku w ukryciu, a następnie otwarcie, w formie bezwstydного indywidualizmu. Aż w końcu ludzie gniewnie odwracali się od indywidualizmu i pogrążali się w kulcie stada. Jednocześnie, oburzeni porażką łagodności, zaczęli otwarcie chwalić przemoc i bezlitosność przysłanego przez bogów bohatera i zbrojnego plemienia. Ci, którzy myśleli, że wierzą w łagodność zbroili się przeciw obcym plemionom, które oskarżali o wiarę w przemoc. Wysoce rozwinięta technika przemocy groziła zniszczeniem cywilizacji; z roku na rok łagodność marniała. Niewielu rozumiało, że ich świat potrzebuje ratunku nie poprzez zastosowanie krótkotrwałej przemocy, ale poprzez długotrwałe oddziaływanie łagodności. A jeszcze mniej z nich widziało, że aby jej działanie było skuteczne, łagodność musi stanowić religię; i że trwałe pokój nie nastanie, póki większość nie przebudzi w sobie świadomości, którą na każdym z tych światów osiągało niewielu.

Gdybym miał opisać w szczegółach każdy ze światów, jaki odwiedziliśmy, książka ta stałaby się całym światem bibliotek. Mogę poświęcić jedynie kilka stron różnym rodzajom napotkanych na tym wczesnym etapie światów, wzdłuż, wszerz i przez cały czas istnienia naszej galaktyki. Niektóre z tych typów występowały tylko kilkakrotnie, zaś innych były dziesiątki lub setki.

Najliczniejsze ze wszystkich klas inteligentnych światów są te, do których zalicza się planeta znana czytelnikom tej książki. *Homo sapiens* od niedawna pochlebia sobie i boi się tego, że choć być może nie stanowi jedynej inteligencji w kosmosie to przynajmniej jest wyjątkowy, że światy nadające się dla inteligentnego życia muszą być niezwykle rzadkie. Pogląd ten okazuje się absurdalnie fałszywy. W porównaniu z niewyobrażalną liczbą gwiazd inteligentne światy rzeczywiście są rzadkie, ale odkryliśmy tysiące podobnych do Ziemi, zamieszkałych przez istoty będące w zasadzie ludźmi, nawet jeśli powierzchownie nie zawsze ich przypominały. Inni ludzie należeli do tych najbardziej zbliżonych do ludzi, ale w dalszych etapach podróży, gdy nasze badania nie ograniczały się już do swia-

tów, które osiągnęły znajomy etap kryzysu duchowego, natknęliśmy się na kilka planet zamieszkałych przez rasy niemal identyczne z *Homo sapiens*, a raczej ze stworzeniami, jakimi *Homo sapiens* byli u początków swego istnienia. Nie napotkaliśmy tych najbardziej ludzkich ze światów wcześniej, ponieważ w wyniku takiego czy innego wypadku uległy zniszczeniu, zanim uzyskały podobny do naszego poziom umysłowy.

Przez długi czas, choć już udało nam się poszerzyć zakres naszych badań od równych nam światów do światów stojących niżej w rozwoju, nadal nie byliśmy w stanie nawiązać kontaktu z istotami, których osiągnięcia wykraczały poza te uzyskane przez *Homo sapiens*. I choć przyglądaliśmy się historii wielu światów poprzez różne epoki i widzieliśmy, jak wiele z nich spotyka katastrofalny koniec lub dopada stagnacja i rozkład, istniało kilka, z którymi traciiliśmy połączenie w chwili, gdy zdawały się gotowe na skok naprzód, ku jakiejś bardziej rozwiniętej mentalności. Dopiero dużo później, gdy nasza istota wzbogaciła się o wiele wyższych duchowo jednostek, udało nam się przyjrzeć dalszej części ich biografii.

2. DZIWNE LUDZKOŚCI

Choć wszystkie światy, które odwiedziliśmy w pierwszej fazie naszych przygód ogarniał kryzys znany nam tak dobrze z Ziemi, niektóre zamieszkałe były przez rasy biologicznie podobne do człowieka, a inne przez znacznie się od niego różniące. Gatunki w bardziej oczywisty sposób zbliżone do ludzi zamieszkiwały planety o podobnych rozmiarach i cechach jak Ziemia czy Inna Ziemia. Mimo różnej historii biologicznej wszystkie ostatecznie, w wyniku warunków przyrodniczych, osiągnęły wyprostowaną formę ewidentnie najlepiej sprawdzającą się na tych światach. Niemal zawsze dwie dolne kończyny służyły do poruszania się, a dwie górne były chwytne. Zazwyczaj istniał jakiś rodzaj głowy zawierającej mózg i organy zmysłowe oraz być może otwory służące do jedzenia i oddychania. Pod względem rozmiarów te quasi-ludzkie typy rzadko bywały większe od największych z goryli i rzadko mniejsze od pawianów. Nie mogliśmy jednak dokładnie określić ich rozmiarów bez znajomych standardów miar.

Pośród tej względnie ludzkiej klasy istniała wielka różnorodność. Napotkaliśmy opierzonych pingwinoludzi pochodzących od lotnych ptaków, a na niektórych planetach nawet ptakoludzi, którzy zachowali zdolność lotu będąc w stanie rozwinać odpowiednio ludzki mózg, nawet na dużych planetach o wyjątkowo wypornej atmosferze. Byli też ludzie pochodzący od ślimakowatych przodków nie będących kręgowcami, nie mówiąc już o ssakach. Tego rodzaju ludzie osiągnęli odpowiednią sztywność i elastyczność kończyn dzięki wewnętrznej sieci przypominających druty kości.

Na jednej, bardzo małej, ale nadal podobnej Ziemi planecie odkryliśmy quasi-ludzką rasę, która zapewne była jedyna w swoim rodzaju. Choć życie rozwinęło się tu podobnie jak na Ziemi, wszystkie wyższe gatunki zwierząt różniły się znacznie od znanych nam pod jednym oczywistym względem. Brakowało im podwójności organów charakteryzującej wszystkie nasze kręgowce. Człowiek z tego świata był więc raczej jak połowa ziemskiego. Skakał na jednej nodze o rozczapierzonej stopie, utrzymując równowagę dzięki kangurzemu ogonowi. Z jego piersi wystawała jedna ręka, ale rozdzielała się na trzy przedramiona z chwytными palcami. Nad ustami miał jedno nozdrze, wyżej ucho, a na czubku głowy elastyczną trąbę z trzema odnogami, z których wyrastało troje oczu.

Odmienny i dość powszechny typ quasi-człowieka występował czasami na planetach większych od Ziemi. Ze względu na silne przyciąganie pojawiały się tam sześcionogi zamiast znajomych czworonogów, w tym sześcionogie zwierzęta ryjące, smukłe i eleganckie sześcionogie kopytne, sześcionogie mamuty łącznie z wielkimi ciosami i wiele rodzajów sześcionogich mięsożerców. Człowiek na tych światach pochodził zwykle od jakichś małych przypominających opopy zwierząt, które zaczęły używać pierwszej z trzech par kończyn do budowy gniazd i wspinaczki. Z czasem przednia część ciała stawała się wyprostowana i przyjmowała formę zbliżoną do czworonoga z ludzkim torsem zamiast szyi, czyli w zasadzie centaury, z czterema nogami i dwiema rękami. Dziwnie było znaleźć się na świecie, gdzie wszystkie zdobycze cywilizacyjne stworzono z myślą o ludziach tego rodzaju.

Na jednym z tych światów, nieco mniejszym od reszty, człowiek nie był centaurem, choć centaury należały do jego dalekich przodków. Na podludzkich etapach ewolucji presja środowiskowa skróciła poziomą część ciała centaury tak, że przednie i tylne nogi zbliżyły się coraz bardziej do siebie, aż w końcu stały się jedną parą grubych kończyn. Człowiek i jego najbliżsi przodkowie byli więc dwunogami z dużymi dolnymi kończynami, wyglądającymi jak kobiety w wiktoriańskich turniurach, a wewnętrzna struktura ich nóg wciąż uwidaczniała ich „centaurze” pochodzenie.

Jeden nierzadki rodzaj quasi-ludzkiego świata muszę opisać bardziej szczegółowo, jako że odrywa ważną rolę w historii naszej galaktyki. Na tych planetach człowiek, choć jego forma i losy bywały bardzo różne, pochodził od pewnego rodzaju pięcioramiennego zwierzęcia morskiego podobnego do rozgwiazdy. Stworzenia te z czasem wyspecjalizowały swe ramiona i jedno ramię przeznaczyły do postrzegania, a cztery do ruchu. Następnie wykształciły płuca, złożony układ pokarmowy i dobrze zintegrowany układ nerwowy. Później w kończynie percepcyjnej powstawał mózg, a pozostałe skupiły się na bieganiu i wspinaczce. Kolce pokrywające ciało pierwotnych rozgwiazd często stawały się czymś w rodzaju najezonego futra. Z czasem powstawały wyprostowane, inteligentne dwunogi, z oczami, nozdrzami, uszami, organami smaku i czasami percepcji elektrycznej. Poza groteskowymi twarzami i poza tym szczegółem, że ich usta zwykle znajdowały się na brzuchu, stworzenia te były zdumiewająco ludzkie. Ich ciała pokrywały jednak zwykle miękkie kolce lub grube włosy charakterystyczne dla tych światów. Na ich planetach nie znano ubrań, nie licząc ochrony przed chłodem w regionach arktycznych. Ich twarze oczywiście różniły się znacznie od ludzkich. Wysokie głowy często otoczone były wieńcem pięciorga oczu. Duże, pojedyncze nozdrze, używane do oddychania i węchu, a także mowy, było kolejnym kręgiem pod oczami.

Wygląd tych „ludzkich szkarłupni” sprawiał mylne wrażenie, bo choć ich twarze były nieludzkie, to ich umysły zbliżone były do naszych. Ich zmysły były jak nasze, poza światami, gdzie wykształciły znacznie większą wrażliwość na barwy. Rasy dysponujące zmysłem elektrycznym sprawiały nam pewne trudności; aby zrozumieć ich myśli musieliśmy nauczyć się nowej gamy wrażeń zmysłowych i niezrozumiałej symboliki. Organy elektryczne wykrywały bardzo drobne różnice ładunku elektrycznego w odniesieniu do ciała osobnika. Początkowo zmysł ten używany był do wykrywania wrogów atakujących za pomocą elektryczności, ale w przypadku ludzi miał on znaczenie głównie społeczne, przekazując innym informacje o stanie emocjonalnym danej osoby. Poza tym pełnił funkcję meteorologiczną.

Jeden przykład tego rodzaju świata, który dobrze ten typ ilustruje, a jednocześnie ma ciekawe cechy szczególne, muszę opisać bardziej szczegółowo.

Kluczem do zrozumienia zamieszkującej go rasy jest, jak uważam, jej dziwna, społeczna metoda rozmnażania. Z każdego osobnika mógł wypączkować nowy osobnik, ale tylko w określonych porach roku i po stymulacji za pomocą swego rodzaju pyłku wypuszczanego przez całe plemię i unoszącego się w powietrzu. Mikroskopijne ziarenka tego pyłku nie były komórkami, ale „genami”, elementarnymi jednostkami dziedziczenia. Okolice zamieszkane przez plemię były czasem tylko lekko przyprószone tym wspólnym pyłkiem, ale w okresach odczuwania przez zbiorowość gwałtownych emocji jego chmura stawała się tak gęsta, że rzeczywiście widać ją było jako mgiełkę. Tylko w takich rzadkich chwilach możliwe było poczęcie. Wydychany przez każdego osobnika pyłek wdychany był przez te, które gotowe były na zapłodnienie. Wszyscy doświadczali go jako bogaty, subtelny zapach, do którego każdy dodawał własną szczególną woń. Dzięki ciekawemu mechanizmowi psychiczno-fizjologicznemu osobnik w rui pożywał stymulacji pełnym aromatem całego plemienia albo przynajmniej większości jego członków. Jeśli chmury pyłku były nie dość złożone, poczęcie nie następowało. Krzyżowanie się plemion występowało kiedyś w przypadkach walk między nimi, a współcześnie dzięki nieustannym migracjom.

Wśród tej rasy każdy osobnik mógł więc zrodzić dzieci. Każde dziecko, choć miało indywidualną matkę, spłodzone było przez całe plemię. Pączkujący rodzice byli traktowani jako świętość i opiekowała się nimi cała społeczność. Gdy młody szkarłupień w końcu odłączał się od ciała rodzica, również całe plemię opiekowało się nim wraz z resztą młodych. W cywilizowanych społeczeństwach oddawano je zawodowym pielęgniarzom i nauczycielom.

Muszę opowiedzieć nieco o psychologicznych skutkach tego rodzaju reprodukcji. Rozkosze i odrazy, które odczuwamy w kontakcie z ciałem innych ludzi były tam nieznane. Tamtejsze osobniki głęboko poruszała zmieniająca się wciąż woń plemienia. Nie da się opisać dziwacznej odmiany miłości romantycznej, jaką istoty te co jakiś czas czuły względem plemienia. Zduszanie, wypieranie, wypaczanie tej pasji było źródłem najwyższych, jak i najplugawszych osiągnięć tej rasy.

Wspólnotowe rodzicielstwo dawało plemieniu jedność i siłę nieznaną wśród bardziej indywidualistycznych gatunków. Prymitywne plemiona stanowiły grupy liczące od kilkuset do kilku tysięcy jednostek, ale współcześnie ich liczebność znacznie wzrosła. Zdrowe poczucie plemiennej lojalności musiało jednak zawsze opierać się na osobistej znajomości jego członków. Nawet w największych z nich każdy był przynajmniej „znajomym znajomego znajomego”. Telefon, radio i telewizja pozwalały plemionom wielkości naszych miasteczek na zachowanie odpowiedniego stopnia zażyłości osobistej między mieszkańcami.

Zawsze jednak istniał pewien punkt, poza którym dalszy rozrost plemienia był szkodliwy. Nawet w najmniejszych i najinteligentniejszych z plemion występowało stałe napięcie między miłością osobnika do plemienia a jego szacunkiem dla indywidualności własnej i współziomków. Ale podczas gdy w małych wspólnotach i zdrowych, dużych zbiorowościach utrzymywano zdrowego, plemiennego ducha dzięki wzajemnemu szacunkowi i poczuciu własnej wartości ich członków, w największych z nich, niezdrowych, hipnotyczny wpływ plemienia zwykł zduszać osobowość. Należące do niego osobniki mogły nawet stracić wszelką świadomość siebie samych i pozostałych jako osób i stać się tylko bezmyślnymi organami plemienia. W ten sposób dochodziło do degradacji społeczności do stanu kierującego się instynktem zwierzęcego stada.

Poprzez wieki wielkie umysły tej rasy zdawały sobie sprawę z najwyższej pokusy, jaką jest poddanie swojej indywidualności plemieniu. Prorocy wielokrotnie nawoływali ludzi, by pozostawali wierni samym sobie, ale głosili to niemal zawsze na próżno. Największe z religii tego dziwnego świata nie były religiami miłości, ale religiami indywidualizmu. Podczas gdy na naszym świecie ludzie pragną utopii, w której wszyscy miłują się nawzajem, szkarłupnie wyrażały religijny głód dla siły pozostania jednostką bez kapitulacji na rzecz plemienia. Tak jak my kompensujemy sobie chroniczną samolubność religijną czcią oddawaną społeczności, tak ta rasa kompensowała sobie chroniczną wspólnotowość czcząc ludzką odrębność.

W najczystszej, najbardziej rozwiniętej formie, religia indywidualizmu jest oczywiście niemal identyczna z najlepszymi formami religii miłości. Miłością jest życzenie ukochanym samospelnienia i odnalezienie w samej miłości życiodajnego wzmocnienia samego siebie. Z drugiej strony bycie wiernym sobie, swojemu prawdziwemu potencjałowi, wymaga aktu miłości, dyscypliny jednostki w służbie większej całości, która obejmuje społeczność i spełnienie jej ducha.

Religia odrębności nie była jednak skuteczniejsza wśród szkarłupni niż religia miłości na Ziemi. Przykazanie, by kochać bliźniego jak siebie samego, często sprawia, że widzimy bliźnich tylko jako kiepską imitację nas samych i nienawidzimy ich, jeśli okażą się inni. U tamtych zaś przykazanie, by być wiernym samemu sobie sprawia jedynie, że są wierni mentalności plemienia.

Współczesna cywilizacja przemysłowa sprawiła, że wiele plemion rozrosło się poza zdrowe granice. Powstały też nadplemiona, czy też plemiona plemion, odpowiadające naszym narodom czy klasom społecznym. Jako że jednostką ekonomiczną było równościowe wewnętrznie plemię, a nie jednostka, klasa posiadaczy składała się z niewielkiej grupy małych, zamożnych plemion, a klasa robotnicza z dużej liczby wielkich, ubogich plemion. Ideologie nadplemion miały absolutną władzę nad indywidualnymi podlegającymi im umysłami.

W cywilizowanych regionach nadplemiona i przerośnięte naturalne plemiona wytworzyły zadziwiającą tyranie umysłową. W odniesieniu do naturalnego plemienia, przynajmniej jeśli było małe i naprawdę cywilizowane, jednostka wciąż mogła wykazywać się inteligencją i wyobraźnią. Ze współziomkami utrzymywać zaś mogła więzi silniejsze niż jakiegokolwiek znane na Ziemi. Mogła być krytyczną, szanującą samą siebie i innych osobą. Ale w kwestiach związanych z nadplemionami, czy narodowymi, czy też ekono-

Religia

micznymi, jej zachowanie było inne. Wszelkie idee przychodzące do niej usankcjonowane przez nację czy klasę akceptowane były bezkrytycznie i z ferworem. Gdy tylko napotykała jeden z symboli czy sloganów nadplemienia, przestawała być osobą ludzką i stawała się jakimś rodzajem bezmózgiego zwierzęcia, zdolnego tylko do odruchowych reakcji. W ekstremalnych przypadkach jego umysł był zupełnie zamknięty na wpływy przeciwne sugestiom nadplemienia. Krytyka spotykała się albo ze ślełą wściekłością albo w ogóle nie była wysłuchiwana. Osoby, które w intymnej społeczności rodzimego plemienia zdolne były do wnikliwego myślenia i empatii, mogły nagle, w odpowiedzi na nadplemienne symbole, przejawiać szaloną nietolerancję i nienawiść skierowaną przeciwko wrogom narodowym czy klasowym. Zdolne były wtedy do ekstremalnego samopoświęcenia dla rzekomej chwały nadplemienia. Wykazywały też wielki spryt, szukając sposobów zaspokojenia żądzdy przemocy na wrogach, którzy w sprzyjających okolicznościach byliby tak samo przyjaźni i inteligentni jak one.

W czasie naszej wizyty na tym świecie zdawało się, że żądze motłochu zupełnie i nieodwracalnie zniszczą tę cywilizację. Świat kierował się w coraz większym stopniu manią nadplemienności, nie inteligentnie, ale zgodnie z emocjonalnymi odruchami wywoływanymi przez niemal bezsensowne slogany.

Muszę jednak powiedzieć, że po okresie chaosu w tym niespokojnym świecie zaczęła się szerzyć nowy sposób życia. Możliwe to było jednak dopiero wtedy, gdy nadplemiona uległy dezintegracji na skutek sił ekonomicznych zmechanizowanego przemysłu i w wyniku własnego szaleńczego konfliktu. Wtedy dopiero poszczególne umysły odzyskały wolność i zmieniła się perspektywa całej rasy.

To na tym świecie po raz pierwszy doświadczyliśmy owej zagadkowej utraty kontaktu z tubylcami w chwili gdy, ustanowiwszy pewnego rodzaju utopię na całej planecie, zaczęli odczuwać te pierwsze bolesne poruszenia ducha przed osiągnięciem płaszczyzny umysłowej znajdującej się poza naszym zasięgiem, a przynajmniej poza pojęciem, jakim wówczas dysponowaliśmy.

Z pozostałych zamieszkałych przez „szkarłupnie” światów naszej galaktyki, jeden, ponadprzeciętnie obiecujący, szybko osiągnął wysoki poziom rozwoju, ale uległ zniszczeniu w astronomicznej katastrofie. Jego cały układ słoneczny znalazł się na drodze gęstej mgławicy. Powierzchnia każdej z planet stopiła się. Na kilku światach tego rodzaju ujrzeliśmy, jak starania o przebudzenie wyższego poziomu umysłowego nie powiodły się. Mściwe i przesadne sekty eksterminowały najlepsze umysły swej rasy i otepiły pozostałe zwyczajami i zasadami tak szkodliwymi, że zniszczyły na zawsze kluczowe źródła wrażliwości i elastyczności, od których zależy wszelki postęp umysłowy.

Wiele tysięcy innych quasi-ludzkich światów także spotkał przedwczesny koniec. Jeden, na którym doszło do ciekawej katastrofy, zasługuje być może na szerszą wzmiankę. Znaleźliśmy tam rasę bardzo ludzkiego rodzaju. Gdy jej cywilizacja osiągnęła poziom podobny do naszego, etap, na którym ideały mas pozbawione są przewodnictwa jakiegokolwiek tradycji, w którym nauki przyrodnicze podporządkowane są indywidualistycznemu przemysłowi, biologowie odkryli technikę sztucznego zapłodnienia. W czasie gdy się to stało, szeroko panował tam kult irracjonalizmu, instynktu, bezlitosności oraz „boskiego”, prymitywnego „człowieka-brutala”. Postać tę podziwiano, zwłaszcza gdy łączyła w sobie brutalność z charyzmą, która pozwalała im pociągać za sobą tłumy. W kilku krajach panowali tego rodzaju tyrani, a w państwach, powiedzmy, demokratycznych podobni politycy byli faworyzowani przez wyborców.

W obu rodzajach krajów kobiety pożądały „brutali” jako kochanków i ojców ich dzieci. Jako że w krajach „demokratycznych” kobiety osiągnęły znaczną niezależność ekonomiczną, ich chęć zapłodnienia przez „brutali” sprawiła, że zostało to poddane komercjalizacji. Mężczyźni odpowiedniego typu byli oceniani przez korporacje i przyporządkowywani do jednej z pięciu kategorii. Za umiarkowaną opłatą, zależną od kategorii ojca, każda kobieta mogła sobie na to pozwolić. Piąta kategoria była tak tania, że tylko najbiedniejszych nie było stać na jej usługi. Cena prawdziwej kopulacji z samcem nawet najniższej kategorii była oczywiście wyższa z uwagi na ograniczoną podaż.

W krajach niedemokratycznych sprawy wyglądały jednak inaczej. W każdym z tych regionów tyran modnego typu skupiał na sobie uwielbienie całego społeczeństwa. Był

bohaterem, boskim posłańcem. Każda kobieta marzyła o nim, jeśli nie jako o kochanku, to choćby o ojcu jej dzieci. W niektórych krajach sztuczne zapłodnienie przez władcę było dozwolone tylko jako szczególne wyróżnienie dla idealnych kobiet. Zwykle kobiety z każdej klasy mogły jednak zostać zapłodnione przez arystokratycznego samca-brutala. W innych krajach władca sam stał się ojcem całej przyszłej ludności.

Na skutek tego niezwykłego zwyczaju, sztucznego ojcostwa ze strony „brutali”, praktykowanego powszechnie w ciągu jednego pokolenia i w mniejszym stopniu przez dłuższy okres, zmienił się skład całej quasi-ludzkiej rasy. Aby zachować przystosowanie do zmieniającego się ciągle środowiska gatunek musi pod każdym względem zachować choć odrobinę wrażliwości i oryginalności. Na tym świecie cechy te były teraz jednak w zniknięciu i złożone problemy nawarstwiały się. Cywilizacja uległa rozkładowi. Rasa wkroczyła w fazę, którą można nazwać pseudo-cywilizowanym barbarzyństwem, w zasadzie stając się podludzka i niezdolna do zmian. Stan ten trwał przez kilka milionów lat, aż w końcu cały gatunek uległ zagładzie w wyniku spustoszeń poczynionych przez niewielkie, podobne do szczura zwierzę, przed którym nie udało mu się ochronić.

Nie mogę teraz opisać w pełni dziwnych losów wszystkich innych quasi-ludzkich światów. Wspomnę tylko, że na niektórych, choć cywilizacja uległa zniszczeniu w wyniku kolejnych, dzikich wojen, udało się ją jednak odbudować. Na jednym krucha równowaga starego i nowego zdawała się trwać w nieskończoność. Na innym, gdzie nauka zaszła zbyt daleko u zbyt niedojrzałego gatunku, ludzie przypadkiem doprowadzili do eksplozji planety wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami. Na kilku dialektyczne procesy historii przerwała inwazja i podbój planety przez przybyszy z innego świata. Te i inne katastrofy, które opiszę w swoim czasie, dziesiątkowały galaktyczną populację.

Na koniec wspomnę, że na jednym czy dwóch z tych quasi-ludzkich światów podczas typowego światowego kryzysu pojawiła się naturalnie nowa, lepsza biologicznie rasa, która uzyskała władzę dzięki znacznej inteligencji i empatii, przejęła władzę nad planetą i przekonała dotychczas dominującą rasę, by przestała się rozmnażać, jednocześnie sama zaludniając świat własnym, lepszym rodzajem i tworząc rasę ludzką, która stworzyła wysoce rozwiniętą wspólnotę i przekroczyła wkrótce granice naszego poznania. Zanim straciliśmy z nimi kontakt, zaskoczyło nas, że gdy nowy gatunek zastąpił stary i przejął polityczną i ekonomiczną władzę nad światem, zdał sobie ze śmiechem sprawę z marności tego gorączkowego i bezcelowego życia. Na naszych oczach stary porządek zaczął ustępować nowemu, prostszemu, w którym świat zaludniony miał być przez małe, „arystokratyczne” społeczności obsługiwane przez maszyny, społeczności wolne zarówno od znoju, jak i luksusu i skupione na eksploracji kosmosu i umysłu.

To przejście do prostszego życia miało miejsce na kilku innych światach nie dzięki interwencji nowego gatunku, ale po prostu dzięki zwycięstwu nowej mentalności w walce ze starą.

3. ŁODZIKOWCE

W miarę jak odkrywaliśmy kolejne światy i dołączali do nas pomocnicy z wielu z nich, nasze zrozumienie natury obcych rosło. Choć nadal nasze badania ograniczały się do ras, które osiągnęły etap znajomego kryzysu duchowego, stopniowo uzyskiwaliśmy możliwość nawiązania kontaktu z istotami, których umysły odległe były od ludzkich. Muszę teraz spróbować opisać główne typy tych „nieludzkich” inteligentnych światów. W niektórych przypadkach różnice w porównaniu z ludzkością, choć uderzające pod względem fizycznym i znaczne pod względem psychicznym, nie były aż tak daleko posunięte, jak w tych, które opiszę w kolejnym rozdziale.

Ogólnie rzecz biorąc, fizyczne i umysłowe formy świadomych istot stanowią wyraz charakteru planet, na których egzystują. Na przykład na pewnych dużych, pokrytych oceanami planetach cywilizację zbudowały organizmy morskie. Na tych wielkich światach nie powstały żadne stworzenia lądowe wielkości człowieka, jako że grawitacja przyspilałaby je do ziemi. Ale w wodzie nie było takich ograniczeń. Jedną charakterystyczną cechą tych wielkich światów było to, że z uwagi na miazdzącą siłę grawitacji, na ich powierzchni

Morze

nie było wielkich gór ani zagłębień. Pokryte były więc zwykle płytkim oceanem, tu i tam przerywanym archipelagami małych, niskich wysepek.

Opiszę jeden przykład tego rodzaju świata, największą planetę krążącą wokół jasnego słońca. Położona, o ile dobrze pamiętam, w pobliżu zatłoczonego serca galaktyki, gwiazda ta narodziła się późno w historii Drogi Mlecznej i zrodziła planety dopiero wtedy, gdy wiele ze starszych gwiazd pokrywała zastygająca lava. Dzięki potężnemu promieniowaniu słonecznemu bliższe gwiazdzie planety miały (lub też będą miały) burzliwe klimaty. Na jednej z nich stworzenie podobne do ziemskich mięczaków, żyjące w przybrzeżnych płycznach, uzyskało zdolność do dryfowania w przypominającej łódź skorupie po powierzchni morza, podążając za dryfującym roślinnym pożywieniem. W miarę upływu wieków skorupa zaczęła być bardziej sterowna i zwykły dryf uzupełnił prymitywny żagiel, membrana wyrastająca z tylnej części zwierzęcia. Z czasem z tego rodzaju łodzicowców wyewoluowało mrowie gatunków. Niektóre z nich pozostały małe, ale dla innych korzystne okazały się znaczne rozmiary i stały się one żywymi statkami. Jeden z nich stał się inteligentnym władcą tego wielkiego świata.

Jego kadłub był sztywnym, smukłym statkiem o kształcie przypominającym dziewiętnastowieczny kliper, większym od naszych największych wielorybów. Na jego rufie macka czy też płetwa przybrała formę steru, który czasami służył też jako śruba napędowa. I choć wszystkie te gatunki były w stanie w pewnym stopniu same poruszać się po oceanie, na dalekich dystansach korzystały z wielkich żagli. Proste membrany ich przodków przekształciły się w system przypominających pergamin żagli i kościstych masztów, podlegających świadomej kontroli mięśni. Podobieństwo do statku zwiększały spoglądające w dół oczy, każde po jednej ze stron dziobu. Na szczycie grotmasztu znajdowała się druga para oczu, spoglądających na horyzont. Organ wykrywający fale magnetyczne w mózgu dawał im dobre wyczucie kierunku. Na rufie statku znajdowały się dwie chwytne macki, które podczas ruchu przylegały ściśle do burt, ale w razie potrzeby stanowiły zręczną parę rąk.

Wydawać się może dziwne, że tego rodzaju gatunek rozwinął ludzką inteligencję. Taki wynik był jednak dziełem przypadku na więcej niż jednym świecie. Zmiana diety z roślinnej na mięsną spowodowała znaczny wzrost zwierzęcego sprytu w pogoni za znacznie szybszymi stworzeniami podmorskimi. Zmysł słuchu był wspaniale rozwinięty, jako że ruch ryb na dalszych odległościach wykrywalny był za pomocą podwodnych uszu. Idące wzdłuż żęz¹⁰ organy smaku odpowiadały na zmieniający się skład wody i pozwalały łowcom na śledzenie zwierzyny. Czuły słuch i smak w połączeniu ze wszystkożernością, różnorodnością zachowań i rozwiniętą strukturą społeczną sprzyjały wzrostowi inteligencji.

Mowa, kluczowe medium rozwiniętego umysłu, przyjmowała na tym świecie dwie formy. Na potrzeby komunikacji bliskiego zasięgu nasłuchiowano z pomocą podwodnych uszu rytmicznych emisji gazów z otworu na rufie organizmu. W przypadku dalszych odległości korzystano z sygnałów semaforowych ruchomej macki na szczycie masztu.

Organizacja wspólnych ekspedycji rybackich, wynalezienie pułapek, wytwarzanie lin i sieci, praktykowanie rolnictwa, zarówno na morzu, jak i wzdłuż wybrzeży, budowa kamiennych przystani i warsztatów, użycie wulkanicznego ciepła dla obróbki metali i wiatru dla młynów, tworzenie kanałów na niskich wysepkach w poszukiwaniu minerałów i żyznych gruntów, stopniowa eksploracja i tworzenie map tego wielkiego świata, ujarzmienie energii słonecznej na potrzeby mocy mechanicznej, te i inne osiągnięcia stanowiły jednocześnie produkt inteligencji, jak i szansę na jej rozwój.

Dziwnym doświadczeniem było wejście w umysł inteligentnego statku, ujrzenie piany pod własnym przecinającym fale dziobem, skosztowanie gorzkich i smacznych prądów przy każdej z burt, uczucie nacisku powietrza na żagle, usłyszenie pod wodą szmeru odległych ławic ryb, a nawet powierzchni dna morskiego dzięki echem odbijanym do podwodnych uszu. Dziwne i przerażające było doświadczenie sztormu, poczucie zginanych masztów i groźących rozdarciem żagli, podczas gdy w kadłub uderzają małe, ale zaciekle fale masywnej planety. Dziwne było także oglądanie innych wielkich żywostatków, które

¹⁰żęza a. zenza — najniższe miejsce wewnątrz kadłuba jednostki pływającej nieporozdzielanego wewnętrznie grodziami wodoszczelnymi; zbiera się w nim woda wraz ze wszelkimi nieczystościami. [przypis edytorski]

sunęły po wodzie, dopasowywały układ żółtych lub brunatnych żagli do zmian wiatrów i uświadomienie sobie, że to nie zbudowane przez ludzi obiekty, ale świadome istoty.

Czasami widzieliśmy, jak dwa żywostatki walczą ze sobą, rozcinając sobie nawzajem żagle węzowatymi mackami, dźgając miękkie „pokłady” przeciwnika metalowymi nożami lub z odległości strzelając do siebie z armat. Zdumiewające i rozkoszne było uczucie żądy kontaktu w obecności smukłego żeńskiego klipera i piracki pościg za zmieniającą wciąż kurs samicą, a w końcu delikatny dotyk macek, co stanowiło grę miłosną tej rasy. Dziwnie było przyłgnąć do niej burtą i dokonać seksualnego abordażu. Uroczy był także widok statku-matki z dziećmi. Powiniennem też wspomnieć, że młode opuszczały pokład matki jak małeńkie łodzie, jedno na sterburcie, drugie na bakburcie. Bawiły się pływając wokół niej jak kaczątka, rozwijając niedojrzałe żagle. W wypadku złej pogody lub w czasie długich podróży matka zabierała je na pokład.

W czasie naszej wizyty naturalne żagle zaczynały być wspomagane przez przymocowywane do rufy silniki. Duże miasta betonowych doków ciągnęły się wzdłuż wybrzeży. Zachwycaliśmy się szerokimi kanałami stanowiącymi ulice w tych miastach. Pełne były ruchu żaglowego i zmotoryzowanego. Przy ogromnych dorosłych dzieci wyglądały jak małe łódeczki.

To właśnie na tym świecie natknęliśmy się na najbardziej uderzający przykład choroby społecznej, być może najbardziej powszechnej z nich, a mianowicie podzielenia populacji na dwie niezrozumiałe dla siebie nawzajem kasty w wyniku wpływu sił ekonomicznych. Tak wielka była różnica między dorosłymi osobnikami z obu kast, że początkowo wydawały się być osobnymi gatunkami i myśleliśmy, że doświadczamy właśnie zwycięstwa nowej, lepiej przystosowanej mutacji biologicznej nad poprzednikiem. Było to jednak dalekie od prawdy.

Z wyglądu władcy znacznie różnili się od robotników, podobnie jak królowe mrówek różnią się od robotnic. Ich sylwetki były bardziej smukłe i eleganckie, mieli większą rozpiętość żagli i szybciej poruszali się przy dobrej pogodzie. Na pełnym morzu żeglowali z większym trudem z uwagi na delikatniejsze kadłuby, ale byli jednocześnie lepszymi i odważniejszymi nawigatorami. Ich macki chwytne były mniej umięśnione, ale bardziej precyzyjne. Ich percepcja także była dokładniejsza. Choć pewna mniejszość z nich przewyższała najlepszych z robotników jeśli chodzi o wytrzymałość i odwagę, większość była mniej odporna, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Dotykały ich choroby, które nie miały się do robotników, zwłaszcza schorzenia układu nerwowego. Poza tym jeśli któryś z nich złapał jedną z zaraźliwych chorób typowych dla robotników, ale rzadko dla nich śmiertelną, niemal zawsze umierał. Podatni byli również na choroby psychiczne, a zwłaszcza na megalomanię. Cała kontrola nad światem należała do nich. Tymczasem robotnicy, choć żyli w środowisku, w którym łatwo było o choroby i nerwice, zazwyczaj zachowywali mimo wszystko trzeźwy umysł. Cierpieli jednak na przygniatające poczucie niższości. Mimo że w działaniach na mniejszą skalę wykazywali inteligencję i wprawę, to gdy powierzano im ważniejsze zadania ogarniał ich dziwny paraliż umysłowy.

Mentalność obu kast znacznie się różniła. Władcy częściej wykazywali indywidualną inicjatywę i grzeszyli samolubnością. Robotnicy uzależnieni zaś byli od kolektywizmu i grzeszyli usługowością wobec hipnotycznego wpływu stada. Władcy byli bardziej przeczorni, przewidujący, niezależni, samodzielni; robotnicy bardziej porywczy, gotowi do samopoświęcenia dla sprawy, bardziej świadomi słusznych działań społecznych i o wiele bardziej hojni wobec potrzebujących pomocy osobników.

W czasie naszej wizyty pewne niedawne odkrycia wywołały chaos na planecie. Do tej pory uważano, że natura tych dwóch kast jest niezmienna, wynika z boskiego prawa i biologicznego dziedzictwa. Teraz jednak okazało się, że jest inaczej i że fizyczne i umysłowe różnice między klasami wynikały jedynie z wychowania. Od niepamiętnych czasów członków poszczególnych kast werbowano w bardzo ciekawy sposób. Po odkarmieniu wszystkie dzieci urodzone na sterburcie matki, niezależnie od kast rodziców, wychowywano na członków kasty panów. Wszystkie urodzone na bakburcie wychowywano na robotników. Jako że kasta panów musiała oczywiście być mniejsza niż robocza, system

ten powodował znaczną nadmiarowość potencjalnych władców. Trudność tę przezwyciężano w następujący sposób — urodzone na sterburcie dzieci robotników i urodzone na bakburcie dzieci władców wychowywali ich rodzice, ale urodzone na bakburcie, potencjalnie arystokratyczne dzieci robotników w większości zabijano. Jedynie garstkę z nich wymieniano na urodzone na sterburcie dzieci władców.

Wraz z rozwojem przemysłu, coraz większą potrzebą surowców i taniej siły roboczej, rozprzestrzenianiem się wiedzy naukowej i osłabieniem wpływu religii, odkryto zdumiewający fakt, że urodzone na bakburcie dzieci obu klas, jeśli wychowa się je jako robotników, były fizycznie i mentalnie nieodróżnialne od pozostałych. Magnaci przemysłowi potrzebujący tanich macek do pracy nagle zaczęli głosić moralny sprzeciw wobec dzieciobójstwa, sugerując, aby nadmiarowe dzieci urodzone na bakburcie wychowywać na robotników. Nierozważni naukowcy dokonali niedawno jeszcze bardziej obrazoburczego odkrycia, że urodzone na sterburcie dzieci wychowywane na władców wykształcały smukłe sylwetki, wielkie żagle delikatną budowę kadłuba i arystokratyczną mentalność kasty panów. Władcy próbowali zapobiec rozprzestrzenianiu się tej wiedzy pośród robotników, ale co bardziej sentymentalni członkowie ich własnej kasty wygadali się za granicą i zaczęli głosić nową, prowokacyjną doktrynę równości społecznej.

Podczas naszej wizyty świat ten opanował chaos. Na co bardziej zacofanych oceanach nie kwestionowano dawnego porządku, ale w bardziej zaawansowanych regionach planety rozpoczęła się desperacka walka. Na pewnym wielkim archipelagu robotnicy uzyskali władzę dzięki rewolucji społecznej i ideowa, choć bezlitosna dyktatura próbowała zaplanować życie społeczeństwa tak, aby kolejne pokolenie było jednorodne, łączące najbardziej pożądane cechy obu kast. Gdzie indziej władcy przekonali robotników, że te nowe idee są fałszywe i plugawe i doprowadzą do powszechnej nędzy i niedoli. Sprytnie wzbudzano podejrzenia, że „materialistyczna nauka” jest zwodnicza i powierzchowna i że zmechanizowana cywilizacja niszczy duchowy potencjał rasy. Zręczna propaganda głosiła ideę swego rodzaju państwa korporacyjnego z politycznymi stronnictwami bakburty i sterburty, w którym władzę sprawować będzie dyktator namaszczony na to stanowisko „z bożej łaski i z woli ludu”.

Nie opiszę tu szczegółowo rozpaczliwej walki, która rozpętała się między tymi dwoma rodzajami organizacji społecznych. W globalnych kampaniach wiele przystani, wiele prądów morskich zbrukano krwią. Pod presją wojny i śmierci wszystko, co najlepsze, co najbardziej ludzkie, po obu stronach zmiażdżono pod pretekstem wyższej konieczności. Z jednej strony ideę zjednoczonego świata, w którym każda jednostka powinna żyć wolna i spełniona w służbie globalnej społeczności wypierać zaczęła żądza ukarania szpiegów, zdrajców i heretyków. Z drugiej strony, ogólnikowe i niestety nierozważne marzenia o szlachetniejszym, mniej materialistycznym życiu reakcyjni przywódcy sprytnie przekształciły w chęć zemsty na rewolucjonistach.

Wkrótce cała struktura cywilizacji legła w gruzach. Dopiero gdy rasa ta popadła w niemal podludzką dzikość, oczyszczona z szalonych tradycji chorej cywilizacji wraz z prawdziwą kulturą duch tych łodzików mógł wyruszyć ponownie na wielką duchową wyprawę. Wiele tysięcy lat później udało mu się osiągnąć ten wyższy poziom istnienia, o którym jeszcze opowiem na tyle, na ile będę w stanie.

Rewolucja, Walka klas

Wojna

VI. ŚLADY SPRAWCY GWIAZD

Nie należy zakładać, że normalnym losem inteligentnych ras we wszechświecie jest triumf. Na razie omówiłem głównie te światy szkarłupni i łodzików, którym się poszczęściło i które ostatecznie osiągnęły bardziej świadomy stan, a ledwie tylko wspomniałem o setkach, tysiącach światów, na których spotkała je katastrofa. Wybór ten był nieunikniony, jako że dysponuję ograniczonym miejscem i jako że te dwa światy, razem z jeszcze dziwniejszymi, które opiszę w kolejnym rozdziale, miały mieć największy wpływ na losy całej galaktyki. Wiele innych światów „ludzkiego” poziomu miało jednak równie bogatą historię. Życie poszczególnych jednostek było na nich nie mniej zróżnicowane niż gdzie indziej i nie bardziej pełne smutków i radości. Niektóre odniosły triumf, inne w ostatniej fazie poniosły porażkę, szybką lub powolną, która przydała im tragicznego splendoru. Ale jako że nie grają one szczególnej roli w głównej historii galaktyki, należy pominąć je milczeniem, podobnie jak jeszcze większą rzeszę światów, które nigdy nie osiągnęły nawet ludzkiego poziomu rozwoju. Gdybym miał rozpisywać się na temat ich losów, popełniłbym ten sam błąd, co historyk starający się opisać prywatne życie każdego człowieka i zaniedbujący przez to wzorce kierujące całym społeczeństwem.

Jak już wspomniałem, w miarę jak doświadczałyśmy kolejnych końców światów, coraz bardziej przerażała nas skala marnotrawstwa i, jak się wydaje, bezcelowości wszechświata. Tak wiele światów po tak mozolnych staraniach niemal osiągało stan pokoju i błogości, aby nagle na zawsze wszystko utracić. Katastrofa często była skutkiem jakiejś trywialnej wady temperamentu czy konsekwencją natury biologicznej. Niektórym rasom brakowało inteligencji, innym woli społecznej, by poradzić sobie z problemami zjednoczonej globalnej społeczności. Niektóre niszczył nagle nowy szczep bakterii, zanim dojrzały ich nauki medyczne. Jeszcze inne padały ofiarą zmian klimatycznych, często utraty atmosfery. Czasami koniec nadchodził w wyniku kolizji z gęstymi chmurami pyłu lub gazu czy z rojami ogromnych meteorów. Pewną liczbę światów zniszczył upadek satelity. Mniejsze ciało, przedzierające się poprzez wieki przez bardzo rozrzedzoną, ale wszechobecną chmurę wolnych atomów w przestrzeni międzygwiazdnej, traciło pęd. Jego orbita kurczyła się, z początku powoli, a następnie coraz szybciej. Powodowało ogromne pływy w oceanach większego z ciał i zatapiało cywilizację. Później, w wyniku coraz silniejszego działania ciężenia planety, wielki księżyc rozpadał się. Najpierw zrzucił ludziom na głowy deszcz swojego oceanu, następnie swoje góry i w końcu gigantyczne, ogniste kawałki rdzenia. Jeśli koniec świata nie nadszedł na żaden z tych sposobów to nieuchronnie, choć być może dopiero w schyłkowej fazie istnienia galaktyki, musiał nadejść na inny. Kurcząca się orbita samej planety musi ostatecznie zbliżyć każdy świat tak blisko słońca, że warunki na jej powierzchni staną się nie do zniesienia dla życia i przez wieki w końcu każda żywa istota zostanie upieczona.

Gdy byliśmy świadkami tych ogromnych, katastrof ogarniało nas przerażenie i rozpacz. Ból współczucia dla ostatnich pozostałych przy życiu resztek mieszkańców tych światów wiele nas nauczył.

Najbardziej rozwinięte ze skazanych na śmierć światów nie potrzebowały naszego współczucia, jako że ich mieszkańcy zdawali się zdolni do zmierzenia się z końcem wszystkiego, co kochali ze spokojem, a nawet z dziwną, niezachwianą radością, której na tym etapie naszej podróży nie mogliśmy pojąć. Ale tylko garstka z nich była w stanie osiągnąć ten stan społecznego spokoju i spełnienia, do którego wszystkie światy dążyły po omacku. Poza tym na niżej rozwiniętych światach niewiele jednostek docierało do stanu satysfakcji życiowej nawet w wąskich ramach ich niedoskonałej natury. Bez wątplenia jeden czy dwóch, tu i tam, na niemal każdym świecie odnalazł nie tylko zwykłą radość, ale szczęśliwość wykraczającą poza wszelkie pojęcie. Ale dla nas, przytłoczonych cierpieniem i jałowością starań tysiąca ras, zdawało się, że ta radość, ekstaza, czy odczuwały ją rozproszone jednostki czy też całe światy, musi być jednak fałszywa, a ci, którzy ją odnaleźli musieli być zamroczeni przez swoją osobistą, nietypową pogodę ducha, bo najwyraźniej sprawiła, że stali się niewrażliwi na otaczającą ich makabrę.

Celem, który motywował nas do dalszej pielgrzymki, był głód, który dawniej prowadził ludzi na Ziemi ku poszukiwaniu Boga. Tak, każdy z nas opuścił ojczystą planetę, aby odkryć, czy biorąc pod uwagę wszechświat jako całość, ten cenny duch, który tlił się w naszych sercach, który na Ziemi czasami nazywamy człowieczeństwem, był Panem Wszechświata czy banitą; czy był wszechmogący czy ukrzyżowany. A teraz stawało się dla nas jasne, że jeśli wszechświat miał jakiegoś pana, to nie był on tym duchem, ale jakimś innym i cel, dla którego tworzył ten niekończący się strumień światów nie był ojcowski dla istot, które tworzył, ale obcy, nieludzki, mroczny.

Mimo naszej trwogi czuliśmy także coraz większy głód ujrzenia i odważnego zmierzania się z tym duchem, który stanowił ducha kosmosu. Albowiem w miarę pielgrzymowania, przechodząc od tragedii do farsy, od farsy do chwały, od chwały często do ostatecznej tragedii, coraz bardziej czuliśmy, że jakiś straszliwy, święty, a jednocześnie niewyobrażalnie oburzający i śmiertelny sekret mieścił się tuż poza naszym zasięgiem. Byliśmy wciąż rozdarci między przerażeniem a fascynacją, między moralnym gniewem na wszechświat (czy też na Sprawcę Gwiazd) i nieracjonalną czcią.

Odbicie tego samego konfliktu widzieliśmy na wszystkich z tych światów, które osiągnęły nasz poziom umysłowy. Przyglądając się tym światom i kolejnym fazom ich historii, starając się rozpaczliwie sięgać ku kolejnemu poziomowi rozwoju duchowego, w końcu zdołaliśmy ujrzeć wyraźnie pierwsze etapy pielgrzymki każdego ze światów. Nawet w najbardziej prymitywnych epokach każdej inteligentnej planety w niektórych umysłach pojawiał się impuls, by znaleźć i wielbić coś uniwersalnego. Z początku impuls ten można było łatwo pomylić z pragnieniem ochrony ze strony jakiejś potęgi. Istoty nieuchronnie snuły pomysły, że to, czemu oddaje się cześć, to właśnie Potęga, i że uwielbienie dla niej służy jedynie jej przejednywaniu. Wyobrażali sobie więc wszechpotężnego tyrana wszechświata i siebie jako jego ukochane dzieci. Z czasem do ich proroków dochodziła jednak myśl, że sama Potęga nie była tym, co czciły ich serca. Wtedy na tronie stawiano Mądrość, Prawo czy Sprawiedliwość. I po epoce posłuszeństwa jakiemuś fantomowemu prawodawcy czy samemu boskiemu prawu, istoty te odkrywały, że te koncepcje także były nieadekwatne dla opisu nieopisywalnej chwały, jaką ich serca znajdowały w każdej rzeczy i jaką w każdej rzeczy milcząco ceniły.

Jednak w tym punkcie na każdym świecie, jaki odwiedzaliśmy, otwierały się przed wyznawcami dwie alternatywne ścieżki. Niektórzy mieli nadzieję stanąć twarzą w twarz ze swym ukrytym bogiem jedynie poprzez zwrócenie się do wewnątrz za pośrednictwem medytacji. Oczyszczając się ze wszystkiego, co przyziemne, z doczesnych żądz, starając się ujrzeć świat obiektywnie, z pełnym zrozumieniem, próbowali osiągnąć jedność z duchem kosmosu. Często zachodzili daleko na drodze samodoskonalenia i przebudzenia. Ale ze względu na skupienie się na wnętrzu większość z nich stała się obojętna na cierpienie nieprzebudzonych bliźnich i przestała troszczyć się o wspólnotę. Na niejednym ze światów tego rodzaju duchowość ogarnęła wszystkie najcięższe umysły. A ponieważ uwaga niemal całej rasy skupiała się tylko na życiu wewnętrznym, postęp materialny i społeczny zamierał. Nigdy nie rozwinięto tam nauk ścisłych. Moc mechaniczna pozostała nieznana, podobnie jak medycyna i biologia. Na skutek tego światy te uległy stagnacji i prędzej czy później niszczyły je wypadki, którym w innych okolicznościach można by zapobiec.

Istniała też druga ścieżka duchowości, otwarta dla istot o bardziej praktycznym nastawieniu. Na wszystkich światach skupiały się one na otaczającym je wszechświecie i znajdowały obiekt czci głównie w osobach bliźnich i w społecznej więzi wzajemnego poznania. W sobie samych i w innych ceniły przede wszystkim miłość.

Ich prorocy mówili im, że to, co zawsze wielbili, duch wszechświata, Stwórca, Wszechmogący i Wszechwiedzący był także Wszechmiłującym. Dlatego też nakazywali im oddawać mu uwielbienie poprzez wzajemną miłość i poprzez służbę Bogu Miłości. Dlatego też przez dłuższą lub krótszą epokę zdążali ku miłości i ku jedności z pozostałymi. Wynuwali teorie w obronie koncepcji Boga Miłości. Zakładali zakony i budowali świątynie w służbie Miłości. A ponieważ pożąдали nieśmiertelności, mówiono im, że miłość stanowi sposób na osiągnięcie życia wiecznego. Dlatego też miłość, która nie domaga się żadnej nagrody, zaczęto błędnie pojmować.

Na większości ze światów te praktyczne umysły dominowały nad medytatorami. Prędzej czy później praktyczna ciekawość i potrzeby ekonomiczne wytwarzały nauki ścisłe.

Przyglądając się wszystkiemu przez ich pryzmat istoty te nie znajdowały nigdzie, ani w atomach, ani w galaktykach, ani też w ludzkim sercu, żadnego śladu Boga Miłości. I wraz z gorączką mechanizacji, wyzyskiem niewolników przez panów, żądzą międzyplemiennych walk i coraz większym zaniedbaniem bardziej duchowych czynności, ten mały płomień czci w ich sercach przygaszał bardziej niż kiedykolwiek, tak bardzo, że już go nie poznawali. A płomień miłości, długo podtrzymywany przez powiew doktryny, ale teraz przyduszony przez ogólną nieczułość istot na siebie nawzajem stał się ledwie żarzącym się węglikiem, często mylonym ze zwykłym pożądaniem. Z gorzkim śmiechem i gniewem te udręczone istoty teraz zrzucały z tronu swych serc obraz Boga Miłości.

I tak bez miłości i bez wiary nieszczęsne istoty mierzyły się z piętrzącymi się problemami zmechanizowanego i pogrążonego w nienawiści świata.

Był to kryzys, który dobrze znaliśmy z naszych światów. Wiele planet w galaktyce nigdy go nie pokonało. Ale na niektórych, jakimś cudem, którego nadal nie byliśmy w stanie w pełni pojąć, ich przeciętne umysły przeniosły się na wyższy poziom mentalności. O nich opowiem później. Tymczasem powiem jedynie, że na tej garstce światów zauważaliśmy nieodmiennie, zanim ich umysły wymykały się poza zasięg naszych, nowe poczucie wszechświata, poczucie, które bardzo trudno było nam z nimi współdzielić. Dopiero gdy nauczyliśmy się wywoływać w sobie namiastkę tego uczucia, mogliśmy prześledzić dalsze losy tych światów.

Tymczasem w miarę trwania naszej pielgrzymki nasze cele zaczęły się zmieniać. Zastanawiało nas czy domagając się władzy nad wszechświatem dla boskiego ludzkiego ducha, którego najbardziej ceniliśmy w nas samych, nie popełnialiśmy aby bluźnierstwa. W coraz mniejszym stopniu domagaliśmy się, aby na tronie nad gwiazdami zasiadała Miłość, a coraz bardziej chcieliśmy po prostu iść dalej, otwierając odważnie serca na przyjęcie prawdy, jakakolwiek by ona była.

W pewnej chwili, pod koniec pierwszej fazy naszej pielgrzymki, gdy, myśląc i czując jednym głosem, powiedzieliśmy do siebie nawzajem:

— Jeśli Sprawca Gwiazd jest miłością, to wiemy, że musi to być słuszne. Ale jeśli nie jest, jeśli jest jakimś innym, bardziej nieludzkim duchem, to również musi być słuszne. A jeśli jest niczym, jeśli gwiazdy i wszystko inne nie są jego tworam, ale powstały samostannie i jeśli duch ten jest tylko wyrafinowanym wytworem naszych umysłów, to również musi być słuszne, to i żadna inna możliwość. Nie wiemy bowiem, czy najwyższe miejsce dla miłości mieści się na tronie czy na krzyżu. Nie możemy wiedzieć, jaki duch rządzi wszechświatem, bo na tronie zasiada mrok. Wiemy, ujrzeliśmy, że pośród marnotrawstwa gwiazd miłość jest ukrzyżowana, dla udowodnienia jej samej i dla chwały tronu. Cenimy w sobie miłość i wszystko, co ludzkie. A jednak oddajemy także cześć tronowi i ciemności na tronie. Czymkolwiek jest, Miłością czy nie Miłością, nasze serca wielbią ją, górując nad rozumem.

Zanim jednak nasze serca w pełni dostroiły się do tego nowego, dziwnego uczucia, wciąż musieliśmy jeszcze przebyć długą drogę w poznaniu różnorodnych światów ludzkiego poziomu. Muszę teraz opisać kilka rodzajów światów bardzo różnych od naszych, choć w ogólności nie bardziej dojrzałych.

VII. WIĘCEJ ŚWIATÓW

I. RASA SYMBIOTYCZNA

Na pewnych dużych planetach, których klimat, z uwagi na bliskość gorącego słońca, był znacznie cieplejszy niż w naszych tropikach, czasami znajdowaliśmy rasę inteligentnych istot podobnych rybam. Zdumiało nas odkrycie, że podwodny świat może zrodzić umysły ludzkiego poziomu, które dotarły do znajomego nam już kryzysu ducha.

Bardzo płytkie i nasłonecznione oceany tych wielkich światów pełne były niezwykle różnorodnych habitatów i bogate w życie. Zielone połacie roślin, które można podzielić na tropikalne, subtropikalne, umiarkowane i arktyczne, rosły na jasnych dnach oceanów. Były tam podmorskie prerie i lasy. W niektórych rejonach ogromne wodorosty sięgały od dna aż po fale. W tych dżunglach błękitne, oślepiające światło słońca niemal całkiem zanikało. Wielkie rafy koralowe, z labiryntami kanałów, pełne wszelkiego rodzaju życia, unosiły swe wieże ku powierzchni. Niezliczone gatunki rybopodobnych stworzeń różmiarów od szprotek po wieloryby zamieszkiwały różne poziomy wód, niektóre sunęły po dnie, inne zaś ośmielały się co jakiś czas skoczyć w upalne powietrze. W najgłębszych, najciemniejszych rejonach rzesze potworów, pozbawionych oczu lub luminescencyjnych, pożywiało się ciągłym deszczem trupów, który opadał tam z wyższych poziomów. Nad ich głębokim światem leżały inne światy, coraz jaśniejsze i barwniejsze, gdzie pstrokatę lawice nagrzewały się na słońcu, szukały pożywienia czy zaciekle polowały.

Inteligencję na tych planetach osiągały zwykle jakieś niepozorne stworzenia społeczne, nie będące rybami, ośmiornicami ani skorupiakami, ale jakiś połączeniem wszystkich trzech. Były wyposażone w chwytne macki, bystre oczy i złożone mózgi. Budowały gniazda z wodorostów w zagłębieniach w rafach lub budowały koralowe fortece. Z czasem pojawiały się pałapki, broń, narzędzia, podmorskie rolnictwo, początki prymitywnej sztuki, rytuały pierwotnej religii. A następnie typowe fluktuacje postępu ducha od barbarzyństwa ku cywilizacji.

Jeden z tych morskich światów był wyjątkowo ciekawy. U początków życia naszej galaktyki, gdy niewiele gwiazd skurczyło się jeszcze z olbrzymów do typu słonecznego, kiedy narodziło się jeszcze bardzo mało planet, podwójny układ gwiazd i pojedyncza gwiazda w tłocznej gromadzie zbliżyły się do siebie, kierując ku sobie nawzajem strumienie ognia, i zrodziły planety. Z tych światów na jednym, ogromnym i pełnym wody globie, powstała z czasem dominująca rasa, która była nie jednym gatunkiem, ale intymną, symbiotyczną relacją partnerską dwóch różnych obcych stworzeń. Jedna przypominała ryby, a druga wyglądała jak coś w rodzaju skorupiak, rodzaj kraba albo morskiego pająka. Inaczej niż nasze skorupiaki, pokrywała go nie krucha skorupa, ale gruby pancerz. U dojrzałych osobników był on dość sztywny, nie licząc stawów, ale w młodości dopasowywał się do wciąż rosnącego mózgu. Stwór ten żył na wybrzeżach i w przybrzeżnych wodach wielu wysp planety. Umysły obu gatunków dotarły do ludzkiego poziomu rozwoju, ale różniły się temperamentem i zdolnościami. W czasach pierwotnych każda na swój sposób, na własnej półkuli wielkiej morskiej planety doszła do czegoś, co można nazwać ostatnim przedludzkiem poziomem mentalności. Następnie gatunki zetknęły się ze sobą i doszło do pierwszych konfliktów. Polem bitwy były płytkie wody przybrzeżne. „Skorupiaki”, choć z grubsza ziemnowodne, nie mogły spędzać dużo czasu pod powierzchnią morza, a „ryby” nie mogły go opuścić.

Te dwie rasy w rzeczywistości poważnie ze sobą nie konkurowały pod względem gospodarczym, jako że „ryby” były w większości roślinożerne, a „skorupiaki” mięsożerne. Nie tolerowały jednak swojej wzajemnej obecności. Oba gatunki dostatecznie przypominały umysłowo człowieka, aby zdawać sobie sprawę z tego, że rywalizują o pozycję arystokratów w podludzkiem świecie, ale żadna nie była dość ludzka, by zauważyć, że najbardziej skorzystają na współpracy. Rybopodobne stworzenia, które nazwę „ichtioidami”, dysponowały umiejętnością prędkiego poruszania się i pokonywania dalekich dystansów. Bezpieczeństwo dawała im też liczebność. Krabowate czy też pająkowate „skorupiaki”, które nazwę „arachnoidami”, były zręczniejsze i miały dostęp do suchego lądu. Współ-

Morze

praca byłaby korzystna dla obu gatunków, jako że jedno z głównych źródeł pożywienia arachnoidów pasżytowało na ichtioidach.

Mimo potencjału, jaki tkwił we wzajemnej pomocy, obie rasy podjęły starania, by wymordować się nawzajem i niemal im się to udało. Po epoce ślepej rzezi pewne mniej awanturnicze i bardziej elastyczne odmiany obu gatunków z czasem odkryły korzyści z bratania się z wrogiem. Tak rozpoczęło się niezwykle partnerstwo. Wkrótce arachnoidy zaczęły pływać na grzbietach szybkich ichtioidów i dzięki temu uzyskały dostęp do nowych terenów połowowych.

W miarę upływu epok oba gatunki ukształtowały się wzajemnie, dobrze się ze sobą integrując. Mały arachnoid, nie większy od szympansa, spoczywał w zagłębieniu za czaszką wielkiej „ryby”. Jego grzbiet był dopasowany do konturów większego ze stworzeń. Macki ichtioida wyspecjalizowały się do działań na większą skalę, podczas gdy arachnoid zajmował się rzeczami wymagającymi precyzji. Wytworzyła się także wzajemna zależność biochemiczna. Poprzez membranę w kieszeni ichtioida dochodziło do wymiany płynów ustrojowych. Mechanizm ten pozwalał arachnoidom na w pełni podwodny tryb życia. Dopóki utrzymywały częsty kontakt z gospodarzami mogły przebywać pod wodą przez dowolny czas i zagłębiać się dowolnie nisko. W obu gatunkach doszło też do zdumiewającej adaptacji mentalnej. Ichtioidy stały się bardziej introwertyczne, a arachnoidy ekstrawertyczne.

Do okresu dojrzałości młode obu gatunków były żyjącymi swobodnie osobnikami, ale w miarę dorastania każde wyszukiwało partnera drugiego gatunku. Związek ten trwał przez całe życie i przerywały go tylko krótkie okresy aktywności seksualnej. Sama symbioza stanowiła pewien rodzaj dodatkowej seksualności, ale seksualności w pełni umysłowej, jako że, oczywiście, potrzebę kopulacji i reprodukcji każdy osobnik musiał spełniać z własnym gatunkiem. Okazało się jednak, że nawet symbiotyczne partnerstwo nieodmiennie składało się z samca jednego z gatunków i samicy drugiego, a samiec, niezależnie od gatunku, zachowywał się jak rodzic względem młodych symbionta.

Nie mam dość miejsca, by opisać niezwykle mentalną więź tych dziwnych par. Mogę tylko powiedzieć, że choć oba gatunki różniły się znacznie, jeśli chodzi o narządy czucia i temperament, i choć w nietypowych przypadkach zdarzały się tragiczne konflikty, typowe partnerstwo było jednocześnie bardziej intymne niż ludzkie małżeństwo i znacznie bardziej rozwijające niż przyjaźń między członkami różnych ludzkich ras. Na pewnych etapach rozwoju cywilizacji pewne nikczemne umysły próbowały rozpętać konflikty międzygatunkowe i odnosiły czasowe sukcesy; rzadko były one jednak choćby tak głębokie, jak nasza „wojna płci”, na tyle potrzebne były sobie nawzajem te gatunki. Oba w równym stopniu współtworzyły kulturę tego świata, choć nie pod każdym względem jednocześnie. W przypadku wszelkiego rodzaju pracy twórczej jeden z partnerów zapewniał większość oryginalności, a drugi krytyki i powściągliwości. Praca, przy której jeden z partnerów był zupełnie bierny stanowiła rzadkość. Książki, a raczej zwoje z pulpy wodorostowej, niemal zawsze podpisywane były przez pary. Ogólnie rzecz biorąc, arachnoidy dominowały w pracy manualnej, nauce doświadczalnej, plastyce i praktycznej organizacji społecznej. Ichtioidy zaś doskonale spełniały się w pracy teoretycznej, w literaturze, w zaskakująco rozwiniętej muzyce i w bardziej mistycznym rodzaju religii. Nie należy jednak rozumieć tych uogólnień bardzo ściśle.

Relacja symbiotyczna zdawała się przydawać tej podwójnej rasie większej elastyczności umysłowej niż nasza i silniejszych skłonności do życia społecznego. Szybko przeszła przez fazę walk międzyplemiennych, podczas której wędrownie ławice symbiotycznych par szarżowały na siebie jak oddziały podwodnej kawalerii, jako że arachnoidy, ujeżdżające ichtioidalnych partnerów, atakowały wroga kościanymi lancami i mieczami, podczas gdy ich wierzchowce siłowały się na potężne macki. Etap ten był jednak zaskakująco krótki. Gdy rozwinął się osiadły tryb życia, łącznie z podwodnym rolnictwem i koralowymi miastami, walki między ligami miast były wyjątkiem, nie regułą. Bez wątplenia dzięki znacznej mobilności i łatwej komunikacji podwójna rasa wkrótce zbudowała światową, nieuzbrojoną federację miast. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się także, że u szczytu przedmechanicznej

Współpraca

cywilizacji na tym świecie, kiedy na naszych planetach podział na panów i ekonomicznych niewolników już się upowszechnił, duch wspólnoty miasta zatriumfował nad indywidualistyczną chciwością. Świat ten wkrótce porósł tkanką współpracujących ze sobą, ale niezależnych od siebie gmin.

W tamtym czasie zdawało się, że konflikty społeczne zniknęły na zawsze. Ale najpoważniejszy kryzys tej rasy miał ją dopiero czekać.

Podwodne środowisko nie dawało symbiotycznej rasie wielkich możliwości dalszego rozwoju. Stale czerpano ze wszystkich źródeł bogactwa. Utrzymywano optymalny poziom populacji dla pomyślnego funkcjonowania świata. Porządek społeczny był satysfakcjonujący dla wszystkich klas i zmiany zdawały się mało prawdopodobne. Poszczególne życia były pełne i zróżnicowane. Kultura, oparta na wielkiej tradycji skupiała się całkowicie na szczegółowej eksploracji wielkich dziedzin myśli, których pionierami byli otoczeni wciąż przodkowie, inspirowani, jak mówiono, przez symbiotyczne bóstwo. Nasi przyjaciele w podmorskim świecie, nasi umysłowi gospodarze, spoglądali na tę epokę z bardziej burzliwej ery czasami z tęsknotą, ale często z przerażeniem, bo z perspektywy zdradzała pierwsze oznaki rozkładu. Rasa ta tak doskonale dopasowana była do niezmiennego środowiska, że inteligencja i zaradność przestawały być cenione i mogły wkrótce zaniknąć. Obecnie jednak wyglądało na to, że los zarządził inaczej.

W podmorskim świecie szanse na uzyskanie mocy mechanicznej były niewielkie. Ale warto pamiętać, że arachnoidy były w stanie przeżyć poza wodą. W epokach przed symbiozą ich przodkowie co jakiś czas wychodzili na wyspy, na potrzeby godów, rodzicielstwa i polowań. Od tamtych czasów ich zdolność oddychania powietrzem spadła, ale nie utraciły jej całkowicie. Każdy arachnoid wciąż wychodził na powierzchnię na czas spółkowania oraz pewnych rytualnych ćwiczeń gimnastycznych. To w związku z tą ostatnią czynnością dokonano wielkiego odkrycia, które zmieniło bieg historii. Podczas pewnego turnieju tarcie uderzających o siebie kamiennych broni wytworzyło iskry i pożar nasłonecznionych traw.

Zaskakująco szybko odkryto wytop metali, silnik parowy, prąd elektryczny. Moc początkowo uzyskiwano ze spalania pewnego rodzaju torfu powstającego na wybrzeżach ze szczytków morskich roślin, następnie ze stałych, gwałtownych wiatrów i z baterii fotochemicznych pochłaniających potężne promienie słoneczne. Wynalazki te były oczywiście dziełem arachnoidów. Ichtioidy, choć wciąż odgrywały znaczną rolę w systematyzacji wiedzy, nie miały bezpośredniego dostępu do wielkiej eksperymentalnej pracy naukowej i wynalazków mechanicznych na powierzchni. Arachnoidy wkrótce poprowadziły kable elektryczne z elektrowni na wyspach do podmorskich miast. Przynajmniej w tych pracach ichtioidy mogły brać udział, ale ich rola była raczej podrzędna. Miały nie tylko mniejsze doświadczenie z prądem elektrycznym, ale i słabsze zdolności manualne od krabowatych partnerów.

Jeszcze przez kilka wieków gatunki nadal ze sobą współpracowały, mimo rosnących tarć. Sztuczne oświetlenie, mechaniczny transport towarów po dnie oceanu i produkcja na szeroką skalę znacznie zwiększyły poziom życia w podmorskich miastach. Wyspy pełne zaś były budynków poświęconych nauce i przemysłowi. Poczyniono znaczne postępy w fizyce, chemii i biologii. Astronomowie zaczęli tworzyć mapy galaktyki. Odkryli też, że sąsiednia planeta świetnie nadawała się do zasiedlenia przez arachnoidy, które mogłyby bez większych problemów przystosować się do obcego klimatu i do oddzielenia od symbiotycznych partnerów. Pierwsze próby lotów raketowych stanowiły mieszankę tragedii i sukcesów. Kierownictwo działań pozamorskich wymagało znacznie zwiększonej populacji arachnoidów.

Nieuchronnie doszło do konfliktu między gatunkami i w umyśle każdego przedstawiciela obu gatunków. To u szczytu tego konfliktu, w czasie kryzysu duchowego, dzięki któremu istoty te były dla nas dostępne w tej wstępnej fazie, odwiedziliśmy ten świat. Ichtioidy nie poddały się jeszcze biologicznie swojej podrzędnej pozycji, ale psychologicznie widać było już u nich ślady upadku umysłowego. Ogarnęło ich głębokie przygnębienie i zobojętnienie, jak to, które często dopada rdzenne ludy Ziemi, gdy walczą z zalewem

europiejskiej cywilizacji. Ale jako że symbiotyczne relacje między rasami były wyjątkowo intymne, znacznie bardziej niż między najbliższymi sobie ludźmi, nastrój ichtioidów wpłynął znacznie i na arachnoidy. A w umysłach ichtioidów triumf ich partnerów był przez dłuższy czas źródłem mieszanki niepokoju i radości.

Każdy osobnik obu gatunków rozdarty był między stojącymi w sprzeczności motywami. Choć każdy zdrowy arachnoid pragnął brać udział w nowym, pełnym przygód życiu, to z uwagi na więź emocjonalną z symbiontem chciał także pomóc swojemu ichtioidowi tak, by w równym stopniu korzystał z tego życia. Wszystkie arachnoidy były też świadome subtelnej zależności od swoich towarzyszy, zarówno fizjologicznej, jak i psychologicznej. To głównie ichtioidy dawały z siebie w mentalnej symbiozie siłę samopoznania i wnikliwości oraz kontemplacji, tak ważnej, by działania były odpowiednio rozważne i służyły wspólnemu dobru. Wskazywał na to również ewidentnie fakt, że wśród arachnoidów pojawiły się bratobójcze walki. Wyspy konkurowały z wyspami i jedna organizacja przemysłowa z drugą.

Nie mogłem nie zauważyć, że gdyby tego rodzaju głęboki rozróżnienie interesów pojawił się na mojej planecie, choćby między płciami, płęć mająca przewagę bez wahania w pełni podporządkowałaby sobie drugą. Takie „zwycięstwo” arachnoidów rzeczywiście miało miejsce. Coraz więcej partnerstw zrywano i każdy z partnerów próbował suplementować swój organizm za pomocą sztucznie uzyskanych środków chemicznych, które normalnie zapewniała symbioza. Nie było jednak zastępstwa dla współzależności umysłowej i rozwiedzeni partnerzy cierpieli na poważne zaburzenia psychiczne, subtelne lub rażące. Mimo wszystko w końcu powstała znaczna populacja zdolna do swego rodzaju funkcjonowania bez symbiozy.

Konflikt obrócił się w przemoc. Radykalni przedstawiciele obu gatunków zaatakowali się nawzajem i podburzali tych co bardziej umiarkowanych. Nastąpił wtedy okres desperackich, chaotycznych walk. Po każdej stronie mała i zniechęcona mniejszość proponowała „zmodernizowaną symbiozę”, dzięki której każdy gatunek byłby w stanie włożyć coś od siebie nawet w zmechanizowanej cywilizacji. Wielu z tych reformatorów stało się męczennikami za swoją wiarę.

Zwycięstwo osiągnęły ostatecznie arachnoidy, jako że kontrolowały źródła zasilania. Wkrótce jednak okazało się, że próba zerwania więzi symbiotycznej nie była tak dobrze przemyślana, jak się zdawało. Nawet w czasie wojny dowódcy nie udało się zapobiec powszechnemu brataniu się między żołnierzami po obu stronach. Rozdzieleni partnerzy ukradkiem spotykali się, by spędzić wspólnie choć kilka chwil. Porzuceni i owdowiali, kierowani pożądaniem, nieśmiało zakradali się do obozów wroga w poszukiwaniu nowych partnerów. Czyniły tak całe kompanie. Arachnoidy ucierpiały bardziej z powodu nerwic niż od broni wroga. Poza tym trwające na wyspach wojny domowe i rewolucje społeczne niemal uniemożliwiały produkcję zaopatrzenia.

Najbardziej zatwardziała frakcja arachnoidów postanowiła zakończyć wojnę poprzez zatrucie oceanu. Wyspy zaś zatruiły miliony rozkładających się trupów, które wypłynęły na powierzchnię i które fale wyrzuciły na brzegi. Toksyny, zaraza i przede wszystkim nerwice zatrzymały wojnę, zrujnowały cywilizację i niemal doprowadziły do zagłady obu gatunków. Porzucone drapacze chmur górujące nad wyspami zaczęły rozpadać się. Podwodne miasta porosła podwodna dżungla i grasowały tam podobne do rekinów, pozbawione ludzkiej inteligencji ichtioidy. Resztki wiedzy zaczęły zmieniać się w przesady.

Teraz jednak nadeszła szansa dla tych, którzy nawoływali do zmodernizowanej symbiozy. Z trudem zdołali przetrwać w ukryciu, nie przerywając symbiotycznych więzi, w odległych od centrów cywilizacji, niegościnnych zakątkach planety. Teraz objawili się, by głosić swoją ewangelię nieszczęsnym resztkom ludności swojego świata. Nastąpił szal międzygatunkowych godów. Rozproszona ludność przetrwała dzięki podwodnemu rolnictwu i myślistwu. Oczyszczono i odbudowano kilka koralowych miast i powróciła nadzieja na lepszą przyszłość. Cywilizacja ta pozbawiona była mocy mechanicznej, ale obiecywała sobie wielkie przygody w „wyższym świecie” gdy tylko wdrożone zostaną zasady reformowanej symbiozy.

Wojna

Wydawało się nam, że tego rodzaju przedsięwzięcie skazane jest na porażkę. Jasne było dla nas, że przyszłość należała do stworzeń lądowych, a nie wodnych. Ale myliliśmy się. Nie mogę w szczególności opisać tu bohaterskich starań, dzięki którym rasa ta odbudowała symbiozę tak, by odpowiadała obranej przez nią ścieżce. Pierwszym krokiem było odbudowanie elektrowni na wyspach i ostrożna reorganizacja czysto podmorskiego społeczeństwa wyposażonego w moc elektryczną. Odbudowa ta byłaby jednak bezużyteczna gdyby nie bardzo szczegółowe badania nad fizycznymi i umysłowymi stosunkami między gatunkami. Symbiozę należało wzmocnić tak, by walki międzygatunkowe stały się w przyszłości niemożliwe. Dzięki pewnym środkom chemicznym podawanym w dzieciństwie oba organizmy stały się od siebie bardziej zależne, a ich partnerstwo mocniejsze. Z pomocą specjalnego rytuału psychologicznego, rodzaju wzajemnej hipnozy, wszyscy nowo połączeni partnerzy od tej pory stawali się mentalnie nierozłączni. Ta wspólnota międzygatunkowa, którą każdy osobnik znał z bezpośredniego doświadczenia, stała się podstawą całej kultury i religii. Symbiotyczne bóstwo, które istniało we wszystkich prymitywnych mitologiach, zostało symbolem podwójnej osobowości wszechświata, dualizmu, jak mówiono, kreatywności i mądrości, zjednoczonym jako boski duch miłości. Jedynym rozsądnym celem życia społecznego miało się stać stworzenie świata świadomych, wrażliwych, inteligentnych i rozumiejących się wzajemnie osób, złączonych we wspólnym celu odkrywania wszechświata i rozwijania różnorodnych potencjałów „ludzkiego” ducha. Młodych subtelnie skłaniano do samodzielnego odkrycia tego celu.

Stopniowo i bardzo ostrożnie powtórzono wszystkie działania przemysłowe i badania naukowe poprzedniej ery, ale z pewną różnicą. Przemysł podporządkowano świadomemu celowi społecznemu. Nauka, wcześniej niewolnica przemysłu, stała się wolną przyjaciółką wiedzy.

Wyspy znów wypełniły się budynkami i pracującymi ochoczo arachnoidami. Ale płytkie wody przybrzeżne teraz przypominające plaster miodu, były siecią mieszkań, w których odpoczywały wraz ze swymi symbiotycznymi partnerami. W oceanicznych głębinach stare miasta przemieniono w szkoły, uniwersytety, muzea, świątynie, pałace sztuki i przyjemności. Tam młode obu gatunków dorastały razem, a dorosłe osobniki spotykały się często dla rekreacji i stymulacji. Tam, podczas gdy arachnoidy były zajęte na wyspach, ichtioidy pracowały nad edukacją i przemianą całej kultury teoretycznej ich świata. Wiadomo było już bowiem, że w tej kwestii ich temperament i talent mógł mieć wielki wkład we wspólne życie. Literaturą, filozofią i edukacją spoza zakresu nauk ścisłych zajmowano się więc głównie w oceanie, podczas gdy na wyspach dominował przemysł, badania naukowe i sztuki plastyczne.

Być może, mimo bliskiego związku każdej z par, ten dziwny podział obowiązków z czasem doprowadziłby do kolejnego konfliktu, gdyby nie dwa nowe odkrycia. Pierwszym był rozwój telepatii. Kilkaset lat po epoce wojny udało się nawiązać pełną więź telepatyczną między osobnikami składającymi się na każdą z par. Z czasem więź tę rozszerzono na całą podwójną rasę. Pierwszym skutkiem tej zmiany było znaczne ułatwienie komunikacji między istotami na całym świecie i znacznie lepsze wzajemne zrozumienie, jedność w dążeniu do celu. Ale zanim nasze połączenie z tą czyniącą wyjątkowo szybkie postępy rasą urwało się, ujrzeliśmy dowody na znacznie poważniejsze skutki powszechnej telepatii. Czasami, jak nam powiedziano, telepatyczna więź całej rasy powodowała coś w rodzaju fragmentarycznego przebudzenia zbiorowego umysłu świata, w którym uczestniczyły wszystkie osobniki.

Druga wielka innowacja polegała na badaniach genetycznych. Arachnoidy, które musiały pozostać zdolne do aktywnego życia na suchym lądzie i na wielkiej planecie, nie mogły szczególnie zwiększyć rozmiarów i możliwości mózgu. Ichtioidy natomiast, większe i podtrzymywane przez wodę, nie miały takich ograniczeń. Po długich i często katastrofalnych w skutkach eksperymentach powstała rasa „superichtioidów”. Z czasem cała populacja ichtioidów zaczęła składać się z tych istot. Tymczasem arachnoidy, które zaczęły już wtedy eksplorować i kolonizować inne planety swojego układu słonecznego, uzyskały nie większą złożoność mózgu, ale zwiększenie możliwości ośrodków mózgowych pozwalających na telepatię. Dlatego też, mimo prostszych mózgów, były w stanie zachować pełną więź telepatyczną nawet z wielkomózgimi partnerami znajdującymi się daleko, w oceanach ojczystej planety. Proste i złożone mózgi składały się teraz na jeden

układ, w którym każda jednostka, choćby jej wkład był skromny, odczuwała to, co jego całość.

To w tej chwili, gdy pierwotne ichtioidy zostały zastąpione superichtioidami, w końcu straciliśmy z nimi kontakt. Doświadczenie podwójnej rasy wyszło poza możliwości naszego poznania. Na znacznie późniejszym etapie naszej przygody natknęliśmy się na nie ponownie, na wyższej płaszczyźnie istnienia. Dołączyły wtedy do tego szeroko zakrojonego wspólnego przedsięwzięcia, o którym jeszcze opowiem, nad którym pracowała galaktyczna wspólnota światów. W owej chwili symbiotyczna rasa składała się z ogromnej rzeszy arachnoidalnych podróżników rozproszonych po wielu planetach i około pięćdziesięciu miliardów superichtioidów prowadzących błogie, podwodne życie pełne intensywnej pracy umysłowej w oceanach ojczystego świata. Nawet na tym etapie potrzebny był kontakt fizyczny między partnerami, choć z długimi przerwami. Między koloniami a ojczystym światem krążył ciągły strumień statków kosmicznych. Ichtioidy, wraz z partnerami na mnóstwie planet, tworzyły jeden wspólny umysł. Choć nici wspólnego doświadczenia snuła cała symbiotyczna rasa, to właśnie żyjące w swym oceanicznym domu ichtioidy tkwały z nich jedną sieć, współdzieloną przez wszystkie osobniki obu gatunków.

2. ISTOTY ZŁOŻONE

Zasami w toku naszej przygody spotykaliśmy światy zamieszkałe przez inteligentne istoty, których osobowość nie stanowiła ekspresji pojedynczego organizmu, ale grupy organizmów. W większości przypadków stan ten był skutkiem potrzeby połączenia inteligencji z lekkością pojedynczego ciała. Na dużych planetach, dość bliskich słońca lub posiadających duże satelity, występowały ogromne pływy morskie. Znaczne obszary ich powierzchni były okresowo zalewane, po czym wyłaniały się spod wody. Na takim świecie cenna była możliwość lotu, ale z uwagi na siłę grawitacji tylko niewielkie stworzenie, o względnie małej masie, było w stanie latać. Mózg dość duży dla złożonych „ludzkich” zadań nie mógłby unieść się w powietrze.

Na takich światach organiczną podstawą dla inteligencji był często rój istot nie większych od wróbli. Grupa osobnych ciał składała się na jeden umysł ludzkiego poziomu. Mimo wielości ciał, zamieszkująca je świadomość składała się na jedną osobę ludzkiego poziomu. Tak jak stada bekasów unoszą się nad rzekami, tak nad zalewanymi wciąż regionami tych światów manewrowały chmury ptakopodobnych istot, a każda chmura stanowiła jedno centrum świadomości. Co jakiś czas, podobnie jak nasze ptaki brodzące, skrzydlate istoty osiadały na ziemi i wielka chmura stawała się ledwie widocznym osadem na brzegu odpływu.

Rytmem życia na tych światach kierowały pływy. Podczas nocnych pływów ptasie chmury spały na falach. Podczas dziennych zajmowały się sportami powietrznymi i rytuałami religijnymi. Ale dwa razy dziennie, gdy ląd stawał się suchy, kultywowały wilgotny szlam lub wykonywały w swoich miastach z betonowych bloków wszystkie działania przemysłowe i kulturowe. Ciekawie było obserwować, jak sprytnie, zanim wracały fale, wszystkie instrumenty cywilizacji zabezpieczano przed żywiołem.

Z początku zakładaliśmy, że umysłowa jedność tych małych ptaków jest telepatyczna, ale w rzeczywistości było inaczej. Opierała się na jedności złożonego pola elektromagnetycznego, na czymś w rodzaju fal radiowych przenikających całą grupę. Fale te, nadawane i wysyłane przez każdy indywidualny organizm, odpowiadały przepływowi sygnałów w neuronach, który utrzymuje jedność ludzkiego układu nerwowego. Każdy mózg rozbrzmiewał eterycznym rytmem otoczenia i każdy dodawał do tego złożonego wzoru swój własny wkład. Póki stado znajdowało się w zasięgu około jednej czwartej kilometra szściennego, składające się na niego osobniki były zjednoczone umysłowo i każdy służył za wyspecjalizowany ośrodek wspólnego „mózgu”. Ale jeśli któryś oddzielił się od stada, jak zdarzało się przy burzliwej pogodzie, tracił kontakt umysłowy i stawał się osobnym umy-

słem niższego rzędu. Na ten czas stawał się zwierzęciem kierującym się tylko prostym instynktem nawiązania ponownego kontaktu ze stadem.

Można łatwo wyobrazić sobie, że życie umysłowe tych złożonych istot było zdecydowanie odmienne od wszystkiego, z czym spotkaliśmy się wcześniej. Inne, a jednocześnie takie samo. Tak jak człowiek, ptasia chmura zdolna była do gniewu i strachu, głodu i żądz seksualnej, osobistej miłości i wszystkich pasji tłumu. Medium tych doświadczeń było jednak na tyle różne od wszystkiego, co znaliśmy do tej pory, że rozpoznawaliśmy je z wielkim trudem.

Na przykład seks wyjątkowo nas skonsternował. Każda chmura była obupłciowa i zawierała setki wyspecjalizowanych ptasich jednostek płci męskiej i żeńskiej, obojętnych na siebie nawzajem, ale bardzo żywo reagujących na obecność innych chmur. Jak się okazało, u tych dziwnych zbiorowych istot rozkosz i wstyd kontaktu cielesnego przejawiały się nie tylko przez samą kopulację poszczególnych organizmów, ale, z wyjątkową subtelnością, przez powietrzne zlanie się dwóch latających chmur podczas manewrów godowych.

Od powierzchownego podobieństwa znacznie ważniejsza była dla nas równorzędność umysłowa. Nie uzyskalibyśmy bowiem do nich dostępu, gdyby nie podobieństwo ich etapu ewolucyjnego do tego, co znaliśmy już z własnych światów. Każda z tych latających chmur małych ptaków była bowiem osobą mniej więcej przypominającą nas pod względem rozwoju duchowego, rozdartą między zwierzęciem a aniołem, zdolną do miłości i nienawiści wobec innych chmur, do mądrości i głupoty, do całej gamy ludzkich pasji od sprośności do ekstatycznej kontemplacji.

Mimo znacznego podobieństwa ducha, które dało nam dostęp do ptasich chmur, odkrycie, jak to jest widzieć milionem oczu naraz, jak to jest czuć teksturę atmosfery milionem skrzydeł wymagało bolesnego wysiłku. Nauczyliśmy się interpretować zbiorową percepcję pokrytych mułem równin, bagien i wielkich regionów rolniczych, dwa razy dziennie nawadnianych przez pływę. Podziwialiśmy wielkie, napędzane pływami turbiny i system elektrycznego transportu dóbr. Odkryliśmy, że lasy wielkich betonowych słupów czy minaretów i platform na palach, stojących w naj płytszych z regionów pływowych, były żłobkami, w których zajmowano się młodymi, zanim nauczyły się latać.

Krok po kroku nauczyliśmy się rozumieć nieco obce myśli tych dziwnych istot, które w szczegółach tak bardzo różniły się od naszych, a jednak w ogólnych wzorcach i znaczeniu tak bardzo były do naszych podobne. Goni mnie czas, więc nie będę nawet próbować naszkicować ogromu złożoności najbardziej rozwiniętych z tych światów. Tyle jeszcze zostało do opowiedzenia. Powiem tylko, że ze względu na większą jeszcze chwiejność niż u ludzi indywidualność tych ptasich chmur była też lepiej rozumiana i bardziej ceniona. Ciągłym niebezpieczeństwem grożącym ptasim chmurom była fizyczna i umysłowa dezintegracja. W efekcie ideał spójnej jaźni był bardzo ważny w każdej z ich kultur. Z drugiej strony niebezpieczeństwo, że umysł ptasiej chmury mógłby ulec psychicznej inwazji ze strony innych, na wzór tego, jak stacje radiowe mogą zakłócać się nawzajem, sprawiło, że istoty te lepiej niż my wystrzegały się pokus stadnego myślenia, rozmycia się w tłumie chmur. Znów jednak, ponieważ skutecznie strzeżono się przed tym niebezpieczeństwem, ideał światowej społeczności rozwinął się bez znanej nam aż za dobrze walki na śmierć i życie z mistycznym trybalizmem. Zamiast tego walka toczyła się po prostu między indywidualizmem a bliźniaczymi ideałami światowej społeczności i światowego umysłu.

W momencie naszej wizyty w każdym regionie planety rozpoczynał się już globalny konflikt między dwoma stronnictwami. Indywidualiści byli silniejsi na jednej z półkul i mordowali wszystkich zwolenników światowego umysłu, gromadząc siły by zaatakować drugą półkulę. Tam zaś dominowało stronnictwo światowego umysłu, nie dzięki broni, ale dzięki czystemu bombardowaniu radiowemu, że tak to ujmę. Wzorzec eterycznych fal pochodzących od stronnictwa narzucał się siłą wszystkim odszczepieńcom. Buntowników albo dezintegrowano mentalnie przez bombardowanie radiowe, albo wchłaniano ich do wspólnoty.

Wojna, która nastąpiła była dla nas zdumiewająca. Indywidualiści korzystali z artylerii i trujących gazów. Stronnictwo światowego umysłu korzystało z tego rodzaju broni znacznie rzadziej niż z radia, którego działanie było dla wrogów nie do odparcia. Ich system radiowy był na tyle wzmocniony, na tyle dostosowany do fizjologii ptasich jednostek, że zanim indywidualiści poczynili znaczące szkody, załapała ich porywająca fala stymulacji

radiowej, sprawiająca, że stracili resztki indywidualności. Ptasie jednostki, które składały się na ich złożone ciała ulegały albo zniszczeniu (jeśli były wyspecjalizowane do wojny) albo reorganizacji w nowe chmury, lojalne wobec światowego umysłu.

Krótko po przegranej indywidualistów straciliśmy kontakt z tą rasą. Doświadczenie i problemy społeczne młodego światowego umysłu były dla nas niepojmowalne. Dopiero na znacznie dalszym etapie byliśmy w stanie nawiązać ponowny kontakt.

Inne ze światów zamieszkałych przez rasy ptasich chmur miały mniej szczęścia. Większość z tego czy innego powodu spotkała tragedia. Na wielu z nich siła indywidualizmu czy niepokoju społecznego przyniosła plagę szaleństwa, dezintegracji w rój kierujących się jedynie odruchami zwierząt. Te żalose stworzenia, które nie były zdolne do niezależnych inteligentnych zachowań, poległy w starciu z siłami natury czy drapieżnikami, oczyszczając pole dla jakiegoś robaka czy ameby, które mogły kontynuować wielki marsz ewolucji biologicznej ku ludzkemu poziomowi.

Podczas naszych podróży natknęliśmy się też na inne typy istot złożonych. Okazało się na przykład, że duże, suche planety czasami zamieszkują populacje owadokształtnych stworzeń, których roje czy gniazda stanowiły zbiorowe ciało jednego umysłu. Planety te były tak wielkie, że żaden lądowy organizm nie mógł być większy od żuka, a żaden powietrzny większy od mrówki. W inteligentnych rojach, które odgrywały na tych światach rolę ludzi, mikroskopijne mózgi owadzych jednostek specjalizowały się w drobnych funkcjach w ramach każdej z grup, podobnie jak różne rodzaje mrówek w mrowisku specjalizowały się w pracy, walce, reprodukcji i tak dalej. Wszystkie były ruchome, ale każda klasa jednostek wypełniała specjalną funkcję „neurologiczną” w życiu całości. Działały w zasadzie jak specjalne rodzaje komórek nerwowych.

Na tych światach, podobnie jak na światach ptasich chmur, musieliśmy przyzwyczaić się do zjednoczonej świadomości wielkiego roju jednostek. Niezliczonymi nogami pełzaliśmy przez lilipucie betonowe korytarze, z pomocą niezliczonych szczękoczułków braliśmy udział w dziwnych działaniach przemysłowych czy rolniczych, czy też w nawigacji w maleńkich stateczkach poprzez kanały i jeziora tych płaskich światów. Przez niezliczone złożone oczy przyglądaliśmy się równinom porośniętym czymś w rodzaju mchów i badaliśmy gwiazdy drobnymi teleskopami i spektroskopami.

Tak doskonale zorganizowane było życie umysłów roju, że wszelkie rutynowe działania rolnicze i przemysłowe stawały się nieświadome, jak trawienie w ludzkim żołądku. Poszczególne owady świadomie wykonywały te operacje, choć bez zrozumienia ich znaczenia, ale umysł roju stracił moc bezpośredniego nimi sterowania. Skupiał się niemal całkowicie na takich czynnościach, które wymagały świadomej kontroli, na różnego rodzaju praktycznych i teoretycznych wynalazkach i eksploracji fizycznej i umysłowej.

W czasie naszej wizyty na najciekawszym z tych owadzych światów jego populacja składała się z wielu narodów rojów. Każdy rój miał własne gniazdo, swoje lilipucie miasto, obszar wielkości około połowy hektara, na którym ziemia do półmetrowej głębokości wypełniona była siecią korytarzy i pomieszczeń. Okolica wokół przeznaczona była pod uprawę stanowiących pożywienie mchów. W miarę jak rój się rozrastał, mogły powstawać kolonie poza zasięgiem fizjologicznego układu radiowego roju-rodzica. W ten sposób powstawały nowe zbiorowe jednostki. Jednak ani w tej rasie, ani w rasie ptasich chmur nie istniało nic odpowiadającego kolejnym pokoleniom poszczególnych umysłów. W każdym roju pojedyncze owady wciąż obumierały i były zastępowane przez nowe, ale sam umysł był potencjalnie nieśmiertelny. Jednostki były zastępowalne, ale grupowa jaźń trwała i jej pamięć sięgała wstecz poprzez niezliczone pokolenia jednostek, aż w końcu słabła i zatracała się w tym archaicznym czasie, gdy „ludzki” umysł powstawał z „przedludzkiego”. Cywilizowane roje dysponowały więc mętnymi i fragmentarycznymi wspomnieniami każdego okresu historycznego.

Cywilizacja zmieniła dawne chaotyczne mrowiska w szczegółowo planowane podziemne miasta; dawne kanały irygacyjne stały się ogromną siecią arterii wodnych, któ-

Współpraca

rymi przewożono towary. Wprowadziła siłę mechaniczną, w oparciu o spalanie materii roślinnej, wytopiła metale ze skał, stworzyła niezwykle drobne, niemal mikroskopijne maszyny, które ogromnie polepszyły komfort i stan zdrowia w bardziej zaawansowanych regionach. Dzięki niej powstało też mnóstwo drobnych pojazdów odpowiadających naszym traktorom, pociągom, statkom. Wytworzyły się też różnice klasowe między tymi rojami, które nadal wiodły życie rolnicze, tymi, które zajmowały się przemysłem i tymi, które wyspecjalizowały się w inteligentnej koordynacji działań w danym kraju. Te ostatnie stały się z czasem biurokratycznymi tyranami.

Dzięki znacznym rozmiarom planety i trudnościom związanym z dalekimi podróżami dla stworzeń tak niewielkich, jak pojedyncze insekty, cywilizacje rozwinęły się niezależnie w dziesiątkach odizolowanych od siebie miejsc. A gdy w końcu nawiązały ze sobą kontakt, wiele z nich było już wysoce uprzemysłowionych i wyposażonych w „nowoczesną” broń. Czytelnik może łatwo wyobrazić sobie, co stało się, gdy rasy należące w większości przypadków do różnych gatunków i mające zupełnie obce dla siebie nawzajem zwyczaje, myśli i ideały, nagle zetknęły się ze sobą i rozgorzał między nimi konflikt. Nużące byłoby opisywanie szalonych wojen, które nastąpiły. Warto jednak zauważyć, że my, telepatyczni goście z miejsc odległych w czasie i przestrzeni, mogliśmy komunikować się z tymi walczącymi ze sobą rojami łatwiej niż one między sobą. I dzięki tej mocy byliśmy w stanie odegrać ważną rolę w historii tego świata. Zapewne właśnie dzięki naszej mediacji rasy te uniknęły wzajemnego zniszczenia. Zajmując pozycje w „kluczowych” dla każdej strony konfliktu miejscach, cierpliwie dawaliśmy naszym gospodarzom wgląd w mentalność wroga. A jako że każda z tych ras wykroczyła znacznie poza poziom rozwoju społecznego znany na Ziemi i umysł roju był zdolny do prawdziwej wspólnoty z istotami własnej rasy, uświadomienie sobie, że wróg nie jest potworem, ale istotą podobnie ludzkiego poziomu, wystarczyło, żeby zdusić ducha walki.

„Kluczowe” umysły po każdej ze stron, oświecone przez „boskich posłańców”, bohaterko nawoływały do pokoju. I choć wiele z nich poniosło męczeńską śmierć, ich sprawa zwyciężyła. Rasy zawarły pokój między sobą — wszystkie poza dwiema, walecznymi i dość zacofanymi kulturowo. Tych nie udało się nam przekonać, jako że wyspecjalizowały się w wojnie i stanowiły poważne zagrożenie. Uważały nowego ducha pokoju za słabość wroga, którą zamierzały ją wykorzystać, by podbić resztę świata.

Byliśmy teraz jednak świadkami dramatu, który dla ziemskich ludzi musiałby wydawać się niesamowity. Możliwy był na tym świecie jedynie dzięki wysokiemu poziomowi trzeźwości umysłu, który osiągnięto wewnątrz każdej z ras. Pokojowe rasy miały dość odwagi, by dokonać rozbrojenia. W spektakularny sposób zniszczyły broń i fabryki zbrojeniowe. Dopilnowały też, aby świadkami tego były wzięte do niewoli wrogie roje. Jeńców następnie uwolniono, nakazując im zdać raport dowódcom. W odpowiedzi wróg najechał na najbliższy z rozbrojonych krajów i zaczął bezlitośnie narzucać mu swoją militarystyczną kulturę za pomocą propagandy i prześladowań. Ale mimo masowych egzekucji i tortur skutek był nieoczekiwany. Chociaż rasy tyranów nie były szczególnie bardziej rozwinięte społecznie niż *Homo sapiens*, ich ofiary znacznie je przewyższały. Represje wzmocniły jedynie ducha biernego oporu. Krok po kroku tyrania zaczęła chwiać się w posadach i ostatecznie załamała się. Najeźdźcy wycofali się, zabierając ze sobą zaraźliwy pacyfizm. W zaskakująco krótkim czasie świat ten stał się federacją różnych gatunków.

Ze smutkiem zdałem sobie sprawę, że na Ziemi, choć wszystkie cywilizowane istoty należały do jednego biologicznego gatunku, tak szczęśliwe zakończenie konfliktów jest niemożliwe, jako że wpływ społeczności na poszczególne umysły jest nadal zbyt słaby. Zastanawiałem się też, czy rasy owadzych tyranów nie narzuciłyby skuteczniej swojej kulturze podbitym krajom, gdyby istniało osobne pokolenie młodych, podatnych na wpływy rojów, które mogliby odpowiednio wychować.

Gdy ten owadzi świat rozwiązał swój kryzys, zaczął czynić tak szybkie postępy w rozwoju struktury społecznej i poszczególnych umysłów, że z coraz większym trudem utrzymywaliśmy kontakt, aż w końcu go utraciliśmy. Później jednak, gdy sami osiągnęliśmy wyższy poziom, udało nam się odwiedzić ten świat ponownie.

O pozostałych owadzych światach nie powiem nic, ponieważ żaden z nich nie miał odegrać ważnej roli w historii galaktyki.

Wojna

Siła, Przemoc, Zwycięstwo,
Broń, Idealista

Aby dopełnić obrazu ras, w którym żaden umysł nie miał jednego, fizycznie ciągłego ciała, muszę wspomnieć o ich jeszcze dziwniejszym rodzaju. Wśród tych istot każde ciało stanowi chmurę ultramikroskopijnych elementów, zorganizowanych we wspólny układ radiowy. Do tego typu należy rasa zamieszkująca obecnie naszego sąsiada, Marsa. Jako że opisałem już te istoty i tragiczne relacje, jakie nawiązą z naszymi potomkami w odległej przyszłości w innej książce¹¹, nie poświęcę im tu więcej uwagi. Wspomnę tylko, że nawiązaliśmy z nimi kontakt dopiero w znacznie późniejszej części naszej przygody, gdy udało nam się uzyskać zdolność do porozumienia z istotami obcymi nam pod względem stanu duchowego.

3. LUDZIE-ROŚLINY I INNI

Zanim przejdę do opisu historii naszej galaktyki jako całości (na tyle, na ile udało mi się ją zrozumieć), muszę wspomnieć o jeszcze jednym, całkowicie odmiennym od naszego rodzaju świata. Znaleźliśmy niewiele planet tego typu i jeszcze mniej przetrwało do szczytu galaktycznego dramatu. Przynajmniej jeden wywarł jednak (czy też wywrze) znaczny wpływ na rozwój ducha w tej burzliwej erze.

Na pewnych niewielkich planetach, zalewanych światłem i ciepłem przez pobliskie lub ogromne słońce, ewolucja przebiegała zupełnie inaczej niż ta, którą znamy. Rośliny i zwierzęta nigdy nie podzieliły się na osobne typy organizmów, ale każdy gatunek posiadał cechy obu z nich.

Na tych światach wyższe organizmy były czymś w rodzaju ogromnych, ruchomych ziół, ale gwałtowna powódź promieniowania słonecznego sprawiała, że tempo ich życia było znacznie szybsze niż naszych roślin. Takie ich opisanie może być jednak nieco zwodnicze, jako że w równym stopniu przypominały zwierzęta. Miały stałą liczbę kończyn i formę ciała, ale ich skóra była zielona albo zielonkawa oraz tu i tam, zależnie od gatunku, wyrastały z nich masy liści. Zważywszy na niewielką siłę grawitacji tych małych planet, roślino-zwierzęta często podtrzymywały na smukłych pniach czy kończynach wielkie polacie listowia. Ogólnie rzecz biorąc, te z nich, które były ruchome, dysponowały mniejszą ilością liści niż te prowadzące osiadły tryb życia.

Na owych małych, gorących światach burzliwe krążenie wody i atmosfery powodowało z dnia na dzień gwałtowne zmiany w warunkach na powierzchni. Burze i powodzie sprawiały, że tamtejsze organizmy musiały przystosować się do przemieszczania z miejsca na miejsce. W wyniku tego wczesne rośliny, które dzięki bogactwu promieniowania słonecznego były w stanie utrzymać w sobie dość energii dla działalności mięśni przez całe życie, rozwinęły zdolności percepcji i poruszania. Roślinne oczy i uszy, roślinne organy smaku, zapachu i dotyku pojawiały się na ich łodygach i liściach. Jeśli chodzi o ruch, niektóre po prostu wyciągnęły prymitywne korzenie z ziemi i pełzały tu i tam na podobieństwo gąsienic. Inne rozkładały szeroko liście i unosiły się na wietrze. Z tych poprzez wieki powstały rośliny zdolne do prawdziwego lotu. Tymczasem lądowe gatunki przekształciły część korzeni w umięśnione nogi, cztery, sześć lub więcej. Pozostałe korzenie były zdolne do szybkiego wwiercania się w grunt w nowym miejscu. Jeszcze inna metoda łączenia ruchu i zakorzenienia była może jeszcze bardziej zdumiewająca. Rosnąca nad powierzchnią ziemi część organizmu odłączała się od korzeni i oddalała się lądem lub powietrzem, by zakorzenić się w dziewiczej glebie. Wyczerpawszy tamtejsze zasoby, stworzenie po prostu odchodziło, by znaleźć kolejne miejsce lub by wrócić do początkowego, które do tego czasu mogło znów stać się żyzne. Tam ponownie łączyło się z uśpionymi, ale wciąż sprawnymi korzeniami.

Wiele gatunków rozwinęło oczywiście drapieżczy styl życia i specjalne organy ofensywne, takie jak muskularne, ściskające ofiarę gałęzie silne jak pytony czy też szpony, rogi i ząbkowane szczypce. Te „mięsożerne” stworzenia miały skromniejsze listowie i u większości z nich pełniło ono jedynie funkcję ozdobną. Zaskoczyło nas to, że środowisko narzuciło tym obcym stworzeniom formy zbliżone do naszych tygrysów czy wilków. Ciekawe było też to, jak przesadna specjalizacja i dostosowanie do ataku lub obrony rujnowało gatunek za gatunkiem i to, że gdy pojawiła się „ludzka” inteligencja, osiągnęło ją

¹¹opisałem już te istoty i tragiczne relacje (...) w innej książce — por. O. Stapledon, *Ostatni i pierwsi ludzie*. [przypis tłumacza]

niepozorne, bezbronne stworzenie, obdarzone jedynie intelektem i wrażliwością na świat materialny i swoich bliźnich.

Zanim opowiem o rozkwicie „ludzkości” na tego rodzaju świecie, muszę wspomnieć o jednym poważnym problemie, z którym mierzy się ewolucja życia na wszystkich małych planetach, często na wczesnym etapie. Na problem ten natknęliśmy się już na Innej Ziemi. Z uwagi na słabość grawitacji i palący żar słońca, cząsteczki atmosfery łatwo uciekały w przestrzeń kosmiczną. Większość małych światów oczywiście traciła powietrze i wodę długo zanim życie dotrzeć mogło do „ludzkiego” etapu, czasami nawet przed powstaniem samego życia. Inne, odrobinę większe, mogą na wczesnych etapach dysponować wystarczającą atmosferą, ale później, w wyniku powolnego, lecz stałego kurczenia się orbity, mogą nagrzać się na tyle, że nie są już w stanie utrzymać rozgrzanych cząsteczek gazów. Na niektórych z tych planet we wczesnych epokach rozwija się bujne życie, by z czasem upiec się i udusić. Ale w bardziej sprzyjających życiu przypadkach, jest ono w stanie dostosować się stopniowo do coraz trudniejszych warunków. Na niektórych światach pojawiał się na przykład mechanizm biologiczny, dzięki któremu resztki atmosfery więziło pole elektromagnetyczne wytwarzane przez zamieszkujące je organizmy. Na innych radzono sobie bez atmosfery; fotosynteza i cały metabolizm życia odbywały się wyłącznie z użyciem płynów. Ostatnie, rzadzące gazy wychwytywane były w roztworach i przechowywane w długich pasmach gąbczastych narosli pośród płataniny korzeni, pokrytych nieprzepuszczalną membraną.

Obie z tych naturalnych biologicznych metod pojawiły się na pewnych zwierozorślinnych światach, które osiągnęły „ludzki” poziom. Mam tu dość miejsca tylko na to, by opisać najistotniejszy przykład jednego z tych niezwykłych światów. Był to jeden z tych, na których cała wolna atmosfera ulotniła się na długo przed pojawieniem się inteligencji.

Zjawienie się na tym świecie i doświadczenie go poprzez obce zmysły i uczucia jego rodzimych mieszkańców było przygodą w pewnym sensie bardziej zadziwiająca niż poprzednie. Z uwagi na zupełny brak atmosfery, niebo, nawet przy słońcu w zenicie, było czarne jak przestrzeń międzygwiazdowa i widać było na nim żar gwiazd. Z uwagi na słabą grawitację i brak erozji w wyniku działania powietrza, wody i szronu na kurczącej się, pomarszczonej powierzchni planety, krajobraz stanowiła masa gór fałdowych, czynnych i wygasłych wulkanów, zastygniętych strumieni lawy i kraterów pozostawionych przez uderzenia wielkich meteorów. Ciągłe napięcia płaszcza planety roztrzaskały wiele z tych gór do postaci fantastycznych gór lodowych. Na naszej Ziemi, gdzie grawitacja, ten nieustrudzony ogar, chwytła zwierzynę z ogromną siłą, te smukłe, przeciążone u góry granie i szczyty nie byłyby w stanie ustać. W wyniku braku atmosfery odsłonięte powierzchnie skał były oślepiająco rozświetlone, szczeliny i cienie zaś czarne jak noc.

Wiele z dolin zmieniono w rezerwuary, zdawałoby się mleka, bo powierzchnie tych jezior pokryte były grubą warstwą białej, kleistej substancji, aby zapobiec ich ulotnieniu się. Wokół nich klebiły się korzenie dziwnych mieszkańców tego świata, jak pieńki drzew w miejscu wyciętego lasu. Każdy pieńek zasklepiony był tym samym białym klejem. Każda pięćdziesiąta była w użyciu i dowiedzieliśmy się, że choć część żywej gleby powstała na skutek działania powietrza i wody w dawnych epokach, większość była sztuczna. Produkowano ją dzięki górnictwu i ścieraniu kopalni na proch. W czasach pierwotnych i przez cały czas „przedludzkiej” ewolucji walka o dostęp do rzadkiej na tym skalistym świecie gleby była jednym z impulsów dla powstania inteligencji.

Sami ruchomi ludzie-rośliny za dnia zbierali się w dolinach, rozpościerając ku słońcu listowie. Tylko w nocy widzieliśmy ich w działaniu, jak przenosili litą skałę lub obsługiwali maszyny i inne sztuczne obiekty, instrumenty ich cywilizacji. Nie było budynków, żadnych zadaszonych, wodoodpornych wnętrz, jako że nie było tam żadnej pogody. Skaliste płaskowyzę i terasy pełne były jednak różnego rodzaju nierozpoznawalnych dla nas narzędzi.

Typowy człowiek-roślina miał wyprostowaną posturę, podobnie jak i my. Na głowie miał szeroką grzywę zielonych piór, które mógł albo zwijać do postaci wielkiej, ciasnej sałaty rzymskiej lub rozpościerać, by chwycić światło. Wyglądały spod nich trzy złożone

oczy. Pod nimi mieściły się trzy kończyny chwytne, zielone i wijące się, rozwidlone na końcach. Smukły, giętki pień, mieszczący się w twardych pierścieniach nasuwających się na siebie w miarę ruchów ciała, rozdzielał się na trzy ruchome nogi. Dwie z trzech stóp były również otworami gębowymi, mogącymi albo spijać żywotne soki z korzeni, albo pochłaniać inne obiekty. Trzecia była organem wydalniczym. Cennych ekskrementów nigdy nie marnowano, ale przepuszczano je przez specjalny styk między trzecią stopą a korzeniem. Stopy zawierały organy smaku i uszy. Jako że nie było powietrza, dźwięki nie roznosiły się nad powierzchnią gruntu.

Za dnia te dziwne istoty prowadziły głównie roślinny tryb życia, a w nocy zwierzęcy. Każdego ranka, po długiej, zimnej nocy, cała populacja wracała do korzeni. Każdy osobnik szukał swojego korzenia, przyczepiał się do niego i stał tak przez cały skwarny dzień z rozpostartymi liśćmi. Spał tak do zachodu słońca w rodzaju transu, którego medytacyjna, mistyczna właściwość miała stać się w przyszłych epokach źródłem pokoju dla wielu światów. Podczas snu prądy soków płynęły w górę i w dół pnia, niosąc substancje chemiczne od korzeni do liści, zalewając go stężonym tlenem, usuwając produkty wcześniejszego katabolizmu. Gdy słońce znów zniknęło za graniami, na chwilę budził się, związał liście, zasklepił korzenie i odłączał się, aby zająć się czynnościami cywilizowanego życia. Noc na tym świecie była jaśniejsza niż światło słoneczne na naszym, jako że gwiazdy nie były niczym przesłonięte i kilka wielkich gromad wisiało na nocnym niebie. Na potrzeby delikatnych operacji korzystano jednak z sztucznego słońca. Jego główną wadą było to, że usypiało robotników.

Nie będę nawet próbować naszkicować bogatego, obcego życia społecznego tych istot. Powiem tylko, że tutaj, podobnie jak gdzieś indziej znaleźliśmy wszystkie motywy kulturowe znane na Ziemi, ale w tym świecie ruchomych roślin były one przekształcone według dziwnego klucza. Podobnie jak gdzieś indziej znaleźliśmy tu populację osobników głęboko zaniepokojonych utrzymaniem przy życiu siebie i społeczeństwa. Znaleźliśmy samolubność, nienawiść, miłość, szal tłumy, ciekawość intelektualną i tak dalej. I tu, podobnie jak na wszystkich odwiedzonych do tej pory światach, znaleźliśmy rasę przechodzącą właśnie ten wielki kryzys duchowy, znany nam z własnych światów, a stanowiący kanał, dzięki któremu uzyskiwaliśmy dostęp telepatyczny do innych planet. Tu kryzys przybrał jednak formę inną niż dotychczas napotykaną. Zaczęliśmy najwyraźniej poszerzać naszą moc eksploracji umysłowej.

Pomijając wszystko inne, muszę jednak spróbować opisać ten kryzys, ponieważ jest istotny dla zrozumienia kwestii wykraczających znacznie poza sprawy, którymi żyje nasz mały światek.

Nie zaczęliśmy rozumieć dramatu tej rasy, zanim nie nauczyliśmy się wczuwać w jej podwójną, zwierzęco-roślinną naturę. Krótko mówiąc, mentalność roślino-ludzi w każdej epoce wyrażała napięcie między tymi dwoma jej stronami, między aktywną, asertywną, obiektywnie ciekawą świata i moralnie pozytywną naturą zwierzęcia a pasywną, subiektywnie kontemplatywną i potulną naturą rośliny. Oczywiście to dzięki zwierzęcej zręczności i praktycznej ludzkiej inteligencji gatunek ten dawno temu zdominował swój świat. Przez cały ten czas jednak ową praktyczną wolę temperowało i ubogacało rzadkie wśród ludzi doświadczenie. Każdego dnia, poprzez wieki, istoty te porzucały swoją gorącą zwierzęcą naturę nie tylko na rzecz nieświadomego snu, znanego też nam, ale na rzecz wyjątkowego rodzaju świadomości, która, jak się okazało, przynależy roślinom. Rozpuszczając liście, pochłaniały bezpośrednio ten podstawowy eliksir życia, który zwierzęta otrzymują jedynie z drugiej ręki w poszarpanych zwłokach ofiary. W ten sposób mieszkańcy tego świata utrzymywali bezpośredni kontakt fizyczny ze źródłem wszelkiego kosmicznego istnienia. I stan ten, choć fizyczny, był też w pewnym sensie duchowy. Miał dalekosiężny wpływ na całe ich zachowanie. Jeśli miałbym pozwolić sobie na użycie języka teologii, można by to nazwać duchowym kontaktem z Bogiem. Podczas nocnej krzątania zajmowali się swoimi przyziemnymi sprawami jako odizolowane od siebie jednostki, nie doświadczając bezpośrednio jedności. Zawsze jednak przed najgorszymi ekscesami indywidualizmu powstrzymywała ich pamięć dziennego życia.

Długo nie mogliśmy zrozumieć, że ich szczególny dzienny stan nie polegał jedynie na zjednoczeniu w zbiorowym umyśle, czy to plemiennym czy rasowym. Nie był to już stan pojedynczych organizmów w ptasiej chmurze ani jeszcze poziom telepatycznych światoumysłów, które, jak później odkryliśmy, miały odegrać ważną rolę w historii galaktyki. Człowiek-roślina nie wchodził w dziennym życiu w posiadanie myśli i uczuć swoich współplemieńców, aby przebudzić w sobie pełniejsze zrozumienie środowiska i wielości ciał rasy. Przeciwnie, stawał się zupełnie obojętny na wszystkie obiektywne warunki oprócz światła słonecznego zalewającego jego liście. To doświadczenie powodowało ciągły stan ekstazy niemal seksualnego rodzaju, ekstazy, w której to, co wewnątrz i na zewnątrz zdawało się identyczne, ekstazy subiektywnego zjednoczenia z ukrytym źródłem wszelkiego stworzenia. Człowiek-roślina mógł w tym stanie medytować na temat swego aktywnego, nocnego życia i być świadom, bardziej niż za dnia, wszelkich niuansów własnych motywacji. W dziennym trybie nie wyrażał moralnych ocen siebie i innych, ale przyglądał się w myślach z odległą, kontemplacyjną radością wszelkim ludzkim zachowaniom jako czynnikom we wszechświecie. Gdy jednak znów nastawała noc, przywracając aktywny stan, ten spokojny, nocny wgląd w samego siebie i innych płonął ogniem moralnej pochwały i nagany.

Przez całą ścieżkę życia tej rasy istniały pewne napięcia między tymi dwoma podstawowymi impulsami jej natury. Wszystkie jej najwspanialsze osiągnięcia kulturowe powstawały w czasach, gdy oba były silne i żaden nie dominował. Ale, jak na wielu innych światach, rozwój nauk przyrodniczych i wytworzenie siły mechanicznej z tropikalnego światła słonecznego spowodowały poważną dezorientację umysłową. Stworzenie niezliczonych wygod i luksusów, pociągnięcie na cały świat kolei elektrycznej, rozwój komunikacji radiowej, badania nad astronomią i biochemią, nagle dążenia do wojny i rewolucji społecznej, wszystkie te wpływy wzmacniały mentalność aktywną i osłabiały kontemplacyjną. Klimaks nadszedł, gdy udało się całkiem zlikwidować potrzebę dziennego snu. Produkty sztucznej fotosyntezy można było wtedy wstrzykiwać do żywego ciała co rano, dzięki czemu człowiek-roślina mógł utrzymać aktywność przez całą dobę. Wkrótce zaczęto wykopywać korzenie i korzystać z nich jako surowców przemysłowych. Ich naturalna funkcja nie była już potrzebna.

Nie mogę poświęcić czasu na szczegółowy opis straszliwego losu, jaki spotkał teraz ów świat. Choć sztuczna fotosynteza utrzymywała ciało w pełni sił, to nie dostarczała mu odpowiednich witamin ducha. Wśród ludności szerzyła się zaraza robotyzmu, całkowicie mechanicznego życia. Nastąpiła oczywiście gorączka aktywności przemysłowej. Ludzie-rośliny krążyli po planecie w różnego rodzaju mechanicznie napędzanych pojazdach, odziewali się w najnowsze produkty syntetyczne, czerpali energię z ciepła wulkanicznego, wykazali znaczną pomysłowość, jeśli chodzi o sposoby niszczenia się nawzajem i w tysiącach innych gorączkowych czynności podejmowanych w poszukiwaniu ciągle umykającej im błogości.

Po nieopisywalnych katastrofach zaczęli zdawać sobie sprawę, że cały ich styl życia był obcy ich zasadniczo roślinnej naturze. Przywódcy i prorocy zaczęli pomstować na mechanizację i intelektualistyczną, naukową kulturę oraz sprzeciwiać się sztucznej fotosyntezie. W owym czasie zniszczeniu uległy już niemal wszystkie korzenie rasy, ale nauki biologiczne skupiły się na wytworzeniu z pozostałych resztek nowych korzeni dla wszystkich. Krok po kroku cała populacja była w stanie powrócić do naturalnej fotosyntezy. Przemysłowe życie świata zniknęło jak mróz na słońcu. Powróciwszy do dawnego, na przemian zwierzęcego i roślinnego życia, ludzie-rośliny, znużeni i nierównoważeni umysłowo w wyniku długiej gorączki industrializmu, znaleźli w spokojnym dziennym doświadczeniu wszechogarniającą radość. Żal ich wcześniejszego życia zintensyfikowała przez kontrast ekstazę roślinnego doświadczenia. Przenikliwość umysłowa, którą ich najbystrzejsze umysły uzyskały w działalności naukowej, w połączeniu z wyjątkowością ich odzyskanego życia roślinnego nadały im nowej jasności myśli. W krótkim czasie osiągnęli poziom świadomości duchowej stanowiący przykład i skarb dla przyszłych eonów galaktyki.

Ale nawet najbardziej duchowe życie nie jest pozbawione pokus. Ekstrawagancka gorączka industrializmu i intelektualizmu subtelnie zatrzała ludzi-rośliny na tyle, że gdy w końcu zbuntowali się przeciwko niej, wahadło odchyliło się zbyt daleko i popadli w tak

jednostronnie roślinne życie, jak wcześniej w zwierzęce. Krok po kroku coraz mniej energii i czasu poświęcali „zwierzęcym” zajęciom, aż w końcu noce także spędzali jako drzewa, a aktywna, odkrywca, ciekawa świata inteligencja zwierzęca umarła w nich na zawsze.

Przez jakiś czas rasa ta żyła wciąż w coraz bardziej niewyraźnej i dezorientującej ekstazie biernego zjednoczenia z uniwersalnym źródłem wszechrzeczy. Pradawny mechanizm biologiczny utrzymujący gazy w roztworze był na tyle silny i automatyczny, że funkcjonował przez długi czas bez świadomego nim sterowania. Przemysł zwiększył jednak populację świata poza granice, w jakich niewielkie zasoby wody i gazów mogły z łatwością spełniać swoją funkcję. Krążenie materii stało się niebezpiecznie szybkie. Z czasem mechanizm stał się przeciążony. Zaczęły pojawiać się wycieki i nie miał ich kto naprawiać. Kropla po kropli, woda i inne cenne substancje uciekały z planety. Rezerwuary stawały się puste, gąbczaste korzenie wysychały, liście więdły. Jeden po drugim, pogrążeni w błogości i nie będący już ludźmi mieszkańcy planety z ekstazy przechodzili w chorobę, przynębnienie, zdumienie niepojętym dla nich biegiem wydarzeń i w końcu śmierć.

Jednakże, jak jeszcze opowiem, ich osiągnięcia nie pozostały bez wpływu na życie naszej galaktyki.

„Roślinne ludzkości”, jeśli tak mogę je nazwać, okazały się być dość rzadkim zjawiskiem. Niektóre zamieszkiwały planety bardzo ciekawego rodzaju, o których jeszcze nie wspominałem. Jak powszechnie wiadomo, niewielka planeta zbliżona do swojego słońca często, w wyniku oddziaływania grawitacji gwiazdy, przestaje się obracać. Dnie stają się coraz dłuższe, aż w końcu kieruje ku źródłu światła tylko jedną stroną. Pewna liczba tego rodzaju planet w galaktyce była zamieszкана, z czego kilka właśnie przez tego rodzaju istoty.

Wszystkie te pozbawione cyklu dobowego światy były bardzo nieprzyjazne dla życia, jako że jedna półkula zawsze była wyjątkowo gorąca, a druga wyjątkowo zimna. Na oświetlonej stronie temperatura dochodziła do poziomu topnienia ołowiu, a po ciemnej stronie żadna substancja nie była w stanie utrzymać ciekłej formy, jako że temperatura pozostawała jedynie na poziomie stopnia lub dwóch powyżej zera absolutnego. Między półkulami mieścił się wąski pas, a raczej ledwie wstążka, którą nazwać można umiarkowaną. Tam wielkie, płomienne słońce zawsze pozostawało częściowo ukryte za horyzontem. Wzdłuż chłodniejszej strony tej wstęgi, skrytej przed morderczymi promieniami dysku słonecznego, ale oświetlonej przez jego koronę i ocieplanej przez przepływ ciepła z nasłonecznionej strony, życie bywało możliwe.

Zamieszkałe światy tego typu zawsze osiągały dość wysoki poziom ewolucji biologicznej, na długo zanim utraciły obrót wokół własnej osi. W miarę jak dnie wydłużały się, życie musiało dostosowywać się do coraz bardziej ekstremalnych nocnych i dziennych temperatur. Bieguny planety, jeśli nie były zbyt przechylone względem ekliptyki, utrzymywały dość stałą temperaturę i stawały się cytadelami, skąd formy życia wyprawały się do mniej gościnnych regionów. Wielu gatunkom udawało się rozprzestrzenić się ku równikowi za pomocą prostej metody zakopywania się i „hibernacji” za dnia i w nocy oraz wyłaniania się tylko o świcie i zachodzie słońca, by prowadzić pospieszne aktywne życie. W miarę jak dni wydłużały się w miesiące, niektóre gatunki, dostosowane do szybkiego ruchu, po prostu przemieszczały się wokół planety, goniąc za zachodem słońca i świtem. Dziwnie było spoglądać na równik i widzieć najwinniejsze z tych gatunków pędzące po równinach w jednostajnym świetle. Ich nogi były często tak wysokie i smukłe jak maszty okrętowe. Od czasu do czasu zbaczały z kursu, wyciągając długie szyje, by pochwycić jakieś uciekające stworzenie lub zerwać kępkę liści. Takie stałe i nagłe migracje byłyby niemożliwe w światach mniej bogatych w energię słoneczną.

Ludzka inteligencja nigdy nie pojawiała się na żadnym z tych światów, o ile nie osiągnięto jej, na długo zanim noce i dnie stały się tak długie, a różnice ich temperatur tak wielkie. Na planetach, gdzie ludzie-rośliny i inne stworzenia zbudowały cywilizację i odkryły naukę przed spowolnieniem obrotu, czyniono wielkie starania, aby poradzić sobie z coraz mniej przyjaznym środowiskiem. Czasami cywilizacja wycofywała się na bieguny, porzucając resztę planety. Czasami w innych regionach powstawały podziemne osady,

których mieszkańcy wychodzili z nich jedynie o świcie i zachodzie słońca, by uprawiać ziemię. Czasem sieć kolejowa idąca wzdłuż równoleżników przewoziła migrującą populację z jednego centrum rolnego ku kolejnemu, podążając za półmrokiem.

W końcu jednak, gdy planeta całkowicie przestała się obracać, osiadła cywilizacja stłoczona była na całej długości stacjonarnej granicy między nocą a dniem. Do tego czasu, jeśli nie wcześniej, ulecieć musiała też atmosfera. Można sobie wyobrazić, że rasa walcząca o przetrwanie w tych warunkach nie byłaby w stanie zachować bogatego życia umysłowego.

VIII. O ODKRYWCACH

Bvalltu i ja, w towarzystwie rosnącej kompanii innych odkrywców, odwiedziliśmy wiele światów wielu dziwacznych rodzajów. Na niektórych spędziliśmy tylko kilka tygodni miejscowego czasu, a na innych pozostawaliśmy przez stulecia lub skakaliśmy z jednego punktu w ich historii w inny. Zjawialiśmy się nad nowym światem jak chmara szarańczy i każdy z nas wybierał sobie odpowiedniego gospodarza. Po okresie obserwacji, dłuższym lub krótszym, znów wyruszyliśmy, być może ponownie na ten sam świat w innej z jego epok, lub rozpraszaliśmy naszą kompanię na wiele światów, odległych od siebie w czasie i przestrzeni.

To dziwne życie zmieniło mnie w istotę znacząco różniącą się od tego Anglika, który w pewnym momencie ludzkiej historii wyszedł nocą na wzgórze. Nie dość, że moje bezpośrednie doświadczenia wykraczały daleko poza ludzkie pojmowanie, ale, dzięki szczególnie intymnej więzi z towarzyszami, zostałem, że tak powiem, powielony. Bo w pewnym sensie tak samo byłem teraz Bvalltu i każdym z naszych kompanów, jak tamtym Anglikiem.

Ta zmiana, która nas dotknęła, zasługuje na dokładne opisanie, nie tylko ze względu na to, że sama w sobie jest interesująca, ale także dlatego, że dała nam klucz dla zrozumienia wielu kosmicznych istot, których natura w przeciwnym wypadku pozostawałaby dla nas zagadką.

W tym nowym stanie naszej społeczności wszelkie doświadczenia każdego z nas dostępne były dla wszystkich. Dlatego ja, nowy ja, brałem udział w przygodach tego Anglika, Bvalltu i całej reszty z jednakową łatwością. I posiadałem wszystkie ich wspomnienia z dawnej, osobnej egzystencji na ich ojczystych światach.

Niektórzy czytelnicy z filozoficznym zacięciem mogą spytać: „Czy to znaczy, że wiele osobnych, doświadczających świata istot stało się jedną, z jednym strumieniem doświadczeń? Czy też pozostało wiele indywidualnych istot o osobnych, lecz identycznych doświadczeniach?” Odpowiedź jest taka, że nie wiem. Wiem jednak to, że ja, Anglik i podobnie każdy z moich kolegów, stopniowo budziliśmy w sobie posiadanie doświadczeń pozostałych i bardziej świadomą egzystencję. Czy jako doświadczające różnych przeżyć istoty pozostawaliśmy wielością, czy też stawaliśmy się jednością, nie wiem. Podejrzewam jednak, że pytanie należy do tych, na które nie sposób w pełni odpowiedzieć, ponieważ ostatecznie nie ma to znaczenia.

W miarę tych wspólnych obserwacji wielu światów oraz w miarę wglądu w moje własne, wspólne procesy myślowe, raz jeden, raz inny z poszczególnych odkrywców, a czasem cała ich grupa stawała się głównym instrumentem uwagi, przydając nam poprzez swoją szczególną naturę i doświadczenia materiału do kontemplacji przez wszystkich. Czasami, gdy byliśmy wyjątkowo czujni i rozpaleni entuzjazmem, budziła się percepcja, myśl i wyobrażenia każdego z nas bardziej świadoma niż jakiegokolwiek doświadczenie znane nam jako jednostkom. Choć więc każdy z nas stał się w pewnym sensie identyczny jak jego przyjaciele, był też w pewnym sensie umysłem wyższego rzędu niż którykolwiek z nas z osobna. W tym „przebudzeniu” nie zdawało się jednak być nic bardziej tajemniczego niż w tych wielu chwilach normalnego życia, gdy umysł z rozkoszą łączy ze sobą dotąd odizolowane od siebie doświadczenia lub odkrywa w chaosie wzór o niedostrzeganym do tej pory znaczeniu.

Nie należy jednak sądzić, że ta dziwna wspólnota umysłowa wymazywała osobowości poszczególnych odkrywców. Ludzka mowa nie zawiera odpowiednich pojęć, by opisać naszą szczególną relację. Równie nieprawdziwe byłoby stwierdzenie, że zatraciliśmy naszą indywidualność czy że rozplynęliśmy się w indywidualności wspólnoty, jak i stwierdzenie, że wszyscy byliśmy przez ten czas osobnymi istotami. Choć zaimiek „ja” odnosił się do nas wszystkich łącznie, to samo powiedzieć można o zaimku „my”. W jednej kwestii, czyli jedności świadomości, rzeczywiście stanowiliśmy jedną doświadczającą świata istotę, ale w tym samym czasie pod ważnym i zachwycającym względem byliśmy też odrębni. Choć istniało tylko jedno, wspólne „ja”, istniało także, że tak powiem, wielorakie, różnorodne

Współpraca, Kondycja
ludzka

„my”, zbiór wielu różnych od siebie osobowości, z których każda w kreatywny sposób wyrażała własny, wyjątkowy wkład w całe przedsięwzięcie eksploracji kosmosu, podczas gdy wszystkich nas łączył spłot subtelnych osobistych relacji.

Jestem świadom, że ten opis musi wydawać się moim czytelnikom wewnętrznie sprzeczny, bo i mnie się takim zdaje. Nie potrafię jednak znaleźć innego sposobu na wyrażenie żywo pamiętanego faktu, że byłem kiedyś pojedynczym członkiem społeczności i jednocześnie fragmentem wspólnego doświadczenia tej społeczności.

Ujmując tę kwestię inaczej, choć pod względem tożsamości i świadomości stanowiliśmy jedną istotę, to pod względem naszych różnorodnych, twórczych cech szczególnych byliśmy osobnymi osobami dostrzegalnymi przez wspólne „ja”. Każdy z nas, jako wspólne „ja”, postrzegał całą kompanię jednostek, łącznie z sobą samym, jako grupę osób różniących się temperamentem i prywatnymi doświadczeniami. Każdy z nas doświadczał tego wszystkiego jako prawdziwej społeczności, złączonej takimi relacjami wzajemnych uczuć i krytyki, jak choćby między Bvalltu a mną. A jednak na innej płaszczyźnie, na poziomie twórczej myśli i wyobraźni, pojedyncza, wspólna uwaga mogła wycofać się z tego spłotu relacji osobistych. Zamiast tego skupiała się w pełni na eksploracji kosmosu. Częściowo prawdziwe będzie stwierdzenie, że jeśli pod względem miłości byliśmy osobni, to pod względem wiedzy, mądrości i okazywanej czci byliśmy identyczni. W następnych rozdziałach, dotyczących kosmicznych doświadczeń tego wspólnego „ja”, logiczne byłoby odnosić się do eksplorującego umysłu zawsze w liczbie pojedynczej, z użyciem zaimka „ja” i pisać po prostu „zrobiłem to i tamto, pomyślałem to i owo”; mimo wszystko jednak w większości przypadków korzystać będę z liczby mnogiej, aby zachować prawdziwe poczucie wspólnego przedsięwzięcia i uniknąć fałszywego wrażenia, że odkrywcą był jedynie ludzki autor tej książki.

Każdy z nas prowadził wcześniej indywidualne, aktywne życie na jednym z wielu światów. Dla każdego jego własna, pełna błędów, przebyta na ojczyznej planecie ścieżka zachowała szczególną konkretność i wyjątkowy urok, niczym żywo wspomniane przez dorosłych ludzi dzieciństwo. Poza tym każdy nadawał swojemu dawnemu, prywatnemu życiu pilność i wagę, która w ramach społecznego postrzegania przesłonięta była kwestiami większej kosmicznej wagi. Ta konkretność i ten urok, ten pośpiech i waga każdego prywatnego życia składały się na wspólne „ja”, w którym uczestniczyliśmy wszyscy. Rozświeślały wspólnotowe doświadczenie swoją jaskrawością, patosem. Albowiem tylko we własnym życiu jako mieszkańca jakiegoś świata każdy z nas naprawdę walczył, że tak się wyrażę, w wojnie życia jako żołnierz zmagający się z bliska z przeciwnikiem. Wspomnienie tej spętanej, uwięzionej, zaślepionej, ochoczej, prywatnej indywidualności pozwalało nam przyglądać się rozwojowi kosmicznych wydarzeń nie tylko jako spektaklowi, ale z poczuciem wagi każdego pojedynczego życia, które rozbłyskiwało i gasło.

Tak więc ja, Anglik, włożyłem do wspólnego umysłu własne wciąż żywe wspomnienia bezowocnych poczynań w moim własnym, pełnym kłopotów świecie i we wspólnym ja stało się dla mnie jasne prawdziwe znaczenie tego ślepego ludzkiego życia, którego największą wartość stanowił mały, niedoskonały klejnocik wspólnoty, ze świadomością, której Anglik w swym pierwotnym otępieniu nie mógłby nigdy osiągnąć i nie może teraz ponownie pochwytać. Wszystko, co teraz pamiętam, to że jako wspólne „ja” spoglądałem na własną ścieżkę ziemskiego życia jednocześnie bardziej krytycznie, jak i bardziej wyrozumiale niż indywidualnie, a na swą partnerkę w tym żywocie jednocześnie z jaśniejszym, chłodniejszym zrozumieniem naszego wzajemnego wpływu, jak i ze wzmożoną czułością.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednym aspekcie tego wspólnotowego doświadczenia odkrywców. Każdy z nas początkowo wyruszył na tę wielką przygodę głównie w nadziei na odkrycie, jaką rolę odgrywa społeczność kosmosu jako całość. Pytanie to miało doczekać się odpowiedzi dużo później, ale tymczasem coraz istotniejsze stawało się inne. Nasze wspólne doświadczenia na wielu światach i nasza nowa trzeźwość ducha wywołały w każdym z nas ostry konflikt intelektu i uczucia. Pod względem intelektualnym myśl, że jakiegoś rodzaju „bóstwo” odrębne od samego kosmosu stworzyło go, zdawała się nam

coraz mniej prawdopodobna. Logicznie rzecz biorąc nie wątpiliśmy, że kosmos jest samowystarczalnym systemem nie wymagającym stwórcy. Coraz bardziej jednak, jak człowiek potrafi czuć psychiczną rzeczywistość fizycznie dostrzeganej ukochanej osoby lub widzianego wroga, czuliśmy w fizycznej obecności kosmosu psychiczną obecność tego, którego nazwaliśmy Sprawcą Gwiazd. Choć przeczył temu nasz intelekt, wiedzieliśmy, że cały kosmos stanowił nieskończenie mniej niż całość rzeczywistości i że cała nieskończoność istnienia stała u fundamentów każdej chwili we wszechświecie. I tak z nieracjonalną pasją wciąż staraliśmy się zajrzeć za każde drobne wydarzenie w kosmosie, by ujrzeć prawdziwą twarz tej nieskończoności, którą, z braku lepszego imienia, nazwaliśmy Sprawcą Gwiazd. Ale jak uważnie byśmy się nie rozglądali, nie znajdowaliśmy niczego. Choć w całości i w każdej pojedynczej rzeczy stawaliśmy niewątpliwie naprzeciw tej przerażającej obecności, jej nieskończoność powstrzymywała nas od przypisywania jej jakichkolwiek cech.

Czasami skłonni byliśmy wyobrażać ją sobie jako czystą Moc i postrzegaliśmy ją poprzez symbolikę miriad bóstw ze wszystkich naszych światów. Czasami pocieszałyśmy się, że to czysty Rozum i że kosmos stanowił ćwiczenie boskiego matematyka. Czasami jego podstawową cechą była dla nas Miłość i wyobrażaliśmy go sobie w formie wszystkich Chrystusów ze wszystkich światów, ludzkich Chrystusów, szkarłupniowych i łodzikowcowych Chrystusów, podwójnego Chrystusa symbiotyków, rojnego Chrystusa insektoidów. Podobnie jednak obecność ta jawiła nam się jako nieracjonalna Kreatywność, jednocześnie ślepa i subtelna, czuła i okrutna, pragnąca jedynie powoływać do życia nieskończoną różność istot, tu i tam pośród tysiąca próżności płódząc delikatny wdzięk. Mogła przez jakiś czas niańczyć go z matczyną troską, aż w porywie nagłej zazdrości o wspaniałość własnego stworzenia niszczyła to, co sprawiła.

Wiedzieliśmy jednak, że wszystkie te fikcje są całkowicie fałszywe. Odczuwana przez nas obecność Sprawcy Gwiazd pozostawała nieczytelna, choć w coraz większym stopniu rozświetlała kosmos, jak splendor niewidzianego słońca o świcie.

IX. WSPÓLNOTA ŚWIATÓW

I. ŻYWE UTOPIE

Nadszedł czas, gdy nasz nowy wspólny umysł osiągnął tak wysoki poziom świadomości, że był w stanie utrzymać kontakt nawet ze światami, które wykroczyły daleko poza mentalność ziemskich ludzi. O tych podniosłych doświadczeniach po powrocie do stanu bycia jedynie pojedynczą istotą ludzką mam jedynie bardzo chaotyczne wspomnienia. Jestem jak ktoś, kto w stanie zupełnego wycieńczenia umysłowego stara się przypomnieć sobie najbardziej wnikliwe intuicyjne spostrzeżenia, które przysły mu do głowy w stanie utraconej obecnie świeżości myślenia. Może przywołać jedynie blade echo i przytłumiony blask. Nawet jednak te fragmentaryczne wspomnienia kosmicznych odczuć, których doświadczyłem w tym stanie wyjątkowej przytomności zasługują na opisanie.

Ciąg wydarzeń w rodzącym się świecie wyglądał zwykle mniej więcej następująco. Punktem początkowym, co warto zauważyć, była sytuacja, w jakiej obecnie znajduje się nasza Ziemia. Dialektyka historii świata postawiła zamieszkującą go rasę przed problemem, z którym tradycyjna mentalność nie byłaby w stanie sobie nigdy poradzić. Sytuacja stała się zbyt złożona dla przyziemnych intelektów i wymagała takiego poziomu prawości u przywódców i u podążających za nimi mas, jaki możliwy był jedynie dla nielicznych umysłów. Świadomość przebudziła się już gwałtownie z pierwotnego transu i wpadła w stan rozpaczliwego indywidualizmu i wzniosłej, lecz żałośnie ograniczonej samoświadomości. A indywidualizm w połączeniu z tradycyjnym, plemiennym myśleniem groził teraz zrujnowaniem świata. Tylko po długich męczarniach związanych z kryzysami gospodarczymi i maniackimi wojnami, dzięki coraz jaśniejszym wizjom szczęśliwszego świata, osiągnąć można drugi etap przebudzenia. W większości przypadków się to nie udało. „Natura ludzka”, czy też jej odpowiednik na wielu światach, nie była zdolna do przemiany, a środowisko nie mogło jej przekształcić.

Ale na garstce spośród światów reakcją ducha na ten rozpaczliwy los był cud. Czy też, jeśli tak woli czytelnik, środowisko w cudowny sposób przeobraziło ducha. Dochodziło do powszechnego i niemal natychmiastowego przebudzenia do nowej, przytomniejszej świadomości i nowej prawości ducha. Nazwanie tej przemiany cudem oznacza jedynie uznanie faktu, że nie było możliwe przewidzenie jej z pomocą nauki nawet przy najpełniejszej wiedzy o „ludzkiej naturze”, w formie, w jakiej manifestowała się w poprzedniej epoce. Dla późniejszych pokoleń nie był to jednak cud, ale spóźnione przebudzenie z niezwykłego otępienia do zwykłej przytomności.

Ten bezprecedensowy poziom świadomości początkowo przyjmował formę powszechnej chęci zaprowadzenia nowego porządku społecznego, który byłby sprawiedliwy i obejmowałby całą planetę. Tego rodzaju ferwor społeczny nie był oczywiście niczym nowym. Niewielka mniejszość od dawna wyobrażała sobie lepszą przyszłość i z pewnym wahaniem próbowała poświęcić się jej zrealizowaniu. Ale teraz w końcu, dzięki zbiegowi okoliczności i potencjałowi samego ducha, ta wola społeczna ogarniała cały świat. I choć nadal była pełna pasji, a przebudzone istoty nadal zdolne były do bohaterских czynów, cała struktura społeczna świata ulegała reorganizacji i w ciągu pokolenia lub dwóch każda rozumna istota na planecie mogła liczyć na środki życiowe i szanse na spełnienie swojego potencjału dla własnego szczęścia i w służbie światowej społeczności. Możliwe teraz było wychowanie nowych pokoleń w poczuciu, że porządek świata stanowił już nie obcą tyranię, ale wyrażenie woli ogółu i że ich szlachetne dziedzictwo było czymś, dla czego warto żyć, za co warto cierpieć i umierać. Dla czytelników tej książki taka zmiana może wydawać się cudowna, a taki stan utopijny.

Ci z nas, który pochodzili z mniej szczęśliwych planet uznali jednocześnie za podnoszące na duchu, jak i gorzkie spoglądanie na kolejne światy, które pomyślnie wyszły z niedoli, która zdawała się nieunikniona, patrzenie na to, jak populacja sfrustrowanych, zatrutych nienawiścią stworzeń ustępuje takiej, w której każda istota traktowana jest hojnie i mądrze i dzięki temu nie grozi jej nieświadomiona zazdrość i nienawiść. Wkrótce, choć nie doszło do żadnych zmian na poziomie biologicznym, nowy porządek społeczny wytwarzał populację świata, która równie dobrze mogłaby należeć do innego gatunku.

Pod względem możliwości fizycznych, inteligencji, niezależności umysłowej i odpowiedzialności społecznej nowe osobniki znacznie przewyższały stare, podobnie jak pod względem zdrowia psychicznego i siły woli. I choć czasami obawiano się, że usunięcie wszelkich źródeł konfliktu społecznego może pozbawić umysł bodźców dla pracy twórczej i doprowadzić do powstania populacji przeciętniaków, wkrótce okazało się, że zamiast ulegać stagnacji, duch takiej rasy odkrywał teraz nowe pola walki i triumfu. „Arystokraci”, którzy po wielkiej zmianie stanowili całą, prosperującą ludność, spoglądali na poprzednią epokę z ciekawością oraz niedowierzaniem i z wielkim trudem przychodziło im wyobrażanie sobie poplątanych, niecnych i w większości nieświadomych motywacji napędzających działania nawet najszcześniejszych z ich przodków. Uznawano, że cała przedrewolucyjna ludność cierpiała na poważne choroby umysłowe, powszechne zarazy urojeń i obsesji z uwagi na niedożywienie i zatrucie umysłów. W miarę postępów badań nad psychiką dawna psychologia budziła zainteresowanie podobne jak to, jakie wśród współczesnych Europejczyków budzą starożytne mapy zniekształcające kształt świata niemal nie do poznania.

Skłanialiśmy się ku postrzeganiu kryzysu psychologicznego budzących się światów jako trudnego przejścia od młodości do dojrzałości. Sprowadzał się bowiem do wyrośnięcia z młodzieńczych zainteresowań, odrzucenia zabawek i dziecięcych zabaw i odkrycia pasji dorosłego życia. Prestiż plemienny, indywidualna dominacja, chwała wojenna, triumfy przemysłowe traciły swój powab i zamiast tego szczęśliwe stworzenia cieszyły się cywilizowanymi relacjami społecznymi, biorąc udział w działaniach kulturowych i we wspólnym przedsięwzięciu budowy świata.

Podczas fazy historii, która następowała po samym przezwyciężeniu kryzysu duchowego w budzącym się świecie dana rasa nadal skupiała oczywiście uwagę na odbudowie społecznej. Należało podjąć się wielu bohaterskich zadań. Potrzebny był nie tylko nowy system gospodarczy, ale nowe systemy organizacji politycznej, prawa i oświaty. W wielu przypadkach ten okres rekonstrukcji pod przewodnictwem nowej mentalności sam stanowił czas poważnych konfliktów. Bowiem nawet istoty, które szczerze zgadzają się co do celu aktywności społecznej mogą ostro nie zgadzać się co do środków. Jednocześnie konflikty te, choć pełne emocji, znacznie różniły się od wcześniejszych konfliktów wynikających z obsesyjnego indywidualizmu i nienawiści wobec grup społecznych.

Zauważyliśmy, że nowe porządki świata były bardzo różnorodne. Można się tego było oczywiście spodziewać, jako że światy te różniły się biologicznie, psychologicznie, kulturowo. Doskonały ustroj dla rasy szkarłupni musiał oczywiście być inny niż dla symbiotycznych ichtioidów i arachnoidów, a ten od ustroju łodzikowców i tak dalej. Zauważyliśmy jednak na wszystkich tych zwycięskich światach niezwykle podobieństwo. Na przykład, w najswobodniejszym tego słowa znaczeniu, wszystkie były komunistyczne, jako że na wszystkich z nich środki produkcji stanowiły własność wspólną i żadna jednostka nie mogła wykorzystywać pracy innych dla prywatnego zysku. Znow jednak, w pewnym sensie wszystkie te ustroje były demokratyczne, jako że ostatecznie politykę kształtowała światowa opinia publiczna. Ale w wielu przypadkach nie istniała machina demokratyczna, nie było kanałów prawnych dla wyrażenia światowej opinii. Zamiast tego wysoce wyspecjalizowana biurokracja, a nawet światowy dyktator, mógł zajmować się organizacją działalności świata, posiadając pod względem prawnym absolutną władzę, ale wciąż podlegając nadzorowi woli ludu wyrażanej poprzez radio. Zdumiało nas to, że na rzeczywiście przebudzonym świecie nawet dyktatura potrafiła być w zasadzie demokratyczna. Byliśmy świadkami niewiarygodnych sytuacji, w których „absolutne” rządy światowe, w obliczu wyjątkowo ważnej i pełnej wątpliwości decyzji politycznej, apelowały o formalną decyzję demokratyczną, by ze wszystkich regionów otrzymać odpowiedź: „Nie możemy nic doradzić. Musicie zdecydować tak, jak podpowiada wam doświadczenie zawodowe. Podporządkujemy się waszej decyzji”.

Prawo na tych światach opierało się na zadziwiającym rodzaju reguł, które nie mogłyby sprawdzić się na Ziemi. Nie istniały żadne próby egzekwowania prawa z użyciem przemocy, nie licząc niebezpiecznych szaleńców, stanowiących czasami relikty poprzedniej

ery. Na niektórych planetach istniały złożone systemy „praw” dotyczących życia gospodarczego i społecznego pewnych grup czy nawet prywatnych spraw jednostek. Z początku wydawało nam się, że na tych światach zaniknęła wolność. Później odkryliśmy jednak, że cały ten misterny system traktowano tak, jak my traktujemy zasady gry czy kanony sztuki, czy też niezliczone pozaprawne zwyczaje istniejące w każdym społeczeństwie. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy trzymali się prawa, ponieważ wierzyli w jego wartość społeczną jako wskazówek właściwego postępowania. Ale w przypadku, gdy prawo wydawało się nieodpowiednie łamali je bez wahania. Zachowanie takie mogło spowodować oburzenie, niedogodności czy nawet poważne problemy dla innych, którzy zapewne stanowczo by zaprotestowali. Ale nie istniała kwestia przymusu. Jeśli bezpośrednio zainteresowanym nie udawało się przekonać sprawcy, że jego zachowanie jest szkodliwe społecznie, sprawa ta mogła trafić do pewnego rodzaju sądu arbitrażowego, opierającego się na prestiżu światowego rządu. Jeśli decyzja podjęta była na niekorzyść pozwanego, który mimo to kontynuowałby swoje nielegalne zachowania, nikt by go nie powstrzymał. Mimo wszystko jednak siła publicznego potępienia i ostracyzmu społecznego była tak wielka, że bardzo rzadko lekceważono wyroki sądów. Straszliwe poczucie odosobnienia działało na łamiącego prawo niczym męka. Jeśli jego motywacje były nikczemne, prędzej czy później ulegał. Ale jeśli jedynie źle oceniono jego sprawę lub jego zachowanie wynikało z oceny sytuacji lepszej niż u jego bliźnich, mógł obstawać przy swoim, aż zjednał sobie opinię publiczną.

Wspominam o tych ciekawostkach społecznych głównie po to, by nakreślić głęboką różnicę między duchem tych utopijnych światów a duchem znanym czytelnikom tej książki. Łatwo można sobie wyobrazić, że w naszych podróżach natknęliśmy się na cudowną różnorodność zwyczajów i instytucji, ale nie mogę poświęcić więcej czasu na opisanie nawet najniezwyklejszych z nich. Muszę zadowolić się opowiedzeniem z grubsza o życiu na typowych spośród budzących się światów, aby być w stanie opowiedzieć o historii nie tylko poszczególnych planet, ale naszej galaktyki jako całości.

Gdy budzący się świat przeszedł już przez fazę radykalnej przebudowy społecznej i uzyskał nową równowagę, rozpoczynał się okres ciągłego rozwoju gospodarczego i kulturowego. Mechanizm, dawniej tyran rządzący ciałem i umysłem, ale teraz będący wiernym sługą, zapewniał każdej jednostce pełnię i różnorodność życia znacznie wykraczającą poza to, co znamy na Ziemi. Komunikacja radiowa i podróże raketowe dawały każdemu bliską wiedzę o wszystkich zamieszkujących jego świat ludach. Maszynieria wyręczająca robotników w pracy łagodziła wysiłki potrzebne do utrzymania cywilizacji; znikła wszelka wyniszczająca harówka i energia każdego z obywateli świata mogła skupiać się na służbie społecznej godnej rozumnej istoty. A „służbę społeczną” interpretowano bardzo szeroko. Wydawała się pozwalać na to, by wielu mieszkańców świata oddawało się w pełni dziwacznej i nieodpowiedzialnej autoekspresji. Społeczność mogła pozwolić sobie na mnóstwo tego rodzaju zmarnowanej energii dla tych paru bezcennych klejnotów oryginalności, które czasami się z niej rodziły.

Ta stabilna i pełna sukcesów faza budzących się światów, którą nazwaliśmy fazą utopijną, zapewne stanowiła najszcześniejszą z er w życiu każdej z planet. Nadal zdarzały się różnego rodzaju tragedie, lecz nie były one powszechne, nigdzie nie panowała niekończąca się udręka. Zauważyliśmy też, że podczas gdy w poprzednich erach tragedią bywały zwykle ból fizyczny i przedwczesna śmierć, teraz myślano o niej raczej jako o skutku sporów, wzajemnej tęsknoty i niekompatybilności różnego rodzaju osobowości. Tak rzadkie stały się dawniejsze dramaty i jednocześnie tak subtelne i wrażliwe stały się kontakty międzyludzkie. Powszechna fizyczna tragedia, cierpienie i zagłada całych populacji, czego doświadczamy podczas wojny i zarazy, były czymś praktycznie nieznanym, nie licząc tych rzadkich przypadków, gdy całą rasę niszczył wypadek w skali astronomicznej, czy to utrata atmosfery, czy też rozpad planety albo wejście układu słonecznego w jakąś chmurę gazu lub pyłu.

W tej szczęśliwej fazie, która mogła trwać przez kilka stuleci lub przez tysiące lat, cała energia poświęcana była udoskonalaniu światowej społeczności i ulepszaniu rasy za pomocą środków kulturowych i eugenicznych.

O przedsięwzięciach eugenicznych tych światów opowiem niewiele, ponieważ większość z tego byłaby nieczytelna bez dokładnej wiedzy o biologicznej i biochemicznej naturze każdej z tych nieludzkich populacji. Wystarczy wspomnieć, że pierwszym zadaniem eugeników było zapobieżenie dalszemu przekazywaniu chorób dziedzicznych i deformacji ciała i umysłu. W czasach poprzedzających wielką zmianę psychologiczną nawet ta skromna praca często prowadziła do poważnych nadużyć. Rządy próbowały wyeliminować takie cechy, jak niezależne myślenie. Entuzjastyczni ignoranci nawoływali do bezlitosnego i nierozważnego wpływu na dobór partnerów. Ale w owej bardziej oświeconej epoce niebezpieczeństwa były znane i skutecznie ich unikano. Mimo to działania eugeniczne często prowadziły do katastrofy. Widzieliśmy, jak pewna wspaniała rasa inteligentnych ptaków spadła do podludzkiego poziomu w wyniku próby wyeliminowania podatności na zaraźliwą chorobę umysłową. Okazało się, że podatność ta pośrednio połączona była genetycznie z możliwością prawidłowego rozwoju mózgu u piątego z kolei pokolenia.

Jeśli chodzi o pozytywne przedsięwzięcia eugeniczne, wspomnę tylko o usprawnieniach czułości zmysłów (zwłaszcza wzroku i dotyku), wynalezieniu nowych zmysłów, polepszeniu pamięci, ogólnej inteligencji, poczucia czasu. Rasy te były w stanie świadomie postrzegać coraz to krótsze okresy czasu, jednocześnie poszerzając zakres percepcji temporalnej tak, aby coraz dłuższe okresy rozumieć jako „teraz”.

Wiele ze światów początkowo poświęcało sporo energii tego rodzaju pracy eugenicznej, ale później postanawiało, że choć mogło to zapewnić im nieco bogatsze doświadczenia, należy odroczyć tego rodzaju interwencje na rzecz zajęcia się ważniejszymi sprawami. Na przykład, przy rosnącej złożoności życia, wkrótce konieczne się stało opóźnienie dojrzewania poszczególnych umysłów, aby były w stanie lepiej wchłaniać doznania wczesnego wieku. „Zanim zaczniesz się żyć”, mówiono „powinno się mieć całe życie dzieciństwa”. Jednocześnie poczyniono wysiłki, aby przedłużyć życie dojrzałych istot trzy- czy czterokrotnie i ograniczyć procesy starzenia. Na każdym świecie, który osiągnął pełną moc eugeniczną prędzej czy później pojawiała się ostra debata publiczna w kwestii odpowiedniej długości życia jednostki. Wszyscy zgadzali się, że życie należy przedłużyć, ale podczas gdy jedni chcieli uczynić je tylko trzy czy cztery razy dłuższym, inni uważali, że tylko stukrotna długość zwykłego życia pozwoli rasie na ciągłość i głębię pożądanego doświadczenia. Jeszcze inni opowiadali się nawet za tym, by ich gatunek stał się nieśmiertelny, jako rasa nigdy niestarzejących się, wiecznych istot. Twierdzono, że oczywistych zagrożeń sztywności umysłowej i zaprzestania wszelkiego postępu można uniknąć, sprawiając, że permanentnym stanem fizjologicznym nieśmiertelnej populacji powinna być wczesna dojrzałość.

Różne światy znajdowały różne sposoby na rozwiązanie tego problemu. Niektóre rasy przydzielały jednostkom okres nie więcej niż trzystu naszych lat. Inne pozwalały na pięćdziesiąt tysięcy. Jedna rasa szkarłupni zdecydowała się na potencjalną nieśmiertelność, ale wyposażyła się w przemyślny mechanizm psychologiczny, dzięki któremu, jeśli stara istota przestawała nadążać za zmieniającymi się warunkami, nie mogła nie zauważyć tego faktu i domagała się wtedy eutanazji, chętnie ustępując miejsca bardziej nowoczesnym następcom.

Na różnych światach zaobserwowaliśmy wiele innych triumfów eksperymentów eugenicznych. Ogólny poziom inteligencji jednostek podniesiono, oczywiście znacznie ponad możliwości umysłowe *Homo sapiens*. Ta superinteligencja, którą może osiągnąć jedynie zjednoczona psychicznie społeczność rozwinięta była także na najwyższej dostępnej płaszczyźnie, czyli poziomie świadomej indywidualności całego świata. Nie było to oczywiście możliwe do czasu, aż spójność społeczna poszczególnych istot w światowym społeczeństwie nie stała się tak znaczna, jak integracja elementów układu nerwowego. Wymagało to również znacznego rozwoju telepatii. Poza tym nie było to możliwe do czasu, aż większość istot uzyskała szeroki zakres wiedzy nieznaną na Ziemi.

Ostatnią i najtrudniejszą mocą, jaką osiągały te światy w trakcie fazy utopijnej była psychiczna swoboda poruszania się w czasie i przestrzeni, ograniczona moc bezpośredniego przyglądania się wydarzeniom odległym od czasoprzestrzennego położenia obserwatora, a nawet wpływania na nie. Przez cały czas naszej eksploracji zdumiewał nas wciąż fakt, że nam, istotom w większości dość skromnego rzędu, udało się osiągnąć tę swobodę, która, jak odkryliśmy, była tak trudna do opanowania dla tak wysoce rozwiniętych świa-

tów. Teraz uzyskaliśmy wyjaśnienie. Przedsięwzięcie takie jak nasze nie mogło rozpocząć się bez niczyjej pomocy. Podczas naszych przygód znajdowaliśmy się nieświadomie pod wpływem sieci światów, które uzyskały tę moc dopiero po eonach badań. Nie moglibyśmy poruszyć się choć o krok bez ciągłego wsparcia tych genialnych, symbiotycznych ichtioidów i arachnoidów, które odgrywały wiodącą rolę w historii naszej galaktyki. To one kontrolowały naszą całą przygodę, abyśmy mogli podzielić się doświadczeniami z resztą naszych prymitywnych ojczystych światów.

Swobodny ruch w czasie i przestrzeni, moc kosmicznej eksploracji i wpływu za pomocą kontaktu telepatycznego stanowiły jednocześnie najpotężniejszą, jak i najbardziej niebezpieczną umiejętność dostępną w pełni przebudzonym, utopijnym światom. Poprzez nierozważne korzystanie z tych środków wiele wspaniałych, zjednoczonych ras spotkała katastrofa. Czasami podróżujący w ten sposób światoumysł nie był w stanie zachować przytomności ducha w obliczu ogromu nędzy i rozpacz, jaki zalewał go telepatycznie ze wszystkich stron galaktyki. Czasami sama trudność zrozumienia niuansów tego, co zostało mu objawione wprawiała go w załamanie psychiczne, z którego nie było wyjścia. Czasami stawał się tak zauroczony telepatycznymi przygodami, że tracił zainteresowanie życiem na własnej planecie i światowa społeczność, pozbawiona przewodnictwa wspólnego umysłu, popadała w chaos i rozkład, a sam eksplorujący wszechświat umysłu umierał.

2. WALKI MIĘDZY ŚWIATAMI

Ze wspomnianych żywych utopii kilka osiągnęło ten stan nawet przed narodzinami Innej Ziemi, więcej rozkwitało przed powstaniem naszej planety, ale najważniejsze z tych światów mieściły się na skali czasu w większości w dalekiej przyszłości, w epoce, która nastąpiła na długo po zniszczeniu ostatniej z ras ludzkich. Wśród tych przebudzonych światów ofiar różnego rodzaju nieszczęść było oczywiście znacznie więcej niż wśród niższych, mniej kompetentnych. Choć katastrofalne wypadki miały miejsce w każdej epoce, liczba przebudzonych światów w galaktyce stale rosła z upływem czasu. Tempo narodzin planet, wynikających z przypadkowych spotkań dojrzałych, ale nie starych gwiazd, osiągnęło (czy też osiągnie) maksimum względnie późno w historii galaktyki, a następnie zacznie spadać. Ale jako że podlegający fluktuacjom postęp świata od zwierzęcości do dojrzałości duchowej zajmuje średnio kilka miliardów lat, populacja utopijnego, w pełni świadomego świata osiągnęła swe maksimum bardzo późno, gdy fizyczny stan galaktyki już dawno nie należał do najlepszych. Co więcej, choć nawet we wczesnych epokach ta garstka przebudzonych światów czasami skutecznie nawiązywała ze sobą kontakt albo za pomocą podróży międzygwiazdnych, albo telepatii, to dopiero na dużo późniejszym etapie historii galaktyki relacje międzyświatowe zaczęły skupiać ich uwagę.

W ciągu całego procesu przebudzenia świata istniało jedno poważne, a subtelne, łatwe do przeoczenia zagrożenie. Jego zainteresowanie mogło tak „zafiksować” się na jakimś aktualnym przedsięwzięciu, że uniemożliwiałoby to dalsze postępy. Może wydawać się dziwne, że istoty, których wiedza psychologiczna tak bardzo przekraczała osiągnięcia człowieka, wpadały w taką pułapkę. Najwyraźniej na każdym etapie rozwoju umysłowego, poza najwyższym, cel wzrostu jest zarysowany jedynie delikatnie i łatwo zbroczyć z drogi do niego. Z czegokolwiek to wynika, faktem jest, że pewna część dość rozwiniętych światów, nawet ze wspólną mentalnością, uległa dziwnemu, katastrofalnemu wypaczeniu, które bardzo trudno mi zrozumieć. Mogę jedynie zasugerować, że głód prawdziwej wspólnoty i jasności umysłowej stał się tam być może tak obsesyjny i perwersyjny, że zachowanie tych podniosłych dewiantów mogło zdegenerować się do form odpowiadających mentalności plemiennej i religijnemu fanatyzmowi. Choroba ta wkrótce prowadziła do stłumienia wszelkich elementów, które mogłyby być odporne wobec akceptowanej powszechnie kultury światowej społeczności. Gdy takie światy opanowały zdolność podróży międzygwiazdnych, zdarzało się, że ogarniała je fanatyczna chęć narzucenia własnej kultury całej galaktyce. Czasami zapal ten stawał się tak gwałtowny, że prowadził to brutalnych wojen religijnym przeciwko każdemu, kto ośmielił się stawić opór.

Obsesje wywodzące się z tego czy innego etapu drogi ku utopii i pełnej świadomości, nawet jeśli nie kończyły się gwałtowną katastrofą, mogły zmarnować szansę świata na pełne przebudzenie. Nadludzka inteligencja, odwaga i niezłomność oddanych spr-

wie jednostek mogła skupić się na błędnych lub niegodziwych celach. W ekstremalnych przypadkach nawet społecznie utopijny świat składający się mentalnie na zbiorowy umysł mógł pograć się w szaleństwo. Ze wspaniałym zdrowym ciałem i obłąkanym umysłem był w stanie straszliwie zaszkodzić innym.

Takie tragedie nie były możliwe przed upowszechnieniem się podróży międzyplanetarnych i międzygwiazdnych. Dawno temu, we wczesnej fazie galaktyki, liczba układów planetarnych była bardzo mała i jedynie kilka z nich osiągnęło utopię. Były rozproszone po całej galaktyce w olbrzymiej odległości od siebie nawzajem. Każdy prowadził swoje życie w niemal kompletnej izolacji, nie licząc niestabilnej łączności telepatycznej z innymi. W nieco późniejszym, ale nadal wczesnym okresie, gdy te najstarsze dzieci galaktyki udoskonalili swoje społeczeństwo i biologiczną naturę i znalazły się na progu nadiwidualności, zwróciły uwagę ku podróżom międzyplanetarnym. Kolejno rozpoczynały raketowe loty w kosmos i zaczęły wyodrębniać wyspecjalizowane populacje na potrzeby kolonizacji sąsiednich planet.

W jeszcze dalszej epoce, w środkowym okresie historii galaktyki, istniało znacznie więcej układów planetarnych niż w poprzednich erach i coraz więcej inteligentnych światów wylaniało się pomyślnie z wielkiego kryzysu psychologicznego, w którym pograża się ostatecznie tak wiele z nich. Tymczasem niektóre przebudzone światy ze starszego „pokolenia” mierzyły się już z niezwykle trudnymi problemami podróży na skalę międzygwiazdową, a nie tylko międzyplanetarną. Ta nowa moc w sposób nieunikniony zmieniła cały charakter galaktycznej historii.

Do tej pory, mimo wstępnych prób eksploracji telepatycznej ze strony najbardziej przebudzonych światów, życie w galaktyce było głównie życiem pewnej liczby odizolowanych od siebie światów, niewpływających na siebie nawzajem. U progu podróży międzygwiazdnych odrębne wątki biografii poszczególnych planet stopniowo spłotły się w kosmiczny dramat.

Podróże w ramach układu planetarnego dokonywano początkowo za pomocą statków raketowych napędzanych zwykłym paliwem. Podczas wszystkich tych wczesnych wypraw znaczną trudność sprawiała niebezpieczeństwo kolizji z meteorami. Nawet najzwrotniejszy statek, najrzędniej pilotowany i podróżujący do regionów względnie wolnych od tych niewidzialnych i śmiertelnych pocisków mógł w każdej chwili zderzyć się z jednym z nich. Problemu tego nie rozwiązano aż do czasu, gdy odkryto sposób na wykorzystanie skarbu energii subatomowej. Wtedy okazało się możliwe chronienie statku z pomocą szerokiego pola siłowego, które w oddali albo odbijało, albo niszczyło meteory. Dość podobną metodę opracowano także w celu ochrony statków i ich załóg przed ciągłym morderczym gradem promieniowania kosmicznego.

Podróże międzygwiazdne, w odróżnieniu od międzyplanetarnych, były niemożliwe do czasu opanowania energii subatomowej. Na szczęście to źródło mocy zwykle uzyskiwano dopiero w późnych fazach rozwoju świata, gdy panująca na nim mentalność stała się dość dojrzała, by dźwignąć ten najgroźniejszy ze wszystkich instrumentów fizycznych bez nieuchronnej katastrofy. Mimo wszystko zdarzały się jednak katastrofalne w skutkach wypadki. W ich wyniku kilka światów rozpadło się na kawałki, a na innych na jakiś czas zniszczeniu ulegała cywilizacja. Prędzej czy później jednak, większość świadomych światów poskramiała tego potężnego dzina i zaprzęgała go do pracy na monumentalną skalę, nie tylko w przemyśle, ale w takich wielkich przedsięwzięciach jak zmiana orbit planetarnych w celu polepszenia panującego na nich klimatu. Ten niebezpieczny i delikatny proces przeprowadzano poprzez wystrzelenie ogromnych rakiet z aparatami subatomowymi w odpowiednich miejscach, aby odrzut stopniowo skumulował się na tyle, by zmienić kurs planety na pożądany.

Prawdziwe podróże międzygwiazdne osiągnięto po raz pierwszy poprzez wyprowadzenie planety z jej naturalnej orbity za pomocą serii odpowiednio skoordynowanych impulsów raketowych, dzięki czemu odlatywała w kosmos z prędkością znacznie większą niż właściwe zwyczajnym ruchom ciał niebieskich. Potrzebne było jednak coś więcej, jako że życie na bezsłonecznej planecie byłoby niemożliwe. W przypadku krótkich podróży międzygwiazdnych trudność tę przezwyciężano czasami dzięki generowaniu energii subatomowej z materii samej planety; jeśli jednak chodzi o dłuższe wyprawy, trwające kilka tysięcy lat, jedyną metodą było wytworzenie małego sztucznego słońca i umiesz-

czenie go na orbicie jako płonącego satelity żywego świata. W tym celu do ojczystego świata zbliżano niezamieszkaną planetę, tworząc układ podwójny. Następnie sporządzano mechanizm kontrolowanej dezintegracji atomów na pozbawionej życia planecie, zapewniający stałe źródło światła i ciepła. Dwa ciała, krążące wokół siebie nawzajem, wyruszały wtedy wspólnie ku gwiazdom.

Ta delikatna operacja zdawać się może niemożliwa. Gdybym miał dość miejsca, by opisać trwające wieki eksperymenty i niszczycielskie wypadki, które poprzedzały to osiągnięcie, być może niedowierzanie czytelnika by ustało. Muszę jednak zrezygnować z długich epepei o naukowych poszukiwaniach i osobistej odwadze. Wystarczy stwierdzić, że zanim udoskonalono ten proces, wiele zaludnionych światów albo zamarzło, dryfując w przestrzeni kosmicznej, albo zostało spalonych przez własne sztuczne słońce.

Gwiazdy znajdują się tak daleko od siebie nawzajem, że liczymy ich odległości w latach świetlnych. Gdyby wędrujące światy podróżowały jedynie z prędkościami porównywalnymi do gwiazdnych, nawet najkrótsze z międzygwiazdnych wypraw trwałyby wiele milionów lat. Ale jako że przestrzeń międzygwiazdna nie stawia ruchomym ciałom niemal żadnego oporu, możliwe było, dzięki przedłużeniu pierwotnego impulsu raketowego o wiele lat, przyspieszenie do prędkości znacznie większych niż te, z jakimi poruszają się najszybsze z gwiazd. Choć nawet wczesne podróże ciężkich naturalnych planet były spektakularne według naszych standardów, muszę wspomnieć o późniejszym etapie rozwoju, małych sztucznych planetach poruszających się z niemal połową prędkości światła. Z uwagi na pewne „efekty relatywistyczne” dalsze przyspieszenie nie było możliwe. Ale nawet taka prędkość sprawiała, że warto było wyruszać choćby do najbliższych gwiazd, jeśli towarzyszyły im układy planetarne. Należy pamiętać, że w pełni przebudzony świat nie musiał myśleć w kategoriach tak krótkich okresów czasu jak ludzki żywot. Choć zamieszkujące go jednostki mogły umierać, światowy umysł był w pewnym istotnym sensie nieśmiertelny i przyzwyczajony do sporządzania planów nawet na wiele milionów lat naprzód.

We wczesnych epokach galaktyki ekspedycje od gwiazdy do gwiazdy były trudne i rzadko się udawały. Ale w późniejszych, gdy inteligentne rasy zamieszkiwały już tysiące światów, z których setki osiągnęły etap utopii, sytuacja stała się bardzo poważna. Podróże międzygwiazdne stały się wówczas wysoce wydajne. W kosmosie budowano ze sztucznych, niezwykle wytrzymałych i lekkich materiałów ogromne statki eksploracyjne o średnicy wielu kilometrów. Wynosiły je w kosmos rakiety, wciąż przyspieszające aż do osiągnięcia niemal połowy prędkości światła. Nawet wtedy jednak wyprawa z jednego końca galaktyki na drugi wymagała przynajmniej dwustu tysięcy lat. Nie było jednak potrzeby wyruszania na tak długie podróże. Niewiele z nich trwało dłużej niż jedną dziesiątą tego czasu, a wiele było znacznie krótszych. Rasy, które osiągnęły poziom wspólnej świadomości, bez wahania brały udział w wielu takich ekspedycjach. Ostatecznie cała planeta mogła przemierzyć ocean kosmosu, by spocząć w odległym układzie polecanym przez pionierów.

Problem podróży międzygwiazdnych był tak zniewalający, że czasami stawał się obsesją nawet dość dobrze rozwiniętego utopijnego świata. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy w kondycji tego świata istniało coś niezdrowego, jakaś tajemnica i niespełniony głód napędzający te istoty. Rasa ta mogła wtedy nawet oszaleć na punkcie podróży.

Jej organizacja społeczna ulegała zmianie i kierowana była ze spartańską surowością ku nowemu wspólnemu przedsięwzięciu. Wszyscy jej członkowie, zahipnotyzowani tą współdzieloną obsesją, stopniowo zapominali o życiu pełnym intensywnych więzi osobistych i o działalności twórczej, która do tej pory ich pochłaniała. Cała moc ducha, pragnienie eksploracji wszechświata dla niej samej tylko, wraz z krytyczną inteligencją i delikatną wrażliwością stopniowo ustawały. Najgłębsze korzenie emocji i woli, które w trzeźwym na umyśle, w pełni przebudzonym świecie znajdowały się w zasięgu wglądu myśli, stawały się coraz bardziej niewyraźne. W takim świecie wspólny umysł w coraz mniejszym stopniu rozumiał sam siebie i coraz bardziej podążał za złudnym celem. Porzucano każdą próbę telepatycznej eksploracji galaktyki. Pasja dla fizycznej eksploracji

przybierała formę religii. Umysł wspólnoty wmawiał sobie, że musi za wszelką cenę szerzyć ewangelię własnej kultury po całej galaktyce. Choć sama kultura zanikała, mętna idea kultury hołubiona była jako usprawiedliwienie dla światowej polityki.

Tu muszę jednak coś zaznaczyć, aby nie wprowadzić czytelników w błąd. Konieczne jest wyraźne rozróżnienie między szalonymi światami o względnie niskim poziomie rozwoju umysłowego i tymi należącymi niemal do wyższego porządku. Skromniejsze z nich wpadały w obsesję na punkcie samego opanowania zdolności podróży międzygwiazdowych, potencjału, jaki dawałaby dla wykazania się odwagą i dyscypliną. Tragiczniejszy był przypadek tej garstki znacznie bardziej przebudzonych światów, których obsesja skupiała się na samej wspólnotcie i umysłowej trzeźwości oraz propagacji tego rodzaju wspólnoty i wyjątkowego rodzaju trzeźwości, który ich mieszkańcy najbardziej podziwiali w sobie samych. Dla nich podróże stanowiły jedynie środek dla powstania imperium kulturowego i religijnego.

Opisałem to tak, jakbym był pewien, że te potężne światy w rzeczywistości były szalone, że stanowiły aberrację linii rozwoju umysłowego i duchowego. Ich tragedia leży jednak w tym, że choć dla swych przeciwników zdawały się albo szalone, albo niegodziwe, same dla siebie były wyjątkowo trzeźwe na umyśle, praktyczne i pełne cnót. W pewnych chwilach również my, zdumieni odkrywcy, niemal dawaliśmy się przekonać, że taka właśnie jest prawda. Nasz intymny kontakt z nimi dawał nam wgląd, że tak powiem, w wewnętrzną trzeźwość ich szaleństwa lub w jądro prawości w ich niegodziwości. To szaleństwo lub niegodziwość opiszę w znanych ludzkości kategoriach, ale prawda jest taka, że w pewnym sensie było to nadludzkie, jako że stanowiło wypaczenie czegoś, co wykraczało poza ludzki rozsądek i cnotę.

Gdy jeden z tych „szalonych” światów napotykał świat zdrowy na umyśle, szczerze wyrażał swoje rozsądne i życzliwe intencje. Pragnął jedynie nawiązania stosunków kulturowych i być może współpracy gospodarczej. Krok po kroku zjednywał sobie szacunek tej drugiej cywilizacji dzięki swojej solidarności, wspaniałemu porządkowi społecznemu i dynamicznemu spełnianiu swych celów. Każdy świat uznawał ten drugi za szlachetny, choć być może obcy i częściowo niezrozumiały instrument ducha. Ale z czasem normalny świat zaczynał zdawać sobie sprawę, że w kulturze „szalonego” świata istniały pewne subtelne, a jednocześnie powszechne elementy, które zdawały się całkowicie fałszywe, bezlitosne, agresywne i wrogie dla ducha, a przy tym stanowiły dominujące motywy jego stosunków międzyplanetarnych. Tymczasem „szalony” świat dochodził do smutnego wniosku, że drugiemu zupełnie brakuje wrażliwości, że jest on ślepy na najwyższe wartości i bohaterskie cnoty, że całe jego życie jest w rzeczywistości zepsute, a więc musi, dla swego dobra, ulec zmianie lub nawet zniszczeniu. Każdy z tych światów ze smutkiem potępiał więc ten drugi. Jednakże szalony świat wcale się tym nie zadowalał, ale atakował ze świętym zapałem, próbując zniszczyć zgubną kulturę drugiego czy nawet zgładzić jego populację.

Łatwo jest mi teraz, już po fakcie, po ostatecznym duchowym upadku tych szalonych światów potępić je jako dewiantów, ale na wczesnych etapach swego dramatu często z trudem przychodziło nam stwierdzenie, która ze stron jest zdrowa na umyśle.

Niektóre z tych szalonych światów przepadły w wyniku błędów w nawigacji. Inne, nadwyrężone przez wieki skupienia całej nauki na jednym celu, popadały w nerwicę społeczną i wojny domowe. Niektóre jednak skutecznie osiągały swoje cele i po tysiącach lat podróży były w stanie dotrzeć do sąsiednich układów planetarnych. Najeźdźcy byli często zdesperowani, jako że zwykle zdążyli już zużyć większość materii swych małych, sztucznych słońc. Kwestie ekonomiczne zmusiły ich do racjonowania ciepła i światła na tyle, że gdy w końcu odkrywali odpowiedni układ planetarny, ich ojczysty świat był niemal w pełni arktyczny. Po przybyciu początkowo zajmowali pozycję na orbicie i być może przez kilkadziesiąt lat odzyskiwali siły. Następnie eksplorowali sąsiednie światy, szukali najbardziej gościnnych z nich i zaczęli dostosowywać do nich siebie lub swoich potomków. Jeśli, jak często się zdarzało, któraś z planet była już zamieszkała przez inteligentne istoty, przybysze prędzej czy później wchodzili z nimi w konflikt albo z przyziemnych powodów, by wykorzystać zasoby planety, albo, bardziej prawdopodobnie, z uwagi na obsesję na punkcie propagowania własnej kultury. Misja cywilizacyjna, która stanowiła rzekomą motywację ich bohaterskiej wyprawy, stawała się bowiem już

wtedy bezwzględny natręctwem. Nie byli zdolni do uzmysłowienia sobie, że miejscowa cywilizacja, choć mniej rozwinięta, mogła lepiej odpowiadać potrzebom tubylców. Nie zdawali sobie też sprawy, że ich własna kultura, dawniej stanowiąca wytwór wspaniale przebudzonego świata, mogła, mimo mocy mechanicznej i szalonego religijnego zapału, podupaść i znaleźć się pod względem życia umysłowego poniżej prostej kultury tubylców.

Widzieliśmy wiele rozpaczliwych prób obrony ze strony światów znajdujących się ledwie na poziomie *Homo sapiens* przed rasami szalonych nadludzi, uzbrojonych nie tylko w niezwykłą moc energii subatomowej, ale także w wyższy intelekt, szerszą wiedzę i fanatyczne oddanie sprawie, a także mających ogromną przewagę związaną z tym, że wszyscy uczestniczyli w zjednoczonym umyśle swojego gatunku. Choć ceniliśmy wówczas przede wszystkim rozwój umysłowy i dlatego faworyzowaliśmy początkowo przebudzonych, ale wypaczonych najeźdźców, wkrótce podzieliliśmy się w tej kwestii, a następnie niemal wszyscy stanęliśmy po stronie tubylców, mimo ich barbarzyńskiej kultury. Mimo ich głupoty, ignorancji i przesądów, ich niekończących się bratobójczych konfliktów, tępoty duchowej i ordynarności, widzieliśmy w nich moc, którą porzucili ich przeciwnicy, naiwną, lecz zrównoważoną mądrość, zwierzęcy spryt, duchową obietnicę. Przybysze zaś, choć genialni, byli w rzeczy samej dewiantami. Stopniowo zaczęliśmy postrzegać ten konflikt jako walkę nieokrzesanego, ale obiecującego urwisa z atakującym go uzbrojonym maniakiem religijnym.

Gdy najeźdźcy wyzyskali każdy świat w nowo znalezionym układzie planetarnym, znów zaczęli odczuwać zew prozelityzmu. Wmawiając sobie, że ich obowiązkiem jest rozszerzenie ich religijnego imperium na całą galaktykę, wkrótce wysyłali kilka planet w kosmos z załogami pionierów albo z religijnym oddaniem rozpraszali cały układ planetarny. Czasami w swoich podróżach natykali się na inną rasę szalonych nadludzi. Następowala wtedy wojna, w której jedna lub druga strona, a czasami i obie, ulegały zagładzie.

Czasem wędrowcy natykali się na światy znajdujące się na zbliżonym poziomie, które jednak nie pogrążyły się w manii budowy imperium religijnego. Wtedy tubylcy, choć z początku witali przybyszów z uprzejmością i sympatią, stopniowo zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z szaleńcami. Wkrótce więc sami pospiesznie skupiali swoją cywilizację na sztuce wojennej. Ostateczny wynik zależał od tego, która ze stron opracowała lepszą broń i wykazała się większą przebiegłością, ale wojny były długie i przygnębiające, a tubylcy, nawet jeśli zwyciężyli, mogli okazać się na tyle okaleczeni umysłowo przez epokę wojen, że nigdy nie odzyskiwali duchowej równowagi.

Światy, które pogrążyły się w manii religijnego imperializmu skupiały się na podróżach międzygwiazdnych na długo zanim zmuszały je do tego czynniki ekonomiczne. Co przytomniejsze z kolei często prędzej czy później docierały do punktu, w którym dalszy rozwój materialny i wzrost liczby ludności nie były konieczne dla postępu umysłowego. Zadawały się pozostaniem w granicach rodzimych układów planetarnych, w stanie gospodarczej i społecznej stabilności. Były więc w stanie skupić intelekt na telepatycznej eksploracji wszechświata. Kontakt telepatyczny między światami stawał się coraz bardziej precyzyjny i stabilny. Galaktyka wyłoniła się z pierwotnego stanu, w którym każdy świat pozostawał odizolowany od pozostałych. Podobnie jak przedstawiciele *Homo sapiens* doświadczają tego, że Ziemia staje się coraz „mniejsza”, niczym dawniej jeden kraj, w tym krytycznym okresie życia galaktyki „kurczyła się” ona do rozmiarów świata. Światoumysły, które odnosiły największe sukcesy na polu eksploracji telepatycznej opracowały wówczas dość dokładną „mapę mentalną” całej galaktyki, choć wciąż istniała pewna liczba ekscentrycznych światów, z którymi nie udało się nawiązać trwałego kontaktu. Istniał też jeden bardzo zaawansowany układ światów, które w tajemniczy sposób zniknęły z telepatycznej wspólnoty. Więcej o nim opowiem później.

Zdolności telepatyczne szalonych światów i układów znacznie wówczas osłabły. Choć często znajdowały się pod zdalną obserwacją bardziej dojrzałych światoumysłów i czasami nawet pod ich delikatnym wpływem, same były na tyle pełne błęgiego samozadowolenia, że nie obchodziła ich eksploracja życia umysłowego galaktyki. Wystarczającym sposobem porozumienia z resztą wszechświata były dla nich fizyczne podróże i święta potęga ich imperium.

Z czasem pojawiło się kilka wielkich zwaśnionych imperiów szalonych światów, z których każde twierdziło, że powierzono mu jakiegoś rodzaju świętą misję zjednoczenia i przebudzenia całej galaktyki. Różnice między ich ideologiami były niewielkie, ale zwalczały się nawzajem z religijnym ferworem. Powstawszy w odległych od siebie regionach, imperia te z łatwością podbiły wszelkie słabiej rozwinięte światy, które leżały w ich zasięgu. Szerzyły swoją władzę od jednego układu planetarnego do kolejnego, aż w końcu zetknęły się ze sobą nawzajem.

Nastąpiły wtedy wojny, jakich wcześniej nie widziała jeszcze galaktyka. Całe floty światów, naturalnych i sztucznych, manewrowały pośród gwiazd, usiłując przechytrzyć się nawzajem i niszczyły się wzajemnie z użyciem dalekosiężnych strumieni energii subatomowej. W miarę jak wojna ogarniała coraz większe połacie przestrzeni, zagładzie ulegały całe układy planetarne. Wiele światoumysłów spotykał wówczas nagły koniec. Liczne niższe gatunki, które nie brały udziału w walce, padły ofiarą niebiańskich bitew toczących się wokół.

Galaktyka była jednak tak rozległa, że te bitwy między światami, choć straszliwe, z początku można było uznać za rzadkie wypadki, jedynie niefortunne epizody triumfalnego marszu cywilizacji. Ale choroba szerzyła się. Coraz więcej przytomnych światów, atakowanych przez szalone imperia, skupiało się na obronie militarnej. Słusznie uznały, że doszło do sytuacji, w której opór bez użycia siły nie wystarczy, jako że wróg, w odróżnieniu od jakiegokolwiek możliwej grupy ludzi, był już tak gruntownie pozbawiony „człowieczeństwa”, że uodpornił się na współczucie. Mylili się jednak myśląc, że zbrojenia ich ocalą. Choć w owych wojnach obrońcy ostatecznie zwyciężali, walki były zwykle tak długie i niszczycielskie, że dochodziło do nieodwracalnych strat natury duchowej.

Dalsza, być może najbardziej niszczycielska faza życia naszej galaktyki przypominała mi niestety stan niepokoju i oszołomienia, który pozostawiłem za sobą na Ziemi. Krok po kroku całą galaktykę, o średnicy około dziewięćdziesięciu tysięcy lat świetlnych, zawierającą ponad trzydzieści miliardów gwiazd i (do tej pory) ponad sto tysięcy układów planetarnych zamieszkiwanych przez tysiące inteligentnych ras, paraliżował strach przed wojną i co jakiś czas dotykał jej wybuch.

W jednej kwestii jednak stan galaktyki był znacznie bardziej rozpaczliwy niż stan naszego świata. Żaden z naszych narodów nie stanowi przebudzonej nadistoty. Nawet te z ludów, które cierpią na manię mentalności stadnej składają się z jednostek, które w życiu prywatnym zachowują trzeźwość myślenia. Zmiana sytuacji może sprawić, że być może staną się mniej szalone. Albo zręczna propaganda idei ludzkiej jedności może przeważać szalę. Ale w tej ponurej dla galaktyki epoce obląkane światy oszalały aż po same fundamenty swego istnienia. Każdy z nich stanowił nadistotę, której cała konstrukcja fizyczna i umysłowa, łącznie z ciałami i umysłami jej poszczególnych członków, skupiała się na maniakałnym celu. Wyglądało na to, że nie ma możliwości przekonania zdegenerowanych jednostek, by zbuntowały się przeciwko świętej i szaleńczej misji swej rasy większej niż możliwość przekonania do tego poszczególnych komórek mózgowych maniaka.

Życ w tamtych dniach na jednym z przytomnych i przebudzonych światów, choć nie tych najwyższego porządku, oznaczało czuć (czy też „oznaczają będzie czuć”), że galaktyka chwieje się w posadach. Te przeciętne przytomne światy zorganizowały się w ligę, by odeprzeć agresję, ale jako że były znacznie mniej rozwinięte militarnie niż szalone światy i znacznie mniej skłonne do narzucania swym mieszkańcom militarnego despotyzmu, wróg miał nad nimi przewagę.

Wróg był też teraz zjednoczony, ponieważ jednemu imperium udało się przejąć całkowitą kontrolę nad pozostałymi i zarazić wszystkie szalone światy jednakową pasją religijnego imperializmu. Choć „zjednoczone imperia” szalonych światów obejmowały tylko mniejszą część planet galaktyki, zdrowe duchowo światy nie miały szans na szybkie zwycięstwo, były bowiem rozproszone i mniej wprawne w boju. Tymczasem wojna szkodziła życiu umysłowemu członków samej ligi. Okropieństwa wojny zaczynały wypierać z ich umysłów wszystkie bardziej subtelne, wyższe cechy. Stawali się w coraz mniejszym stopniu zdolni do osobistych relacji i rozwoju kulturowego, co nadal z tęsknotą wspominali jako prawdziwe życie.

Znaczna większość światów ligi, znalazłszy się w pułapce, z której, wydawałoby się, nie ma ucieczki, zaczęła czuć, że duch, którego miała za boski, ten, który szuka praw-

Wojna

dziwej wspólnoty i prawdziwego przebudzenia, nie był predestynowany do zwycięstwa i nie stanowił zatem podstawowego ducha kosmosu. Mawiano, że wszystkim rządzi ślepy przypadek albo może diabelska inteligencja. Niektórzy zaczęli uważać, że Sprawca Gwiazd tworzył zaledwie dla żądy niszczenia. Przygnębieni tym straszliwym przypuszczeniem sami zaczęli pograżać się w szaleństwie. Z przerażeniem wyobrażali sobie, że wróg rzeczywiście, jak sam twierdził, stanowi narzędzie boskiego gniewu, karzące ich za bluźnierczą wolę przemiany całej galaktyki, całego kosmosu, w raj szlachetnych i w pełni przebudzonych istot. Pod wpływem tego narastającego poczucia ostatecznej szatańskiej mocy i jeszcze bardziej druzgocącego zwątpienia w prawość własnych ideałów, członkowie ligi pograżyli się w rozpacz. Niektórzy poddali się wrogowi. Inni ulegli wewnętrznym waśniom, tracąc jedność umyslową. Zdawało się, że wojna światów skończy się zwycięstwem szaleństwa. I tak właśnie by się stało, gdyby nie interwencja tej odległej, wybitnej grupy światów, które dawno temu wycofały się z telepatycznej wspólnoty z resztą galaktyki. Był to zbiór światów, które zbudowały w czasie wiosny galaktyki symbiotyczne ichtioidy i arachnoidy.

3. KRYZYS W HISTORII GALAKTYKI

Przez cały ten okres imperialnej ekspansji garstka światów wysokiego rzędu, choć mniej przebudzonych niż symbionty z subgalaktyki, przyglądała się z daleka tym wydarzeniom. Widziały, jak granice imperium stale rozszerzają się w ich kierunku i wiedzieli, że same wkrótce się z nim zetkną. Dysponowały wiedzą i mocą, by pokonać wroga w walce, otrzymywali rozpaczliwe prośby o pomoc, ale nie robiły nic. Były to światy zorganizowane w pełni na rzecz pokoju i aktywności przystającej do przebudzonego świata. Wiedziały, że jeśli przebudowałyby całą swoją strukturę społeczną i przekierowały umysły, mogłyby zapewnić sobie militarne zwycięstwo. Wiedziały też, że ochronią w ten sposób wiele światów przed podbojem, przed uciskiem i możliwym zniszczeniem tego, co w nich najlepsze. Wiedziały też jednak, że przebudowując się w celu rozpaczliwej walki i porzucając na cały okres konfliktu wszelką właściwą im aktywność, same — bardziej niż wróg — zniszczyłyby w sobie tym sposobem wszystko co najlepsze, zamordowałyby to, co uważały za najważniejsze w galaktyce. Odrzuciły więc walkę militarną.

Gdy w końcu jeden z tych bardziej rozwiniętych układów gwiazdnych zetknął się z szalonymi fanatykami religijnymi, jego mieszkańcy powitali przybyszów, dostosowując orbity planet, by zrobić miejsce dla nowo przybyłych i skłonili ich do osiedlenia części swojej populacji na ich światach, w sprzyjających warunkach klimatycznych. Jednocześnie w sekrecie, stopniowo poddawali całą szaloną rasę, dzięki mocy całego układu planetarnego, telepatycznej hipnozie tak silnej, że jej wspólny umysł uległ zupełnej dezintegracji. Najeźdźcy stali się zaledwie nieskoordynowanymi jednostkami, jakie znamy z Ziemi. Byli teraz oszołomieni, krótkowzroczni, skłócenii wzajemnie, skupieni na sobie samych i nie kierował nimi żaden wyższy cel. Żywiono nadzieję, że gdy zniszczeniu ulegnie szalony umysł wspólnoty, poszczególni członkowie gatunku wkrótce otworzą oczy i serca na szlachetniejsze idee. Niestety zdolności telepatyczne bardziej rozwiniętej rasy nie wystarczyły, by dotrzeć do pogrzebanego głęboko ducha tych istot, by dać mu powietrze, ciepło i światło. Jako że indywidualistyczna natura tych żalonych jednostek była produktem szalonego świata, okazały się niezdolne do wybawienia, do utworzenia zdrowej społeczności. Odizolowano więc najeźdźców, by sami odnaleźli swoje przeznaczenie poprzez ery plemiennych waśni i upadku kulturowego, co zakończyło się wymarciem tych niezdolnych do przystosowania się do nowych okoliczności istot.

Gdy uniknięto w ten sposób kilku kolejnych inwazji, wśród światów szalonych, zjednoczonych imperiów pojawiła się tradycja głosząca, że pewne pozornie pokojowe światy były w rzeczywistości groźniejsze niż wszyscy inni wrogowie, jako że najwyraźniej dysponowały dziwną mocą „zatruwania duszy”. Imperialiści postanowili unicestwić tych straszliwych przeciwników. Siły najeźdźców miały unikać wszelkiego kontaktu telepatycznego i roznieść wroga na strzępy ze znacznej odległości. Najłatwiej było to zrobić poprzez wysadzenie słońca skazanego na zgubę układu. Pod wpływem silnego promieniowania atomy fotosfery zaczynały rozpadać się i rozprzestrzeniająca się furia wkrótce zmieniała gwiazdę w wybuchającą nową, pochłaniającą wszystkie planety.

Przyszło nam być świadkami niezwyklego spokoju, a nawet egzaltacji i radości, z jaką światy te przyjęły perspektywę unicestwienia zamiast zniżenia się do oporu. Później obserwowaliśmy dziwne wydarzenia, które ocaliły naszą galaktykę przed katastrofą, ale najpierw wydarzyła się tragedia.

Z naszych punktów obserwacyjnych w umysłach napastników i obrońców przyglądaliśmy się nie raz ale trzykrotnie rzezi ras szlachetniejszych niż którekolwiek do tej pory napotkane przez dewiantów, których naturalny poziom umysłowy był niemal tak samo wysoki. Trzy światy, czy raczej układy światów, każdy zamieszkały przez różnorodne, wyspecjalizowane rasy, uległy unicestwieniu. Z trzech skazanych na zagładę planet patrzeliśmy jak słońce gwałtownie wybucha, rosnąc z godziny na godzinę. Czuliśmy poprzez ciała gospodarzy rosnący upał i przez ich oczy widzieliśmy oślepiające światło. Patrzyliśmy, jak rośliny więdną, a morza zaczynają wysychać. Czuliśmy i słyszeliśmy furie huraganów, które niszczyły wszelkie budynki i rzucały na wszystkie strony ich ruinami. Z trwogą i zdumieniem doświadczaliśmy odrobiny tej egzaltacji i wewnętrznego spokoju, z jakim skazane na śmierć anielskie ludy oczekiwały na swój los. To właśnie to doświadczenie boskiego uniesienia dało nam pierwszy jasny wgląd w najbardziej uduchowione podejście do losu. Cieleśna męczarnia wkrótce stała się dla nas nie do zniesienia i musieliśmy wycofać się z tych męczenniczych światów. Pozostawiliśmy za sobą jednak ginące populacje przyjmujące nie tylko tę torturę, ale i zagładę ich wspaniałej społeczności, z jej nieskończonymi nadziejami, przyjmujące tę gorycz tak, jakby nie była śmiertelna, ale stanowiła eliksir nieśmiertelności. Dopiero niemal u kresu naszej przygody przez chwilę pojęliśmy pełne znaczenie tej ekstazy.

Dziwiło nas niepomniernie, że żadna z tych trzech ofiar nie czyniła żadnych prób obrony przed atakiem. Ani jeden mieszkaniec żadnego z tych światów nie rozważał nawet przez chwilę takiej możliwości. W każdym przypadku postawa względem tej katastrofy wyrażała się w podobny sposób: „Odwet oznaczałby nieodwracalne zranienie ducha naszej wspólnoty. Zamiast tego wolimy zginąć. Wątek duchowy, który stworzyliśmy musi nieuchronnie zakończyć się przedwcześnie, czy to z uwagi na bezwzględność napastników, czy też przez naszą zbrojną odpowiedź na atak. Lepiej jest ulec zniszczeniu niż triumfować zabijwszy ducha. Osiągnęliśmy piękny poziom duchowości i jest ona nieodwracalnie wpleciona w tkaninę kosmosu. Umieramy, chwając wszechświat, w którym osiągnięcie takie jak nasze mogło przynajmniej zaistnieć. Umieramy, wiedząc, że obietnica dalszej chwały żyć będzie dalej w innych galaktykach. Umieramy, chwając Sprawcę Gwiazd i Gwiazd Niszczyciela.

4. TRIUMF W SUBGALAKTYCE

Dopiero po zniszczeniu trzeciego układu planetarnego, gdy czwarty przygotowywał się na własną zagładę, zdarzył się cud, czy też coś co na cud zakrawało, zmieniając cały bieg wydarzeń w naszej galaktyce. Zanim opowiem o tych szczęśliwych wydarzeniach, muszę powrócić do historii układu światów, który miał teraz odegrać wiodącą rolę w historii galaktyki.

W pewnej „wysepce” oddzielonej od galaktycznego „kontynentu” żyła wspomniana wcześniej dziwna symbiotyczna rasa ichtioidów i arachnoidów. Istoty te stanowiły niemal najstarszą cywilizację w galaktyce. Osiągnęły „ludzki” poziom rozwoju umysłowego wcześniej nawet niż inni ludzie. Mimo zmiennych kolei losu, poprzez miliardy lat swojego istnienia poczyniły ogromne postępy. Gdy wcześniej opisywałem ich historię, skończyłem na chwili, gdy opanowali wszystkie planety swojego układu dzięki wyspecjalizowanym rasom arachnoidów, które wszystkie pozostawały w stałej telepatycznej łączności z ichtioidami zamieszkującymi oceany ojczystej planety. W miarę upływu epok kilka razy niemal spotkała je zagłada, to w wyniku zbyt śmiałych eksperymentów fizycznych, to z uwagi na zbyt ambitną telepatyczną eksplorację. Z czasem jednak osiągnęli stan rozwoju umysłowego nieźrównany w całej galaktyce.

Ich mała kosmiczna wysepka, samotna gromada gwiazd, znalazła się z czasem w pełni pod ich kontrolą. Zawierała ona wiele naturalnych układów planetarnych. W niektórych z nich istniały światy, które, gdy wczesne arachnoidy odwiedziły je telepatycznie, zamieszkałe były przez rdzenne rasy przedutopijnego poziomu. Pozostawiono je w spokoju, by

same mogły wykuć własne przeznaczenie, nie licząc pewnych kryzysów w ich historii, podczas których symbionty w sekrecie wpływały na nie telepatycznie, by pokrzepić ich serca w obliczu trudów. Gdy więc jeden z tych światów dotarł do kryzysu, z którym mierzy się obecnie *Homo sapiens*, przeszedł przez niego ze względną łatwością prosto do fazy światowej jedności i budowy utopii. Symbiotyczna rasa z wielką ostrożnością ukrywała swoje istnienie przed pierwotnymi ludami, by nie straciły niezależności umysłowej. Dlatego też, podczas gdy symbionty podróżowały pośród tych światów w raketowych statkach i korzystały z zasobów mineralnych niezamieszkanymi planet, nie odwiedzano inteligentnych przedutopijnych światów. Nie odsłaniano przed nimi prawdy do czasu, aż same wkroczyły w pełni w fazę utopii i zaczęły eksplorować sąsiednie planety. Wówczas gotowe były na przyjęcie jej z radością, zamiast ze strachem.

Od tego czasu, dzięki fizycznym i telepatycznym kontaktom, młoda utopia wkrótce docierała do poziomu duchowego samych symbiontów i współpracowała w symbiozie światów na jednakowej stopie.

Niektóre z tych przedutopijnych światów, nie zdegenerowane, ale też i niezdolne do dalszego postępu, pozostawiano w spokoju i zachowywano tak, jak my zachowujemy dzikie zwierzęta w parkach narodowych, z uwagi na zainteresowanie naukowe. Eon po eonie, istoty te, uwięzione przez daremność swych poczynań, bezskutecznie starały się poradzić sobie z kryzysem, jaki dobrze zna współczesna Europa. W kolejnych cyklach cywilizacja wylaniała się z barbarzyństwa, mechanizacja sprawiała, że poszczególne ludy nawiązywały niespokojny kontakt, wojny między państwowe i klasowe prowadziły do żądzy lepszego porządku świata, ale bez skutku. Kolejne katastrofy znów naruszały fundamenty cywilizacji i stopniowo wracało barbarzyństwo. Eon po eonie, proces ten powtarzał się pod spokojną telepatyczną obserwacją symbiontów, których istnienia nigdy nie podejrzewały obserwowane przez nie prymitywne stworzenia. Tak, jak my możemy spoglądać na jakiś basen pływakowy, w którym poślednie istoty powtarzają z naiwnym zapalem dramaty, które eony temu odegrali już ich przodkowie.

Symbionty mogły pozwolić sobie na nie naruszanie tych muzealnych eksponatów, jako że dysponowały wieloma układami planetarnymi. Poza tym, dzięki wysoce rozwiniętym naukom fizycznym i mocy subatomowej, były w stanie budować w kosmosie sztuczne planety stanowiące permanentne habitaty. Najstarsze i najmniejsze spośród tych wielkich, próżnych w środku globów zbudowanych ze sztucznych nadmetali i sztucznego przezroczystego diamentu nie były większe niż mała asteroida, a największe przewyższały rozmiarami Ziemię. Były pozbawione zewnętrznej atmosfery, jako że ich masa zwykle była zbyt niewielka, by zapobiec ucieczce gazów. Przed meteorami i promieniowaniem kosmicznym chroniła je warstwa siły odpychającej. Zewnętrzna powierzchnia planety, w pełni przezroczysta, zawierała w sobie atmosferę. Zaraz pod nią wisiały stacje fotosyntezy z maszynami generującymi moc z promieniowania słonecznego. Część zewnętrznej warstwy zajmowały obserwatoria astronomiczne, maszyny kontrolujące orbitę planety i wielkie „doki” dla statków międzyplanetarnych. Wnętrze tych światów stanowiło system koncentrycznych sfer opierających się na dźwigarach i ogromnych łukach. Między sferami mieściły się maszyny regulujące atmosferę, wielkie rezerwuary wodne, fabryki pożywienia i innych towarów, zakłady przemysłowe, systemy przetwarzania odpadów, obszary mieszkalne i rekreacyjne oraz mnóstwo laboratoriów badawczych i centrów kulturowych. Jako że rasa symbiontów pierwotnie mieszkała w morzach, istniał tam centralny ocean, gdzie znacznie zmodyfikowani, fizycznie niemrawi, ale atletyczni umysłowo potomkowie pierwotnych ichtioidów składali się na najważniejsze „połączenia nerwowe” inteligentnego świata. Tam, jak w pierwotnym oceanie na ojczystej planecie, symbiotyczni partnerzy towarzyszyli sobie nawzajem i wychowywano młode obu gatunków. Rasy subgalaktyki, które nie pochodziły pierwotnie z oceanów, konstruowały oczywiście sztuczne planety dostosowane do ich natury. Wszystkie one jednak musiały także drastycznie dostosować samą swą naturę do nowych warunków.

W miarę upływu eonów, zbudowano setki tysięcy takich światów, coraz większych i bardziej złożonych. Wiele gwiazd bez naturalnych planet zaczynały otaczać koncentryczne pierścienie sztucznych światów. W niektórych przypadkach wewnętrzne pierścienie zawierały dziesiątki czy setki, a zewnętrzne tysiące globów przystosowanych do życia w konkretnej odległości od słońca. Wielka różnorodność, zarówno fizyczna, jak

i mentalna, odróżniała nawet światy w tym samym pierścieniu. Czasami względnie stary świat czy nawet cały ich pierścień przewyższały w zdolnościach umysłowych nowe światy i rasy, których struktura fizyczna i biologiczna ulegała coraz to kolejnym ulepszeniom. Wówczas taki przestarzały świat albo kontynuował życie na peryferiach cywilizacji, tolerowany, kochany i badany przez młodsze, albo wybierał śmierć i oddanie materiałów swej planety na potrzeby nowych konstrukcji.

Jedynie bardzo małe, dość rzadkie sztuczne światy składały się niemal w całości z wody, jak gigantyczne akwaria. Pod przezroczystą skorupą, pokrytą maszynierią raketową i międzyplanetarnymi dokami, mieścił się sferyczny ocean, przecinany dźwigarami podpierającymi konstrukcję i wciąż utleniany. Niewielki, twardy rdzeń stanowił dno oceanu. Populacja ichtioidów i odwiedzających je arachnoidów gromadziła się tam w wielkich rojach. Każdy ichtioid był odwiedzany przez kilkunastu partnerów, pracujących na co dzień na innych światach. Życie tych ichtioidów było dość dziwne, bo jednocześnie były uwięzione i wolne od ograniczeń przestrzeni. Ichtoid nigdy nie opuszczał ojczystego oceanu, ale nawiązywał kontakt telepatyczny z całą symbiotyczną rasą w subgalaktyce. Poza tym, jedyną formą praktycznej działalności uprawianą przez ichtioidy była astronomia. Tuż pod szklistą skorupą planety wisiały obserwatoria, w których pływający astronomowie badali budowę gwiazd i rozkład galaktyk.

Owe „światy-akwaria” okazały się być czymś przejściowym. Niedługo przed erą szalonych imperiów symbionty zaczęły eksperymentować z produkcją światów składających się z jednego fizycznego organizmu. Po wiekach eksperymentów stworzyły typ akwariowych światów, w których cały ocean zamieszkiwała gęsta sieć bezpośrednio połączonych ze sobą nerwowo ichtioidów. Ta globalna, żywa, polipowata tkanka była stale połączona z maszynierią i obserwatoriami sztucznej planety. W ten sposób stanowiła ona w pełni organiczny światoorganizm i jako że owa populacja ichtioidów łącznie składała się na wspólną mentalność, każdy z tych światów stanowił właściwie jedną myślącą jednostkę. Zachowano jednak jedno istotne łącze z przeszłością. Specjalnie zaadaptowane do nowej symbiozy arachnoidy przybywały ze swych odległych planet i pływały wśród podwodnych galerii, łącząc się z zakotwiczonymi partnerami.

Coraz więcej gwiazd tej gromady czy też subgalaktyki otaczały pierścienie światów i coraz więcej z nich było nowego, organicznego typu. Większość populacji stanowili potomkowie pierwotnych ichtioidów lub arachnoidów, ale byli też tacy, których naturalni przodkowie przypominali ludzi oraz tacy, którzy pochodzili od ptaków, owadów czy ludzi-roślin. Między tymi światami, między pierścieniami światów i między układami słonecznymi trwała stała łączność telepatyczna i fizyczna. Małe statki raketowe regularnie krążyły po każdym z układów. Większe okręty i sztuczne planety podróżowały od układu do układu, eksplorując całą subgalaktykę, a nawet poprzez ocean próżni udawały się do głównej części galaktyki, gdzie miliony pozbawionych planet gwiazd czekały na otoczenie przez pierścienie światów.

Co dziwne, triumfalny rozwój cywilizacji materialnej i kolonizacji spowolnił wówczas i w końcu ustał. Fizyczne kontakty między światami subgalaktyki utrzymano, ale ich nie zwiększano. Porzucono fizyczną eksplorację skrajów galaktycznego „kontynentu”. Wewnątrz samej subgalaktyki nie budowano już nowych światów. Kontynuowano działalność przemysłową, ale w spowolnionym tempie i nie zwiększano już standardu materialnych wygod. Zwyczaję zaczęły coraz mniej zależeć od mechanicznych pomocy. Wśród symbiotycznych światów populacja arachnoidów zmniejszyła się; ichtioidy żyły w swych oceanicznych komórkach w permanentnym stanie koncentracji umysłowej, którą dzieliły się telepatycznie z partnerami.

To wówczas właśnie całkowicie porzucono kontakt telepatyczny między zaawansowaną subgalaktyką i garstką przebudzonych światów na galaktycznym „kontynencie”. We wcześniejszych epokach komunikacja była coraz rzadsza. Subgalaktycy tak bardzo przewyższyli w rozwoju sąsiadów, że ich zainteresowanie tymi pierwotnymi ludami stało się wyłącznie archeologiczne i stopniowo ustawało na rzecz fascynującego życia we własnej wspólnotie światów i telepatycznej eksploracji odległych galaktyk.

Dla nas, gromady odkrywców, desperacko starających się utrzymać kontakt między naszym wspólnym umysłem a nieporównanie bardziej rozwiniętymi umysłami tych światów, najbardziej imponująca działalność mieszkańców subgalaktyki stała się niedostępna.

Obserwowaliśmy jedynie stagnację co bardziej oczywistych działań fizycznych i umysłowych tych układów planet. Wydawało się początkowo, że stagnacja ta wynikać musi z jakiejś ukrytej wady leżącej w ich naturze. Czyżby stanowiła ona pierwszy etap nieodwracalnego upadku?

Później jednak zaczęliśmy odkrywać, że ta pozorna stagnacja stanowiła objaw nie śmierci, ale bardziej dynamicznego życia. Uwaga przestała skupiać się na rozwoju materialnym po prostu dlatego, że otwarto nowe sfery odkryć mentalnych i rozwoju umysłowego. Ta wielka wspólnota światów, której członkami były tysiące światoumysłów, konsumowała owoce długiej fazy fizycznego postępu i była obecnie zdolna do nowych, niespodziewanych działań psychicznych. Z początku natura tych działań była przed nami w zupełności skryta. Z czasem jednak nauczyliśmy się, jak pozyskać choć odrobinę wglądu w sprawy, które tak je fascynowały. Wyglądało na to, że zajmują się częściowo telepatyczną eksploracją wielkiej rzeszy dziesięciu milionów galaktyk, częściowo dzięki technice dyscypliny duchowej, poprzez którą z większą wnikliwością rozumiały naturę kosmosu i zyskały ogromny potencjał twórczy. Jak się dowiedzieliśmy, było to możliwe dzięki temu, że ta doskonała wspólnota światów budziła się ku wyższej płaszczyźnie istnienia, jako jeden wspólny umysł, którego ciałem stanowiła cała subgalaktyka światów. Choć nie mogliśmy brać udziału w życiu tej podniosłej istoty, domyślaliśmy się, że jego pasja przypominać mogła nieco pragnienie najszlachetniejszych z przedstawicieli naszego ludzkiego gatunku by „stanąć twarzą w twarz z Bogiem”. Ta nowa istota pragnęła uzyskać wnikliwość i śmiałość wystarczającą, by wytrzymać bezpośrednią wizję źródła wszelkiego światła, życia i miłości. Cała populacja światów brała udział w długim, mistycznym doświadczeniu.

5. TRAGEDIA DEWANTÓW

Tak miał się właśnie stan rzeczy, gdy na głównym „kontynencie” galaktyki szalone zjednoczone imperia skupiły swą moc na garstce światów, które nie tylko były zdrowe na umyśle, ale znacznie przewyższały je w rozwoju mentalnym. Uwaga symbiontów i ich towarzyszy z wysoce rozwiniętej subgalaktyki dawno wycofała się z błahych spraw „kontynentu”. Zamiast tego skupiała się na kosmosie jako całości i wewnętrznej dyscyplinie ducha. Jednak wyglądało na to, że pierwsze z trzech morderstw dokonanych przez zjednoczone imperia na znacznie bardziej rozwiniętej cywilizacji wywołało dalekosiężny pogłos na wyższych sferach egzystencji. Nawet w obecnym wycofaniu zauważyli to mieszkańcy subgalaktyki i ponownie skierowali telepatyczną uwagę ku sąsiedniemu kontynentowi gwiazd.

Tymczasem doszło do drugiego z morderstw. Mieszkańcy subgalaktyki wiedzieli, że dysponują wystarczającą mocą, by powstrzymać dalszy rozwój katastrofy. Jednak, ku naszemu zaskoczeniu, przerażeniu i niezrozumieniu, spokojnie czekali na trzecią zagładę. Co jeszcze dziwniejsze, same zgładzone światy, choć łączyły się telepatycznie z subgalaktyką, nie błagały o pomoc. Ofiary i widzowie przyglądali się sytuacji z cichym zainteresowaniem, a nawet z czymś w rodzaju rozbawienia. Z naszego, niższego poziomu ten dystans, ta pozorna beztroska, początkowo zdawała się raczej nieludzka niż anielska. Oto był cały świat wrażliwych i inteligentnych istot pełen jednostkowego i społecznego życia, nowo zapoznanych kochanków, naukowców prowadzących przełomowe badania, artystów w nowatorski sposób wyrażających swe uczucia, robotników zajmujących się tysiącami praktycznych przedsięwzięć społecznych wykraczających poza zrozumienie ludzi, cała ta bogata różnorodność życia osobistego wysoce rozwiniętego świata. I każdy z tych indywidualnych umysłów brał udział w umyśle całej wspólnoty, każdy doświadczał świata nie tylko jako jednostka, ale jako cały duch rasy. A jednak te spokojne istoty przyglądały się zniszczeniu swego świata z nie większym niepokojem niż ten, który ktoś z nas czułby, rezygnując z udziału w ciekawej grze. A w umysłach widzów z subgalaktyki nie zaobserwowaliśmy bólu ani litości, a jedynie podszyte humorem współczucie, jakie czuliśmy wobec wybitnego tenisisty, który odpadł w pierwszej rundzie turnieju w wyniku wypadku, takiego jak skręcenie kostki.

Z trudem przychodziło nam zrozumienie źródła tej dziwnej obojętności. Widzowie i ofiary tak skupiały się na badaniach kosmologicznych, tak świadome były bogactwa

i potencjału kosmosu i tak zajęte były kontemplacją duchową, że zniszczenie to postrzegały z punktu widzenia, który ludzie nazwaliby boskim. Ich radosne uniesienie i brak powagi wynikały z tego, że dla nich życie osobiste, a nawet życie i śmierć poszczególnych światów, stanowiły jedynie wątki składające się na życie kosmosu. Z kosmicznego punktu widzenia katastrofa ta była drobną, choć przykrą kwestią. Co więcej, jeśli w wyniku poświęcenia kolejnej grupy światów, nawet wspaniale przebudzonych, można było uzyskać lepsze zrozumienie obłędu szalonych imperiów, to warto było go dokonać.

Doszło więc do trzeciego morderstwa. I wtedy zdarzył się cud. Zdolności telepatyczne mieszkańców subgalaktyki były znacznie bardziej rozwinięte niż rozproszonych światów na wysokim poziomie rozwoju na galaktycznym „kontynencie”. Mogli pominąć zwyczajną wspólnotę umysłów i pokonać wszelki opór. Mogli sięgnąć w głąb, do zakopanego głęboko jądra ducha nawet w najbardziej wypaczonej jednostce. Nie była to jednak tylko niszczycielska moc hipnotycznie zagłuszająca wspólnego ducha, ale zarzewie, moc rozbudzająca, oddziałująca na zdrową, lecz uszpioną część każdej istoty. Zdolności te skierowano na galaktyczny kontynent z triumfalnym, lecz jednocześnie tragicznym skutkiem. Nawet ta siła nie była bowiem wszechmocna. Tu i tam wśród szalonych światów pojawiła się dziwna, rozprzestrzeniająca się „choroba” ducha. Ortodoksyjnym imperialistom z tych światów zdawała się być szaleństwem, ale w rzeczywistości było to późne, nieudolne przebudzenie zdrowego ducha tych istot, których natura ukształtowała się poprzez szaleństwo w szalonym środowisku.

Rozwój tej „choroby” na szalonych światach wyglądał następująco. Poszczególne jednostki tu i tam, wciąż odgrywające swoje role w zdyscyplinowanych działaniach i wspólnej myśli świata, zaczęły czuć prywatne zwątpienie i odrazę w stosunku do najdroższych im dotąd fundamentów świata, w którym żyli, wątpliwości co do wartości rozległego imperium i odrazę dla kultu mechanicznego triumfu, intelektualnego serwilizmu i boskiej czci oddawanej rasie. W miarę jak te niepokojące myśli narastały, oszołomione jednostki zaczynały obawiać się o własną „przytomność” umysłową. Zaczynały ostrożnie wypytywać sąsiadów. Krok po kroku wątpliwości szerzyły się i były wyrażane coraz bardziej otwarcie, aż na każdym świecie istotna mniejszość, nadal odgrywając oficjalne role, traciła kontakt ze wspólnym umysłem i zmieniała się w odizolowane jednostki, ale jednostki o zdrowszych sercach niż wyniosły umysł wspólnoty, od którego się odłączyli. Ortodoksyjna większość, przerażona tą mentalną dezintegracją, stosowała znajome bezlitosne metody, których używano tak skutecznie na nieucywilizowanych rubieżach imperium. Dysydentów aresztowano i albo niszczone ich od razu, albo gromadzono na najbardziej niegościnnych planetach w nadziei, że ich męczarnie staną się skutecznym ostrzeżeniem dla innych.

Polityka ta zawiodła. Dziwna choroba umysłowa szerzyła się coraz szybciej, aż „szaleńców” było więcej niż „zdrowych”. Nastąpiły wojny domowe, masowe męczeństwo zatwardziałych pacyfistów, właśnie między imperialistami, coraz większe „szaleństwo” na każdym świecie imperium. Cała organizacja imperialna rozpadła się na kawałki, a jako że arystokratyczne światy stanowiące trzon imperium były bezradne jak mrówki-żołnierze bez służby i danin poddanych im światów, utrata imperium skazała je na śmierć. Gdy niemal cała populacja takiego świata przebudziła się, potrzebne były ogromne wysiłki, by przebudować jego życie ku samowystarczalności i pokojowi. Można było się spodziewać, że to zadanie, choć trudne, nie pokona istot, których inteligencja i lojalność społeczna były nieporównywalnie większe niż na Ziemi. Wystąpiły jednak nieoczekiwane trudności, nie ekonomiczne, ale psychologiczne. Istoty te ukształtowano do wojny, tyranii i imperializmu. Choć telepatyczna stymulacja wyższych umysłów mogła rozpaść śpiące w nich zarzewie ducha i pomóc im zdać sobie sprawę z trywialności całej misji, do wypełnienia której dążył ich świat, telepatyczny wpływ nie mógł zmienić ich natury na tyle, by mogli od tej pory rzeczywiście prowadzić duchowe życie i odrzucić stary porządek. Mimo heroicznej samodyscypliny, popadali w ośpienie, jak dzikie bestie w niewoli, albo dostawali amoku i kierowali przeciwko sobie nawzajem impulsy dominacji, którą dotąd sprawowali na podbitych światach. Wszystko to czynili z głębokim poczuciem winy.

Przyglądanie się cierpieniu tych światów rozdzierało nasze serca. Nowo oświecone istoty nie straciły wizji prawdziwej społeczności i życia duchowego, ale choć wizja ta zaprzętała ich umysły, utracili moc jej realizacji. Czasami też zmiana, której ulegli zdawała

im się zmianą na gorsze. Wcześniej wszystkie jednostki były idealnie zdyscyplinowane w służbie wspólnej woli, doskonale szczęśliwe, wykonując ją bez rozterek indywidualnej odpowiedzialności. Teraz jednak jednostki były po prostu jednostkami i wszystkie dręczyły wzajemne podejrzania oraz gwałtowna skłonność do poszukiwania własnej tożsamości.

Przebieg tych rozpaczliwych zmagania w umysłach byłych imperialistów zależał od stopnia, w jakim dotknęła ich specjalizacja na rzecz imperium. Na młodszych światach, gdzie nie zaszła jeszcze zbyt daleko, po okresie chaosu nadszedł czas reorientacji i planowania, a z czasem utopii. Ale na większości planet taka ucieczka nie była możliwa. Chaos trwał albo do czasu upadku cywilizacji, w wyniku którego dana rasa staczała się do „ludzkiego”, podludzkiego czy zaledwie zwierzęcego poziomu, albo, jedynie w nielicznych przypadkach, rozdziew między ideałem a rzeczywistością był tak przygnębiający, że cała populacja popełniała samobójstwo.

Nie mogliśmy długo znosić widoku dziesiątek światów popadających w psychologiczną ruinę. Ale mieszkańcy subgalaktyki, którzy spowodowali te dziwne wydarzenia i wciąż używali swej mocy by oczyścić i zniszczyć te umysły, przyglądali się niewzruszeni swemu dziełu. Współczuli im, w takim stopniu, w jakim my współczujemy dziecku, które zepsuło swoją zabawkę, ale nie czuli wzburzenia.

W ciągu kilku tysięcy lat każdy z imperialnych światów albo przeobraził się, popadł w barbarzyństwo albo popełnił samobójstwo.

6. GALAKTYCZNA UTOPIA

Wydarzenia, które opisałem miały miejsce, a raczej z ludzkiego punktu widzenia będą miały miejsce, w tak odległej od nas przyszłości, jak my dalecy jesteśmy od powstania pierwszych gwiazd. Następny okres historii galaktyki obejmuje czas od upadku szalonych imperiów do osiągnięcia utopii w całej galaktycznej wspólnotie światów. Ten okres przejściowy sam był w pewnym sensie utopijny, jako że stanowił czas triumfalnego postępu dokonywanego przez żyjące w dostatku istoty, których natura była bogata i harmonijna, a ich rozszerzająca się utopia była warta całkowitej lojalności. Nie był utopijny jedynie w sensie takim, że społeczność galaktyki wciąż poszerzała się i ciągle zmieniała strukturę, by sprostać nowym potrzebom gospodarczym i duchowym. U schyłku tej fazy nastąpił okres pełnej utopii, w którym uwaga udoskonalonej społeczności galaktyki skupiła się głównie na zewnątrz, na innych galaktykach. O tym opowiem w swoim czasie, a także o nieprzewidywanych, burzliwych wydarzeniach, które zniszczyły ten błogostan.

Tymczasem musimy przyrzeć się erze ekspansji. Światy subgalaktyki, widząc, że dalszy postęp kulturowy nie jest możliwy, o ile nie dojdzie do znacznego zwiększenia i zróżnicowania populacji przebudzonych światów, zaczęły odgrywać aktywną rolę w reorganizacji całego galaktycznego kontynentu. Za pośrednictwem telepatii przekazały wszystkim przebudzonym światom wiedzę o triumfalnym społeczeństwie, które same stworzyły i zaprosiły je wszystkie do dołączenia do prac nad zbudowaniem galaktycznej utopii. Jak oznajmiły, każdy świat w galaktyce musi być wysoce świadomą jednostką i każdy musi dodać swoją osobistą indywidualność i bogactwo swego doświadczenia do zbiorowego doświadczenia ich wszystkich. Gdy w końcu dojdzie do powstania tej społeczności, mówiły, musi ona wypełnić swoją rolę w znacznie większej wspólnotie wszystkich galaktyk i wziąć udział w duchowych działaniach, których obecnie mogły się jedynie mgliście domyślać.

We wcześniejszej epoce medytacji subgalaktyczne światy, a raczej wspólny, budzący się umysł subgalaktyki, najwyraźniej dokonał odkryć niezwykle istotnych dla powstania galaktycznej społeczności. Teraz bowiem mieszkańcy subgalaktyki zażądali, aby liczba świadomych światów w galaktyce zwiększyła się co najmniej dziesięć tysięcy razy. Oznajmili, że aby wypełnić cały potencjał ducha, zaistnieć musi znacznie większa różnorodność rodzajów światów oraz tysiące światów każdego rodzaju. Sami, w swojej małej subgalaktycznej społeczności, zdali sobie sprawę, że tylko znacznie większa wspólnota może odkryć wszystkie regiony istnienia, z których wiele ujrzeli tylko fragmentarycznie, z odali.

Naturalne światy galaktycznego kontynentu zdumiał i zaniepokoił ogrom tego planu. Zadowalała je dotychczasowa skala życia i uważały, że duch nie jest zależny od wielości czy różnorodności. Na to usłyszały odpowiedź, że źle to brzmi ze strony światów, których własne osiągnięcia zależały od wspaniałej różnorodności ich mieszkańców. Według mieszkańców subgalaktyki różnorodność i wielość światów potrzebne były na poziomie galaktyki w takim samym stopniu jak wielość i różnorodność jednostek na poziomie świata oraz wielość i różnorodność komórek na poziomie organizmu.

W rezultacie naturalne światy galaktycznego „kontynentu” odgrywały coraz mniejszą rolę w rozwoju życia w galaktyce. Niektóre pozostały po prostu na poziomie swoich dotychczasowych osiągnięć. Inne dołączyły do wielkiej kooperatywy, ale bez ferworu i geniuszu. Niektóre włączyły się w przedsięwzięcie chętnie i użytecznie. Jedna zaś przyczyniła się do niego w wielkim stopniu. Była to rasa symbiontów, ale innego rodzaju niż ta znana z subgalaktyki. Symbioza łączyła dwie rasy pochodzące początkowo z różnych planet tego samego układu — gatunek inteligentnych ptaków, doprowadzony do desperacji przez wysychanie ich planety, postanowił dokonać inwazji na pobliski świat zamieszkały przez gatunek podobny do ludzi. Nie opowiem tu teraz o tym, jak po wiekach na przemian walki i współpracy, osiągnięto całkowitą symbiozę gospodarczą i psychologiczną.

Konstrukcja galaktycznej wspólnoty światów wykracza dalece poza pojęcie autora tej książki. Nie pamiętam już teraz dokładnie tego, czego doświadczyłem z tych odległych dla mnie kwestii w stanie zwiększonej trzeźwości umysłu, w którym znalazłem się dzięki udziałowi we wspólnym umyśle odkrywców. A nawet w tamtym stanie z trudem rozumiałem cele tej społeczności.

Jeśli można w ogóle ufać mojej pamięci, w tej fazie historii galaktyki rozumne światy skupiały się na trzech rodzajach aktywności. Głównym praktycznym zajęciem było wzbogacanie i harmonizacja życia w samej galaktyce, zwiększanie liczby, różnorodności i jedności umysłowej w pełni przebudzonych światów aż do punktu, który, jak uważano, potrzebny był do przejścia na wyższy poziom istnienia niż jakikolwiek osiągnięty do tej pory. Drugim rodzajem aktywności były próby nawiązania bliższego kontaktu z innymi galaktykami za pomocą badań fizycznych i telepatycznych. Trzecim była duchowa kontemplacja odpowiednia dla istot rzędu światoumysłów. Dotyczyła ona (czy też będzie dotyczyć) jednocześnie pogłębiania samoświadomości poszczególnych duchów światów i oddzielania jego woli od zaledwie prywatnego spełnienia. Ale to nie wszystko. Na tym względnie wysokim poziomie rozwoju duchowego, podobnie jak na naszej, najniższej z płaszczyzn duchowych, potrzebny był także radykalniejszy dystans od przygody życia i umysłu w kosmosie. Albowiem gdy duch się budzi, pragnie coraz bardziej móc spoglądać na całość egzystencji nie tylko z punktu widzenia stworzenia, ale uniwersalnie, jak gdyby poprzez oczy stwórcy.

Z początku zadanie stworzenia galaktycznej utopii skupiało niemal całą energię przebudzonych światów. Coraz więcej gwiazd otaczały koncentryczne sznury pereł, doskonałe, choć sztuczne. A każda perła stanowiła unikatowy świat, zamieszkały przez jedyną w swoim rodzaju rasę. Od tego czasu najwyższym poziomem stałej indywidualności nie był świat, ale układ dziesiątek czy setek światów. A konwersacje między układami były tak proste i przyjemne, jak między pojedynczymi ludźmi.

W tych warunkach być świadomą jednostką oznaczało cieszyć się połączonymi odczuciami wszystkich ras zamieszkujących układ gwiazdny. I jako że organy zmysłowe układu postrzegały świat nie tylko „gołym okiem”, ale także poprzez sztuczne instrumenty o dalekim zasięgu i znacznej dokładności, świadoma jednostka postrzegała nie tylko strukturę setek planet, ale także konfigurację całego układu krążącego wokół swojego słońca. Inne układy postrzegała tak, jak ludzie widzą siebie nawzajem, jako że w oddali krążyły lśniące ciała innych „wieloświatowych” osób.

Między umysłami układów zachodziła nieskończona różnorodność relacji osobistych. Podobnie jak między ludźmi istniała miłość i nienawiść, sympatie i antypatie, radosne i przykre interakcje, współprace i krzyżowanie planów osobistych, a także współpraca nad wspólnym przedsięwzięciem budowy galaktycznej utopii.

Między indywidualnymi układami światów, jak między symbiotycznymi partnerami, zdarzały się związki niemal seksualnego typu, choć nie dochodziło w nich do rzeczywistych zbliżeń płciowych. Sąsiednie układy wypuszczały do siebie nawzajem małe lub

większe światy, czy całe ich szeregi, by zajęły orbitę wokół słońca partnera i brały udział w ich symbiotycznej, czy też raczej „sympsychicznej” relacji. Czasami cały układ migrował do drugiego i umieszczał swoje światy pomiędzy pierścieniami drugiego.

Kontakty telepatyczne łączyły całą galaktykę, ale telepatia, choć jej znaczną przewagą było to, że nie ograniczały jej odległości, miała inne niedoskonałości. Na tyle, na ile to możliwe wspomagano ją fizycznymi podróżami. Ciągły strumień wędrujących światów przemierzał galaktykę na wszystkie strony.

Zadanie stworzenia galaktycznej utopii nie obyło się bez spieć. Różne typy ras proponowały różne rodzaje polityki w galaktyce. Choć wojna była obecnie nie do pomyslenia, tego rodzaju konflikty, które zdarzają się u nas między jednostkami czy grupami w ramach jednego państwa były dość częste. Istniała chociażby ciągła walka między układami planetarnymi zainteresowanymi przede wszystkim budową utopii, tymi, dla których najważniejszy był kontakt z innymi galaktykami i tymi, które troszczyły się głównie o sprawy duchowe. Oprócz tych wielkich partii istniały też grupy, które stawiały dobro poszczególnych układów ponad rozwój galaktycznego przedsięwzięcia. Bardziej interesowały je dramaty relacji międzyukładowych i spełnianie osobistego potencjału niż organizacja, eksploracja i oczyszczenie duchowe. Choć ich istnienie często frustrowało entuzjastów, to stanowiło zabezpieczenie przeciwko ekstrawagancji i tyranii.

Właśnie w czasie ery galaktycznej utopii na pełne aktywności światy zaczął oddziaływać inny zbawienny wpływ. Dzięki telepatycznym badaniom nawiązano kontakt z dawno wymarłymi ludźmi-roślinami, których zgubą była ekstrawagancja ich mistycznego kwiatyzmu. Utopijne światy nauczyły się wiele od tych starożytnych, wyjątkowo wrażliwych istot. Od tej pory roślinne doświadczenie świata wpleciono głęboko, lecz nie niebezpiecznie, w strukturę galaktycznego umysłu.

X. WIZJA GALAKTYKI

Zdawało się nam teraz, że kłopoty wielu światów galaktyki wreszcie się skończyły, że wola wsparcia galaktycznej utopii jest uniwersalna i że przyszłość musi prowadzić ku coraz większej chwale. Mieliliśmy pewność, że tak samo wygląda postęp w innych galaktykach. W naszej naiwności czekaliśmy na rychły, zupełny i ostateczny triumf ducha nad kosmosem. Wyobrażaliśmy sobie nawet, że Sprawca Gwiazd cieszy się doskonałością swej pracy. Używając takiej symboliki, jakiej tylko mogliśmy, by wyrazić niewyraźne, wykoncypowaliśmy, że przed początkiem Sprawca Gwiazd był sam i że dla miłości i wspólnoty postanowił stworzyć doskonałą istotę, aby mu towarzyszyła. Przypuszczaliśmy, że stworzył ją z żądzy piękna i miłości, ale też bardzo ją doświadczył, umęczył, aby mogła ostatecznie zatriumfować nad przeciwieństwami i osiągnąć taką perfekcję, do jakiej nie był zdolny nawet on w całej swojej wszechmocy. Myśleliśmy o kosmosie jako tej właśnie istocie. W naszej naiwności zdawało się nam, że ujrzeliśmy już znaczną część kosmicznego rozwoju i że przed nami był tylko jego punkt kulminacyjny, telepatyczna unia wszystkich galaktyk, aby stały się jednym, w pełni przebudzonym duchem kosmosu, doskonałym, odpowiednim do wiecznej kontemplacji i radości Sprawcy Gwiazd.

Wszystko to zdawało się nam wiele słuszne, ale sami nie radowaliśmy się. Byliśmy przesyćeni widokiem ciągłego i triumfalnego postępu późnej ery naszej galaktyki i nie ciekawiły nas już rzesze innych galaktyk. Niemal na pewno były takie jak nasza. W zasadzie czuliśmy ogromne zmęczenie i rozczarowanie. Przez tak wiele eonów śledziliśmy losy wielu światów. Tak często żyliśmy ich pasjami, nowymi dla nich, ale dla nas w większości powtarzalnymi. Braliśmy udział we wszelkiego rodzaju cierpieniu, chwale i wstydzie. A teraz, gdy kosmiczny ideał, pełne przebudzenie ducha, zdawał się być w zasięgu ręki, ogarnęło nas znużenie. Jakie znaczenie miało, czy doskonały duch odczuje i w pełni pozna cały dramat egzystencji? Jakie znaczenie miało, czy dokończymy naszą pielgrzymkę czy też nie?

Przez tak wiele eonów nasza kompania, rozproszona po galaktyce, z trudem utrzymywał wspólną mentalność. Przez cały czas „my”, mimo naszej mnogości, stanowiliśmy „ja”, pojedynczego obserwatora wielu światów, ale utrzymanie tej tożsamości stawało się mozolne. Nasze „ja” ogarniała senność, zaś „my” z osobna tęskniliśmy za ojczystymi światami, naszymi domami oraz za zwierzęcym przytępieniem, które odgradzało nas od wszelkich bezmiarów. W szczególności ja, Anglik, pragnąłem spać bezpiecznie w tej sypialni, w której ona i ja spaliśmy razem, zapomnieć o codziennych sprawach i pogрузić się w niewyraźnej, spokojnej świadomości siebie nawzajem.

Ale mimo nieznośnego zmęczenia sen nie nadchodził. Z konieczności pozostawałem w towarzystwie kolegów i mnogości triumfalnych światów.

Wkrótce z letargu wyrwało nas jednak pewne odkrycie. Stopniowo docierało do nas, że nastrój panujący w tych niezliczonych utopijnych układach planet nie jest bynajmniej triumfalny. Na każdym świecie znajdowaliśmy głębokie przekonanie o małości i bezsilności wszystkich skończonych istot, choćby i najwyższego rzędu. Na jednej z planet żył pewien poeta. Gdy powiedzieliśmy mu o naszej koncepcji kosmicznego celu, odparł:

— Gdy dusza kosmosu się przebudzi, jeśli kiedykolwiek to zrobi, okaże się nie być jedyną ukochaną swego stwórcy, ale jedynie drobną bańką dryfującą w bezkresnym i niezgłębionym oceanie istnienia.

To, co z początku sprawiało wrażenie niepowstrzymanego marszu podobnych bogom duchów światów, ze wszystkim, co w kosmosie do dyspozycji i wiecznością przed nimi, stopniowo odkrywało przed nami zupełnie inne oblicze. Wielki rozwój poziomu umysłowego i osiągnięcie wspólnej mentalności w całym kosmosie zmieniło postrzeganie czasu. Czasowy zasięg umysłu znacznie się wydłużył. Przebudzone światy doświadczały eonu jako zaledwie dnia. Były świadome upływu czasu tak, jak człowiek w czólnie świadom był rzeki, która w górnym biegu płynie powoli, lecz z czasem przyspiesza i przyspiesza, aż niedługo czeka ją ostateczny bieg ku morzu, czyli do wiecznego końca życia, wygaśnięcia gwiazd. Porównując tę drobinę, która pozostała z wielką pracą, której wciąż żarliwie

pragnęły dokonać, czyli z pełnym przebudzeniem kosmicznego ducha, myślące światy widziały, że w najlepszym razie nie ma czasu do stracenia, a co bardziej prawdopodobne, na wypełnienie tego dzieła jest już za późno. W dziwny sposób przeczuwały, że czekała na nich nieprzewidziana katastrofa. Czasami mawiano:

— Nie wiemy, co szykują dla nas gwiazdy, a tym bardziej Sprawca Gwiazd.

Czasem także stwierdzano:

— Nie powinniśmy nawet przez chwilę uznawać naszej najlepiej choćby poznanej wiedzy o istnieniu za prawdziwą. Jest to jedynie świadomość kolorów, którą nasz wzrok maluje na powierzchni jednej bańki w strumieniu piany na oceanie ducha.

Świadomość nieuchronnej niekompletności wszystkich stworzeń i wszystkich osiągnięć nadawała galaktycznej wspólnotcie światów pewien czar, pewną świętość, jak krótko żyjącemu, delikatnemu kwiatowi. I właśnie z coraz silniejszym poczuciem obcowania z kruchym pięknem postrzegaliśmy teraz tę rozległą utopię. Przy takim nastawieniu do świadczania to było niesamowite.

Wybraliśmy się na swego rodzaju wakacje od eksploracji, szukając odpoczynku w bezcielesnym locie poprzez kosmos. Zebrawszy całą naszą kompanię ze wszystkich światów, skupiliśmy się w pojedynczy, ruchomy punkt widzenia i wtedy, jako jedna istota, krążyliśmy między gwiazdami i mgławicami. W pewnym momencie kaprys zanurzył nas w międzygwiazdnej przestrzeni. Przyspieszaliśmy, aż przed nami gwiazdy stawały się fioletowe, a za nami czerwone; aż zarówno przód, jak i tył zniknęły; aż wszystko co widzialne przygasiła dzika prędkość naszego lotu. W absolutnych ciemnościach rozmyślaliśmy nad pochodzeniem i przeznaczeniem galaktyk i nad straszliwym kontrastem między kosmosem a naszymi znikomymi zyciami, do których pragnęliśmy powrócić.

W pewnej chwili spoczęliśmy i odkryliśmy, że znaleźliśmy się w nieoczekiwanej sytuacji. Galaktyka, z której się wyłoniliśmy, rzeczywiście leżała za nami, nie większa niż chmura, ale nie była spodziewaną przez nas spiralą. Po początkowym zmieszaniu zdaliśmy sobie sprawę, że patrzymy na galaktykę na wczesnym etapie istnienia, w zasadzie zanim nawet można było nazwać ją galaktyką. Chmura nie stanowiła chmury gwiazd, ale ciągłą świetlistą mgłę. U jej serca leżał niewyraźny blask, który stopniowo przygasiał aż do bladych regionów zewnętrznych i przechodził płynnie w czarne niebo. Nawet samo niebo wyglądało teraz nieznanym. Choć pozbawione gwiazd, było gęsto upstrzone niewyraźnymi chmurami. Wszystkie znajdowały się dalej od nas niż ta, z której pochodziliśmy, ale kilka wyglądało na tak duże, jak Orion na ziemskim niebie. Niebo było na tyle zatłoczone, że wiele obiektów przechodziło płynnie w kolejne i rozdzielały je zaledwie wąskie kanały pustki, poprzez które prześwitywały jeszcze dalsze mgławice, czasami na tyle oddalone, że zdawały się tylko drobnymi plamkami światła.

Było dla nas jasne, że przenieśliśmy się w czasie do epoki, gdy wielkie mgławice wciąż ze sobą sąsiadowały, zanim wybuchowa natura kosmosu oddzieliła je od siebie.

W miarę jak przyglądaliśmy się, stało się oczywiste, że wydarzenia rozwijają się w fantastycznym tempie. Każda chmura widocznie skurczyła się, wycofując się dalej. Zmieniły także kształt, stając się bardziej płaskie o nieco bardziej określonych konturach. Zmniejszone mgławice wyglądały teraz jak mgliste, przechylone soczewki. Ale i one wycofały się tak głęboko w przestrzeń kosmiczną, że trudno było obserwować ich zmiany. Tylko nasza rodzima mgławica pozostała przy nas, wielki owal rozciągający się na połowę nieba. Teraz na niej skupiliśmy uwagę.

Zaczęły się w niej wykształcać różnice, jaśniejsze i ciemniejsze regiony, blade smugi i zawijasy, jak piana na morskich falach. Powoli przesuwały się tak, jak chmury pośród wzgórz. Obecnie było jasne, że wewnętrzne prądy mgławicy przyjmują wspólny wzorzec. Wielki świat gazu powoli obracał się, niemal jak tornado, spłaszczając się stopniowo. Ujrzelśmy zamazany obraz pokrytego smugami i płaskiego kamyka, dobrego do puszczania kaczek na wodzie, trzymanego zbyt blisko oka, by skupić na nim wzrok.

Następnie zauważyliśmy naszym nowym, cudownym wzrokiem, że tu i tam w chmurze pojawiają się mikroskopijne punkciki intensywniejszego światła, głównie w jej ze-

wewnętrznych rejonach. Ich liczba rosła i przestrzeń pomiędzy nimi ciemniała. Byliśmy świadkami narodzin gwiazd.

Wielka chmura wciąż obracała się i splaszczala. Wkrótce stanowiła dysk wirujących strumieni gwiazd i smug nieskupionego gazu, ostatnich, rozpadających się fragmentów pierwotnej mgławicy. Poruszały się wraz z całością, ale po swojemu, zmieniając kształt, pełzając jak żywe stworzenia, wyciągając nibynóżki i wyraźnie blednąc, ustępując miejsca nowemu pokoleniu gwiazd. Jądro mgławicy skupiało się teraz w bardziej jednoznaczny kształt, wielki glob jasności. W różnych miejscach dysku pojawiały się większe skupiska światła, embriony gromad gwiazdnych. Cała mgławica upstrzona była tymi kłębamii puchu, z których każdy zrodzić miał małe uniwersum gwiazd.

Galaktyka, bo tak można było już ją nazwać, wciąż wyraźnie wirowała z hipnotyzującą stałością. Spłecione warkoczki jej gwiazd ciągnęły się na tle ciemnej otchłani. Wyglądała teraz jak wielkie białe sombrero o szerokim rondzie, korona świetlistej masy, obracający się kardynalski kapelusz. Na dwa długie, wirujące frędzle przy krawędzi składały się długie, spiralne strumienie gwiazd. Ich postrzępione końcówki oddzieliły się, tworząc subgalaktyki, obracające się wokół głównego układu galaktycznego. Całość kręciła się niczym bączek, przechylając się na naszych oczach; jej krawędź była coraz węższą elipsą, aż zewnętrzny krąg nieświecącej materii stał się cienką, ciemną, splątaną linią idącą poprzez świetlistą substancję mgławicy i gwiazd.

Z wysiłkiem starając się ujrzeć wyraźniej strukturę tego błyszczącego, perlistego cudu, największego ze wszystkich rodzajów obiektów w kosmosie, odnaleźliśmy nowy wymiar wzroku i nawet widząc całą galaktykę i jej odległe siostry, postrzegaliśmy każdą gwiazdę jako drobny dysk oddzielony od sąsiadek, podobnie jak kawałek drewna unoszący się na Oceanie Arktycznym oddzielony jest od innego, dryfującego przy brzegach Antarktydy. Dlatego też mimo opalizującego piękna jej ogólnej formy galaktyka jawiła się nam jako pustka przyprószona rzadkimi iskrami.

Przyglądając się bliżej gwiazdom, zobaczyliśmy, że choć płynęły w większych grupach, jak ławice ryb, ich prądy czasami splatały się. Wówczas gwiazdy z różnych strumieni, stając sobie na drodze, przyciągały się nawzajem, przechodząc spod wpływu jednego sąsiada do kolejnego. Tak więc mimo znacznej odległości od siebie, często wyglądały dziwnie jak żywe istoty poznające się z daleka. Czasami zataczały łuk hiperboliczny wokół siebie nawzajem, a rzadziej tworzyły podwójne układy.

Czas leciał na naszych oczach tak szybko, że eony stawały się chwilami. Widzieliśmy, jak pierwsze gwiazdy stają się czerwonymi olbrzymami, choć z tej odległości niezwykle małąkami. Zaskakująca ich liczba, być może z uwagi na siłę odśrodkową obrotu, rozpadała się, tworząc podwójne układy gwiazd, więc niebo coraz częściej zaludniały tańczące walca pary. Tymczasem wielkie gwiazdy powoli kurczyły się i nabierały jasności. Z czerwieni przechodziły w żółć, a następnie do oślepiającej bieli i błękitu. Podczas gdy wokół nich skupiały się inne młode olbrzymy, one coraz bardziej malały, a ich barwa zmieniała się znów w żółć i czerwień. Obecnie widzieliśmy, jak najstarsze z gwiazd gasną jak iskry ogniska. Zdarzało się to coraz częściej, powoli, ale stale. Czasami pojawiał się rozbłysk nowej, na chwilę przesłaniający światło miriad sąsiednich gwiazd. Tu i tam pulsowały w niewyobrażalnym tempie gwiazdy zmienne. Od czasu do czasu widzieliśmy, jak podwójny układ i trzecia gwiazda zbliżają się do siebie na tyle, że ta lub inna z grupy wyciągała smugę swojej substancji ku partnerowi. Skupiając nasz nadnaturalny wzrok, widzieliśmy, jak smugi te oddzielają się i stają się planetami. Zdumiewały nas drobne rozmiary i rzadkość tych ziaren życia pomiędzy martwymi rzeszami gwiazd.

Ale same gwiazdy sprawiały nieodparte wrażenie życia. Dziwne, że ruchy tych zjawisk fizycznych, kul ognia, wirujących i podróżujących zgodnie z geometrycznymi prawami ich cząstek zdawały się tak żywe, kierujące się ku jakiemuś celowi. Ale i cała galaktyka była dla nas żywa, jak organizm, z delikatnymi strumieniami gwiazd niczym przepływy materii wewnątrz komórki, z jej ramionami przypominającymi wici. To wielkie i majestatyczne stworzenie musiało być żywe, musiało w inteligentny sposób doświadczać siebie i wszystkiego wokół.

Powstrzymaliśmy jednak ten przyływ dzikich myśli, pamiętając, że tylko na rzadkich ziarenkach zwanych planetami mogło zagościć życie, a bogactwo całej reszty błyszczących klejnotów stanowiło jedynie marnotrawstwo ognia.

Z rosnącą czułością i tęsknotą skierowaliśmy uwagę ku najwcześniejszym planetarnym ziarnkom, które skupiały się spośród wirujących smug płomieni, początkowo jako pulsujące krople lawy, następnie pokryte skałami, wypełnione oceanami i otoczone atmosferą. Nasz wnikliwy wzrok spoglądał na ich buzujące życiem płytkie wody, z których miało ono wyruszyć ku oceanom i kontynentom. Widzieliśmy jak na niektórych z tych światów przebudziła się inteligencja ludzkiego poziomu i wkrótce pogrążyła się w wielkiej walce o ich ducha, z której tylko garstka wyszła zwycięsko.

Tymczasem nowe narodziny planet, rzadkie pośród gwiazd, ale liczące miliony, oznaczały nowe światy i nowe biografie. Ujrzelśmy Inną Ziemię, z jej naprzemienną chwałą i hańbą i jej ostateczne wygaśnięcie. Widzieliśmy też wiele innych światów zaludnionych przez humanoidy, szkarłupnie, centaury i tak dalej. Patrzyliśmy jak człowiek na jego małej Ziemi przechodzi przez fazy to tępoty, to oświecenia i znów żalosnego otepienia. Od epoki do epoki kształt jego ciała zmieniał się tak, jak zmieniają się chmury. Patrzyliśmy na jego rozpaczliwe zmagania z marsjańskimi najeźdźcami, a po chwili kolejnych wieków światła i ciemności na jego przenosiny na niegościnną Wenus by uciec przed upadkiem Księżyca. Jeszcze później, po eonie, który stanowił ledwie westchnienie w życiu kosmosu, uciekł przed eksplodującym Słońcem na Neptuna, gdzie pogrążył się znów na eony w zwierzęcości. Znów jednak wspiał się wyżej i osiągnął szczyt swej inteligencji, aby tylko spłonąć jak ćma w ogniu w wyniku nieuniknionej katastrofy.

Cała ta długa historia ludzkości, pełna pasji i tragedii, stanowiła jedynie nieistotny, jałowy i pomijalny wysiłek, trwający tylko parę chwil w życiu galaktyki. Gdy dobiegła końca, rzesza układów planetarnych wciąż żyła, ponosząc tu i ówdzie ofiary. Tu i tam pośród gwiazd nowe narodziny gwiazd, ówdzie świeża katastrofa.

Przed i po pełnym trudów żywocie ludzkości widzieliśmy dziesiątki i setki innych podobnych ludziom ras, z których tylko garstka miała przekroczyć najwyższy poziom duchowości człowieka i odegrać rolę w galaktycznej wspólnotcie światów. Widzieliśmy je teraz z oddali na przypominających Ziemię planetkach, rozproszonych pośród wielkich strumieni gwiazd, starające się opanować wszystkie problemy ich światów, społeczne i duchowe, z którymi po raz pierwszy styka się człowiek w naszej „współczesnej” erze. Ujrzelśmy też wiele innych rodzajów ras, łodzicowce, szkarłupnie, ptaki, złożone umysły i rzadkie symbionty oraz jeszcze rzadsze roślinne istoty. A z każdego rodzaju najwyżej kilka osiągnęło utopię i wzięło udział we wspólnym przedsięwzięciu światów. Reszta odpadła po drodze.

Z naszego odległego punktu widzenia zobaczyliśmy w jednej z wyspiarskich subgalaktyk triumf symbiontów. Tu w końcu zasiano ziarno prawdziwej wspólnoty światów. Obecnie gwiazdy galaktycznej wyspy zaczęły otaczać żywe rzędy pereł, aż cała subgalaktyka pełna była żywych światów. Tymczasem w głównym układzie galaktycznym pojawiło się to straszliwe i zaraźliwe szaleństwo imperiów, któremu wcześniej już przyjrzelśmy się dokładniej. Ale to, co wcześniej wyglądało na wojnę tytanów, w której wielkie światy pędziły poprzez przestrzeń z niewyobrażalnymi prędkościami i nawzajem niszczyły swoje populacje w światobójstwach, teraz stanowiło tylko spazmy paru mikroskopijnych drobnoustrojów otoczonych przez obojętne rzesze gwiazd.

Ujrzelśmy teraz jak gwiazda wybuchła i niszczy swoje planety. Imperia zamordowały coś szlachetniejszego od siebie. Nastąpiło drugie i trzecie morderstwo. I wtedy, pod wpływem subgalaktyki, imperialne szaleństwo ustało i imperium rozpadło się. Wkrótce nasza zmęczona uwaga skupiła się na porywającej budowie utopii w całej galaktyce. Było to dla nas widoczne głównie jako stały wzrost liczby sztucznych planet. Na orbitach kolejnych gwiazd rozkwitały te pełne życia klejnoty, kwiaty brzemienne duchem. Kolejne konstelacje tętniły życiem miriad światów. Każdy świat, zamieszkały przez wyjątkową, rozliczną rasę wrażliwych indywidualnych intelektów zjednoczonych w prawdziwej wspólnotcie, sam stanowił żywy organizm, w którym żył wspólny duch. A każdy układ

wielu gęsto zaludnionych orbit również był taką istotą. Cała galaktyka, pokryta telepatyczną siecią, stała się jedną inteligentną i pełną żaru istotą, wspólnym duchem, „ja” jej niezliczonych, różnorodnych i efemerycznych jednostek.

Cała ta szeroka wspólnota kierowała teraz swój wzrok ku innym galaktykom. Postanowiwszy dalej rozwijać swe życie duchowe w skali kosmicznej, utrzymywała stałą komunikację telepatyczną z pozostałymi. Tymczasem, rozmyślając nad wszelkiego rodzaju dziwnymi praktycznymi ambicjami, zaczęła korzystać z energii swych gwiazd na niewyobrażalną dotąd skalę. Każdy układ słoneczny otaczała nie tylko warstwa wychwytywaczy światła, które skupiały uciekającą energię słoneczną w celu użycia jej przez inteligentne istoty, zaś gwiazdy nie nadające się na słońca zdeintegrowano i pozbawiono cennych zapasów energii subatomowej.

Nagle nasza uwaga skupiła się na wydarzeniu, które nawet z daleka wyraźnie nie pasowało do utopii. Gwiazda otoczona przez planety eksplodowała, niszcząc wszystkie swoje pierścienie światów i ostatecznie zapadając się w siebie. To samo stało się z kolejnymi gwiazdami w różnych regionach galaktyki.

Aby rozwikłać zagadkę tych zaskakujących katastrof ponownie rozproszyliśmy się siłą woli na wiele różnych światów.

XI. GWIAZDY I SZKODNIKI

I. WIELE GALAKTYK

Galaktyczna wspólnota światów starała się udoskonalić komunikację z innymi galaktykami. Najprostszym medium kontaktu była telepatia, ale pożądane było także fizyczne przemierzenie wielkiej przestrzeni między tą galaktyką a następną. To właśnie w ramach starań by wysłać posłańców na takie wyprawy wspólnota światów sprowadziła na siebie epidemię eksplodujących gwiazd.

Zanim opiszę tę serię katastrof muszę powiedzieć coś o warunkach panujących w innych galaktykach, poznanych przez nas dzięki udziałowi w doświadczeniach naszej Drogi Mlecznej.

Eksplozacja telepatyczna dawno temu ujawniła, że przynajmniej w części pozostałych galaktyk istniały obdarzone umysłem światy. A teraz, po długich eksperymentach, światy naszej galaktyki, pracując nad tym celem jako jeden galaktyczny umysł, uzyskiwały znacznie bardziej szczegółową wiedzę o kosmosie jako całości. Okazało się to dość trudne z uwagi na niespodziewaną zaściankowość mentalności światów każdej z galaktyk. Jeśli chodzi o ich fizyczną i biologiczną budowę nie było znacznych różnic. W każdej egzystowała różnorodność ras tych samych podstawowych typów, co w naszej galaktyki. Ale na płaszczyźnie kulturowej tendencje rozwoju galaktycznych społeczności doprowadziły do ważnych rozbieżności mentalnych, często tak głęboko zakorzenionych, że nieswiadomych. Dlatego też z początku rozwiniętym galaktykom bardzo trudno było nawiązać ze sobą kontakt. Kultura naszej galaktyki zdominowana została przez kulturę symbiontów, która rozwinęła się w wyjątkowo szczęśliwej subgalaktyce. Mimo okropieństw ery imperialnej, kultura Drogi Mlecznej była w pewnym sensie dość nijaka, co czyniło trudnym stosunki telepatyczne z galaktykami o bardziej tragicznym losie. Poza tym szczegóły podstawowych koncepcji i wartości akceptowanych przez nasze galaktyczne społeczeństwo w dużej mierze wywodziło się z morskiej kultury, która zdominowała subgalaktykę. Choć populacja „kontynentalnych” światów była w większości humanoidalna, ich rdzenne kultury znajdowały się pod znacznym wpływem mentalności mieszkańców oceanów. A jako że ta oceaniczna struktura mentalna była rzadkością pośród galaktycznych społeczności, nasza galaktyka była nieco odizolowana od większości z nich.

W wyniku długiej i mozolnej pracy naszej społeczności światów udało się dokonać dość kompletnych badań populacji kosmosu. Odkryto, że w owym czasie różne galaktyki znajdowały się na wielu różnych etapach rozwoju umysłowego i fizycznego. Wiele bardzo młodych układów, w których materia mgławicowa wciąż dominowała nad gwiazdami, nie zawierało jeszcze żadnych planet. W innych, choć istniały już pierwsze ziarna życia, nie doszło ono jeszcze nawet do „ludzkiego” poziomu. Niektóre galaktyki, choć fizycznie dojrzałe, były niemal pozbawione układów planetarnych albo zupełnym przypadkiem, albo z uwagi na znacznie odległości między ich gwiazdami. W kilku z milionów galaktyk jeden inteligentny świat rozprzestrzenił swoją rasę i kulturę na całą galaktykę, organizując całość tak, jak zarodek organizuje całą substancję jaja. W tych galaktykach galaktyczna kultura opierała się oczywiście na założeniu, że z tego jednego zalążka zaludniony ma zostać cały kosmos. Gdy w końcu nawiązano kontakt telepatyczny z innymi galaktykami, skutek był z początku oszałamiający. Istniało też trochę galaktyk, w których dwa lub więcej takich zalążków rozwinęło się niezależnie od siebie i w końcu nawiązało kontakt. Czasami skutkiem była symbioza, a czasami niekończąca się walka i ostatecznie wzajemne zniszczenie. Najczęstszym typem galaktycznej społeczności był jednak taki, w którym wiele układów światów rozwinęło się niezależnie, weszło ze sobą w konflikt, eksterminowało się nawzajem, stworzyło wielkie federacje i imperia, co jakiś czas pogrążało się w chaosie społecznym i stopniowo kierowało się ku utopii. Niektóre już osiągnęły ten cel, choć podszyty goryczą. Inne wciąż ku niemu kuśtykały. Jeszcze inne tak wyniszczyły wojny, że zdawało się, że na dobre ugrzęzły. Do takiego rodzaju należałyby nasza galaktyka, gdyby nie pomoc symbiontów.

Do tego opisu sytuacji w galaktyce warto dodać dwie kwestie. Po pierwsze, istniały pewne bardzo zaawansowane społeczności galaktyczne, które telepatycznie obserwowawa-

ly całą historię naszej i innych galaktyk. Po drugie, w pewnej liczbie galaktyk gwiazdy niedawno zaczęły nieoczekiwanie eksplodować i niszczyć krążące wokół nich światy.

2. KATASTROFA W NASZEJ GALAKTYCE

Podczas gdy nasza galaktyczna wspólnota światów udoskonalała swoje telepatyczne zmysły, a jednocześnie ulepszała swoją strukturę społeczną i materialną, nieoczekiwane katastrofy, które zaobserwowaliśmy już z bliska, zmusiły ją do skupienia się na ochronie życia swoich światów.

Pierwszy wypadek nastąpił podczas próby zmiany naturalnego kursu gwiazdy i skierowania jej ku podróży międzygalaktycznej. Telepatyczny kontakt z najbliższą z obcych galaktyk był dość stabilny, ale, jak wspominałem, uznano, że fizyczna wymiana światów będzie wyjątkowo cenna dla wzajemnego zrozumienia i współpracy. Poczyniono więc plany wysłania kilku gwiazd wraz z ich układami planetarnymi poprzez ocean przestrzeni kosmicznej oddzielający te dwie wyspy cywilizacji. Podróż miała oczywiście trwać tysiące razy dłużej niż jakkolwiek do tej pory. W chwili jej ukończenia wiele gwiazd w każdej galaktyce zdążyłoby już zgasnąć i koniec wszelkiego życia w kosmosie byłby już w zasięgu wzroku. Uważano jednak, że przedsięwzięcie połączenia w ten sposób różnych galaktyk w kosmosie usprawiedliwione byłoby zwiększeniem wzajemnego zrozumienia w ostatniej, trudnej fazie kosmicznego życia.

Po wstępnych eksperymentach i wyliczeniach podjęto pierwszą próbę podróży międzygalaktycznej. Jako rezerwuaru energii, zarówno normalnej, jak i subatomowej, użyto pewnej pozbawionej planet gwiazdy. Dzięki sprytnym urządzeniom znacznie wykraczającym poza moje pojęcie to źródło mocy skierowano na wybraną gwiazdę oplecioną planetami w taki sposób, aby wypchnąć ją stopniowo ku obcej galaktyce. Dopilnowanie, aby jej planety pozostały na swoich orbitach podczas tej operacji i podczas dalszego przyspieszania ich słońca wymagało znacznej precyzji, ale udało się tego dokonać bez zniszczenia kilkunastu światów. Niestety, gdy tylko gwiazda obrała odpowiedni kurs i zaczęła nabierać prędkości, eksplodowała. Kula żaru rozszerzająca się od słońca z niesamowitą prędkością pochłonęła i zniszczyła wszystkie planety. Następnie gwiazda znów się uspokoiła.

W historii galaktyki tego rodzaju rozbłyski planet nie były czymś rzadkim. Wiadomo było, że wynikają z eksplozji energii subatomowej w zewnętrznych warstwach gwiazdy. Czasami powodem tego było uderzenie małego wędrownego ciała, często nie większego od asteroidy; czasami czynniki w ewolucji fizycznej samej gwiazdy. W każdym z tych przypadków galaktyczna społeczność światów była w stanie przewidzieć takie wydarzenie ze znaczną dokładnością i podjąć kroki albo w celu przekierowania obcego ciała, albo przeniesienia zagrożonych światów. Ta katastrofa była jednak całkowicie nieprzewidziana. Nie udało się ustalić żadnej jej przyczyny. Naruszała znane dotąd prawa fizyki.

Podczas gdy galaktyczna społeczność próbowała zrozumieć co się stało, wybuchła kolejna gwiazda. Było to słońce jednego z wiodących układów światów. Niedawno poczyniono próby zwiększenia poziomu promieniowania gwiazdy i uważano, że katastrofa musiała być pochodną tych eksperymentów. Po jakimś czasie zaczęły wybuchać kolejne gwiazdy, niszcząc wszystkie swoje światy. W kilku przypadkach nastąpiło to jakiś czas po podjęciu starań, by zmienić kurs gwiazdy, względnie wykorzystać jej energię.

Problem narastał. Zniszczeniu ulegał układ po układzie. Porzucono wszelkie próby modyfikacji gwiazd, ale epidemia „nowych” trwała, a nawet przybrała na sile. W każdym przypadku eksplodująca gwiazda była słońcem otoczonym planetami.

Normalna faza „nowej”, eksplozja wywołana nie przez kolizję, ale przez wewnętrzne siły, występowała wcześniej jedynie w młodości gwiazdy lub na etapie jej wczesnej dojrzałości, rzadko, jeśli w ogóle, więcej niż raz w jej życiu. W tym późnym okresie galaktyki większość gwiazd przeszła już przez ten naturalny etap. Możliwe było więc przenoszenie całych układów światów z dala od niebezpiecznych młodych gwiazd i umieszczanie ich na orbitach starszych słońc. Kilka razy dokonano takiej operacji, przy ogromnym wydatku energii. Sporządzono heroiczne plany, by przekształcić całą społeczność galaktyczną dzięki migracjom ku bezpiecznym gwiazdom i eutanazji populacji światów, w przypadku których nie byłoby to możliwe.

Choć rozpoczęto wykonywanie tego planu, zniweczyła go nowa seria katastrof. Gwiazdy, które wcześniej już wybuchały, uzyskały zdolność do ponownej eksplozji, gdy tylko otaczały je planety. Poza tym zdarzały się też innego rodzaju wypadki. Bardzo stare gwiazdy, które dawno przeszły już etap, na którym możliwe były wybuchy, zaczęły zachowywać się w niezwykle sposób. Z fotosfery wydobywała się smuga płomiennej substancji, która w miarę obrotów gwiazdy pędziła na zewnątrz jak wir. Czasami te ogniste macki spopielaly powierzchnię każdej planety na orbicie, zabijając wszelkie życie. Czasami, jeśli ich obrót nie pokrywał się z płaszczyzną ekliptyki planet, niektórym udawało się uciec. Ale w wielu przypadkach, gdy zniszczenie początkowo nie było kompletne, macka stopniowo zbliżała się do planet i niszczyła pozostałe przy życiu światy.

Wkrótce jasne się stało, że jeśli dwa rodzaje aktywności gwiazdnej nie zostaną powstrzymane, dojdzie do upadku cywilizacji, a być może do eksterminacji życia w galaktyce. Wiedza astronomiczna w niczym nie pomagała. Teoria ewolucji gwiazdnej zdawała się doskonała, ale nie było w niej miejsca na te szczególne wydarzenia.

Wcześniej wspólnota światów powzięła prace nad sztucznym wywołaniem eksplozji wszystkich gwiazd, które jeszcze nie przeszły spontanicznie przez fazę „nowej”, z nadzieją, że staną się dzięki temu względnie bezpieczne jako słońca. Teraz jednak wszystkie rodzaje gwiazd stały się równie niebezpieczne i prace te porzucono. Zamiast tego pracowano teraz nad pozyskiwaniem niezbędnego życia promieniowania z gwiazd, które przestały już świecić. Kontrolowana dezintegracja ich atomów zmienić je miała w satysfakcjonujące słońca, przynajmniej na jakiś czas. Niestety epidemia ognistych smug rozprzestrzeniła się coraz szybciej. Układ po układzie, żywe światy przestawały istnieć. W końcu zdesperowane światy odkryły metodę przekierowywania płomiennych macek z dala od płaszczyzny ekliptyki. Proces ten nie był jednak niezawodny. Co więcej, nawet jeśli się udawał, słońce prędzej czy później wypuszczało kolejną wić.

Stan galaktyki gwałtownie się zmieniał. Do tej pory do dyspozycji było nieprzeliczone bogactwo energii gwiazdnej, ale obecnie drastycznie jej ubywało. Choć pojedyncza eksplozja nie naruszała poważnie kondycji gwiazdy, powtórne były coraz bardziej wyczerpujące. Wiele młodych gwiazd ledwie świeciło. Znaczna większość gwiazdnej populacji była już w podeszłym wieku i stanowiła zaledwie rozżarzone węgielki. Myślących światów również ubywało, jako że mimo wszystkich rozmyślnych sposobów obrony straty wciąż były znaczne. Ta redukcja populacji światów była tym groźniejsza, że galaktyczna społeczność pozostawała wysoce zorganizowana. W pewnym stopniu przypominała bardziej mózg. Katastrofa niemal całkiem wyniszczyła pewne wyższe „ośrodki mózgowie” i znacznie pogorszyła stan pozostałych. Upośledziła także relacje telepatyczne między układami światów, zmuszając każdy układ do skupienia się na własnym pilnym problemie fizycznej obrony przed atakami własnego słońca. Wspólny umysł społeczności światów przestał funkcjonować.

Nastawienie emocjonalne światów także uległo zmianie. Zapał dla stworzenia kosmicznej utopii znikł, a wraz z nim zapał do zrealizowania potencjału ducha poprzez spełnienie się w wiedzy i kreatywności. Teraz, gdy eksterminacja we względnie krótkim czasie zdawała się nieuchronna, coraz częściej pojawiała się woła, by przyjąć ten los z religijnym spokojem. Chęć realizacji odległego kosmicznego celu, dawniej główna motywacja wszystkich przebudzonych światów, zdawała się teraz ekstrawagancka, niemal absurdalna. Jakże małe stworzenia, przebudzone światy, miałyby sięgnąć po boską wiedzę całego kosmosu? Zamiast tego musiały odegrać własną rolę w dramacie i docenić swój tragiczny koniec z niemal boskim dystansem i rozkoszą.

Ten nastrój radosnej rezygnacji, odpowiedni dla nieuniknionej katastrofy, wkrótce uległ zmianie pod wpływem nowego odkrycia. W pewnych kręgach od dawna podejrzewano, że nieregularne zachowania gwiazd nie są jedynie automatyczne, ale celowe i że gwiazdy są żywymi istotami starającymi się pozbyć się planet. Możliwość ta z początku zdawała się zbyt fantastyczna, ale z czasem oczywiste stało się, że zniszczenie układu planetarnego gwiazd było wydarzeniem, które determinowało czas trwania nieregularnych działań. Oczywiście możliwe było, że w jakiś niewyjaśniony, lecz całkowicie mechaniczny

sposób obecność wielu planetarnych obręczy wytwarzała eksplozję czy też ognistą wic. Astrofizyka nie była jednak w stanie zasugerować żadnego mechanizmu, który mógłby mieć taki skutek.

Rozpoczęto więc badania w celu sprawdzenia teorii gwiazdnej świadomości i, jeśli okazałoby się to możliwe, nawiązania komunikacji z myślącymi gwiazdami. Z początku przedsięwzięcie to nie przynosiło rezultatów. Światy nie znały odpowiedniego podejścia do umysłów, które, jeśli w ogóle istniały, musiały znacznie różnić się mentalnością od nich. Prawdopodobnie zdawało się, że różnią się od nich zbyt drastycznie, by nawiązanie kontaktu było możliwe. Choć światy korzystały z siły swojej wyobraźni, jak mogły najlepiej, choć eksplorowały, że tak powiem, wszelkie podziemne przejścia i galerię własnej mentalności, zaglądając wszędzie w poszukiwaniu odpowiedzi, nie otrzymały jej. Teoria gwiazdnej celowości zaczynała wydawać się niewiarygodna. Światy znów zaczęły szukać pociechy, a nawet radości w akceptacji swojego losu.

Mimo wszystko jednak kilka układów światów, które wyspecjalizowały się w technikach psychologicznych kontynuowało badania z przekonaniem, że jeśli tylko byłyby w stanie skomunikować się z gwiazdami, udałoby się dojść do porozumienia i zgody między dwoma wielkimi rodzajami umysłów w galaktyce.

W końcu doszło do pomyślnego kontaktu z gwiazdnymi umysłami. Nie stało się tak dzięki wysiłkom samych tylko światoumysłów naszej galaktyki, ale częściowo dzięki mediacji innej galaktyki, w której światy i gwiazdy już zaczęły postrzegać się nawzajem.

Nawet dla umysłów w pełni przebudzonych światów gwiazdna mentalność była zbyt obca, by w ogóle ją sobie wyobrazić. Dla mnie, małego człowieka, wszystko, co w niej szczególne, jest teraz niezrozumiałe. Mimo wszystko jednak jeden z prostszych jej aspektów muszę teraz spróbować przedstawić najlepiej, jak potrafię, jako że jest kluczowy dla mojej opowieści. Myślące światy nawiązały pierwszy kontakt z gwiazdami na wyższych płaszczynach gwiazdnej egzystencji, ale nie będę śledził ich odkryć w chronologicznej kolejności. Zamiast tego zacznę od aspektów gwiazdnej natury, które udało się choć częściowo zrozumieć dopiero po nawiązaniu w miarę stabilnego kontaktu mentalnego. To w kategoriach gwiazdnej biologii i psychologii czytelnik może najłatwiej wyobrazić sobie życie umysłowe gwiazd.

3. GWIAZDY

Gwiazdy uznać można za żywe organizmy, ale dość szczególnie pod fizjologicznym i psychologicznym względem. W zewnętrznych i środkowych warstwach dojrzałej gwiazdy prądy i rozżarzone gazy najwyraźniej układają się w „tkanki”, które żyją i utrzymują gwiazdową świadomość, przechwytyując część ogromnej powodzi energii płynącej ze skupionego i wściekle aktywnego rdzenia gwiazdy. Najbardziej wewnętrzna z żywych warstw musi stanowić rodzaj układu pokarmowego, który przekształca pierwotne promieniowanie w formy potrzebne dla utrzymania gwiazdy przy życiu. Poza nią mieści się pewnego rodzaju warstwa koordynująca, którą można nazwać mózgiem gwiazdy. Najbardziej zewnętrzne warstwy, w tym korona, odpowiadają na wyjątkowo słabe bodźce otoczenia kosmicznego gwiazdy, na światło z sąsiednich gwiazd, promienie kosmiczne, meteory, siły pływowe wywoływane przez grawitacyjny wpływ planet i innych gwiazd. Odczucia te odbierane są przez dziwną tkankę gazowych organów czucia, które rozróżniają ich rodzaje i kierunki i przesyłają informacje do odpowiedniej warstwy „mózgu”.

Odczucia gwiazdy, choć tak dla nas obce, okazały się ostatecznie dość czytelne. Nie było dla nas bardzo trudne wniknąć telepatycznie w gwiazdową percepcję łagodnego lechtania, głaskania, szczypania i iskrzenia dochodzącego do gwiazdy z galaktycznego otoczenia. Co dziwne, choć samo ciało gwiazdy znajdowało się w stanie ekstremalnej jasności, to płynące na zewnątrz światło nie miało wpływu na organy zmysłów. Widoczne było tylko blade światło pozostałych gwiazd. To dawało jej percepcję otaczającego nieba migoczących konstelacji, na tle nie tylko czerni, ale także niewyobrażalnych dla ludzi kolorów kosmicznych promieni. Same gwiazdy postrzegane były w barwach zależnych od rodzaju i wieku.

Ale choć percepcja gwiazd była dla nas względnie czytelna, inne aspekty gwiazdowego życia pozostawały początkowo niezrozumiałe. Musieliśmy przyzwyczać się do zupeł-

Gwiazda

nie nowego spojrzenia na fizyczne zdarzenia, jako że zwyczajna, zależna od woli aktywność ruchowa gwiazdy wydaje się nie różnić od normalnych ruchów fizycznych gwiazd badanych przez naszą naukę względem innych gwiazd i całej galaktyki. Należy myśleć o gwieździe jako o niewyraźnie świadomej wpływu grawitacyjnego całej galaktyki i bardziej świadomej przyciągania bliskich sąsiadów, choć oczywiście ich wpływ był zwykle zbyt słaby, by wykryły go ludzkie instrumenty. Na te wpływy gwiazda odpowiada świadomym ruchem, który planetarni astronomowie uznają za czysto mechaniczny; sama gwiazda jednak bez wątpienia odczuwa ten ruch jako ekspresję swojej wolnej woli. Taka przynajmniej była niemal niewiarygodna konkluzja badań wykonanych przez galaktyczną społeczność światów.

Jak się okazuje, normalne doznania gwiazdy wydają się składać z percepcji kosmicznego środowiska oraz ciągłych świadomych zmian w jej własnym ciele i jej pozycji względem innych gwiazd. Ta zmiana pozycji to oczywiście obroty wokół własnej osi i krążenie wokół galaktyki. Życie ruchowe gwiazdy można uznać niemal za życie spędzone na tańcu czy łyżwiarstwie figurowym, wykonywanym z perfekcyjną precyzją zgodnie z ideą, która pojawia się w jej świadomości z głębin gwiazdowej natury i staje się jaśniejsza w miarę dojrzewania gwiazdy.

Idei tej człowiek nie potrafi sobie wyobrazić poza jej praktyczną manifestacją dobrze znanej „zasady najmniejszego działania” w fizyce, ruchu po torze, który w danych warunkach grawitacyjnych i innych jest najmniej ekstrawagancki. Sama gwiazda, dzięki chłonięciu pola elektromagnetycznego kosmosu, najwyraźniej pragnie tego idealnego kursu i realizuje go z całą uwagą i delikatnością, podobnie jak kierowca poruszający się po krętej drodze czy baletnica wykonująca skomplikowane ruchy z jak najmniejszym wysiłkiem. Niemal na pewno całe zachowanie fizyczne gwiazdy doświadczane jest normalnie jako błoga, ekstatyczna i zawsze pomyślna pogoń za pięknem formy. Myślące światy były w stanie odkryć to dzięki własnemu doświadczeniu z formalną estetyką i właśnie dzięki temu doświadczeniu udało im się nawiązać kontakt z gwiazdowymi umysłami. Ale sama percepcja estetycznej (czy też religijnej?) prawidłowości tajemniczego kanonu, którą gwiazdy tak ochoczo przyjmowały, pozostawała daleko poza zasięgiem światoumysłów. Musiały więc zdać się na zaufanie w tym względzie. Najwyraźniej ten estetyczny kanon w jakiś sposób symbolizował pewną duchową intuicję, która pozostawała ukryta przed światami.

Życie pojedynczej gwiazdy to nie tylko życie fizycznego ruchu, ale także niewątpliwie w jakimś sensie życie kulturowe i duchowe. W jakiś sposób każda gwiazda jest świadoma pozostałych jako rozumnych istot. Owo wzajemne postrzeganie jest prawdopodobnie intuicyjne i telepatyczne, choć zapewne wspomagają je także wnioski z obserwacji zachowania innych gwiazd. Z tych psychologicznych relacji między gwiazdami wywodził się cały świat doznań społecznych tak obcych myślącym światom, że nie mogą powiedzieć o nich niemal niczego.

Zapewne istnieje jakiś powód, by uważać, że swobodne zachowanie poszczególnych gwiazd wynika nie tylko z surowych kanonów tańca, ale także ze społecznej woli współpracy z innymi. Relacje między gwiazdami na pewno są doskonale społeczne. Przypominały mi relacje między muzykami w orkiestrze, ale w orkiestrze składającej się z osób w pełni skupionych na wspólnym celu. Być może, ale nie na pewno, każda gwiazda, wykonując swój szczególny motyw, kieruje się nie tylko czystą motywacją estetyczną czy religijną, ale także wolą umożliwienia pełnego samowyróżnienia się swoim partnerom. Jeśli tak, to życie każdej gwiazdy doświadczane jest nie tylko jako doskonałe wykonanie formalnego piękna, ale także doskonały wyraz miłości. Niemądre byłoby jednak przypisywanie gwiazdom czułości i przyjaźni w ludzkim sensie. Można bezpiecznie powiedzieć jedynie, że większym fałszem było odmawianie im wzajemnych uczuć niż stwierdzenie, że zdolne są do miłości. Badania telepatyczne sugerują, że doświadczenia gwiazd miały zupełnie inną strukturę niż odczucia myślących światów. Nawet przypisywanie im myśli czy pragnień jest zapewne wulgarnie antropomorficzne, ale niemożliwe jest mówienie o ich doznaniach innymi słowami.

Gwiazda

Życie umysłowe gwiazdy to niemal na pewno progresja od prostej, dziecięcej mentalności do dojrzałej świadomości. Wszystkie gwiazdy, młode i stare, są „anielskie” w tym sensie, że wszystkie swobodnie i radośnie wypełniają „dobrą wolę”, wzór prawidłowych, na tyle, na ile im wiadomo, działań. Jednakże młode gwiazdy, choć doskonale wykonują swoją część galaktycznego tańca, w pewnym stopniu zdawały się duchowo naiwne i dziecinne w porównaniu z bardziej doświadczoną starszyzną. Dlatego też, choć wśród gwiazd w zasadzie nie istnieje pojęcie grzechu, żaden celowy wybór działań, o którym wiadomo, że jest niesłuszny dla jakiegoś nieistotnego celu, istnieje ignorancja i wskutek tego odchylenie od idealnego wzorca znanego dojrzałszym gwiazdom. Takie błędy młodych są jednak akceptowane przez bardziej przebudzoną klasę gwiazd jako pożądany czynnik w tańcu galaktyki. Z punktu widzenia nauk przyrodniczych znanych myślących światów zachowanie młodych gwiazd to oczywiście zawsze dokładna ekspresja ich natury, podobnie jak zachowanie starszych gwiazd. Co zaskakujące, fizyczna natura gwiazdy na każdym etapie jej rozwoju jest po części ekspresją telepatycznego wpływu pozostałych gwiazd. Faktu tego nie może wykryć czysta fizyka żadnej epoki. Naukowcy bezwiednie wyprowadzają prawa fizyki dotyczące ewolucji gwiazd z danych, które same nie są tylko wyrazem normalnych, fizycznych oddziaływań, ale także niespodziewanych oddziaływań fizycznych gwiazd.

We wczesnych erach kosmosu pierwsze „pokolenie” gwiazd musiało bez niczyjej pomocy odnaleźć swoją drogę od dzieciństwa ku dojrzałości, ale późniejsze „generacje” w jakimś stopniu kierowały się wskazówkami starszych, aby mogły szybciej i skrupulatniej przejść do pełni świadomości umysłowej samych siebie jako uduchowionych istot i duchowego wszechświata, który zamieszkiwały.

Niemal na pewno gwiazdy, które najpóźniej skupiły się z pierwotnej mgławicy, czyniły (czy też będą czynić) szybsze postępy niż ich starsze siostry. Pośród gwiazd uważano, że w swoim czasie młode gwiazdy, gdy osiągną dojrzałość, znacznie przewyższą starsze pod względem duchowej wnikliwości.

Warto wspomnieć, że dwa główne pragnienia wszystkich gwiazd to chęć doskonałego wykonywania swej roli we wspólnym tańcu oraz chęć dążenia do osiągnięcia pełnego zrozumienia natury kosmosu. To ostatnie stanowiło czynnik gwiazdowej mentalności najbardziej zrozumiały dla myślących światów.

Punkt kulminacyjny życia gwiazdy ma miejsce, gdy przejdzie przez długi okres młodości, podczas którego stanowi to, co ludzie astronomowie zwą „czerwonym olbrzymem”. Pod koniec tego etapu gwałtownie kurczy się do rozmiarów zbliżonych do naszego Słońca. Temu fizycznemu kataklizmowi zdają się towarzyszyć znaczne zmiany umysłowe. Dlatego też, choć gwiazda odgrywa mniej spektakularną rolę w tanecznych rytmach galaktyki, staje się być może bardziej świadoma. Mniej interesuje ją rytuał gwiazdowego tańca, a bardziej jego domniemane znaczenie duchowe. Po tej długiej fazie fizycznej dojrzałości następuje kolejny kryzys. Gwiazda kurczy się do niebywale gęstego stanu, który nasi astronomowie nazywają „białym karłem”¹². Jej stan umysłu podczas tego kryzysu okazał się niemal niedostępny badaniom myślących światów. Zdawał się być kryzysem rozpacz i przekierowania nadziei. Od tej pory gwiazdowy umysł przedstawia w coraz większym stopniu zdumiewające, a nawet przerażające, negatywne nastawienie, lodowatą, niemal cyniczną wyniosłość, która, jak podejrzewaliśmy, stanowiła tylko emanację jakiegoś straszliwego zachwyty. Jakkolwiek by było, stara gwiazda wciąż pieczołowicie odgrywała swoją rolę w tańcu, ale jej nastrój ulegał głębokiej zmianie. Estetyczny ferment młodości, spokojna, szczerą wola dojrzałości, całe dojrzałe oddanie aktywnej pogoni za mądrością — to wszystko ustawało. Być może od tej pory gwiazda jest zadowolona ze swoich osiągnięć i po prostu cieszy się otaczającym ją wszechświatem z dystansem i wnikliwością, jakie osiągnęła. Być może. Ale myślące światy nigdy nie były w stanie

¹²*biały karzeł* — niewielki obiekt astronomiczny (rozmiarem zbliżony do Ziemi) złożony ze zdegenerowanej materii, emitujący promieniowanie widzialne o bardzo jasnej barwie; biały karzeł powstaje po ustaniu reakcji jądrowych w gwiazdzie o małej lub średniej masie: gwiazdy o masie od 0,08 do 0,4 masy Słońca nie osiągają w trakcie swojej ewolucji warunków wystarczających do zapłonu helu w reakcjach syntezy termojądrowej, więc powstają z nich białe karły helowe, gwiazdy o masie od 0,4 do ok. 4 mas Słońca spalają hel, dając białe karły węglowe lub węglowo-tlenowe, gwiazdy o masie równej 4–8 mas Słońca dają białe karły z domieszką tlenu, neonu i magnezu. [przypis edytorski]

ustalić, czy stary, gwiazdowy umysł umykał ich zrozumieniu jedynie dzięki temu, że tak przewyższał je poziomem rozwoju, czy przez jakieś tajemnicze zaburzenie ducha.

Gwiazda pozostaje w tym stanie starości przez dłuższy czas, stopniowo tracąc energię i wycofując się mentalnie, aż zapada w nieprzenikniony trans starczego otepienia. W końcu jej światło wygasa i jej tkanki rozpadają się. Nadal krąży po kosmosie, ale robi to nieświadomie, w sposób odrażający dla wciąż rozumnych koleżanek.

Tak z grubsza wygląda właśnie normalne życie przeciętnej gwiazdy. Istnieje jednak wiele ich odmian, jako że różnią się początkowymi rozmiarami i składem, a także zapewne psychologicznym wpływem na sąsiadów. Jednym z najczęstszych z ekstrawaganckich typów jest gwiazda podwójna, dwa potężne, ogniste globy tańczące wspólnego kosmicznego walca, czasami niemal się stykające. Jak wszystkie relacje międzygwiazdne, partnerstwa te są doskonałe, anielskie. Nie można jednak być pewnym, czy obie gwiazdy doświadczają czegoś, co można by nazwać uczuciem osobistej miłości, czy też postrzegają siebie nawzajem jedynie jako współpracowników wykonujących wspólne zadanie. Badania niewątpliwie sugerowały, że istoty te rzeczywiście poruszały się po swoich krętych torach w stanie pewnego rodzaju wzajemnej radości z bliskiej współpracy nad galaktycznym planem. Ale miłość? Nie da się tego stwierdzić. Z czasem, przy utracie pędu, gwiazdy rzeczywiście stykają się ze sobą. Wtedy, pośród radości i bólu płomieni, scalają się. Po okresie nieświadomości wielka nowa gwiazda wytwarza nowe żywe tkanki i zajmuje swoje miejsce pośród anielskiego orszaku.

Dziwaczne cefeidy¹³ okazały się najbardziej konsternującymi ze wszystkich rodzajów gwiazd. Zdaje się, że te i inne gwiazdy zmienne o znacznie dłuższym cyklu rozbłysków oscylują między ferworem a wyciszeniem, w harmonii z fizycznym rytmem. Więcej nie sposób jednak powiedzieć.

Pewne wydarzenie, które dotyka jedynie znikomą liczbę gwiazd podczas ich tanecznego żywota, ma najwyraźniej wielką wagę psychologiczną. Jest to zbliżenie się do siebie dwóch lub może trzech gwiazd na tyle, by mogły wystrzelić do siebie nawzajem ogniste macki. W czasie tego „pocałunku”, przed dezintegracją płomienia i narodzinami planet, każda z gwiazd zapewne doświadcza silnej, ale nieczytelnej dla ludzi fizycznej ekstazy. Najwyraźniej gwiazdy, które przeżyły to doświadczenie uzyskują znaczny poziom zrozumienia dla jedności ciała i ducha. „Dziewicze” gwiazdy, choć niepobłogosławione w ten sposób, wydają się nie mieć ochoty na naruszenie świętych kanonów tańca, aby znaleźć sposób na tego rodzaju spotkanie. Każda z nich jest anielsko zadowolona z odgrywania przydzielonej jej roli i obserwowania ekstazy tych, którym sprzyjał los.

Opisanie mentalności gwiazd to oczywiście opisywanie niepojmowalnego za pomocą zrozumiałych, ale zafałszowujących rzeczywistość ludzkich metafor. Tendencja ta jest szczególnie poważna w opisach dramatycznych relacji między gwiazdami a myślącymi światami, jako że pod wpływem tych relacji gwiazdy zdały się po raz pierwszy doświadczyć emocji podobnych ludzkim. Póki gwiazdna społeczność była odporna na wpływ myślących światów, każda z gwiazd postępowała z idealną rzetelnością i czuła doskonałą błogość w perfekcyjnej ekspresji swojej natury i wspólnego ducha. Nawet starość i śmierć akceptowano ze spokojem, jako że postrzegano je jako nieodłączną część egzystencji i każda gwiazda pożywała nie nieśmiertelności, czy to dla siebie, czy dla zbiorowości, ale doskonałego spełnienia gwiazdowej natury. Ale gdy w końcu myślące światy, planety, zaczęły wpływać w istotny sposób na gwiazdną energię i ruchy gwiazd, nowa, straszliwa i niepojęta siła wkroczyła nagle w doświadczenie gwiazd. Dotknięte nią jednostki odczuwały wyniszczający konflikt myśli. Z jakiejś niewykrywalnej dla nich przyczyny nie tylko błądziły, ale chciały błądzić. Zaczęły grzeszyć. Nawet gdy wciąż wielbiły dobro, wybierały zło.

¹³*cefeidy* — gwiazdy pulsujące o zmiennej jasności, potrafiące być nawet dziesięć tysięcy razy jaśniejsze od Słońca. [przypis edytorski]

Powiedziałem wcześniej, że problem ten był bezprecedensowy, ale nie jest to, ściśle biorąc, prawda. Coś nieróżniącego się całkowicie od tej publicznej hańby zdawało się wydarzać w prywatnych odczuciach niemal każdej gwiazdy. Ale każda cierpiąca na tę przypadłość jednostka skutecznie ukrywała swój wstyd przed pozostałymi, albo aż stał się z czasem znośny, albo aż jego źródło zostało usunięte. Bardzo zaskoczyło nas, że istoty, których natura była pod tak wieloma względami zupełnie obca i niezrozumiała, w tej jednej kwestii były zdumiewająco ludzkie.

W zewnętrznych warstwach młodych gwiazd życie niemal zawsze pojawia się nie tylko w zwyczajny sposób, ale także w formie pasożytów, drobnych, niezależnych, ognistych organizmów, często nie większych niż chmura w ziemskim powietrzu, ale czasami tak wielkich jak sama Ziemia. Te „salamandry” albo pożywiały się energią gwiazdy w ten sam sposób, jak organiczne tkanki jej samej, albo po prostu polowały na te tkanki. Tu, podobnie jak gdzie indziej, działały prawa ewolucji biologicznej i z czasem mogły pojawiać się rasy inteligentnych, płomiennych istot. Nawet gdy życie salamander nie docierało do tego poziomu, jego wpływ na organizm gwiazdy mógł stać się oczywisty dla samej gwiazdy jako choroba skóry i organów czucia, a nawet organów wewnętrznych. Doświadcza wtedy emocji podobnych nieco do ludzkiego strachu i wstydu i z niepokojem strzeże tej tajemnicy przed telepatycznym zasięgiem pobratymców.

Rasie salamander nie udało się nigdy zdobyć władzy nad swym ognistym światem. Wiele z nich prędzej czy później pada ofiarą jakiejś naturalnej katastrofy, bratobójczych walk lub samooczyszczających czynności potężnego gospodarza. Wiele innych przetrwało, ale w dość niegroźnym stanie, wywołując jedynie lekką irytację swoich gwiazd i cień nieszczeroci w ich wzajemnych kontaktach.

W publicznej kulturze gwiazd pasożytujące na nich salamandry zupełnie ignorowano. Każda gwiazda uważała, że tylko ona cierpi na tę przypadłość i jest jedynym grzesznikiem w galaktyce. Szkodniki miały jeden pośredni wpływ na gwiazdowe myśli. Dzięki nim pojawiła się idea czystości. Każda gwiazda tym bardziej ceniła perfekcję gwiazdowej społeczności z uwagi na własną skrywaną nieczystość.

Gdy myślące planety zaczęły poważnie ingerować w energię gwiazd i ich orbity, skutkiem nie był prywatny wstyd, ale publiczny skandal. Dla wszystkich obserwatorów oczywiste było, że winowajca pogwałcił kanony tańca. Pierwsze aberracje spotkały się ze zdumieniem i przerażeniem. Pośród rzeszy gwiazd szeptano, że jeśli skutkiem tak cenionych kontaktów międzygwiazdowych, w wyniku których powstawały naturalne planety, była ostatecznie ta haniebna nieregularność, to być może samo pierwotne doświadczenie było grzeszne. Błądzące gwiazdy protestowały, twierdząc, że nie są grzesznikami, ale ofiarami jakiegoś nieznanego wpływu ze strony krążących wokół nich ziaren. Ale po cichu same w to wątpiły. Czyżby dawno temu, w ekstatycznym wzajemnym kontakcie, rzeczywiście naruszyły kanon tańca? Podejrzały też, że jeśli chodzi o nieregularności, które powodowały teraz ten publiczny skandal, przy większej sile woli byłyby w stanie się powstrzymać i utrzymać prawidłowy kurs mimo wpływających na nie szkodników.

Tymczasem moc myślących planet rosła. Śmiało sterowały słońcami tak, by jak najlepiej służyły celom swoich pasożytów. Dla gwiazdowej populacji oczywiście te błądzące gwiazdy wydawały się być niebezpiecznymi szaleńcami. Kryzys nadszedł, jak już wspomniałem, gdy światy wysłały pierwszego posłańca ku sąsiedniej galaktyce. Pędząca gwiazda, przerażona własnym maniackalnym zachowaniem, próbowała bronić się jedynym znanym sobie sposobem. Wybuchła do stanu „nowej” i skutecznie zniszczyła swoje planety. Z punktu widzenia gwiazdowej ortodoksji był to śmiertelny grzech, jako że stanowiło to bluźnierczą interwencję w boski porządek życia gwiazdy. Działanie to było jednak skuteczne i wkrótce powtórzyły to inne zdesperowane gwiazdy.

Następnie nastąpiła przerażająca era, którą opisałem już z punktu widzenia społeczności światów. Z perspektywy gwiazd nie była wcale lepsza, jako że warunki dla gwiazdowej społeczności stały się wkrótce rozpaczliwe. Zniknęła perfekcja i piękno dawnych dni. „Miasto Boga” zdegenerowało się do stanu pełnego nienawiści, wzajemnych oskarżeń i rozpacz. Rzesze młodszych gwiazd stały się przedwczesnymi, zgorzkniałymi karłami,

podczas gdy starszyzna popadła w starczą demencję. Taneczny układ stał się chaotyczny. Pozostała dawna chęć trzymania się kanonów tańca, ale stały się one teraz dla nich niejasne. Życie duchowe musiało ustąpić potrzebie natychmiastowego działania. Pasja dla postępu, jeśli chodzi o zgłębianie natury kosmosu, także pozostała, ale gwiazdy miały w nią coraz słabszy wgląd. Co więcej, dawna naiwna pewność siebie, typowa dla młodych i dojrzałych gwiazd, pewność, że kosmos jest perfekcyjny, a stojąca za nim potęga sprawiedliwa, ustąpiła miejsca pustej rozpacz.

4. GALAKTYCZNA SYMBIOZA

Taki był stan rzeczy, gdy myślące światy po raz pierwszy spróbowały nawiązać kontakt z myślącymi gwiazdami. Nie będę opowiadać o wszystkich etapach, dzięki którym wstępny kontakt rozwinął się w niezdarną i chwiejną komunikację. Z czasem gwiazdy musiały zacząć zdawać sobie sprawę, że zmagają się nie z siłami fizyki czy jakimś rodzajem demonów, ale z istotami, których natura, choć głęboko obca, była w gruncie rzeczy podobna. Nasze badania telepatyczne wykryły niewyraźne zdumienie, które rozprzestrzeniło się po gwiazdowej populacji. Ostatecznie pojawiły się dwie opinie, dwa podejścia, dwie partie.

Jedna z tych partii była przekonana, że roszczenia myślących planet muszą być fałszywe, że istoty, których historia pełna była grzechu, walk i rzezi, muszą być w istocie diabelskie i że negocjacje z nimi będą miały katastrofalne skutki. Partia ta, początkowo mająca większość, uważała, że należy kontynuować wojnę aż do zniszczenia wszystkich planet.

Mniejszość apelowała o pokój. Partia ta uważała, że planety na swój sposób dążą do tego samego celu, co gwiazdy. Zasugerowano nawet, że te drobne istotki, z bardziej zróżnicowanymi doświadczeniami i znajomością zła, mogą dysponować pewnym rodzajem zrozumienia, którego brakowało gwiazdom, tym upadłym aniołom. Czy te dwa rodzaje istot nie mogłyby razem stworzyć wspaniałego symbiotycznego społeczeństwa i osiągnąć razem tego, co najdroższe dla obu, czyli pełnego przebudzenia ducha?

Zanim większość posłuchała tej rady, minęło dużo czasu. Zniszczenia trwały. Cenna energia galaktyki szła na marne. Zagładzie ulegał układ po układzie. Kolejne gwiazdy ogarniało wyczerpanie i ośpienie.

Tymczasem wspólnota światów utrzymywała pokojowe nastawienie. Nie czerpano już energii gwiazd. Nie zmieniano ich orbit. Nie doprowadzano do sztucznych wybuchów.

Opinia gwiazd zaczęła się zmieniać. Ludobójcza krucjata uspokoiła się i ostatecznie ją porzucono. Nastąpił wtedy okres „izolacjonizmu”, w którym gwiazdy, starając się naprawić swoje rozbite społeczeństwo, zostawiły dawnych wrogów w spokoju. Stopniowo rozpoczęły się niezdarne próby nawiązania przyjaznych kontaktów między planetami i ich słońcami. Dwa rodzaje istot, choć tak sobie obce, że nie były w stanie wzajemnie zrozumieć swoich dziwactw, posiadały zbyt głęboką świadomość, by zadowolić się zwykłym plemiennym myśleniem. Postanowiły przezwyciężyć wszystkie przeszkody i stworzyć jakiś rodzaj wspólnoty. Wkrótce każda gwiazda pragnęła być otoczona przez sztuczne planety i wejść w „sympsychniczne” partnerstwo z krążącymi wokół niej towarzyszymi, bowiem jasne stało się, że „szkodniki” miały im wiele do zaoferowania. Doświadczenia dwóch rzędów istot w wielu kwestiach uzupełniały się. Gwiazdy w swoim złotym wieku wciąż utrzymywały pewną anielską mądrość. Planety były zaś doskonale w analizie, w tym, co mikroskopijne, w dobroczynności, którą wykształciły dzięki wiedzy o swych słabych i cierpiących przodkach. Gwiazdy konsternował też fakt, że ich drobni towarzysze akceptowali nie tylko z rezygnacją, ale z radością kosmos, który wyraźnie pełen był zła.

Z czasem symbiotyczna wspólnota gwiazd i układów planetarnych ogarnęła całą galaktykę. Ale początkowo była to okaleczona wspólnota i na zawsze już zubożona galaktyka. Tylko garstka z jej biliona gwiazd wciąż pozostawała w pełni sił. Każde możliwe słońce otoczone było teraz planetami. Wiele martwych gwiazd poddano stymulacji dezintegrującej ich atomy, by stały się sztucznymi słońcami. Inne zaś wykorzystano w inny sposób — stworzono specjalne rasy inteligentnych organizmów, które zamieszkały powierzchnię tych ogromnych światów. Wkrótce tysiąc dawniej płonących gwiazd z układami pełnymi niezliczonych form życia zamieszkiwały skromne cywilizacje, funkcjonujące dzięki energii wulkanicznej tych gigantycznych światów. Niewielkie, sztucznie wytworzone stworzenia

podobne do robaków pełzały po równinach, gdzie potężna grawitacja nie pozwalała nawet, by choćby kamyczek uniósł się ponad ziemię. Tak ogromna była jej moc, że nawet niewielkie ciała tych robaków zniszczyłby upadek choćby na centymetr. Poza sztucznym oświetleniem mieszkańcy byłych gwiazd żyli w wiecznych ciemnościach, nie licząc światła gwiazd, wulkanicznych erupcji i luminescencji własnych ciał. Ich podziemne tunele prowadziły do rozległych stacji fotosyntetycznych, które przemieniały uwięzioną energię gwiazdy na potrzeby życia i umysłu. Inteligencja na tych ogromnych światach oczywiście stanowiła funkcję nie osobnych jednostek, ale roju. Jak insektoidy, te małe stworzenia, gdy odizolować je od reszty, były jedynie kierującymi się instynktem zwierzętami, pożądanymi jedynie powrócić do pobratymców.

Potrzeba zaludnienia martwych gwiazd nie wystąpiłaby, gdyby nie fakt, że wojna zredukowała liczbę myślących planet i słońc dostępnych dla nowych układów planetarnych niebezpiecznie blisko minimum potrzebnego do zachowania wspólnotowego życia pośród pełnej różnorodności. Społeczność światów stanowiła misternie zorganizowaną jedność, której każdy element pełnił szczególną funkcję. Konieczne było więc stworzenie nowych światów, by zajęły miejsce utraconych.

Symbiotyczne społeczeństwo stopniowo przezwyciężyło ogromne trudności związane z reorganizacją i zaczęło kierować uwagę ku dążeniu do ostatecznego celu wszystkich przebudzonych umysłów, celu, który chętnie obrano, jako że dotyczy on najgłębszej natury wszystkich umysłów. Symbiotyczna społeczność skupiła się więc na dalszym przebudzeniu ducha.

Ale cel ten, który wcześniej miało nadzieję osiągnąć zarówno anielskie towarzystwo gwiazd, jak i ambitna społeczność światów, względem nie tylko galaktyki, ale całego kosmosu, traktowano teraz znacznie skromniej. Gwiazdy oraz światy rozumiały, że nie tylko ich rodzima galaktyka, ale i kosmiczny rój galaktyk zbliża się do swego końca. Potrzebna do podtrzymania życia energia fizyczna, nadal z pozoru niewyczerpana, stawała się coraz mniej dostępna. Coraz bardziej rozprzestrzeniała się równomiernie po całym kosmosie. Tylko tu i ówdzie myślące organizmy mogły ją z trudem przechwycić, zanim doszło do spadku jej potencjału. Wkrótce wszechświat miała ogarnąć fizyczna niedołężność.

Wszystkie ambitne plany trzeba więc było porzucić. Fizyczne podróże między galaktykami nie wchodziły już w grę. Takie przedsięwzięcia zużyłyby zbyt wiele ze skromnych zasobów pozostałych po ekstrawagancji wcześniejszych eonów. Nie było już także niepotrzebnych podróży wewnątrz galaktyki. Światy trzymały się swoich słońc, które stopniowo ochładzały się i stopniowo zacieśniały orbity, by utrzymać ciepło.

Ale choć galaktyka została fizycznie zubożona, pod wieloma względami była utopią. Symbiotyczna społeczność gwiazd i światów pozostawała doskonale harmonijna. Walki między nimi należały do przeszłości i obie formy życia zachowywały całkowitą lojalność wobec wspólnego celu. Z radosnym entuzjazmem przeżywały swoje osobiste żywoty, przyjazne konflikty i wzajemne zainteresowanie. Każde wedle swoich możliwości brało udział we wspólnym zadaniu eksploracji i poznawania kosmosu. Gwiazdy umierały teraz szybciej niż kiedykolwiek, jako że cała rzesza dojrzałych gwiazd zmieniała się w grupę starych białych karłów. Umierając, oddawały swoje ciała na rzecz społeczeństwa, aby wykorzystano je albo jako rezerwuary energii subatomowej, albo jako sztuczne słońca czy światy zaludnione inteligentnymi populacjami robaków. Wiele układów planetarnych krążyło teraz wokół sztucznych słońc. Pod względem fizycznym był to znośny substytut, ale istoty, które stały się umysłowo zależne od partnerstwa z żywą gwiazdą z przygnębieniem spoglądały na byle kosmiczny piec. Przewidując nieunikniony rozpad symbioz w całej galaktyce, planety robiły wszystko, co w ich mocy, by chłonąć anielską mądrość gwiazd. Ale po paru eonach liczba planet również zaczęła spadać. Mrowie światów nie mieściło się już wokół przygasających słońc. Wkrótce moc umysłowa galaktyki, która dotąd z trudem utrzymywała wysoki poziom, musiała zacząć więdnąć.

W galaktyce panował jednak nastrój nie przygnębienia, lecz radości. Symbioza znacznie wzmocniła sztukę telepatycznej łączności i wreszcie wszystkie rodzaje ducha, z których składała się galaktyczna społeczność, były ze sobą związane tak blisko, że z ich harmonij-

nej różnorodności wyłonił się prawdziwy galaktyczny umysł, którego zasięg umysłowy przerastał możliwości gwiazd i światów tak dalece, jak one przerastały pojedyncze stworzenia.

Galaktyczny umysł, składający się z umysłów wszystkich gwiazd, światów i zamieszkujących je organizmów, wzbogacony przez wszystkie swoje składowe i przebudzony do stanu wyższej świadomości, rozumiał, że pozostało mu niewiele życia. Patrząc wstecz na wieki galaktycznej historii, spoglądając na rzesze różnorodnych istot, umysł galaktyki widział, że składał się z tych wszystkich niewypowiedzianych konfliktów, żalów i zawiedzionych nadziei. Stał naprzeciw wszystkim tych udręczonych duchów przeszłości nie ze współczuciem czy żalem, ale z zadowoleniem, tak jak człowiek spoglądać może na własne dziecięce psoty. I powiedział — w umyśle każdej składającej się na niego istoty:

— Ich cierpienie, które zdawało im się jałowym złem, było niską ceną za moje przyszłe nadejście. Słuszna, słodka i piękna jest całość, w której wszystko to się wydarza. Albowiem ja jestem niebem, w którym miriady moich przodków znajdują zadośćuczynienie, spełnienie swoich życzeń. W tym krótkim czasie, jaki mi pozostał, zamierzam iść naprzód wraz ze wszystkimi swymi towarzyszami w kosmosie, aby ukoronować wszechświat doskonałym, radosnym zrozumieniem i oddać Sprawcy Galaktyk, Gwiazd i Światów należytą cześć.

XII. PRZYGASZONY DUCH KOSMO- SU

Gdy nasza galaktyka w końcu zdolna była do pełnej telepatycznej eksploracji kosmosu i innych galaktyk, odkryła niepokojący stan życia we wszechświecie. Bardzo niewiele galaktyk przeżywało teraz swoją młodość; większość miała dawno za sobą najlepsze czasy. W całym kosmosie martwe, wygasłe gwiazdy znacznie przewyższały liczebnie żywe i świetliste. W wielu galaktykach konflikt gwiazd i światów skończył się jeszcze tragiczniej niż w naszej. Pokój osiągnięto dopiero wtedy, gdy obie strony uległy zwyrodnieniu bez nadziei na poprawę. W większości młodszych galaktyk konflikt ten jeszcze nie nastąpił i najbardziej przebudzone z galaktycznych duchów czyniły już starania, by uzmysłowić nieświadomym społecznościom światów i gwiazd ich wzajemne istnienie, zanim dotrą do etapu wojny.

Wspólny duch naszej galaktyki dołączył teraz do nielicznej społeczności najbardziej przebudzonych istot we wszechświecie, rozproszonych, zaawansowanych galaktycznych umysłów, których celem było stworzenie prawdziwej kosmicznej wspólnoty, ze wspólnym umysłem miriad różnych światów i inteligencji, z nadzieją na uzyskanie poziomu mądrości i twórczego ducha nieosiągalnego na płaszczyźnie galaktyki.

Z poczuciem doniosłości i radości my, kosmiczni odkrywcy, którzy zgromadziliśmy się już we wspólnym umyśle naszej galaktyki, staliśmy się teraz częścią intymnego zjednoczenia wielu galaktycznych umysłów. My, a raczej ja, doświadczałem teraz powolnego dryfu galaktyk tak, jak człowiek czuje ruch swoich kończyn. Z różnych punktów widzenia przyglądałem się wielkiej śnieżycy miliona galaktyk, płynących i krążących, a nawet oddalających się od siebie wraz z niestrudzonym rozszerzaniem się przestrzeni kosmicznej. Ale choć przestwór kosmosu był coraz większy w odniesieniu do rozmiaru galaktyk, gwiazd i światów, dla mnie, z moim złożonym, rozproszonym ciałem, kosmos wydawał się nie większy niż wielka, zwieńczona kopułą hala.

Moje doświadczenie czasu również się zmieniło; teraz, jak zdarzyło się i wcześniej, eony były dla mnie krótkie jak minuty. Widziałem całe życie kosmosu nie jako długi, spokojny marsz z odległego, ciemnego źródła ku wspaniałej i jeszcze dalszej wieczności, ale jako krótki, rozpaczliwy wyścig z galopującym czasem.

Mając świadomość istnienia tak wielu zacofanych galaktyk, sobie samemu zdawałem się samotnym intelektem wśród dziczy barbarzyńców i bestii. Tajemnica, daremność, trwoga egzystencji ciążyły mi teraz okrutnie. Bowiem zdawało mi się, jako duchowi tej małej grupy przebudzonych galaktyk otoczonych przez pogrążone w letargu i skazane na zagładę hordy w ostatnich dniach kosmosu, że nigdzie nie ma nadziei na żaden triumf. Wyglądało na to, że ujrzałem już cały zakres istnienia. Nie było żadnego „gdzie indziej”. Znałem dokładną sumę materii w kosmosie. I choć „ekspansja” przestrzeni oddalała już od siebie galaktyki szybciej, niż światło mogłoby pokonać tę przepaść, telepatia wciąż pozwalała mi na kontakt z całym kosmosem. Wielu członków naszego wspólnego ja było oddalonych od siebie przez nieprzemierzoną otchłań wynikającą z bezustannej „ekspansji”, ale telepatycznie byli wciąż zjednoczeni.

Ja, wspólny umysł zaledwie dwudziestu galaktyk, zdawałem się teraz samemu sobie być nieudanym, kalekim umysłem samego kosmosu. Składająca się z miriad istot społeczność, której byłem tworem, powinna była opanować całość istnienia. W kulminacyjnym punkcie historii kosmosu jego w pełni przebudzony umysł powinien był zdobyć pełnię wiedzy i duchowego rozwoju. Ale nie było mi to pisane. Albowiem nawet teraz, w schyłkowej fazie kosmosu, gdy jego fizyczny potencjał niemal całkowicie się wyczerpał, osiągnąłem jedynie niski poziom rozwoju duchowego. W istocie miałem jeszcze mentalność młodzieńca, ale moje kosmiczne ciało było w stanie rozkładu. Byłem embrionem wijącym się w kosmicznym jaju, którego żółtko już gniło.

Spoglądając wstecz na minione eony, byłem pod mniejszym wrażeniem długości podróży, która doprowadziła mnie do obecnego stanu, niż jej pośpiechu, nieładu i nawet krótkotrwałości. Patrząc na najwcześniejszą z epok, zanim narodziły się gwiazdy, zanim

z chaosu wyłoniły się mgławice, wciąż nie widziałem żadnego jasnego źródła, ale tylko tajemnicę tak niejasną jak wszystkie te, z którymi zmagają się maleńcy mieszkańcy Ziemi.

Podobnie gdy próbowałem zgłębić własną istotę, znalazłem nieprzeniknioną tajemnicę. Choć moja samoświadomość była przebudzona w stopniu trzykrotnie oddalonym od świadomości istot ludzkich, czyli od jednostki do światoumysłu, od światoumysłu do umysłu galaktyki, a stamtąd do kalekiego kosmicznego umysłu, głębia mojej natury pozostawała dla mnie nieznaną.

Choć mój umysł zebrał w sobie całą mądrość wszystkich światów ze wszystkich epok i choć życie mojego kosmicznego ciała stanowiło życie miriad nieskończenie zróżnicowanych światów i miriad nieskończenie różnorodnych pojedynczych istot, i choć moje codzienne życie stanowiło radosne i kreatywne przedsięwzięcie, wszystko to było niczym. Wokół istniała bowiem rzesza niespełnionych galaktyk i moje własne ciało było już poważnie zubożone przez śmierć moich gwiazd, a eony uciekały z zatrważającą prędkością. Wkrótce dezintegracji musiała ulec struktura mojego kosmicznego mózgu, a wówczas musiałem utracić cenny, choć niedoskonały stan świadomości i spadać na kolejne, niższe poziomy drugiego dzieciństwa umysłu, aż do kosmicznej śmierci.

Bardzo dziwne było to, że ja, który znałem całość czasu i przestrzeni i liczyłem wędrownie gwiazdy niczym owce, żadnej nie przeocząc, ja, który stanowiłem najbardziej przebudzoną ze wszystkich istot, ja, chwała, dla której powstania oddały życie miriady istot we wszystkich erach i którą miriady czciły, spoglądałem teraz na siebie z tym samym przytłaczającym podziwem, tą samą zawstydzającą czią, jak ta, z którą ludzie przemierzający pustynię patrzyli na gwiazdy.

XIII. POCZĄTEK I KONIEC

I. POWRÓT DO MGLAWIC

Podczas gdy przebudzone galaktyki starały się w pełni wykorzystać ostatnią fazę swojej świadomości i gdy starałem się o to ja, niedoskonały kosmiczny umysł, zacząłem mieć dziwne, nowe odczucia. Wyglądało na to, że telepatycznie natykam się na jakąś istotę lub istoty rodzaju z początku zupełnie dla mnie niepojętego.

Początkowo przypuszczałem, że przypadkiem zetknąłem się z podludzkimi istotami w prymitywnej erze jakiejś naturalnej planety, być może z przypominającymi ameby drobnoustrojami, pływającymi w pierwotnym morzu. Byłem świadom jedynie podstawowego głodu ciała, takiego jak żądza wchłonięcia energii fizycznej dla podtrzymania życia, żądza ruchu i kontaktu, żądza światła i ciepła.

Niecierpliwie próbowałem zbyć te nieistotne błahostki, ale wciąż mnie nawiedzały, stając się coraz bardziej natrętne i wyraźne. Stopniowo nabrały takiej intensywności fizycznego wigoru i takiej boskiej determinacji, jakiej nie wyrażał żaden duch poprzez wieki, odkąd powstały gwiazdy.

Nie opiszę tu wszystkich etapów, poprzez które poznałem w końcu znaczenie tego doświadczenia. Stopniowo odkryłem, że nawiązałem kontakt nie z mikroorganizmami, ani ze światami, gwiazdami czy umysłami galaktyk, ale z umysłami wielkich mgławic, zanim ich jestestwo skupiło się w gwiazdy i galaktyki.

Byłem teraz w stanie śledzić ich historię, od czasu kiedy po raz pierwszy się przebudziły, gdy istniały jako chmury gazu oddalające się od wybuchu aktu stworzenia, aż do chwili gdy, wraz z narodzinami rzeszy gwiazd z ich substancji, popadły w otępienie i wymarły.

W najwcześniejszej fazie, gdy fizycznie stanowiły wiotkie chmury, ich mentalność stanowiła jedynie niewyraźną żądzę działania i senną percepcję nieskończenie rzadkiego skupienia ich własnej substancji.

Przyglądałem się, jak przekształcają się w gęstsze kule o wyraźnych konturach, a następnie w soczewkowate dyski, pełne jaśniejszych strumieni i ciemnych przepaści. W miarę skupiania się, każda zyskiwała większą jedność, bardziej organiczną strukturę. Oznaczało to także większy wzajemny wpływ ich atomów, które wciąż nie były jednak bliższe sobie w odniesieniu do ich rozmiarów niż gwiazdy w kosmosie. Każda mgławica stanowiła teraz wielką sadzawkę nikłego promieniowania, pojedynczy system wszechobecnych fal płynących od atomu do atomu.

Teraz te kosmiczne megateria, ameboidalne olbrzymy, zaczęły budzić się ku dziwnej jedności doznań. Jak na ludzkie standardy, a nawet standardy myślących światów i gwiazd, doświadczenia mgławic były niezwykle powolne. Z uwagi na ich kolosalne rozmiary i powolny upływ fal, z którymi związana fizycznie była ich świadomość, tysiąc lat było dla nich niepostrzeżalną chwilą. Okresów, które ludzie nazywają geologicznymi, zawierające w sobie powstanie i upadek kolejnych gatunków, doświadczali tak, jak my doświadczamy godzin.

Każda z wielkich mgławic była świadoma swojego soczewkowatego ciała jako obszaru mrowiących prądów. Każda pragnęła spełnienia swojego organicznego potencjału, pragnęła uwolnienia fizycznej energii zbierającej się powoli w jej wnętrzu oraz swobodnej ekspresji swoich mocy i ruchów, pragnęła także czegoś więcej.

Albowiem chociaż pod względem fizycznym i umysłowym te pierwotne istoty przypominały planetarne mikroorganizmy, wyjątkowo się też od nich różniły, a przynajmniej wykazywały cechy, które nawet ja, niedoskonały kosmiczny umysł, przegapiłem w drobnoustrojach. Była to wola czy też predylekcja, którą opisać mogę jedynie za pomocą metafory.

Choć stworzenia te były bardzo proste pod względem fizycznym i umysłowym, zostały obdarzone czymś, co zmuszony jestem opisać jako prymitywną, ale intensywną świadomość.

mość religijną. Rządziły nimi bowiem dwa pragnienia, oba duchowej natury. Pożądały czy też raczej odczuwały ślepe pragnienie zjednoczenia ze sobą nawzajem i pragnęły też zgromadzić się razem w źródle, z którego pochodziły.

Wszechświat, który zamieszkiwały, był oczywiście bardzo prostym, a nawet ubogim wszechświatem; także dla nich samych raczej małym, jako że dla każdego z nich kosmos składał się z dwóch rzeczy: z niemal bezkształtnego ciała mgławicy i ciał pozostałych mgławic. W tej wczesnej erze kosmosu mgławice znajdowały się dość blisko siebie, ponieważ objętość wszechświata była niewielka w stosunku czy to do jego części czy to mgławic lub elektronów. W tamtych czasach mgławice, które w czasach człowieka są jak ptaki na niebie, były zamknięte w wąskiej klatce. Każda wywierała więc znaczny wpływ na pozostałe. I w miarę jak stawały się coraz bardziej zorganizowane, każda stanowiąc bardziej spójną fizycznie jedność, coraz łatwiej odróżniały własne układy fal od nieregularności, które nakładały na nie sąsiadki. W wyniku wrodzonej skłonności wpisanej w nie od czasu ich wyłonienia się ze wspólnej pierwotnej chmury, interpretowały te wpływy jako obecność innych myślących mgławic.

Ówczesne mgławice były więc niewyraźnie, ale intensywnie świadome siebie nawzajem jako odrębnych istot. Jednak ich wzajemną komunikację można określić jako nikłą i bardzo powolną. Tak jak więźniowie zamknięci w osobnych celach dotrzymują sobie nawzajem towarzystwa stukając w ściany cel i mogą z czasem wypracować prosty zestaw sygnałów, tak mgławice wyrażały swoje braterstwo, wywierając na siebie nawzajem przyciąganie grawitacyjne i wysyłając powolne impulsy światła. Nawet we wczesnej fazie istnienia, gdy mgławice znajdowały się bardzo blisko siebie, zapisanie wiadomości wymagało wielu tysięcy lat, a do celu docierały dopiero po wielu milionach. Gdy mgławice znalazły się u szczytu swojego rozwoju, cały kosmos pełen był echa ich rozmów.

W najwcześniejszej fazie, gdy te ogromne, niedojrzałe stworzenia wciąż znajdowały się bardzo blisko siebie, ich kontakty skupiały się całkowicie na próbach ukazania się sobie nawzajem. Z dziecięcym zachwytem mozolnie komunikowały swoją radość życia, swoje pragnienia i bóle, kaprysy, idiosynkrazje, wspólną chęć ponownego zjednoczenia, bycia, jak czasami mówią ludzie, w jedności z Bogiem.

Ale nawet we wczesnych dniach, gdy niewiele mgławic osiągnęło dojrzałość i większość wciąż miało zamęt w myślach, dla co bardziej przebudzonych ewidentne było, że zamiast się jednoczyć, oddalają się od siebie. W miarę jak malał ich fizyczny wpływ na siebie nawzajem, każda mgławica obserwowała, jak oddalają się od niej jej towarzysze. Przesyłanie wiadomości zajmowało coraz więcej czasu.

Gdyby mgławice zdolne były do komunikacji telepatycznej, mogłyby spoglądać na „ekspansję” wszechświata bez rozpaczy. Ale istoty te były najwyraźniej zbyt proste, by nawiązać bezpośredni, świadomy kontakt i były skazane na rozdzielanie. A ponieważ tempo ich życia było powolne, musiały rozstać się, gdy ledwie się poznały. Gorzko żalowały ślepoty swego dzieciństwa, jako że gdy osiągały dojrzałość, odczuwały nie tylko pasję wzajemnej błogości, którą nazywamy miłością, ale także przekonanie, że poprzez umysłową wspólnotę prowadziła droga ku wspólnocie ze źródłem, z którego pochodziły.

Gdy stało się jasne, że rozłąka jest nieunikniona, gdy z trudem zbudowana wspólnota tych naiwnych istot już borykała się z coraz bardziej utrudnioną komunikacją i najodleglejsze mgławice już oddalały się od siebie z wielką prędkością, każda gotowa na zmierzenie się z tajemnicą istnienia w absolutnej samotności.

Nastąpił wówczas eon, a raczej dla żyjących powoli istot krótka chwila, gdy starały się one, udoskonalając własne ciało i dyscyplinę duchową, odnaleźć najwyższe oświecenie, którego z samej swojej natury szukać muszą wszystkie przebudzone istoty.

Teraz jednak pojawiły się nowe kłopoty. Niektóre z najstarszych mgławic zaczęły skarżyć się na dziwną chorobę, która znacznie utrudniała im medytację. Peryferia ich rzadkich ciał zaczęły skupiać się w niewielkie węzły, które z czasem stawały się ziarenkami intensywnego ognia. W przestrzeni między nimi nie pozostało nic poza garstką atomów. Z początku nie było to bardziej uciążliwe niż drobna wysypka na skórze człowieka, ale później zaczęło rozszerzać się na głębsze tkanki mgławicy i prowadziło także do poważ-

nych problemów umysłowych. Nieszczęsne stworzenia na próżno próbowały zmienić tę zarazę na swoją korzyść, traktując ją jak zesłaną z niebios próbę dla ich ducha. Choć przez jakiś czas radziły sobie, po prostu traktując ją z heroiczną pogardą, ostatecznie plaga zła-mała ich duchowo. Jasne stało się, że kosmos to miejsce pełne daremności i zgrozy.

Teraz młodsze mgławice przyglądały się, jak starsze, jedna po drugiej, popadały w stan ospałości i dezorientacji, który kończył się nieodmiennie snem nazywanym przez ludzi śmiercią. Wkrótce stało się jasne, że choroba ta nie była tylko czystym przypadkiem, ale losem wpisanym w naturę mgławic.

Niebiańskie megateria kolejno ulegały unicestwieniu, ustępując miejsca gwiazdom.

Spoglądając wstecz na te wydarzenia z odległej przyszłości, ja, niedoskonały kosmiczny umysł, próbowałem dać znać umierającym mgławicom w dalekiej przeszłości, że ich śmierć nie była końcem, ale wczesnym etapem życia w kosmosie. Miałem nadzieję, że dam im pocieszenie, mówiąc im o rozległej i różnorodnej przyszłości wszechświata i moim ostatecznym przebudzeniu. Komunikacja z nimi okazała się jednak niemożliwa. Choć w obrębie sfery ich zwyczajnych przeżyć były zdolne do pewnego rodzaju pojmowania, poza nią były niemal imbecylami. Równie dobrze człowiek mógłby starać się pocieszyć rozpadającą się komórkę bakterii, od której sam pochodzi, opowiadając jej o swojej pomyslniej karierze w ludzkim społeczeństwie.

Jako że ta próba pocieszenia poszła na marne, odłożyłem na bok współczucie i zadowolilem się jedynie śledzeniem aż do końca rozpadu społeczności mgławic. Według ludzkich standardów ich agonია była niezwykle długa. Zaczęła się od przekształcenia najstarszych mgławic w gwiazdy i trwała (czy też będzie trwać) długo po zniszczeniu ostatniej rasy ludzi na Neptunie. Ostatnia z mgławic pogrążyła się w całkowitej nieświadomości, dopiero gdy wiele trupów jej sąsiadek przemieniło się w symbiotyczne społeczeństwa gwiazd i myślących światów. Ale dla żyjących powoli mgławic ta zaraza zdawała się postępującą natychmiastowo chorobą. Jedna po drugiej, każda z tych wielkich, religijnych bestii zmierzyć się musiała z subtelnym wrogiem i stoczyć przegraną walkę, aż w końcu ogarniała ją apatia. Żadna nie wiedziała, że jej rozpadające się ciało pełne było młodego i szybszego życia gwiazd ani że tu i tam towarzyszyły mu nieporównanie przyspieszonego życia stworzeń takich jak ludzie, których całe wieki historii składały się tylko na parę bolesnych chwil dla pierwotnych potworów.

2. KULMINACYJNY MOMENT NADCHODZI

Odkrycie mgławicowego życia głęboko poruszyło zaczątkowy kosmiczny umysł, którym się stałem. Cierpliwie przyglądałem się tym niemal bezkształtnym megateriom, wchłaniając w swoją złożoną istotę ferwor ich prostej, ale głębokiej natury. Te pierwotne stworzenia dążyły bowiem do swojego celu z determinacją i pasją przyćmiewającą wszystkie światy i gwiazdy. Z tak szczerą wyobraźnią wniknąłem w ich historię, że sam, jako kosmiczny umysł, w pewnym sensie powstałem na nowo dzięki kontemplacji tych istot. Rozważając z mgławicowego punktu widzenia całą złożoność i subtelność żywych światów, zacząłem zastanawiać się, czy nieskończone dywagacje światów naprawdę wynikały z bogactwa istnienia czy też może ze słabości percepcji duchowej, z ogromnie zróżnicowanego potencjału ich natury czy też może z braku intensywnych, jednoznacznie kierujących nimi doznań. Lekko namagnetyzowana igła kompasu kiwa się to na zachód, to na wschód i długo szuka odpowiedniego kierunku. Bardziej wrażliwa od razu skieruje się na północ. Czyżby cała złożoność światów, z całą rzeszą drobnych, ale różnorodnych członków, jedynie zakłócała ich poczucie odpowiedniego kierunku ducha? Czy prostota i wigor duchowy najwcześniejszych, największych istot pozwalała im osiągnąć coś mającego najwyższą wartość, której nigdy nie mogły dosięgnąć bardziej złożone i subtelne światy?

Ale nie! Choć mentalność mgławic była wspaniała na swój dziwny sposób, umysły gwiazd i planet również miały wyjątkowe zalety. A z całej trójki najbardziej należy cenić te planetarne, jako że najlepiej rozumiały pozostałe.

Pozwoliłem sobie uwierzyć, że skoro zawierałem w swojej istocie intymną świadomość nie tylko wielu galaktyk, ale także pierwszych faz kosmicznego życia, mogłem teraz szczerze uważać siebie za zaczątek umysłu całego kosmosu.

Jednakże przebudzone galaktyki, które mnie wspierały, stanowiły wciąż niewielką mniejszość ogólnej populacji galaktyk. Dzięki telepatycznemu wpływowi wciąż pomagałem w wielu galaktykach, które znajdowały się u progu dojrzałości umysłowej. Gdybym mógł ogarnąć kosmiczną społeczność przebudzonych galaktyk liczonych w setkach, a nie zaledwie w dziesiątkach członków, być może ja sam, wspólny umysł, mógłbym zyskać dość sił, by przejść od obecnego stanu przedłużonego mentalnego dzieciństwa do czegoś bardziej przypominającego dojrzałość. Było dla mnie jasne, że nawet w swym embryonalnym stanie dojrzewałem do jakiegoś nowego oświecenia i jeśli szczęście będzie mi sprzyjać, stanę może wobec tego, kogo w ludzkim języku tej książki nazwałem Sprawcą Gwiazd.

W owym czasie moja tęsknota za jego obecnością stała się wszechogarniającą pasją. Zdawało mi się, że zasłona, za którą skrywa się wciąż źródło i cel wszystkich mgławic, gwiazd i światów, zaczyna się rozpadać. Moc, która skłoniła tak wiele miriad istot do oddawania jej czci, ale która nie objawiła się wyraźnie żadnej z nich, ta, ku której ślepo podążały wszystkie istoty, przedstawiając ją poprzez obrazy miriad bóstw, znajdowała się tuż u progu poznania mojego kalekiego, lecz wciąż rosnącego ducha kosmosu.

Ja, który sam byłem czczony przez rzesze składających się na mnie istnień, ja, którego osiągnięcia wykraczały daleko poza ich marzenia, byłem teraz przygnieciony poczuciem własnej małości i niedoskonałości. Ukryta obecność Sprawcy Gwiazd już obezwładniała mnie bowiem ze straszliwą siłą. Im wyżej podążałem po ścieżce ducha, tym wyższe zdawały się widoczne w oddali szczyty. Bowiem to, co dawniej uważałem za ich wierzchołek teraz okazywało się być zaledwie pogórzem. Za nim widniał prawdziwy stok, stromy, poszarpany, pokryty lodem i unoszący się ku ciemnej mgłę. Nigdy nie powinienem wspinać się na to urwisko. A jednak muszę iść do przodu. Niepowstrzymana żądza przełamała strach.

Tymczasem pod moim wpływem niedojrzałe galaktyki kolejno uzyskiwały ten poziom świadomości, który pozwalał im dołączyć do kosmicznej wspólnoty i wzbogacić mnie swym szczególnym doświadczeniem. Jednak pod względem fizycznym wszechświat wciąż słabł. W chwili gdy połowa całkowitej populacji galaktyk osiągnęła dojrzałość, jasne stało się, że niewielu innym się to powiedzie.

We wszystkich galaktykach pozostało bardzo niewiele żywych gwiazd. Spośród rzeszy martwych niektóre, poddane atomowej dezintegracji, służyły za sztuczne słońca otoczone przez wiele tysięcy sztucznych planet. Ale zdecydowana większość gwiazd wygasła i została bezpośrednio zaludniona. Po jakimś czasie konieczna stała się ewakuacja wszystkich planet, jako że sztuczne słońca stanowiły zbyt ekstrawagancki wydatek energii. Zamieszkujące planety rasy kolejno ulegały samozniszczeniu, oddając materię swych światów i całą swoją mądrość mieszkańcom wygasłych gwiazd. Od tej pory kosmos, dawniej rój płonących galaktyk, składał się w pełni z gwiazdowych trupów. Te ciemne ziarna dryfowały pośród ciemnej otchłani jak nieskończenie wiotki dym unoszący się po zgaszeniu ognia. Na tych okrucach, tych gigantycznych światach, ostatnie populacje stworzyły tu i tam dzięki sztucznemu oświetleniu błady blask, niewidoczny nawet z wewnętrznego pierścienia pozbawionych życia planet.

Najbardziej powszechną formą życia na tych gwiazdnych światach był inteligentny rój małych robaków lub owadów. Ale istniało także wiele ras większych stworzeń bardzo ciekawego rodzaju, dostosowanych do kolosalnej grawitacji tych ogromnych światów. Każde z tych stworzeń stanowiło rodzaj żywego koca. Jego spódnią powierzchnią pokryta była mrowiem drobnych nóżek, będących zarazem gębami. Podtrzymywały one ciało o grubości nie większej niż parę centymetrów, choć mogło mieć kilka metrów szerokości i dziesięć metrów długości. Na przednim końcu chwytne „ręce” poruszały się na własnym batalionie nóżek. Górna powierzchnia ciała zawierała przypominającą plastry miodu strukturę otworów oddechowych i wiele różnych narządów zmysłowych. Mię-

dzy powierzchniami rozciągały się organy metaboliczne i rozległy mózg. W porównaniu z rojami robaków i owadów te rozciągnięte istoty miały przewagę polegającą na stabilniejszej jedności umysłowej i większej specjalizacji organów, ale były też bardziej niezdarne i słabiej przystosowane do podziemnego życia, do którego z czasem zmuszone zostały wszystkie istoty.

Wielkie, ciemne światy z ogromną masą atmosfery i niesamowicie rozległymi oceanami, gdzie fale nawet w czasie najwściekleszych burz nie były większe niż zmarszczki na rtęci, wkrótce pełne były cywilizacji robaków i owadów różnych gatunków i bardziej podatnych na zagrożenia schronień żywych koców. Życie na tym świecie przypominało życie na dwuwymiarowej płaszczyźnie. Nawet najwytrzymalsze ze sztucznych tworzyw były zbyt słabe by pozwolić na budowę większych struktur.

Z upływem czasu zużyto wewnętrzne ciepło wygasłych gwiazd i konieczne stało się utrzymanie cywilizacji przy życiu poprzez atomową dezintegrację jego skalistego jądra. Każdy więc gwiazdowy świat stawał się z czasem coraz bardziej próżną w środku sferą podtrzymawaną przez system wielkich wewnętrznych podpór. Populacje z powierzchni, a raczej ich nowi, specjalnie zaadaptowani potomkowie, schroniły się we wnętrzach wypalonych gwiazd.

Uwięzione w pustych w środku światach i fizycznie odcięte od reszty kosmosu populacje te telepatycznie wspierały kosmiczny umysł. Stanowiły moje ciało. W miarę nieuchronnej „ekspansji” wszechświata, ciemne galaktyki od eonów już odlatywały tak daleko od siebie, że przepaści między nimi nie było w stanie zakopać nawet światło. Ta ogromna dezintegracja kosmosu mniej jednak znaczyła dla ostatnich populacji niż fizyczna izolacja poszczególnych gwiazd poprzez wstrzymanie wszelkiego promieniowania gwiazdowego i wszelkich podróży międzygwiazdowych. Ich populacje utrzymywały jednak telepatyczną łączność i znały się nawzajem wśród całej swej różnorodności. Razem podtrzymywały wspólny umysł z całą jego świadomością żywej, złożonej przeszłości kosmosu i jego niestrudzonego dążenia do duchowego celu, zanim zwiększenie entropii zniszczy tkankę ich cywilizacji.

Tak wyglądał stan kosmosu, gdy zbliżał się on do kulminacyjnego momentu swego rozwoju i ku oświeceniu, do jakiego ślepo podążają wszystkie istoty przez wszystkie wieki. Dziwne było, że te schyłkowe populacje, stłoczone i zubożone, liczące ostatnie resztki energii, miały osiągnąć zadanie, z którym wcześniej nie poradzili sobie geniusze z poprzednich epok. Byli jak strzyżyk, który wznosi się wyżej niż orzeł. Mimo surowych warunków życia nadal udawało się utrzymać strukturę kosmicznej wspólnoty i kosmiczny umysł. Dzięki wrodzonemu instynktowi ludność wszechświata była w stanie wykorzystać przeszłość dla pogłębienia swej mądrości w stopniu znacznie wykraczającym poza jakiegokolwiek wcześniejsze pojmowanie.

Kulminacyjny moment bytu wszechświata nie był (czy też nie będzie) chwilą zgodnie z ludzkimi standardami, ale zgodnie z kosmicznymi rzeczywistość upłynął w mgnieniu oka. Gdy nieco ponad połowa całej ludności milionów galaktyk dołączyła w pełni do kosmicznej społeczności i jasne było, że nie należy spodziewać się kolejnych, nastąpił okres powszechnej medytacji. Populacje światów utrzymywały swe zagrożone, utopijne cywilizacje, żyły osobistym życiem pracy i stosunków społecznych, a tymczasem na płaszczyźnie wspólnoty zmieniały całą strukturę kosmicznej kultury. O tej fazie nie powiem nic. Wystarczy wspomnieć, że każda galaktyka i każdy świat otrzymały szczególną funkcję umysłową i że wszyscy wchłaniali pracę pozostałych. U końca tego okresu ja, wspólny umysł, wyłoniłem się jak z kokonu stworzony na nowo i przez krótką chwilę, która rzeczywistość stanowiła punkt kulminacyjny kosmosu, stanąłem twarzą w twarz ze Sprawcą Gwiazd.

W ludzkim autorze tej książki nie pozostało już nic z tej trwającej wieki kosmicznej chwili, której doświadczyłem jako kosmiczny umysł, nie licząc wspomnienia gorzkiego błogostanu, wraz z paroma chaotycznymi przebłyskami doświadczenia, które rozpało mnie ten błogostan.

Muszę opowiedzieć w jakiś sposób o tym przeżyciu. Nie mogę uniknąć tego, że mierzę się z tym zadaniem z poczuciem przeraźliwej niekompetencji. Największe umysły ludzkiej rasy przez wszystkie etapy ludzkiej historii nie były w stanie opisać chwil najgłębszego zrozumienia. Jak więc ja mógłbym próbować? A jednak muszę. Nawet ryzykując w pełni zasłużonym ośmieszeniem, pogardą i moralnym potępieniem, muszę postarać się zdać relację z tego, co ujrzałem. Jeśli rozbitek na tratwie bezradnie minie wspaniałe wybrzeża i ostatecznie powróci do domu, nie znajdzie tam spokoju. Co bardziej obcy mogą z obrzydzeniem patrzeć na jego pospolity akcent i niezdarną dykcję. Co bardziej wykształceni mogą wysmiewać jego niezdolność do rozróżniania faktów od iluzji. Ale i tak musi o tym opowiedzieć.

2. PUNKT KULMINACYJNY I CO DALEJ

W kulminacyjnym momencie kosmosu ja, jako kosmiczny umysł, zdawałem się mierzyć ze źródłem i celem wszystkich skończonych rzeczy.

W tamtej chwili oczywiście nie odczuwałem zmysłowo nieskończonego ducha, Sprawcy Gwiazd. Nie postrzegalem niczego, czego nie doznawałem wcześniej, jedynie ludne wnętrza wielu umierających gwiazdnych światów. Ale poprzez medium, które w tej książce zwie się telepatycznym, otrzymałem głębszy rodzaj percepcji. Poczułem bliską obecność Sprawcy Gwiazd. Ostatnio, jak już wspomniałem, zaczynało ogarniać mnie poczucie ukrytej obecności jakiejś istoty innej ode mnie, innej od mojego kosmicznego ciała i świadomego umysłu, innej niż moje żywe części i roje wypalonych gwiazd. Teraz jednak zasłona zadrzała i stała się półprzezroczysta dla postrzegania mojego umysłu. Źródło i cel wszystkiego, Sprawca Gwiazd, ukazał mi się częściowo jako istota inna od mojej świadomej jaźni, odrębna, a jednak w głębi dzieląca ze mną swoją naturę; jako w zasadzie ja, choć nieskończenie więcej niż ja.

Zdawało mi się, że widzę teraz Sprawcę Gwiazd w dwóch aspektach: jako szczególny twórca zapał, który stworzył mnie, kosmos, ale także, co przyprawiało mnie o trwogę, coś nieporównanie większego niż kreatywność, jako wieczną perfekcję absolutnego ducha.

Jałowe, jałowe i trywialne są te słowa. Ale nie stojące za nimi doświadczenie.

W obliczu owej nieskończoności głębszej niż moje najgłębsze korzenie i wyższej niż osiągnięte przeze mnie szczyty ja, kosmiczny umysł, kwiat wszystkich gwiazd i światów, odczułem przerażenie niczym dzikus wobec błyskawicy i grzmotu. Gdy padłem uniżenie przed Sprawcą Gwiazd, mój umysł zalał strumień obrazów. Znowu ukazały mi się fikcyjne bóstwa wszystkich ras wszystkich światów, symbole majestatu i czułości, bezlitosnej mocy, ślepej kreatywności, wszechwidzącej mądrości. I choć te obrazy stanowiły jedynie fantazje stworzonych umysłów, wydawało mi się, że każdy z nich ma w sobie jakieś prawdziwe odzwierciedlenie wpływu Sprawcy Gwiazd na żywe istoty.

Gdy rozmyślałem o tej rzeszy bóstw, która ukazała mi się jak chmura dymu z wielu światów, nowy obraz, nowy symbol nieskończonego ducha, nabrał kształtu w moim umyśle. Choć zrodzony z mojej własnej kosmicznej wyobraźni, poczęty był przez coś większego niż ja. Ludzkiemu autorowi tej książki niewiele pozostaje z tej wizji, która wprawiła mój kosmiczny umysł w zawstydzenie i ekstazę. Muszę jednak spróbować ująć ją w marną sieć słów na tyle dobrze, na ile mogę.

Zdawało mi się, że sięgnąłem poprzez czas do chwili stworzenia. Przyglądałem się narodzinom kosmosu.

Duch zadumał się. Choć nieskończony i wieczny, ograniczył się do skończonego i doczesnego istnienia i rozmyślał o przeszłości, która go nie cieszyła. Był nieusatysfakcjonowany jakimś przeszłym, ukrytym przede mną stworzeniem i własną trwającą w czasie naturą. Niezadowolony skłoniło ducha do nowego aktu stworzenia.

Teraz jednak, zgodnie z wyobraźnią sobie przez mój kosmiczny umysł fantazją, absolutny duch, samoograniczony na potrzeby tworzenia, wyłonił z siebie atom swojego nieskończonego potencjału.

W tym mikrokosmosie drzemał zarodek prawdziwego czasu, przestrzeni i wszelkiego rodzaju kosmicznych istot.

Bóg

W tym punktowym kosmosie najpierw zrodziło się mrowie, choć skończone, fizycznych ośrodków mocy, które ludzie wyobrażają sobie niedokładnie jako elektrony, protony i resztę. I były one uspione. Materia dziesięciu milionów galaktyk spoczywała w letargu w jednym punkcie.

Wtedy Sprawca Gwiazd rzekł:

— Niechaj się stanie światłość.

I stała się światłość.

Ze wszystkich istniejących równocześnie w jednym miejscu ośrodków mocy wyłonił się rozbłysk światła. Wszechświat eksplodował, realizując potencjał przestrzeni i czasu. Ośrodki mocy, jak fragmenty wybuchającej bomby, uleciały na wszystkie strony. Każdy jednak zachował w sobie, jako wspomnienie i tęsknotę, tego wspólnego ducha całości i każdy odzwierciedlał w sobie aspekty pozostałych poprzez całą kosmiczną przestrzeń i czas.

Nie mieszcząc się już w jednym punkcie, kosmos stanowił teraz przestwór niewyobrażalnie gęstej materii i niewyobrażalnie gwałtownego promieniowania, stale rozszerzający się. I był drzemiącym, nieskończenie podzielonym duchem.

Ale równie dobrze, jak że kosmos się rozszerza, można by powiedzieć, że jego składowe się kurczą. Ośrodki mocy, z początku nakładające się na siebie w punktowym kosmosie, same generowały kosmiczną przestrzeń w miarę oddalania się od siebie. Ekspansja całego kosmosu stanowiła jedynie skurczenie się wszystkich jego fizycznych składowych i długości fal jego światła.

Choć kosmos miał zawsze skończoną objętość, w relacji do jego drobnych fal światła był bezkresny i pozbawiony środka. Tak jak powierzchnia rosnącej sfery nie ma granicy czy środka, tak i rosnąca objętość kosmosu była ich pozbawiona. I podczas gdy sferyczna powierzchnia skupiona jest wokół nienależącego do niej punktu, tak kosmos skupiał się wokół punktu w „czwartym wymiarze”.

Stłoczona i wybuchająca chmura ognia pęczniała, aż osiągnęła rozmiary planety, gwiazdy, całej galaktyki i dziesięciu milionów galaktyk. A rosnąc, rozrzedzała się, przysgaszała, uspokajała się.

Obecnie w kosmicznej chmurze trwała walka jej ekspansji z wzajemnym przyciąganiem jej części, rozproszonych na wiele milionów chmur, rój wielkich mgławic.

Przez jakiś czas znajdowały się one tak blisko siebie w relacji do ich objętości, jak kłęby na pochmurnym niebie. Ale przepaście między nimi rozszerzały się, aż stawały się odległe od siebie jak kwiaty na krzewie, jak pszczoły w latającym roju, jak migrujące ptaki, jak okręty na morzu. Coraz bardziej oddalały się od siebie, a jednocześnie każda z nich skupiała się, z początkowo stając się kulą, a następnie obracającą się soczewką i wirem gwiazdnych strumieni.

Kosmos wciąż się poszerzał, aż najodleglejsze od siebie galaktyki oddalały się od siebie tak szybko, że pelzające światło kosmosu nie było już w stanie pokonać dzielącej je przepaści.

Ja zaś wciąż widziałem je wszystkie oczyma wyobraźni, zupełnie jakby jakieś inne, nadkosmiczne i natychmiastowe światło pochodzące znikąd w przestrzeni kosmosu rozświetlało wszystko od wewnątrz.

Ponownie, ale w nowym, zimnym i przenikającym wszystko świetle, przyglądałem się życiu gwiazd i światów, galaktycznych społeczności i siebie samego, aż do chwili, w której wówczas się znajdowałem, naprzeciw nieskończoności, którą ludzie zwą Bogiem i którą wyobrażają sobie zgodnie z własnymi ludzkimi pragnieniami.

Ja również próbowałem teraz uchwycić ego nieskończonego ducha, Sprawcę Gwiazd, w obraz wysnuty przez moją własną, skończoną, choć kosmiczną naturę. Teraz zdawało mi się bowiem, że nagle przerosłem trójwymiarowe postrzeganie właściwe wszystkim stworzeniom i że fizycznym wzrokiem ujrzałem Sprawcę Gwiazd. Zobaczyłem, choć nigdzie w kosmicznej przestrzeni, ogniste źródło kosmicznego światła tak, jakby było przytłaczająco jasnym punktem, gwiazdą, słońcem potężniejszym niż suma wszystkich słońc. Zdawało mi się, że ta promienna gwiazda leżała w samym środku czterowymiarowej sfery, której zakrzywiona powierzchnia była trójwymiarowym kosmosem. Ta gwiazda gwiazd była w istocie Sprawcą Gwiazd ujrzanym przeze mnie, jego kosmiczne stworzenie, przez jedną chwilę — zanim jego splendor oślepił mój wzrok. I przez tę chwilę wiedziałem, że

zobaczyłem samo źródło całego kosmicznego światła, życia i umysłu oraz wielu innych rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Ale ten obraz, ten symbol, który wytworzył mój kosmiczny umysł pod wpływem niewyobrażalnego doświadczenia, zniekształcił się poprzez sam mój akt percepcji, tak nieadekwatne do sytuacji było moje postrzeganie. Powracając w swej ślepoty do momentu wizji, pomyślałem, że gwiazdę, która była Sprawcą Gwiazd i immanentnym centrum całego istnienia, odebrałem jako spoglądającą na mnie, jej stworzenie, z wyżyn swej nieskończoności. Gdy go ujrzałem, natychmiast rozpostarłem marne skrzydła swojego ducha, by podlecieć ku niemu, ale zostałem oślepiony, oparzony i strącony w dół. Zdawało mi się w owej chwili mej wizji, że cała tęsknota i nadzieja skończonych duchów pragnących zjednoczenia z nieskończonym duchem nadawały siłę moim skrzydłom. Byłem przekonany, że ta Gwiazda, mój Sprawca, musi schylić się ku mnie i unieść mnie, objąć swą światłością. Myślałem bowiem, że ja, duch tak wielu światów, kwiat tak wielu wieków, stanowię Kosmiczny Kościół zasługujący w końcu, by stać się oblubienicą Boga. Zamiast tego jednak straszliwe światło oślepiło mnie, sparzyło i przerwało mój lot.

Nie tylko fizyczny, olśniewający blask uderzył mnie w tym kulminacyjnym punkcie mojego życia. W tej chwili zgodłem, w jakim nastroju był nieskończony duch, który stworzył kosmos i wciąż go wspierał, przyglądając się jego pełnemu udręki rozwojowi. I właśnie to odkrycie mnie powaliło.

Ujrzałem bowiem nie serdeczną, łaskawą miłość, ale zupełnie odmienne nastawienie ducha. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że Sprawca Gwiazd nie stworzył mnie, bym stał się jego oblubienicą ani ukochanym dzieckiem, ale w innym celu.

Zdało mi się, że spojrział na mnie z wyżyn swojej boskości z wyniosłą, choć pełną pasji uwagą artysty oceniającego ukończone dzieło; spokojnie cieszącego się swym osiągnięciem, ale rozpoznającego ostatecznie niewątpliwe wady pierwotnej koncepcji i wciąż pragnącego stworzyć coś świeżego.

Przyglądał mi się ze spokojną wprawą, odsuwając na bok moje niedoskonałości i wchłaniając dla własnego wzbogacenia tę odrobinę wspaniałości, którą zdobyłem dzięki wiekom trudów.

Cierpiąc katusze, podniosłem krzyk przeciwko swemu bezlitosnemu twórcy. Krzychałem, że ostatecznie stworzenie było szlachetniejsze od stwórcy, jako że kochało i pożądało miłości, nawet ze strony gwiazdy będącej Sprawcą Gwiazd, podczas gdy on sam ani nie kochał, ani nie potrzebował miłości.

Jednocześnie jednak, gdy tylko zawołałem tak w swej ślepej niedoli, ogarnął mnie ogromny wstyd. Nagle stało się bowiem dla mnie jasne, że cnota stwórcy nie jest tym samym, co cnota stworzenia. Stwórca, gdyby kochał swoje stworzenie, kochałby jedynie część samego siebie, podczas gdy stworzenie, wielbiąc stwórcę, wielbi wykraczającą daleko poza nie nieskończoność. Zrozumiałem, że cnotą stworzenia było kochać i wielbić, ale cnotą stwórcy było tworzyć i być nieskończonym, niedoścignionym i niepojętym celem czujących go stworzeń.

Jeszcze raz, ale pośród wstydu i uwielbienia, krzyknąłem do swego sprawcy. Powiedziałem:

— Wystarczy, a nawet więcej niż wystarczy, być stworzeniem tak straszliwego i wspaniałego ducha, którego potęgą jest nieskończoność, którego natura wykracza poza granice zrozumienia nawet myślącego kosmosu. Wystarczy być stworzonym, na chwilę ucieleśnić nieskończonego i burzliwie twórczego ducha. W zupełności wystarczy być użytym choćby jako roboczy szkic dla jakiegoś przyszłego, doskonalszego stworzenia.

Splynęła wówczas na mnie dziwny spokój i dziwna radość.

Spoglądając w przyszłość, widziałem bez żalu, a raczej z cichym zainteresowaniem, swój własny uwiędnięcie i upadek. Widziałem, jak populacje gwiazdnych światów zużywają coraz więcej zasobów dla utrzymania swych skromnych cywilizacji. Poddały dezintegracji tak znaczną część wewnętrznej materii gwiazd, że ich światom groziło zapadnięcie się. Niektóre z nich rzeczywiście zawaliły się w próżne wnętrza, niszcząc podziemnych mieszkańców. Zanim nadszedł ten punkt krytyczny, większość udało się przetrwać,

cierpliwie rozebrać na kawałki i odbudować w mniejszej skali. Każdą gwiazdę kolejno przemieniono w świat zaledwie planetarnej wielkości. Niektóre nie były nawet większe od księżyca. Same populacje zmniejszyły się zaledwie do jednej milionowej pierwotnej liczebności. W każdym małym, pustym w środku ziarenku mieścił się zaledwie szkielet cywilizacji, żyjących w coraz nędzniejszych warunkach.

Patrząc na przyszłe eony z kulminacyjnego momentu kosmosu widziałem, jak populacje z całych sił utrzymują najważniejsze elementy swej starożytnej kultury, wciąż z zapalem przeżywają osobiste żywoty, wciąż praktykują relacje telepatyczne między światami, wciąż telepatycznie dzielą się tym, co wartościowe w duchach ich światów, wciąż utrzymują prawdziwą kosmiczną wspólnotę z jednym, kosmicznym umysłem. Widziałem, że wciąż trwa, choć z coraz większym trudem, moja świadomość, walcząca z początkami otępienia i zniechęcenia, pozbawiona już nadziei na osiągnięcie wspanialszego stanu niż to, co już znała ani na położenie przed Sprawcą Gwiazd mniej nieodpowiedniego klejnotu uwielbienia, żyjąca jedynie czystym głodem doznań i z lojalności wobec ducha.

Dopał mnie jednak nieunikniony rozkład. Kolejne światy, zmagające się z coraz większymi trudami ekonomicznymi, zmuszone były zmniejszyć populację poniżej poziomu wymaganego do funkcjonowania własnego wspólnotowego umysłu. Wówczas, jak ulegający degeneracji ośrodek mózgu, nie mógł już wypełniać swojej roli w kosmicznym doświadczeniu.

Patrząc naprzód ze swojego miejsca w kulminacyjnym momencie kosmosu, widziałem, jak ja, kosmiczny umysł, powoli podążam ku śmierci. Ale w moim ostatnim eonie, gdy wszystkie moje moce gasły, a brzemie mojego rozkładającego się ciała mocno uwierało osłabioną odwagę, nadal pocieszało mnie odległe wspomnienie o dawnej przytomności ducha. Albowiem wiedziałem, że nawet w mym ostatnim, najżałośniejszym wieku nadal pada na mnie pełen zapalu, choć odległy wzrok Sprawcy Gwiazd.

Nadal przyglądając się przyszłości z chwili swojej najwyższej, niegasnącej jeszcze dojrzałości, widziałem swoją śmierć, ostatni rozpad tych telepatycznych kontaktów, od których zależało moje istnienie. Od tej pory garstka pozostałych przy życiu światów żyła w absolutnej izolacji, w tym barbarzyńskim stanie, jaki ludzie zwą cywilizowanym. Następnie zaś na kolejnych światach upadały podstawy materialnej cywilizacji, a w szczególności techniki dezintegracji atomowej i fotosyntezy. Świat po świecie albo doprowadzał przypadkiem do eksplozji resztki zasobów materii i przemieniał się w rozszerzającą się, gasnącą sferę fal świetlnych w nieprzeniknionej ciemności, albo umierał żałośnie w głodzie i chłodzie. Teraz w całym kosmosie nie pozostało już nic poza ciemnością i ciemnymi kłębowiskami kurzu, które dawniej były galaktykami. Minęły nieprzeliczone eony. Jedną po drugiej każda chmura pyłu zapadała się w siebie w wyniku grawitacyjnego wpływu swych części składowych, aż ostatecznie, nie bez ognistych kolizji między wędrownymi ziarenkami, cała materia w każdym z kłębowisk skupiła się w jedną bryłę. Ciśnienie ogromnych, zewnętrznych rejonów ogrzewało wewnątrz każdej z nich, rozpalając w niej żar, a nawet eksplozje. Ostatnie zasoby kosmosu powoli uchodziły w formie promieniowania z chłodniejących brył i nie pozostało nic poza skałą i niewyobrażalnie słabymi szmerami promieniowania poruszającymi się we wszystkich kierunkach po całym, wciąż „rozszerzającym się” kosmosie, o wiele za wolno, by pokonać rosące przepaście między odizolowanymi kamiennymi ziarenkami.

Tymczasem, jako że każdy skalisty glob, który dawniej był galaktyką, oddalił się od wszelkiego możliwego fizycznego wpływu podobnych sobie i nie było już umysłów, które utrzymywałyby między nimi kontakt, każdy w zasadzie stanowił teraz osobny wszechświat. A jako że ustały wszelkie zmiany, ustał też czas każdego z jałowych wszechświatów.

Ponieważ taki najwyraźniej miał być nieruchomy i wieczny koniec, wycofałem swoją zmęczoną uwagę z powrotem do kulminacyjnego punktu, który tak naprawdę był dla mnie terazniejszością czy też bliską przeszłością. I z całą dojrzałą mocą swojego umysłu próbowałem ujrzeć wyraźniej to, co w tej chwili ujrzałem. Przez ten moment, gdy zobaczyłem ognistą gwiazdę, która była Sprawcą Gwiazd, w samym środku tego splendoru dostrzegłem przelotnie dziwne widoki istnienia, jak gdyby w głębiach hiperkosmicznej przeszłości i hiperkosmicznej przyszłości, a jednak współlistniejący w wieczności, leżał kosmos poza kosmosem.

XIV. MIT STWORZENIA

Piechur w górzystym kraju, zagubiony w mgle, po omacku poruszający się od skały do skały, może nagle wyjść spośród chmur i znaleźć się na samym skraju przepaści. Pod sobą widzi doliny i wzgórze, równiny, rzeki i rozległe miasta, morze ze wszystkimi wyspami, a nad sobą słońce. Tak właśnie ja, w kulminacyjnym momencie kosmicznego doświadczenia, wyłoniłem się z mgły swojej skończoności, by stanąć naprzeciw kosmosu ponad kosmosem i światła, które nie tylko oświetla, ale i daje wszystkiemu życie. Następnie zaś zagłębiłem się we mgle.

Tej dziwnej wizji, niewyobrażalnej dla jakiegokolwiek skończonego umysłu, nawet umysłu kosmicznej wielkości, nie jestem w stanie opisać. Ja, maleńki człowieczek, jestem teraz od niej nieskończenie odległy, a nawet dla kosmicznego umysłu stanowiła ona nie lada orzech do zgryzienia. Ale gdybym nie powiedział nic o koronnej chwili mojej przygody, zadałbym kłam duchowi jako całości. Choć ludzki język, a nawet ludzka myśl są być może z samej swej natury niezdolne do wyrażenia metafizycznej prawdy, muszę w jakiś sposób spróbować coś przekazać, choćby z użyciem metafory.

Mogę jedynie zapisać, na ile potrafię przy swoich ubogich ludzkich możliwościach, coś z dziwnego i burzliwego wpływu tej wizji na moją kosmiczną wyobraźnię, gdy nieznośna przytomność już mnie oślepiła i po omacku próbowałem przypomnieć sobie to, co mi się objawiło. Albowiem w mojej ślepcie wizja pozostawiła w moim porażonym umyśle fantastyczne odbicie siebie, echo, symbol, mit, szalony sen, żałośnie prostacki i przekłamany, ale, jak uważam, nie bez znaczenia. Ten ubogi mit, tę ordynarną metaforę, opiszę na tyle, na ile jestem w stanie przypomnieć ją sobie w swoim zaledwie ludzkim stanie. Więcej zrobić nie mogę. Ale nawet tego nie umiem dokonać tak, jak należy. Nie raz, a wiele razy zapisywałem opis swego snu, a następnie go niszczyłem, jako zbyt marny. Z poczuciem kompletnej porażki wyduszę z siebie jedynie kilka z jego najbardziej czytelnych cech.

Jedną cechą rzeczywistej wizji mój mit przedstawiał we wprawiający w zakłopotanie i niewystarczający sposób. Głosił, że kulminacyjny moment mojego doświadczenia jako kosmicznego umysłu w rzeczywistości zawierał w sobie wieczność, a w tej wieczności istniała wielość ciągów czasowych zupełnie od siebie odrębnych. Choć w wieczności obecne są wszystkie czasy, a nieskończony duch, jako idealny, musi zawierać w sobie pełne osiągnięcie wszelkiej możliwej kreacji, a jednak nie było to możliwe, o ile w swoim skończonym, doczesnym i twórczym aspekcie nieskończony i absolutny duch nie wyobraził sobie i nie wykonał ogromnej serii aktów stworzenia. Na potrzeby stworzenia wieczny i nieskończony duch ustanawia czas wewnątrz swojej wieczności, zawiera w sobie cały długi ciąg kreacji.

W moim śnie sam Sprawca Gwiazd, jako wieczny i absolutny duch, beczasowo rozmyślał nad wszystkimi swoimi dziełami. Ale również jako skończony i twórczy fragment absolutnego ducha ucieleśniał swoje kolejne dzieła w sekwencji czasowej odpowiedniej dla jego własnego rozwoju. I każde z jego dzieł, każdy z kosmosów, sam zawierał w sobie swój szczególny czas, więc Sprawca Gwiazd mógł oglądać cały ciąg wydarzeń wewnątrz pojedynczego kosmosu nie tylko z wnętrza kosmicznego czasu, ale również z zewnątrz, z czasu odpowiadającego jego własnemu życiu, w którym wszystkie kosmiczne epoki współistniały równocześnie ze sobą.

Według tego dziwnego snu czy też mitu, który opanował mój umysł, Sprawca Gwiazd w swym skończonym i twórczym aspekcie był w rzeczywistości rozwijającym się, budującym się duchem. To, że jest taki, a jednocześnie wiecznie doskonały, pozostaje oczywiście niewyobrażalne dla ludzi. Ale mój umysł, obciążony nadludzką wizją, nie znalazł innego sposobu na wyrażenie samemu sobie tajemnicy stworzenia.

W wieczności, jak oznajmił mi mój sen, Sprawca Gwiazd jest nieskończony i absolutny. Jednakże na początku czasu właściwego dla jego twórczego aspektu był raczkującym bóstwem, niespokojnym, ochoczym, potężnym, lecz pozbawionym wyraźnej woli. Dysponował całą mocą twórcą. Mógł tworzyć wszechświaty z wszystkiego rodzaju fizycznymi i mentalnymi atrybutami. Ograniczała go jedynie logika. Mógł więc zaordynować najbardziej zaskakujące prawa na tury, ale nie mógł, na przykład, sprawić, że dwa razy dwa

Stworzenie

równać się będzie pięć. We wczesnej fazie ograniczała go też własna niedojrzałość. Nadal pogrążony był w niemowlęcym transie. Choć nieświadomym źródłem jego poszukującej i tworzącej mentalności była jego wieczna esencja, świadomie z początku był jedynie niewyraźnym, ślepyim głodem twórczości.

U swych początków niezwłocznie zaczął odkrywać swoją moc. Wyodrębnił z siebie część własnej nieświadomej substancji, aby stała się nośnikiem jego sztuki i kształtował ją ze świadomą celowością. Raz po raz budował jeden zabawkowy kosmos po drugim.

Ale własna nieświadoma substancja twórczego Sprawcy Gwiazd nie była niczym innym, jak tylko samym wiecznym duchem, Sprawcą Gwiazd w jego wiecznym i doskonałym aspekcie. Dlatego też, w swych niedojrzałych fazach, gdy tylko wyodrębnił z własnych trzewi surową substancję kosmosu, substancja ta okazywała się być nie bezkształtna, ale bogata w określone potencjały, logiczne, fizyczne, biologiczne i psychologiczne. Te potencjały czasami opierały się świadomej celowości młodego Sprawcy Gwiazd. Nie zawsze potrafił je wszystkie uwzględnić, nie mówiąc o ich spełnieniu. Zdawało mi się, że ta idiosynkrazia samego tworzywa często niweczyła jego plan, ale także sugerowała raz po raz bardziej żywe koncepcje. Zgodnie z moim mitem Sprawca Gwiazd wielokrotnie uczył się na swych dziełach i je przerastał, a następnie pragnął pracować nad szerszym zakrojonym planem. Odstawiał na bok jeden ukończony kosmos po drugim i wydobywał z siebie kolejne stworzenie.

We wczesnej części mojego snu wielokrotnie ogarniały mnie wątpliwości, co Sprawca Gwiazd próbował osiągnąć w swej twórczości. Pozostało mi uznać, że jego cel początkowo nie był jednoznacznie określony. Sam ewidentnie musiał odkryć go stopniowo i często, jak mi się zdawało, jego praca była zaledwie próbą, niedążącą w jednoznacznym kierunku. Ale osiągnąwszy dojrzałość, chciał już tworzyć jak najpełniej, wykorzystywać cały potencjał tworzywa, powoływać do życia dzieła o coraz większej subtelności i coraz większej harmonijnej różnorodności. W miarę jak jego cel stawał się jaśniejszy, zdawało się, że zawiera w sobie wolę tworzenia wszechświatów, z których każdy zawierać miał jakieś wyjątkowe osiągnięcie świadomości i ekspresji. Wyżyny percepcji i woli osiągnięte przez stworzenie najwyraźniej stanowiły narzędzie, dzięki któremu sam Sprawca Gwiazd, kosmos po kosmosie, osiągał coraz przenikliwszą przytomność ducha.

W taki oto sposób, dzięki kolejnym twórcom, Sprawca Gwiazd przemierzał kolejne etapy progresji od dziecięcej ku dojrzałej boskości.

Tak właśnie ostatecznie stał się tym, czym z wiecznego punktu widzenia był już na początku, podstawą i ukoronowaniem wszystkiego.

W typowy dla snów irracjonalny sposób ten sen-mit, który pojawił się w moim umyśle, przedstawiał wiecznego ducha jako jednocześnie przyczynę, jak i skutek nieskończonej rzeszy skończonych istnień. W jakiś nieczytelny sposób wszystko, co skończone, choć stanowiło w pewnym sensie wyobrażenia absolutnego ducha, było także kluczowe dla samej egzystencji absolutnego ducha. Nie miał żadnego istnienia poza tym. Ale czy ta niejasna relacja przedstawiała jakąś ważną prawdę, czy jedynie trywialną, senną fikcję, nie jestem w stanie powiedzieć.

XV. SPRAWCA I JEGO DZIEŁA

I. NIEDOJRZAŁE TWORZENIE

Według fantastycznego mitu czy też snu wywołanego w moim umyśle po najwyższym momencie doświadczenia — ten konkretny kosmos, który zacząłem uważać za „siebie”, mieści się gdzieś ani wcześniej, ani późno w szerokim ciągu dzieł. Zdawał się w pewnych kwestiach stanowić pierwszy dojrzały twór Sprawcy Gwiazd, ale w porównaniu z późniejszymi jego duch był wciąż młodzieńczy.

Choć wczesne twory wyrażają naturę Sprawcy Gwiazd jedynie w jego niedojrzałej fazie, większość z nich w ważnych aspektach pozostaje oddalonych od ludzkiej myśli na tyle, że nie jestem teraz w stanie ich przywołać. Pozostały mi po sobie jedynie niewyraźne poczucie wielości i różnorodności dzieł Sprawcy Gwiazd. Mimo wszystko jednak pozostało mi parę czytelnych dla człowieka śladów i muszę je tu opisać.

W prymitywnym medium moich snów pierwszy ze wszystkich kosmosów pojawił się jako coś zaskakująco prostego. Nowo narodzony Sprawca Gwiazd, którego drażniła, jak mi się zdawało, jego niewyraźna moc, sformułował i wyłonił z siebie dwie cechy. Z nich jedynie stworzył swoją pierwszą kosmiczną zabawkę, czasowy rytm, jak gdyby dźwięku i ciszy. Tę prostą perkusję, zapowiedź tysiąca dzieł, rozwinął z dziecięcym, lecz boskim zapalem niby migoczący tatuaż, zmienną złożoność rytmu. Następnie, poprzez kontemplację prostej formy swojego stworzenia, znalazł możliwość bardziej subtelnej kreacji. Tak oto pierwsze z dzieł wywołało w jego twórcy potrzebę, której nigdy nie był w stanie zaspokoić. Młody Sprawca Gwiazd doprowadził więc swój pierwszy kosmos do końca. Spoglądając na niego z zewnątrz kosmicznego czasu, który wytworzył, widział cały jego rozwój jednocześnie. A gdy po cichu ocenił swoją pracę, skierował swoją uwagę ku kolejnej.

Od tej pory z jego żarliwej wyobraźni wylaniał się kosmos po kosmosie, każdy bogatszy i subtelniejszy od poprzedniego. W niektórych ze swoich wczesnych dzieł zdawał się interesować jedynie fizycznym aspektem substancji, którą wyodrębnił z siebie. Był ślepy na jej potencjał psychiczny. Ale w jednym z wczesnych kosmosów wzorce cech fizycznych, którymi się bawił, symulowały indywidualność i życie, którego w rzeczywistości nie miały. A może miały? W późniejszym dziele prawdziwe życie pojawiło się w wyjątkowo dziwny sposób. Był to kosmos, który Sprawca Gwiazd pojmował fizycznie tak, jak ludzie pojmują muzykę: stanowił on bogatą sekwencję cech o różnorodnym tonie i intensywności. Dziecinny Sprawca Gwiazd z rozkoszą bawił się tą zabawką, wymyślając nieskończone bogactwo melodii i kontrapunktów. Ale zanim rozgryzł wszelkie niuanse wzorców tego małego świata chłodnej, matematycznej muzyki, zanim stworzył więcej niż kilka pozbawionych życia muzycznych stworzeń, jasne stało się, że niektóre z tych istot manifestowały ślady własnego życia, odpornego na świadomy cel Sprawcy Gwiazd. Muzyczne motywy zaczęły zachowywać się niezgodnie z kanonem, który im narzucił. Wydawało się, że przyglądał się im ze znacznym zainteresowaniem i że doprowadziło go to do nowych koncepcji, wykraczających poza moc tych istot. Dlatego też zakończył ten wszechświat, zresztą w nowatorski sposób. Wymyślił, że ostatni stan kosmosu doprowadzi bezpośrednio do pierwszego. Splótł ostateczną chwilę z początkiem, aby kosmiczny czas układał się w nieskończony krąg. Po przyjrzeniu się swojej pracy z zewnątrz, we właściwym sobie czasie, odstawił ją na bok i skierował uwagę ku kolejnej.

W następnym kosmosie świadomie umieścił coś z własnej percepcji i woli, nakazując, aby pewne wzorce i rytmy były postrzegającymi świat ciałami postrzegających ducha umysłów. Stworzenia owe miały pracować wspólnie, by wytworzyć harmonię przewidzianą dla swego kosmosu, ale zamiast tego każde próbowało ukształtować cały kosmos zgodnie z własną formą. Stworzenia walczyły rozpaczliwie, każde przekonane o własnej racji. Gdy uległy uszkodzeniu, czuły ból. Najwyraźniej niczego podobnego młody Sprawca Gwiazd nigdy nie doświadczył ani nawet sobie nie wyobrażał. Z wielkim zaskoczeniem i zainteresowaniem oraz, jak mi się zdawało, z niemal diabelską wesołością przyglądał się wybrykom i cierpieniom swoich pierwszych żywych istot, aż w wyniku wzajemnych walk i rzezi zaprowadziły chaos w tym kosmosie.

Stworzenie

Odtąd Sprawca Gwiazd nie ignorował już potencjału żywotów stworzonych przez siebie istot. Wydawało mi się jednak, że wiele z jego wczesnych eksperymentów z tworzeniem życia wychodziło nie po jego myśli i że czasami, jak gdyby nabrawszy obrzydzenia do , powracał na jakiś czas fantazji wyłącznie z zakresu fizyki.

Mogę jedynie pokrótce opisać mnogość wczesnych tworów. Wystarczy powiedzieć, że stworzyła je boska, ale nadal niedojrzała wyobraźnia i były jak jaskrawe, ale trywialne bańki, pełne krzykliwych kolorów, bogate w fizyczne subtelności, liryczne i często tragiczne, pełne miłości i nienawiści, żądy, aspiracji i wspólnych przedsięwzięć eksperymentalnych świadomych stworzeń Sprawcy Gwiazd.

Wiele z tych wczesnych uniwersów było nieprzestrzennych, choć mimo wszystko fizycznych. Z tych nieprzestrzennych wszechświatów niektóre należały do „muzycznego” typu, w którym miejsce przestrzeni zajmował dziwny wymiar odpowiadający muzycznemu strojowi, ogromny i pełen miriad różnic tonalnych. Zamieszkujące je tam stworzenia ukazywały się sobie nawzajem jako złożone wzory i rytmy tonów. Mogły poruszać dźwiękowymi ciałami w wymiarze tonu i czasami w innych, niewyobrażalnych dla ludzi wymiarach. Ciało istoty stanowiło mniej więcej stały wzór tonalny, z tym samym stopniem elastyczności i drobnych zmian, co ludzkie ciało. Mogło też przemierzać inne żywe ciała w wymiarze tonu podobnie, jak zmarszczki na powierzchni stawu mogą nadchodzić na siebie nawzajem. Ale choć te istoty mogły się przenikać, potrafiły też chwycić i uszkadzać nawzajem swoje tonalne tkanki. Niektóre w istocie żyły, pożerając inne, jako że te bardziej złożone musiały integrować we własne wzorce życiowe prostsze wzorce, które wylaniały się w całym kosmosie bezpośrednio z twórczej mocy Sprawcy Gwiazd. Inteligentne istoty mogły manipulować dla własnych celów elementami wrywanymi ze stałego środowiska tonalnego, tworząc dźwiękowe konstrukcje. Niektóre z nich służyły jako narzędzia usprawniające działalność „rolniczą”, dzięki którym miały w bród naturalnego pożywienia. Wszechświaty tego bezprzestrzennego rodzaju, choć nieporównanie prostsze i skromniejsze niż nasz kosmos, były dość bogate, by wytworzyć społeczeństwa zdolne nie tylko do „rolnictwa”, ale i „rzemiosła”, a nawet pewnego rodzaju czystej sztuki łączącej cechy pieśni, tańca i poezji. Filozofia, rodzaju raczej pitagorejskiego, pojawiła się po raz pierwszy w jednym z kosmosów muzycznego typu.

W niemal wszystkich dziełach Sprawcy Gwiazd, jak ujrzałem w swoim śnie, czas był bardziej fundamentalnym atrybutem niż przestrzeń. Choć w niektórych z najwcześniejszych jego kreacji brakowało czasu i były one statycznymi projektami, wkrótce porzucił ten plan, jako że nie pozwalał na wyrażenie całej skali jego umiejętności. Poza tym, jako że wykluczały one możliwość powstania życia i umysłu, były niekompatybilne ze wszystkimi późniejszymi fazami jego zainteresowań.

Mój sen wyjaśnił, że przestrzeń pojawiła się początkowo jako rozwinięcie nieprzestrzennego wymiaru w „muzycznym” kosmosie. Zamieszkujące go tonalne istoty mogły poruszać się nie tylko „w górę” i „w dół” skali, ale także „na bok”. W ludzkiej muzyce pewne motywy mogą zdawać się nadchodzić lub wycofywać z uwagi na różnice głośności i tembru. Podobnie stworzenia z tego „muzycznego” kosmosu mogły zbliżać się do siebie nawzajem lub wycofywać się i ostatecznie zniknąć z zasięgu słuchu. Poruszając się „w bok”, podróżowały przez ciągle zmieniające się tonalne środowiska. W kolejnym kosmosie ten ruch „w bok” wzbogacony został prawdziwe przestrzenne doświadczenie.

Następnie doszło do powstania dzieł o przestrzennym charakterze kilku wymiarów, dzieła euklidesowe i nieeuklidesowe, dzieła ukazujące wielką różnorodność zasad geometrycznych i fizycznych. Czasami czas, czy też czasoprzestrzeń, stanowiły fundamentalną rzeczywistość kosmosu i istoty były jedynie ich ulotnymi modyfikacjami. Częściej jednak fundamentalne były jakościowe wydarzenia powiązane na czasoprzestrzenne sposoby. W niektórych przypadkach system relacji przestrzennych był nieskończony, w innych skończony, ale nieograniczony. W niektórych fizyczny zakres przestrzeni stanowił stałą wielkość w relacji do atomowych składowych kosmosu. W innych, jak w naszym własnym kosmosie, przestrzeń „rozszerzała się”, a w jeszcze innych „kurczyła”. Końcem ta-

kiego kosmosu, być może bogatego w inteligentne społeczności, była kolizja i stłoczenie wszystkich jego części oraz ich ostateczne skupienie się w bezwymiarowym punkcie.

W niektórych dziełach po ekspansji i ostatecznym zamarcu następowała kontrakcja i zupełnie nowe działania fizyczne. Czasami na przykład grawitację zastępowała anty-grawitacja. Wszystkie duże skupiska materii rozpadały się, a mniejsze oddalały się od siebie. W jednym z takich kosmosów odwróceniu uległo również prawo entropii. Energia, zamiast stopniowo rozprzestrzeniać się równomiernie po całym kosmosie, stopniowo skupiała się w materialnych jednostkach. Z czasem zaczynałem podejrzewać, że po moim własnym kosmosie nastąpi odwrócony kosmos tego rodzaju, w którym, oczywiście, natura żywych istot będzie fundamentalnie różna od wszystkiego, co wyobrażalne dla ludzi. Ale to dygresja, jako że obecnie opisuję znacznie wcześniejsze i prostsze uniwersa.

Wiele wszechświatów fizycznie składało się z płynnych bezmiarów, w których poruszały się stałe istoty. Inne zbudowano jako ciągi koncentrycznych sfer zaludnionych przez różnego rzędu stworzenia. Niektóre z wczesnych wszechświatów były quasi-astrofizyczne i składały się z próżni upstrzonej rzadkimi i drobnymi centrami mocy.

Czasami Sprawca Gwiazd tworzył wszechświat pozbawiony jednej, obiektywnej natury fizycznej. Zamieszkujące go istoty zupełnie na siebie nie wpływały, lecz w wyniku bezpośredniej stymulacji Sprawcy Gwiazd każde stworzenie wyobrażało sobie ułudny, ale solidny, użyteczny świat fizyczny, zaludniony przez wytwory jego wyobraźni. Dzięki matematycznemu geniuszowi Sprawcy Gwiazd te subiektywne światy były ze sobą doskonale skorelowane.

Nie mogę opowiedzieć więcej o niesamowitej różnorodności fizycznych form, które, zgodnie z moim snem, przyjmowały wczesne twory. Dość wspomnieć, że ogólnie rzecz biorąc, każdy wszechświat był bardziej złożony i w pewnym sensie obszerniejszy niż poprzedni. W każdym bowiem ostateczne jednostki fizyczne były mniejsze i liczniejsze w odniesieniu do całości. Poza tym w każdym liczba świadomych istot była zwykle większa niż we wcześniejszych; były też bardziej różnorodne. A najbardziej przebudzone w każdym kosmosie docierały do wyższego poziomu świadomości niż ktokolwiek w poprzednim.

Biologicznie i psychologicznie najwcześniejsze twory były bardzo zróżnicowane. W niektórych przypadkach występowała znana nam ewolucja biologiczna. Niewielka mniejszość gatunków z trudem wznosiła się ku wyższej jasności umysłu. W innych gatunki były biologicznie stałe i postęp, jeśli następował, był wyłącznie kulturowy. W niektórych z najbardziej zdumiewających dzieł najbardziej przebudzony stan kosmosu występował na jego początku, a Sprawca Gwiazd ze spokojem przyglądał się rozkładowi jego świadomości.

Czasami kosmos rozpoczynał się jako pojedynczy, niskiego rzędu organizm z wewnętrznym, nieorganicznym środowiskiem. Następnie rozszczał się na coraz większe mrowie coraz mniejszych, zindywidualizowanych i przebudzonych istot. W niektórych z tych wszechświatów ewolucja trwała do czasu, aż stworzenia stały się zbyt drobne, by pomieścić złożoną strukturę organiczną potrzebną inteligentnym umysłom. Sprawca Gwiazd przyglądał się wtedy, jak kosmiczne społeczności rozpaczliwie starają się zapobiec nieuchronnej degeneracji swojej rasy.

W niektórych dziełach koronnym osiągnięciem kosmosu był chaos wzajemnie niezrozumiałych społeczeństw, z których każde oddane było służbie jakiegoś aspektowi ducha i wrogie pozostałym. W niektórych punktem kulminacyjnym była jedna utopijna społeczność rozmaitych umysłów; w innych jeden złożony kosmiczny umysł.

Czasami Sprawca Gwiazd miał ochotę nakazać, aby każde stworzenie w kosmosie stanowiło nieuniknioną, zdeterminowaną ekspresję wpływu środowiska na jego przodków i na nie. W innych dziełach każde stworzenie dysponowało jakąś mocą arbitralnego wyboru i jakąś odrobiną kreatywności samego stwórcy. Tak zdawało mi się we śnie, ale nawet tam podejrzewałem, że dla bardziej subtelny obserwatora oba rodzaje wyglądałyby na predeterminowane, a jednocześnie także spontaniczne i twórcze.

Zazwyczaj Sprawca Gwiazd, gdy już ustanowił podstawowe zasady wszechświata i stworzył jego stan początkowy, zadowalało go przyglądanie się jego rozwojowi. Czasami jednak decydował się na interwencję albo naruszając naturalne prawa, które sam zarządził, albo wprowadzając nowe, emergentne, kształtujące kosmos zasady lub też wpływając na

umysły zamieszkujących go stworzeń poprzez bezpośrednie objawienie. Według mojego snu, czasami miało to na celu ulepszenie kosmicznego projektu, ale częściej interwencja była włączona w pierwotny plan.

Czasami Sprawca Gwiazd tworzył dzieła, które stanowiły grupy wielu połączonych wszechświatów, całkowicie odrębnych systemów fizycznych bardzo różnych rodzajów, ale powiązanych z uwagi na to, że stworzenia przeżywały swoje życia w jednym kosmosie za drugim, w każdym habitacie przyjmując rodzimą formę fizyczną, ale w tej transmigracji przynosząc ze sobą blade, łatwe do niewłaściwego zinterpretowania wspomnienia wcześniejszych egzystencji. Ta zasada transmigracji czasami stosowana była też inaczej. Nawet dzieła, które nie były połączone w ten sposób, mogły zawierać stworzenia, których umysły w jakiś niejasny, ale niepokojący sposób stanowiły echo doświadczeń i temperamentu ich odpowiedników w jakimś innym kosmosie.

W kolejnych kosmosach ich stwórca stosował inny ciekawy proces twórczy. Wspominałem już wcześniej, że w moim śnie niedojrzały Sprawca Gwiazd zdawał się przyglądać tragicznej porażce swojego pierwszego biologicznego eksperymentu z pewnego rodzaju diabelską satysfakcją. W wielu kolejnych dziełach również wydawał się być rozdarty. Gdy tylko jego świadomy plan twórczy został zakłócony przez jakiś niespodziewany potencjał substancji, którą wydzielił ze swej nieświadomej głębi, wpadał w nastrój łączący w sobie obok frustracji także zaskoczenie i satysfakcję, jak gdyby doszło do zaspokojenia jakiegoś nierozpoznanego głodu.

Na dłuższą metę rozdarcie to zrodziło nowy sposób tworzenia. W rozwoju Sprawcy Gwiazd, jak przedstawiało się to w moim śnie, nadszedł etap, w którym postanowił rozdzielić się na dwa niezależne duchy, z których jeden, zasadniczy, dążył do pozytywnego tworzenia form życia i ducha oraz coraz większej świadomości, a drugi był duchem buntowniczym, niszczyielskim i cynicznym, który nie znosił istot innych niż takie, które pasożytowały na pracy innych.

Wielokrotnie rozdzielał te dwa aspekty siebie jako dwa niezależne duchy i pozwalał im walczyć w kosmosie o dominację. Jeden taki kosmos, składający się z trzech połączonych wszechświatów, przypominał nieco chrześcijańską ortodoksję. Pierwszy z wszechświatów zamieszkały był przez pokolenia stworzeń obdarzonych w różnym stopniu wrażliwością, inteligencją i moralnością. Tu oba duchy grały o dusze tych istot. „Dobry” duch napominał, pomagał, nagradzał, karał; „zły” zwodził, kusił i niszczył moralnie. Po śmierci istoty przechodziły do jednego z dwóch kolejnych wszechświatów, stanowiących beczasowe niebo i beczasowe piekło. Tam doświadczali wiecznej chwili ekstatycznego zrozumienia i uwielbienia albo też skrajnego cierpienia i żalu.

Gdy mój sen ukazał mi ten prostacki, barbarzyński obraz, początkowo ogarnęło mnie przerażenie i niedowierzenie. Jakże Sprawca Gwiazd, nawet w swej niedojrzałości, mógł skazać swoje stworzenia na męczarnie za słabość, którą sam im nadał? Jakże tak mściwe bóstwo mogło domagać się czci?

Na próżno wmawiałem sobie, że we śnie musiało dojść do zupełnego zafalszowania rzeczywistości. Byłem bowiem przekonany, że pod tym względem sen nie był fałszywy, ale w jakimś sensie prawdziwy, przynajmniej symbolicznie. Ale nawet w obliczu tego brutalnego czynu, nawet pośród odrazy i zgrozy, oddawałem hołd Sprawcy Gwiazd.

Aby usprawiedliwić przed sobą samym tę cześć, mówiłem sobie, że ta straszliwa tajemnica wykraczała znacznie poza moje zrozumienie i że w jakimś sensie nawet tak rażące okrucieństwo musi — w Sprawcy Gwiazd — być słuszne. Czyżby barbarzyństwo było jego cechą tylko w niedojrzałym okresie? Czy później, gdy już był w pełni sobą, w końcu z niej wyrósł? Nie! Wiedziałem już w głębi duszy, że ta bezlitosność miała manifestować się nawet w ostatnim kosmosie. Czy w takim razie mógł istnieć jakiś kluczowy fakt, który przeoczyłem, który uzasadniałby taką mściwość? Czyżby po prostu wszystkie istoty rzeczywiście stanowiły jedynie wytwory mocy twórczej i dręcząc je, Sprawca Gwiazd zadreślał tylko sam siebie w ramach swojej samoekspresji? Czy też może nawet samego Sprawcę Gwiazd, choć niewątpliwie był potężny, ograniczały pewne absolutne zasady logiczne i jedną z nich była nierozzerwalna więź między zdradą a żalem u na poły przebu-

dzonych duchów? Czyżby, w tym dziwnym kosmosie, po prostu zaakceptował i wykorzystał te nieuniknione ograniczenia swojej sztuki? Czy też może oddawałem cześć Sprawcy Gwiazd tylko jako „dobremu” duchowi, a nie „złemu”? A może poprzez to rozszczepienie w istocie starał się usunąć z siebie zło?

Niektóre z tych wyjaśnień sugerowała dziwna ewolucja tego kosmosu. Jako że jego mieszkańcy dysponowali w większości niskim poziomem inteligencji i moralności, piekło wkrótce się przepełniło, podczas gdy niebo pozostawało niemal puste. Ale Sprawca Gwiazd w swoim „dobrym” aspekcie kochał swoje stworzenia i im współczuł. „Dobry” duch wkroczył więc w doczesną sferę, by odkupić winy grzeszników swoim własnym cierpieniem. W końcu więc niebo się zaludniło, choć piekło nadal się nie wyludniało.

Czyżbym więc czcił tylko „dobry” aspekt Sprawcy Gwiazd? Nie! Irracjonalnie, ale z przekonaniem, oddawałem hołd Sprawcy Gwiazd jako zawierającemu oba aspekty jego dwojakiej natury, zarówno „dobry”, jak i „zły”, łagodny i straszliwy, idealnie ludzki i niezrozumiale bestialski. Jak zauroczony kochanek, który zaprzecza oczywistym wadom swojej ukochanej lub je usprawiedliwia, próbowałem umniejszać nieludzkość Sprawcy Gwiazd, a nawet się nią rozkoszowałem. Czy w mojej własnej naturze było więc coś okrutnego? Czy też moje serce w niejasny sposób rozpoznało, że miłość, ostateczna cnota wszystkich stworzeń, nie może u stwórcy być absolutna?

Ten tragiczny i nierozwiązywalny problem znów dręczył mnie przez cały czas trwania snu. Pojawilo się na przykład dzieło, w którym obu duchom pozwolono walczyć w nowy, subtelniejszy sposób. We wczesnej fazie kosmos ten przejawiał jedynie cechy fizyczne, ale Sprawca Gwiazd sprawił, że jego potencjał miał stopniowo przejawiać się w pewnego rodzaju żywych stworzeniach, które, z pokolenia na pokolenie, miały przewyżczyć czystą fizyczność, by ewoluować w kierunku rozwoju intelektu i przytomności ducha. W tym kosmosie pozwolił, aby „dobry” i „zły” duch konkurowały nawet przy samym konstruowaniu tych istot.

Przez długie wczesne wieki duchy walczyły podczas ewolucji niezliczonych gatunków. „Dobry” duch starał się stworzyć istoty bardziej zorganizowane, bardziej indywidualne, delikatniej powiązane ze swoim środowiskiem, sprawniejsze, bardziej świadome swojego świata, siebie i innych. „Zły” duch próbował zakłócać to przedsięwzięcie.

Organy i tkanki wszystkich gatunków manifestowały w sobie konflikt tych dwóch duchów. Czasami „zły” duch sporządzał z pozoru nieistotne, ale podstępne i ostatecznie śmiertelne dla istot cechy, takie jak wyjątkowa podatność na pasożyty, jakaś słabość układu pokarmowego, niestabilność układu nerwowego. W innych przypadkach „zły” duch wyposażał jakiś niższy gatunek w specjalną broń służącą do zniszczenia pionierów ewolucji, aby ci poddali się jakiejś nowej chorobie czy też szkodnikom niszczącym ich własny kosmos, albo co bardziej brutalnym przedstawicielom własnego gatunku.

Zły duch czasami korzystał z jeszcze przebieglejszego podstępu. Gdy „dobry” duch wpadł na jakiś obiecujący pomysł, wprowadzając w faworyzowanego przez siebie gatunku nową strukturę organiczną lub sposób zachowania, zły duch sprawiał, że proces ewolucji trwał długo jeszcze po osiągnięciu stanu idealnego dopasowania do potrzeb danej istoty. Zęby rosły tak wielkie, że utrudniały jedzenie, ochronne skorupy stawały się na tyle ciężkie, że utrudniały ruch, rogi zakrzywiały się tak, że naciskały na mózg, impuls indywidualizmu stawał się na tyle silny, że niszczył społeczeństwo, albo impuls społeczny tak ogromny, że niszczył wszelką indywidualność.

Na kolejnych światach tego kosmosu, znacznie przewyższających wcześniejsze dzieła złożonością, niemal każdy gatunek prędzej czy później czekała zagłada. Ale na niektórych pojedynczy gatunek docierał do „ludzkiego” poziomu intelektu i wrażliwości duchowej. Taka kombinacja mocy powinna zabezpieczać go przed wszystkimi możliwymi atakami. Zarówno jednak inteligencja, jak i wrażliwość były zresztą wypaczane przez „złego” ducha. Choć z natury uzupełniały się, mogły też wchodzić w konflikt, albo obie stać się na tyle przesadne, że były równie śmiertelne jak ekstrawaganckie rogi czy zęby u wcześniejszych gatunków. Inteligencja, która prowadziła z jednej strony do ujarznienia sił fizycznych, a z drugiej do finezji intelektualnej, mogła, jeśli oddzielić ją od duchowej

wrażliwości, prowadzić do katastrofy. Kontrola nad siłami fizyki często prowadziła do manii władzy oraz podziału społeczeństwa na dwie klasy: silnych i zniewolonych. Finezja intelektualna mogła prowadzić do manii analizy i abstrakcji, ślepych na to, czego nie wyjaśniał intelekt. Ale sama wrażliwość, gdy odrzucała intelektualną krytykę i codzienne okoliczności, dławiała się pośród marzeń.

2. DOJRZAŁA TWÓRCZOŚĆ

Zgodnie z mitem, jaki wykoncypował mój umysł, gdy minął kulminacyjny moment mojego kosmicznego doświadczenia, Sprawca Gwiazd pogrążył się w intensywnej medytacji, w której jego natura uległa rewolucyjnej zmianie. Tak przynajmniej sądziłem, patrząc na wielkie zmiany w jego działalności twórczej.

Kiedy przejrzał ponownie dotychczasowe dzieła, odrzucając wszystkie, jak mi się zdawało, naznaczone mieszaniną szacunku i niecierpliwości, odkrył w sobie zupełnie nową koncepcję.

Kosmos, który teraz stworzył, był tym, który zawiera czytelników i autora tej książki. Sporządzając go, wykorzystał, ale znacznie subtelniej, wiele z zasad, które przysłużyły mu się już w poprzednich dziełach. Splótł je ze sobą, by stworzyć bardziej finezyjną jedność o większym potencjale.

W mojej fantazji miałem wrażenie, że realizacji tego nowego przedsięwzięcia towarzyszył odmienny nastrój. Każdy wcześniejszy kosmos zdawał się być zbudowany ze świadomą wolą, by ucieleśniał pewne zasady fizyczne, biologiczne, psychologiczne. Jak już opisałem, często występował konflikt między jego intelektualnym celem a surową naturą, którą włożył w swój twór z głębin własnego tajemniczego jestestwa. Tym razem jednak podszedł do swojego tworzywa z większą wrażliwością. Pierwotny „materiał” duchowy, który wydobył z własnej głębi uformował zgodnie z wciąż niepewnym celem z większą życzliwością, większym szacunkiem dla jego natury i potencjału, choć z dystansem do jego co bardziej ekstrawaganckich żądań.

Mówienie tak o duchu twórczym uniwersum to niemal dziecinna antropomorfizacja. Życie takiego ducha, jeśli w ogóle istnieje, musi znacznie różnić się od ludzkiej mentalności i być zupełnie niewyobrażalne dla człowieka. Mimo wszystko, jako że ten dziecięcy symbolizm został mi narzucony, tak to opisuję. Mimo jego prostactwa być może zawiera w sobie jakieś autentyczne odbicie prawdy, jakkolwiek zniekształconej.

W tym nowym dziele wystąpiła dziwna rozbieżność między własnym czasem Sprawcy Gwiazd a czasem właściwym dla samego kosmosu. Do tej pory, choć mógł oddzielić się od kosmicznego czasu, gdy historia wszechświata dobiegła końca, i obserwować wszystkie kosmiczne epoki równocześnie, nie mógł stworzyć późniejszych faz kosmosu, zanim nie stworzy późniejszych. W tym nowym tworze nie miał jednak takich ograniczeń.

Dlatego też, choć ten nowy kosmos był moim kosmosem, spoglądałem na niego z zaskakującego punktu widzenia. Nie widziałem już znajomej sekwencji wydarzeń historycznych, poczynając od pierwotnej fizycznej eksplozji aż do ostatecznej śmierci. Teraz obserwowałem go nie z wnętrza kosmicznego czasu, ale zupełnie inaczej. Przyglądałem się budowie wszechświata w czasie właściwym dla Sprawcy Gwiazd, a sekwencja jego poczynąń twórczych znacznie odbiegała od historycznej.

Początkowo z głębin swojego jestestwa wydobył coś niebędącego ani umysłem, ani materią, o bogatym potencjale i sugestywnych cechach, przebłyskach, aluzjach, odbiciach jego wyobraźni twórczej. Przez dłuższy czas rozmyślał nad tą substancją. Było to tworzywo, w którym jeden i wielu mieli być subtelnie zależni od siebie nawzajem; w którym wszystkie części i cechy muszą przenikać także wszystkie inne części i cechy i w którym każda rzecz musi pozornie stanowić jedynie wpływ wszystkich innych, a jednak całość musi być sumą wszystkich części, a każda część ma determinować całość. Była to kosmiczna substancja, w której każdy pojedynczy duch musi w tajemniczy sposób być jednocześnie absolutnym jestestwem, jak i zaledwie ułamkiem całości.

To subtelne tworzywo Sprawcy Gwiazd ociosał teraz w ogólną formę kosmosu. W ten sposób uformował wciąż nieokreśloną czasoprzestrzeń, nadal niegeometryczną; bezkształt-

Stworzenie

nią fizyczność bez jednoznacznego kierunku, bez misternie ustanowionych praw fizyki; bardziej konkretnie określoną tendencją rozwoju życia i wspaniałą przygodę umysłu, a także zaskakująco definitywny punkt kulminacyjny przytomności duchowej. Ten ostatni, choć został umieszczony dość późno w kosmicznym czasie, został bardziej precyzyjnie określony we wcześniejszej fazie prac twórczych niż jakikolwiek inny czynnik w kosmosie. Zdawało mi się, że stało się tak dlatego, że sama początkowa substancja tak jasno odsłaniała swój potencjał dla takiej formy duchowej. Dlatego też Sprawca Gwiazd z początku niemal zaniedbał fizyczne detale swojej pracy oraz wczesne epoki kosmicznej historii i poświęcił swoje umiejętności prawie wyłącznie kształtowaniu duchowego klimaksu stworzenia.

Dopiero gdy ustalił szczegóły najbardziej przebudzonej fazy kosmicznego ducha, nakreślił różnorodne tendencje psychologiczne, które w kosmicznej skali czasu miały do niej doprowadzić. Dopiero gdy zarysował niezwykle zróżnicowane motywy rozwoju umysłowego, skierował swoją uwagę ku konstrukcji biologicznej ewolucji oraz fizycznych i geometrycznych niuansów, które najlepiej miały przysłużyć się subtelnyemu potencjałom nadal grubo ociosanego kosmicznego ducha.

Ale w miarę jak rozrysoвывał geometrię wszechświata, co jakiś czas modyfikował też sam szczytowy punkt ducha. Dopiero gdy fizyczna i geometryczna forma kosmosu była niemal gotowa, mógł nadać duchowemu klimaksowi w pełni określoną indywidualność.

Podczas gdy on nadal pracował nad szczegółami niezliczonych, przejmujących indywidualnych żywotów, nad losami ludzi, ichtiooidów, łodzиковców i całej reszty, ja zaczynałem przekonywać się, że jego podejście do własnych stworzeń pozostawało zasadniczo odmienne niż w przypadku innych kosmosów. Nie był wobec nich ani chłodny, ani po prostu w nich zakochany. Kochał swoje dzieło, ale najwyraźniej wyrósł z chęci, by wybawić je od konsekwencji ich skończoności i z okrutnego wpływu środowiska. Kochał je bez litości. Widział bowiem, że szczególne cnoty żywych istot wynikają z ich skończoności, ich drobnej szczególności, ich pełnej cierpienia równowagi między otepianiem a przytomnością umysłu, więc ocalić je przed tym oznaczałoby je zgładzić.

Gdy dokonał ostatnich poprawek wszystkich kosmicznych epok od kulminacyjnego punktu do początkowej eksplozji i ostatecznej śmierci, Sprawca Gwiazd zamyślił się nad swoim dziełem i zobaczył, że jest dobre.

Gdy z miłością, choć niepozbawioną krytycyzmu, przeglądał nasz kosmos w całej jego nieskończonej różnorodności i jego krótkiej chwili przytomności, czułem, że nagle wypełnia go szacunek dla stworzenia, które zbudował lub wydobył z własnej tajemniczej głębi. Wiedział, że choć stanowiło ono niedoskonały wytwór jego własnej mocy twórczej, było w jakimś sensie prawdziwsze od niego. Bo czym był w całym swym splendorze, jeśli nie zaledwie abstrakcyjną mocą stworzenia? Poza tym pod innym względem rzecz, którą stworzył, przewyższała go, była jego nauczycielem. W miarę jak z radością, a nawet podziwem, kontemlował najpiękniejsze i najsubtelniejsze ze swoich dzieł, ono ze swej strony wywierało na niego wpływ i zmieniało go, pogłębiając jego siłę woli. Gdy stopniowo różnił cnoty i słabości swego tworu, dojrzywała jego własna percepcja i sprawność. Tak przynajmniej zdawało się mojemu oszołomionemu umysłowi.

Zatem krok po kroku, tak jak bywało często wcześniej, Sprawca Gwiazd przerósł swoje stworzenie. Coraz bardziej krzywił się na własną serdeczność. Wówczas, najwyraźniej w wyniku konfliktu między szacunkiem a niecierpliwością, odłożył nasz kosmos na jego miejsce spośród innych światów.

Ponownie pogрузił się w medytacji i opętała go żądza tworzenia.

O wielu dziełach, które powstały wówczas, nie mogę zbyt wiele powiedzieć, bo pod wieloma względami wykraczały poza zasięg mojego umysłu. Mogłem zrozumieć tylko, że zawierały, poza wieloma niewyobrażalnymi rzeczami, niektóre cechy stanowiące fantastyczne ucieleśnianie zasad, które już napotkałem. Dlatego też umknęła mi ich najważniejsza nowa cecha.

Mogę jednak powiedzieć o tych dziełach, że podobnie jak nasz kosmos miały ogromny potencjał i były niezwykle misternie wykonane, a także że na jakiś obcy sposób każde

z nich miało aspekt zarówno fizyczny, jak i duchowy, choć w wielu ten fizyczny, jakkolwiek istotny dla rozwoju ducha, był bardziej przezroczysty, bardziej widmowy niż w naszym kosmosie. W niektórych przypadkach podobnie było z aspektem umysłowym, jako że zamieszkujące wszechświat istoty często mniej zwodziła nieprzejrzystość ich indywidualnych procesów myślowych i często były bardziej wrażliwe na ich fundamentalną jedność.

Mogę powiedzieć także, że poprzez wszystkie te dzieła, jak mi się wydawało, Sprawca Gwiazd osiągnąć chce bogactwo, subtelność, głębię i harmonię istnienia. Ale co dokładnie oznaczają te słowa, trudno mi opisać. Zdawało mi się, że w niektórych przypadkach, jak w naszym własnym kosmosie, starał się osiągnąć ten cel za pomocą procesu ewolucyjnego, zwieńczonego wyłonieniem się przebudzonego kosmicznego umysłu, który starał się ogarnąć swoją świadomością całe bogactwo kosmicznej egzystencji i twórczo je powiększać. Ale w wielu przypadkach cel ten osiągnany był z nieporównanie większą oszczędnością wysiłku i cierpienia żywych istot oraz bez ogromnego marnotrawstwa bezowocnych żywotów, które tak łamią nam serce. W innych jednakże dziełach cierpienie zdawało się przynajmniej równie poważne i powszechne, jak w naszym kosmosie.

W swej dojrzałości Sprawca Gwiazd tworzył wiele dziwnych form czasu. Na przykład w niektórych z późniejszych dzieł zaprojektował dwa lub więcej wymiarów temporalnych i żywoty stworzeń stanowiły ciągi czasowe w jednym lub wielu wymiarach temporalnej „powierzchni” lub „objętości”. Istoty te doświadczały swojego kosmosu w dziwaczy sposób. Żyjąc przed krótki czas wzdłuż jednego wymiaru, postrzegały w każdym momencie swojego życia jednoczesny widok, który choć oczywiście fragmentaryczny i niewyraźny, w rzeczywistości stanowił obraz „poprzecznej” kosmicznej ewolucji w innym wymiarze. W niektórych przypadkach stworzenia te prowadziły aktywne życie w każdym temporalnym wymiarze kosmosu. Boska zdolność do ułożenia całej czasowej „objętości” w taki sposób, że wszystkie nieskończone, spontaniczne działania wszystkich istot stworzą spójny system poprzecznych ewolucji, znacznie przekraczał nawet pomysłowość wcześniejszego eksperymentu z „predeterminowaną harmonią”.

W innych dziełach dane stworzenie otrzymywało tylko jedno życie, ale prowadziło je po „zygzaku”, przechodząc z jednego czasowego wymiaru do kolejnego zależnie od dokonywanych przez siebie wyborów. Silne lub moralne decyzje prowadziły w jednym kierunku temporalnym, a słabe lub niemoralne w drugim.

W pewnym niewyobrażalnie złożonym kosmosie, gdy tylko istota stawała wobec kilku możliwych wyborów, podejmowała je wszystkie naraz, tworząc w ten sposób wiele odrębnych wymiarów czasowych i różnych historii kosmosu. Jako że w każdej sekwencji ewolucyjnej kosmosu istniało wiele istot, a każda stawała wciąż przed wieloma możliwymi decyzjami i kombinacje były niezliczone, w każdej chwili rozgałęziały się nieskończone nowe wszechświaty.

W niektórych dziełach każda istota dysponowała percepcją zmysłową całego fizycznego kosmosu z wielu punktów widzenia w przestrzeni, a nawet z każdego z nich. W tym ostatnim przypadku oczywiście oznaczało to, że percepcja każdego umysłu była identyczna w przestrzeni, ale poszczególne z nich różniły się stopniem wnikliwości i zrozumienia. Zależało to od kalibru mentalnego i nastawienia tych umysłów. Czasami istoty te dysponowały nie tylko wszechobecną percepcją, ale i wszechobecną wolą. Mogły podejmować działania w każdym obszarze kosmosu, choć z różną precyzją i wigorem, zależnie od poziomu umysłowego. W pewnym sensie były bezcielesnymi duchami, zmagającymi się o fizyczny kosmos jak szachiści albo jak greccy bogowie spoglądający z góry na Troję.

W innych utworach, choć istniał aspekt fizyczny, nie było odpowiednika znajomego nam systematycznego, fizycznego uniwersum. Doświadczenie fizyczne tych istot całkowicie określał ich wzajemny wpływ na siebie. Każda zalewała pozostałe zmysłowymi „obrazami”, których jakość i kolejność zależała od psychologicznych praw wpływu umysłu na umysł.

W jeszcze innych procesy percepcji, pamięci, rozumowania, a nawet pożądanego i uczucia kształtowały się na tyle odmiennie od naszych, że w zasadzie składały się na mentalność zupełnie innego porządku. O umysłach tych, choć zdawało mi się, że odbieram ich dalekie echa, nie jestem w stanie powiedzieć nic.

A raczej, choć nie mogę nic powiedzieć o obcych psychikach tych istot, mogę zapisać tu jeden uderzający fakt. Pomimo że podstawowa struktura ich umysłów i wzory, w które się układała, były dla mnie niezrozumiałe, pod jednym względem wszystkie te istoty przelotnie stawały się pojmowalne. Jakkolwiek obce były dla mnie ich żywoty, w pewnej kwestii były mi pokrewne. Wszystkie te kosmiczne istoty, starsze ode mnie i hojniej obdarzone, ciągle mierzyły się z istnieniem w sposób, którego ja wciąż niezadarnie próbowałem się uczyć. Nawet w bólu i żalu, nawet pośród najcięższych moralnych zmagania, z radością przyjmowały to, co przynosił im los. Być może najbardziej zaskakującym i podnoszącym na duchu doświadczeniem, które wyniosłem z kosmicznych i hiperkosmicznych doznań, było to poczucie pokrewieństwa i wzajemnej zrozumiałości z większością obcych istot pod względem czystego przeżycia duchowego. Ale wkrótce miałem odkryć, że i pod względem tej więzi wiele jeszcze musiałem się nauczyć.

3. OSTATECZNY KOSMOS I WIECZNY DUCH

Na próżno moja zmęczona, udręczona uwaga próbowała śledzić coraz subtelniejsze dzieła, które zgodnie z moim snem wysnuwał Sprawca Gwiazd. Kosmos po kosmosie wylaniający się z jego żarliwej wyobraźni, każdy z odrębnym, nieskończone różnorodnym duchem, każdy u swego szczytu bardziej przebudzony niż poprzedni i każdy kolejny coraz mniej dla mnie zrozumiały.

W końcu mój sen, mój mit wyjawiał mi, że Sprawca Gwiazd stworzył swój ostateczny, najsubtelniejszy kosmos, do którego wszystkie pozostałe stanowiły zaledwie wstępne przygotowania. O tym finalnym tworze powiem tylko to, że zawierał w swojej strukturze organiczną esencję wszystkich swych poprzedników i jeszcze więcej. Był jak ostatni motyw symfonii, który także może zawierać esencję pozostałych, ale się do niej nie ogranicza.

Metafora ta nie oddaje w pełni subtelności i złożoności ostatecznego kosmosu. Stopniowo zmuszony byłem uwierzyć, że jego relacja z poprzednim kosmosem przypominała tę, która zachodzi między naszym kosmosem a człowiekiem, czy nawet pojedynczym atomem. Każdy kosmos, który ujrzałem do tej pory, okazał się stanowić tylko jeden przykład licznych rodzajów, jak gatunek biologiczny albo wszystkie atomy danego pierwiastka. Życie wewnętrzne każdego „atomowego” kosmosu miało mniej więcej takie znaczenie (czy też taki jego brak) dla życia ostatecznego kosmosu, jak wydarzenia w komórce mózgowej albo w jednym z jej atomów dla życia ludzkiego umysłu. Ale mimo tej ogromnej przepaści wydawało mi się, że w całej oszalałej hierarchii stworzenia odczuwam uderzające podobieństwo ducha. Ostatecznie celem wciąż była wspólnota przytomnego i twórczego umysłu.

Wysilałem swoją niedostateczną inteligencję, by wychwycić coś z formy ostatecznego kosmosu. Z mieszaniną podziwu i protestu ledwie dostrzegłem ostatnie subtelności świata, ciała i ducha, społeczności tych najbardziej różnorodnych i indywidualnych istot, przebudzonych do pełnej samoświadomości i wzajemnego wglądu. Ale gdy próbowałem wsłuchać się bardziej w tę muzykę poszczególnych duchów na niezliczonych światach, dotarły do mnie echa nie tylko niewypowiedzianych rozkoszy, ale i nieukojonych żalów. Bowiem niektóre z tych ostatecznych istot nie tylko cierpiały, ale cierpiały w ciemnościach. Choć obdarzone zostały pełną mocą wnikliwości, ich moc była jałowa. Pozbawiono je wzroku. Cierpiały tak, jak nie mogłyby cierpieć poślednie duchy. Taka intensywność przykrych doświadczeń była nie do zniesienia dla mnie, wątłego ducha pomniejszego kosmosu. Pośród męki przerażenia i litości rozpaczliwie zamknąłem uszy swego umysłu. W swojej małości wykrzyczałem ku swemu stwórcy, że żadna chwała wiecznego absolutu nie mogłaby odkupić takiego cierpienia. Nawet jeśli niedola, jaką ujrzałem w rzeczywistości była kilkoma ciemnymi wątkami wplecionymi w złoty gobelin, by go wzbogacić a reszta istniała w błogości, tak wielka rozpacz ducha, zawołałem, nie powinna nigdy zaistnieć. Domagałem się odpowiedzi na pytanie, jaka diabelska niegodziwość sprawiła, że te wspaniałe istoty nie tylko były udręczone, ale pozbawione najwyższego pocieszenia, ekstazy kontemplacji i uwielbienia, która jest przyrodzonym prawem wszystkich w pełni przebudzonych istot.

Istniał czas, gdy sam, jako wspólny umysł pomniejszego kosmosu, spoglądałem na frustracje i smutki swoich drobnych składowych z obojętnością, świadom, że cierpienie tych przytępionych istot nie było wielką ceną za przytomność ducha, jaką sam przydawałem rzeczywistości. Ale cierpiące stworzenia w ostatecznym kosmosie, choć w porównaniu z rzeszami szczęśliwych istot nieliczne, nie należały do wątplych, mętnych istnień, które przydawały mi istnienia swoimi nudnymi krzywdami, lecz były mojej własnej kosmicznej postury umysłowej. A tego nie byłem w stanie znieść.

Mimo wszystko widziałem niewyraźnie, że ostateczny kosmos był piękny i doskonale uformowany i że każda frustracja czy męczarnia w nim, choćby najokrutniejsza, ostatecznie przyczyniała się do wyższej świadomości kosmicznego ducha. Choćby w tym sensie żadna indywidualna tragedia nie szła na marne.

A teraz, jakby przez lzy współczucia i gorącego protestu zdawało mi się, że widzę, jak duch ostatecznego, udoskonalonego wszechświata staje naprzeciw swojego stwórcy. Wyglądało na to, że litość i oburzenie tłumili w nim uwielbienie. A Sprawca Gwiazd, ta mroczna potęga i świadoma inteligencja, znalazł we wdzięku tego stworzenia spełnienie swego pragnienia. I z wzajemnej radości Sprawcy Gwiazd i ostatecznego kosmosu zrodził się w sposób zadziwiający sam absolutny duch, w którym współistnieją wszystkie czasy i wszystkie istoty; albowiem duch, który stanowił owoc tego związku, zdawał się mojej chwiejnej inteligencji jednocześnie podstawą i potomstwem wszystkich doczesnych i skończonych rzeczy.

Dla mnie jednak ta mistyczna i odległa perfekcja nic nie znaczyła. Wśród litości dla ostatecznych, udręczonych istot, wśród ludzkiego wstydu i gniewu, odrzuciłem swoje przyrodzone prawo do ekstazy w tej nieludzkiej perfekcji i zatęskniłem za swoim poślednim kosmosem, za własnym, ludzkim, miotającym się światem, gdzie mógłbym stanąć ramię w ramię z własnym, półwierzącym rodzajem naprzeciw ciemnych mocy. A także naprzeciw obojętnego, bezlitosnego, niepokonanego tyrana, którego myśli były myślącymi i cierpiącymi światami.

Wówczas, w samym akcie tego buntowniczego gestu, gdy zatrzasnąłem drzwi małej, ciemnej celi swojej odrębnej jaźni, moje ściany wszystkie rozpadły się i zawałyły w wyniku nacisku nieodpartego światła, a mój nagi wzrok znów oślepiła nieznosna jasność umysłu.

Znów? Nie. Ale powróciłem w swoim interpretacyjnym śnie do momentu oświecenia, zakończonego oślepieniem, gdy zdawało mi się, że rozpościeram skrzydła, by spotkać Sprawcę Gwiazd i uderzyło mnie straszliwe światło. Teraz jednak rozumiałem znacznie lepiej, co właściwie mnie oszołomiło.

Rzeczywiście była to konfrontacja ze Sprawcą Gwiazd, ale teraz ujrzałem go jako coś więcej niż tylko twórczego, a więc i skończonego ducha. Objawił mi się teraz jako wieczny, doskonały duch zawierający w sobie wszystkie rzeczy i czasy, rozmyślający w beczasie nieskończenie różnorodne rzesze własnych składowych. Światło, które spadło na mnie niczym grom, było jedynie przebłyskiem, jak mi się zdawało, przenikającego wszystko doświadczenia wiecznego ducha.

Z boleścią i przerażeniem, ale i z uległością, a nawet uwielbieniem czułem czy też zdawałem się czuć odrobinę uczuć wiecznego ducha, gdy w jednym, wnikliwym, beczasowym spojrzeniu ujrzał wszystkie nasze żywoty. Nie było tam litości, propozycji zbawienia, miłosiernej pomocy. Albo też była tam cała litość i cała miłość, ale rządzone przez zimną ekstazę. Nasze ułomne życia, nasze miłości, nasze błędy, nasze zdrady, nasze rozpaczliwe i śmiałe próby obrony wszystkie zostały ze spokojem zbadane, ocenione i skatalogowane. Wszystkie doświadczane były z pełnym zrozumieniem, z wnikliwością i współczuciem, a nawet pasją. Ale nie współczucie było najwyższym elementem wiecznego ducha — lecz kontemplacja. I choć była tam miłość, to była i nienawiść, jako że wyczuć można było okrutny zachwyt kontemplacją każdej tragedii i satysfakcję z upadku cnotliwych. Wydawało się, że usposobienie ducha zawiera w sobie wszystkie pasje, ale rządzi nimi, trzyma je w lodowatej garści chłodna, beznamiętna, kryształowa ekstaza kontemplacji.

Taki miał być ostateczny wynik naszego życia? Ta uważna ocena naukowca? Nie, artyści! A jednak oddawałem mu cześć!

Ale nie to było najgorsze. Mówiąc bowiem, że usposobieniem ducha była kontemplacja, przypisałem mu skończone ludzkie doświadczenie, emocję, pocieszając się więc, nawet jeśli było to chłodne pocieszenie. W rzeczywistości jednak wieczny duch był nie do opisanego. Nie można było powiedzieć o nim właściwie nic. Nawet nazwanie go „duchem” nie było może adekwatne. Ale odmawianie mu tego określenia stanowiłoby błąd nie mniejszy, bo czymkolwiek był, był on czymś więcej, a nie mniej niż duch, czymś, co wykraczało poza jakiegokolwiek możliwe ludzkie zrozumienie tego słowa. Z poziomu człowieka, a nawet z poziomu kosmicznego umysłu, owo „więcej”, którego ujrzałem tylko niewielki, boleśnie niewyraźny przeblask, było straszną tajemnicą, nieodpartą adoracją.

XVI. EPILOG — POWRÓT NA ZIEMIĘ

Przebudziłem się na wzgórzu. Uliczne lampy naszego przedmieścia świeciły mocniej niż gwiazdy. Po pogłosie uderzenia zegara nadeszły echa jedenastu kolejnych. Wypatrzyłem nasze okno. Przyплыw radości, dzikiej radości, zalał mnie niczym fala. A następnie spokój.

Ta małość, ale i intensywność ziemskich wydarzeń! W jednej chwili zniknęła hiperkosmiczna rzeczywistość, dzikie źródło stworzenia i cały ten strumień światów. Rozplynęły się, przemieniły w fantazję i w zachwycającą nieistotność.

Ta małość, ale i intensywność tego skalistego ziarenka, z jego powłoką oceanów i powietrza i urywaną, różnobarwną, burzliwą powłoką życia. Cienistych wzgórz, morza, niewyraźnego, pozbawionego horyzontu. Pulsującej latarni morskiej, stukotu wagonów kolejowych. Moja dłoń pogładziła przyjemną szorstkość wrzosu.

Zniknęła hiperkosmiczna zjawia. Rzeczywistość musiała nie być taka, jaką ją wyśniewem, ale nieskończenie bardziej subtelna, bardziej przerażająca i bardziej wspaniała. I nieskończenie bliższa domu.

Ale choć moja wizja mogła być fałszywa, jeśli chodzi o detale czy strukturę, a może nawet całą swoją formę, to jej nastrój musiał niewątpliwie być właściwy. Być może pod tym względem kryła się w niej prawda. Sama rzeczywistość musiała w końcu skłonić mnie do wykonypowania sobie tego obrazu, fałszywego jeśli chodzi o treść, ale prawdziwego w duchu.

Gwiazdy blado drżały ponad latarniami. Wielkie słońca? Czy wątle iskry na nocnym niebie? Słońca, jak mawiano. Światła prowadzące żeglarzy i odrywające umysł od ziemskiej krzątanimy, ale przebijające słońce zimnymi włóczniami.

Siedząc tam na wrzosie, na naszym planetarnym ziarenku, skuliłem się w obliczu otchłani otwierających się po wszystkich stronach i w przyszłości. Cichy mrok, nijakie nieznanne były bardziej przerażające niż wszystkie strachy, które zrodzić się mogły w wyobraźni. Umysł nie był w stanie ujrzeć nic wyraźnego, w ludzkim istnieniu nic nie mogło być pewne poza samą niepewnością. Pewna była tylko ciemność opisywana za pomocą oparów teorii. Ludzka nauka stanowiła jedynie mgiełkę liczb, a filozofia mgiełkę słów. Ludzkie postrzeganie tego skalistego ziarenka i wszystkich jego cudów było tylko zmiennym, kłamliwym widmem. Nawet własna jaźń, ten, zdawałoby się, centralny fakt, była zaledwie widmem, tak zwodniczym, że najuczciwszy człowiek musi wątpić we własną uczciwość, tak niematerialnym, że człowiek musi wątpić we własne istnienie. A nasze lojalności! Tak samooszukańcze, tak błędne i fałszywe. Z taką dzikością bronione i tak wypaczone przez nienawiść! Nasze miłości, pełne hojnej intymności, należałoby potępić jako ślepe, samolubne i samochwalcze.

A jednak? Ujrzałem ją w naszym oknie. Byliśmy razem szczęśliwi! Odnaleźliśmy, czy też stworzyliśmy, nasz własny skarb wspólnoty. Była to jedyna skała w całym galimatiasie istnienia. To, nie astronomiczny czy nadkosmiczny ogrom, nawet nie planetarne ziarenko. To i tylko to stanowiło twardy fundament egzystencji.

Po każdej stronie panował zamęt, zbierała się burza, fale już zalewały naszą skałę. I wszędzie wokół, pośród mrocznego chaosu, pojawiały się twarze i błagalne dłonie, na poły widoczne i rozplywające się w powietrzu.

A przyszłość? Czarna, z nadchodzącą burzą szaleństwa tego świata, choć przebijają przez nią przebliski nowej, gwałtownej nadziei, nadziei na przytomny, rozsądny, szczęśliwy świat. Co straszliwego dzieliło nasze czasy i tę przyszłość? Ciężcy nie oddadzą potulnie władzy. A nasz dwójka, przyzwyczajona jedynie do bezpieczeństwa i spokoju, pasowała tylko do serdecznego świata, gdzie nikt nie jest udręczony, nikt nie popada w rozpacz. Byliśmy przystosowani jedynie do słonecznej pogody, do prawego, lecz nieprzesadnie trudnego życia, bez bohaterskich cnót, w bezpiecznej i sprawiedliwej społeczności. Zamiast tego znaleźliśmy się w epoce tytanicznych konfliktów, w których nieustępliwe siły ciemności i bezlitosne z desperacji siły światła miały stoczyć pojedynek na śmierć i życie w rozdartym sercu świata, gdy w następujących kolejno po sobie kryzysach

należy dokonywać trudnych wyborów, do których nie pasują proste czy znajome zasady.

Za naszą zatoczką z giserni wydobył się czerwony płomień. Obok ciemne sylwetki kolcolistu przydawały tajemniczości okolicznym wrzosowiskom.

W swojej wyobraźni ujrzałem za wierzchołkiem naszego wzgórza dalsze, niewidoczne szczyty. Widziałem równiny, lasy i wszystkie pola, z miriadami pojedynczych kłosów. Widziałem, jak ziemia zakrzywia się wzdłuż ramienia planety. Wioski nawleczone były na nici dróg, stalowych torów i szumiących drutów. Krople rosy na pajęczynie. Tu i tam miasteczko stanowiło przestwór światła, mglistą jasność przyprószoną gwiazdami.

Za równinami mieścił się Londyn, rozświetlony neonami, wrzący, wyglądający jak przezrocze mikroskopu wyciągnięte z brudnej wody i zaludnione hałaśliwymi drobno-ustrojami. Drobnoustroje! Z gwiazdznego punktu widzenia te stworzenia niewątpliwie były zaledwie bakteriami, ale dla siebie samych, a czasami dla siebie nawzajem, były nie mniej prawdziwe niż wszystkie słońca.

Dalej, za Londynem, moja wyobraźnia wykryła ciemny obszar Kanału, a następnie całą Europę, patchwork ziemi rolnej i uśpionego przemysłu. Za topolami Normandii rozpościerał się Paryż z wieżami Notre Dame pochyłonymi nieco z uwagi na zakrzywienie Ziemi. Potem hiszpańska noc gorzała zabójstwem miast. Po lewej leżały Niemcy z lasami i fabrykami, z muzyką i stalowymi hełmami. Na placach przed katedrami widziałem rzędy tysięcy młodych mężczyzn, pełnych uniesienia, opętanych, salutujących oświetlone-emu reflektorami Führerowi. We Włoszech, kraju wspomnień i złudzeń, bożyszczu tłumy także zauroczyło młodych.

Daleko na lewo mieściła się zaś Rosja, dość wypukły segment naszego globu, śnieżnobiałą pośród ciemności, rozpościerający się pod gwiazdami i kłębami chmur. Widziałem wieże Kremla naprzeciw Placu Czerwonego. Tam leżał zwycięski Lenin. Dalej, u stóp Uralu, wyobraźnia ujrzała rdzawe płomienie i obłoki dymu Magnitostroju¹⁴. Dalej, za wzgórzami, lśniła zapowiedź świtu, jako że o mojej północy dzień podążał już na zachód przez Azję, przeganiając swoim złotoróżowym brzaskiem dymiącą gąsienicę Ekspresu Transsyberyjskiego. Na północy twarda jak stal Arktyka gnębiła wygnańców w ich obozach. Daleko na południu leżały bogate doliny i równiny, które dawniej stanowiły kolebkę naszego gatunku, ale przez które teraz biegły tory kolejowe. Azjatyckie dzieci budził nowy, szkolny dzień i legenda Lenina. Dalej na południu leżały Himalaje, pokryte śniegiem od pasa do czubka głowy, spoglądające na zatłoczone Indie. Widziałem tańczące krzewy bawełny, pszenicę i świętą rzekę, która niosła wody Kametu¹⁵ za pola ryżowe i legowiska krokodyli, poza Kalkutę z jej statkami i biurami, aż do morza. Ze swojej północy spojrziałem na Chiny. Poranne słońce odbite od zalanych pól ozłacało groby przodków. Jangcy, lśniaca, poplątana nić, pędziła przez swą gardziel. Za górami Korei i za morzem stała góra Fudzi, wygasła i elegancka. Wokół niej, na tym wąskim skrawku ziemi jak lawa w kraterze wrzał wulkan ludności. Już zalewał Azję wojskiem i towarami.

Wyobraźnia cofnęła się i wyruszyła do Afryki. Tam zobaczyłem zbudowany przez człowieka pas wody łączący Zachód ze Wschodem; następnie minarety, piramidy i wiecznie czekającego Sfinksa. W starożytnym Memfis¹⁶ niosło się teraz echo szumu Magnitostroju. Daleko na południu czarni ludzie spali nad wielkimi jeziorami. Słonie tratowały płony. Jeszcze dalej, gdzie Holendrzy i Anglicy wyzyskują miliony tubylców, ich rzesze poruszały niewyraźne sny o wolności.

¹⁴*Magnitostroj* — powstały w latach 30. kombinat przemysłowy w Magnitogorsku w obwodzie czelabińskim w Rosji. W 1939 Melchior Wańkiewicz pisał o polskim Centralnym Okręgu Przemysłowym jako o „polskim Magnitostroju”. [przypis edytorski]

¹⁵*Kamet* — szczyt w Himalajach, położony w stanie Uttarakhand w Indiach, blisko granicy z Chinami; także: potężny lodowiec zstępujący z tego szczytu. [przypis edytorski]

¹⁶*Memfis* — gr. nazwa jednego z najważniejszych miast staroż. Egiptu (w epoce Starego Państwa, III–VI dynastii, ok. 2675–2170 p.n.e.); w tym okresie stanowiło ono centrum polityczne, handlowe i administracyjne, ośrodek kultu Ptaha, Sechmet i Apisa; w okolicy ruin miasta znajdują się trzy wielkie nekropolie: Abusir na północy oraz Sakkara i Dahszur na południu. [przypis edytorski]

Za całym kontynentem, za pokrytą chmurami Górą Stołową, zobaczyłem Ocean Południowy, czarny od burz, a dalej lodowe urwiska pełne fok i pingwinów oraz śnieżne połacie bezludnego dawniej kontynentu. Wyobraźnia spojrzała o północy na słońce, przemierzyła biegun i Erebus¹⁷, rzygającą lawą na swój gronostajowy płaszcz. Popędziła na północ nad letnim morzem, mijając Nową Zelandię, tę bardziej wolną, ale mniej świadomą Brytanię, i lecąc nad Australią, gdzie jasnowłosi jeźdźcy wypasają swoje stada.

Spoglądając wciąż na wschód od mojego wzgórza, zobaczyłem usiany wyspami Pacyfik, a następnie Ameryki, gdzie potomkowie Europy dawno temu pokonali potomków Azji, dzięki wynalezieniu broni palnej i wynikającej z tego arogancji. Dalej, na północy i południu leżał stary Nowy Świat, La Plata¹⁸ i Rio¹⁹, miasta Nowej Anglii, promieniujące ośrodki starego nowego stylu życia i myślenia. Nowy Jork, ciemny na tle popołudniowego słońca, był skupiskiem wysokich kryształów, Stonehenge współczesnych megalitów. Wokół nich, jak ryby skubiące stopy brodzących w wodzie ludzi, gromadziły się wielkie liniowce. Widziałem je też na morzu, wraz z głęboko zanurzonymi frachtowcami, przebijającymi zachód słońca rozświetlający ich pokłady. Palacze pocili się przy wielkich piecach, majtkowie na bocianim gnieździe drżeli, a taneczną muzykę dochodzącą z kajut zatapiał wiatr.

Całą planetę, całe to rojące się od życia ziarenko, widziałem teraz jako arenę, na której dwaj kosmiczni antagoniści, dwa duchy, wciąż przygotowywały się do krytycznej walki, przyjąwszy już ziemskie formy i ścierając się w naszych na poły przebudzonych umysłach. W kolejnych miastach, wioskach i niezliczonych, samotnych gospodarstwach, chatach, chałupach, w tych wszystkich zakamarkach, w których ludzie szukali pociechy, triumfu czy uciezki, trwała wielka walka naszej ery.

Jeden z walczących jawił się jako wola śmiałego dążenia ku nowemu, wyczekiwanemu, rozsądnemu i radosnemu światu, w którym każdy człowiek mógłby żyć pełnią życia w służbie ludzkości. Druga stanowiła zaś krótkowzroczny strach przed nieznanym; czy też była czymś bardziej złowieszczym? Czy była to przebiegła żądza osobistej władzy, która dla własnych celów wzbudzała archaiczną, irracjonalną i mściwą furię plemienia.

Zdawało się, że w nadchodzącej burzy zniszczeniu ulegnie wszystko to, co cenne. Całe osobiste szczęście, wszelka miłość, twórcza praca w sztuce, nauce i filozofii, cała naukowa dociekliwość i wyobraźnia oraz wszelkie więzi społeczne, wszystko, do czego zwykle dąży w życiu człowiek zdawało się być fanaberią, kpiną w obliczu majczącej na horyzoncie katastrofy. Ale gdybyśmy nie zdołali ich uratować, to gdzie miałyby się podziąć?

Jak stawić czoła takiej erze? Jak zebrać w sobie odwagę, będąc zdolnym jedynie do pospolitych cnót? Jak to zrobić, zachowując jednocześnie prawość ducha, nie pozwalając, aby walka zniszczyła w sercu to, co staramy się uratować?

Dwa przewodnie światła. Jedno, nasz lśniący atom wspólnoty, wraz ze wszystkim, co sobą wyraża. Drugie to chłodne światło gwiazd, symbol nadkosmicznej rzeczywistości, z jej kryształową ekstazą. Dziwne, że w tym świetle, w którym nawet nasza najcenniejsza miłość podlega chłodnej ocenie, a nawet możliwa porażka naszego połowicznie budzącego się świata rozważana jest bez współczucia ani uznania, ziemski kryzys nie traci, lecz zyskuje na znaczeniu. Dziwne, że tym pilniejsze zdaje się odegranie roli w tej walce, tym krótkim wysiłku drobnoustrojów, by zdobyć dla swej rasy większą przytomność ducha, zanim zapadnie wieczny mrok.

KONIEC

¹⁷*Erebus* — czynny wulkan u wybrzeża Antarktydy Wschodniej, na Wyspie Rossa (na Morzu Rossa) o wys. 3794 m n.p.m. [przypis edytorski]

¹⁸*La Plata* — miasto na obszarze Pampy we wsch. Argentynie, nad estuarium La Plata (szerokiego lejkowatego ujścia wód do Oceanu Atlantyckiego powstałego z rzek Parana i Urugwaj), położone ok. 60 km na pld. wsch. od Buenos Aires. [przypis edytorski]

¹⁹*Rio* — jedno z dwóch największych (obok São Paulo) miasto Brazylii, do 1960 r. stolica państwa. [przypis edytorski]

NOTA O WIELKOŚCIACH

Ogrom sam w sobie nie jest czymś dobrym. Żywy człowiek wart jest więcej niż pozbawiona życia galaktyka. Ale jest on ważny poprzez swój wpływ na bogactwo i różnorodność myśli. Wszystkie rzeczy są oczywiście duże lub małe jedynie w odniesieniu do siebie wzajem. Powiedzieć, że kosmos jest wielki, oznacza jedynie powiedzieć, że w porównaniu z nim niektóre z jego składowych są niewielkie. Powiedzieć, że czas jego istnienia jest długi, oznacza tylko, że zawiera w sobie wiele krótszych zdarzeń. Ale choć przestrzenny i czasowy ogrom kosmosu same w sobie nie mają wrodzonej wartości, stanowią fundament dla psychicznej obfitości, którą cenimy. Fizyczny ogrom pozwala na możliwość zaistnienia fizycznej złożoności, co z kolei umożliwia powstanie organizmów o złożonych umysłach. Jest tak przynajmniej w przypadku kosmosu takiego jak nasz, w którym umysł pozostaje zależny od fizyczności.

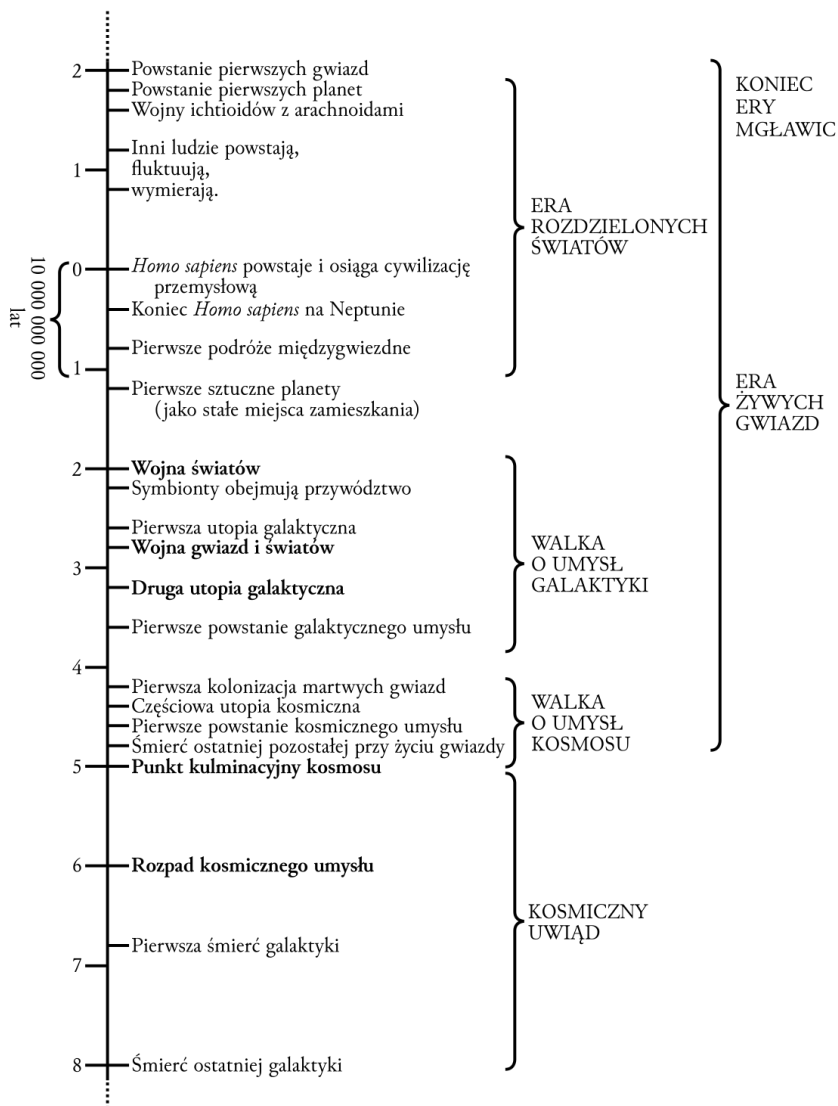
Prawdopodobny rozmiar naszego kosmosu można z grubsza wyobrazić sobie dzięki następującej analogii, opartej na tej, którą podaje W. J. Luyten²⁰ w książce *The Pageant of the Stars*²¹. Powiedzmy, że Walia przedstawiać będzie rozmiar naszej galaktyki, jakieś sto tysięcy lat świetlnych. Otacza ją układ siedmiu znacznie mniejszych subgalaktyk i gromad kulistych, z których wszystkie mieszczą się w obszarze o średnicy miliona lat świetlnych. W naszym modelu rozciągały się daleko na Atlantyk i Europę. Inne takie układy mieściłyby się w odległości przedstawianej przez tę między Walią a Ameryką Północną. Na tej samej skali najdalsza widoczna przez stucalowy teleskop galaktyka, odległa o około pięćset milionów lat świetlnych, mieściłaby się około sto tysięcy kilometrów dalej, co stanowi jedną czwartą naszej odległości od Księżyca. Powstający wciąż teleskop dwustucalowy bez wątplenia pozwoli nam zajrzeć jeszcze dalej. Całość kosmosu w tym modelu mieściłaby się na przestrzeni o średnicy około osiemnastu milionów kilometrów, czy też jednej ósmej odległości między Ziemią a Słońcem. Odległość od Słońca do najbliższej gwiazdy (4,5 roku świetlnego) miałaby długość około czterech metrów, a sam rok świetlny nieco mniej niż metr. Przeciętna prędkość gwiazdowego ruchu (32 kilometry na sekundę) odpowiadałaby około dziesięciu centymetrom na sto lat. Orbita ziemską miałaby średnicę dwudziestu pięciu mikrometrów, a średnica Słońca sto pięćdziesiąt nanometrów.

²⁰Luyten, Willem Jacob (1899–1994) — holendersko-amerykański astronom, odkrywca i badacz gwiazd, pracował w obserwatoriach: Licka i Harvard College Observatory; wykładowca University of Minnesota, za swą pracę naukową odznaczony medalami (Medal Jamesa Craiga Watsona 1964, Bruce Medal 1968), jego imieniem nazwana została asteroida (1964) i gwiazda (gwiazda Luytena należy do najbliższych sąsiadów Słońca). [przypis edytorski]

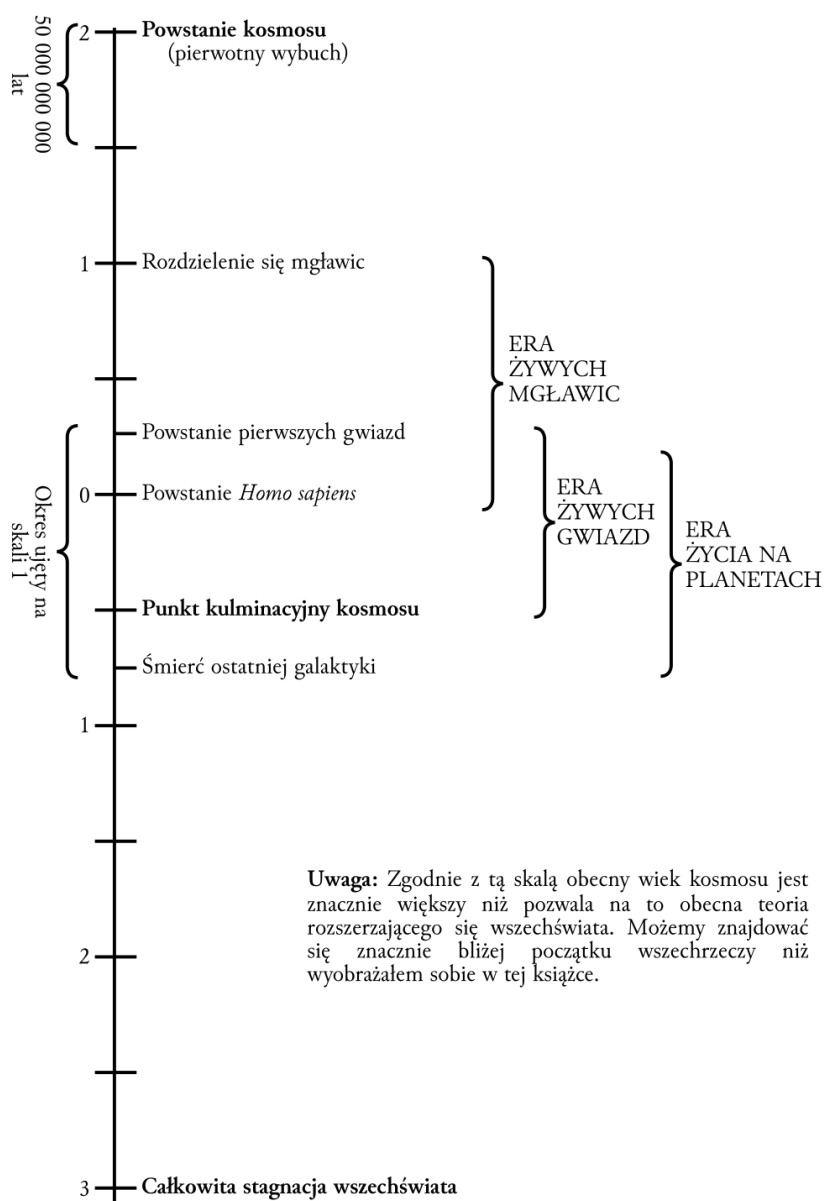
²¹*The Pageant of the Stars* (ang.) — *Korowód gwiazd*. [przypis tłumacza]

Skala czasu 1

Uwaga: Elementy tej skali rozmieszczone są tak, by ilustrowały fikcyjną historię opisaną w tej książce. Wielu naukowców nie zgodziłoby się z przyjętym na potrzeby opowieści założeniem, że ludzkość zaistnieć mogła tak długo po powstaniu gwiazd.

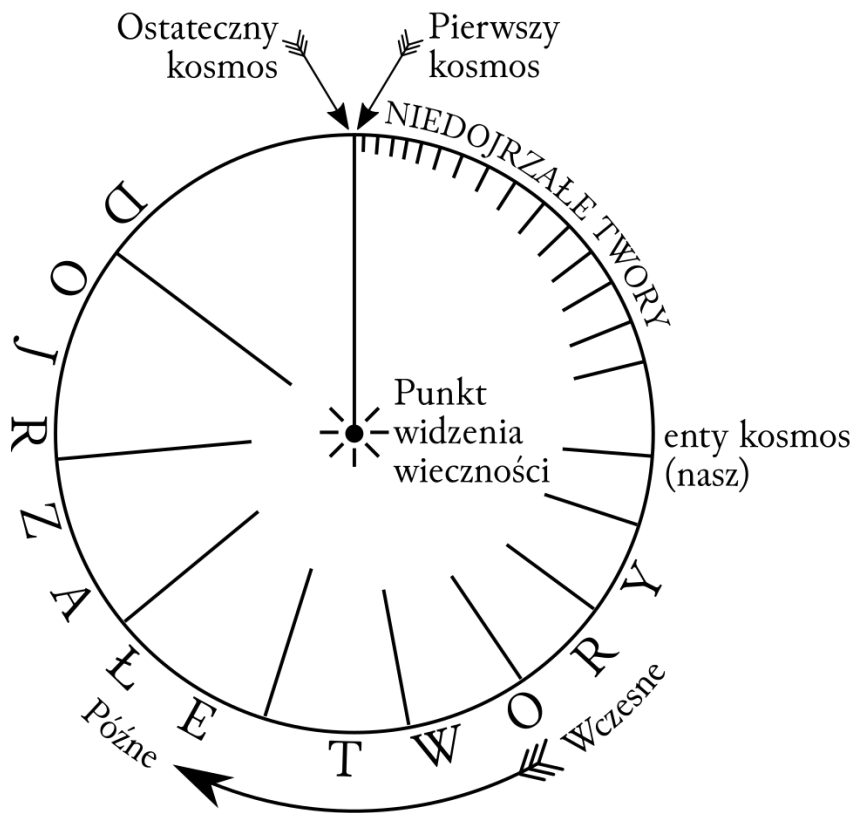


Skala czasu 2



Uwaga: Zgodnie z tą skalą obecny wiek kosmosu jest znacznie większy niż pozwala na to obecna teoria rozszerzającego się wszechświata. Możemy znajdować się znacznie bliżej początku wszechrzeczy niż wyobrażałem sobie w tej książce.

Skala czasu 3



Koło przedstawia czas właściwy Sprawcy Gwiazd jako stwórcy. Jego najwyższy punkt to początek i koniec świata Sprawcy Gwiazd. Czas upływa zgodnie ze wskazówkami zegara. Każda „przerwana szprycha” koła przedstawia czas kosmiczny. Kosmiczne czasy są oczywiście nieporównywalne, ale postępy działalności twórczej Sprawcy Gwiazd przedstawione są jako coraz dłuższe kosmiczne linie w miarę coraz większej dojrzałości jego twórców. Coraz większa długość oznacza rosnącą złożoność i subtelność kolejnych kreacji. „Punkt widzenia wieczności” oznacza „bezczasowe” zrozumienie całego istnienia przez Sprawcę Gwiazd jako wiecznego i absolutnego ducha. Celem twórczego ducha jest całkowite spełnienie jego potencjału i osiągnięcie wiecznego punktu widzenia poprzez punkt szczytowy ostatecznego kosmosu. Każda historia kosmosu przedstawiona jest jako prostopadła do czasu samego Sprawcy Gwiazd. Może on oczywiście „przeżyć” historię kosmosu, ale potrafi także pojąć ją całą równocześnie. Historię niektórych kosmosów można by przedstawić w formie okręgów, jako że ich czas jest cykliczny. Inne mogłyby być płaszczyznami, jako że zawierają więcej niż jeden wymiar czasu. Przedstawiłem jedynie garstkę z nieskończonej liczby dzieł Sprawcy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stapledon-sprawca-gwiazd/>

Tekst opracowany na podstawie: Olaf Stapledon, *Sprawca gwiazd*, tłum. P. Dembowski, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska, 2022.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Sfinansowano dzięki zrzutce społecznościowej czytelniczek i czytelników Wolnych Lektur.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paweł Dembowski, Radek Czajka.

Publikację wsparli i wsparły: taki tam Wojtek, Tomasz Iwasiów, darson, Maciej Stanisławski, Agnieszka T, Aleksander Parkitny, Gosia Ka, MSW, Zbigniew Żaczek, Renata, Ogrodnik, Areck, Kacper P, Vasyl Demianiuk, xan4, Katarzyna Nowatkowska, Katarzyna Gurek, Retorta, Krzysztof Ju, Marta Zajączkowska, Michał Sidor, Dawid Wołoszyn, Niestanka, Radosława Górka, Joe, Jan Szumiec, Magdalena Pietruszewska, Piotr Imiola, Edmund Łagutko, Agata Kędracka, Arkadiusz P, Klaudia Mielczarek, Paweł Bazan, Dzmitry S., Arkadiusz Hawro, Tomasz, Tomek, egras7, Mariusz Sołtys, Piotr Olszewski, Michał Pierchalski, Archrisle, Artur Łagodziński, Maria Świetlik, Olla, Michał, Emi, Katarzyna Budzyńska, Anna Paciorkiewicz, TqW, Katarzyna Zimna, Maria, Tomasz GodAs Siudziński, Kamila, Jan Nowak, Szymon Wróblewski, piernoem, Hanna Górecka, Maksym Dziedzic, Włodek Cynk, Jakub Opiela, Szyplós Kosmydłós, Tomasz Er, Cylinder, Jakub Nastala.

ISBN 978-83-288-6623-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).